

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/544 — 2/545 1993



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

- L. UNGER: **WIDZIANE Z BRUKSELI I Z WILNA**
- T. TORAŃSKA: **ROZMOWA Z LESZKIEM BALCEROWICZEM**
- B. OSADCZUK: **UKRAINA: WŁADZA NAD PRZEPAŚCIĄ**
- NAGRODY KULTURY ZA ROK 1992**

SPIS RZECZY

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Wilna</i>	3
Krzysztof Gawlikowski:	<i>Tolerancja i fanatyzm</i>	20
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Zeszyt Williama Mouldinga, emeryta</i> ..	29
POWROTY		
Andrzej Jędrkiewicz:	<i>Zjazd</i>	45
Jarosław Kurski:	<i>Kosztyłowce — powrót</i>	49
WIERSZE		
Tadeusz Miciński:	<i>Pszenica i kąkol</i>	56
WYWIADY „KULTURY”		
Teresa Torańska:	<i>Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem</i> ..	62
Henryk Siewierski:	<i>Brazylia: problemy wieku przejściowego</i> (Rozmowa z ambasadorem José Osvaldo de Meira Penna)	73
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Przesuwania rządu ciąg dalszy</i>	81
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	86
Jerzy Boniecki:	<i>Notatki ekonomiczne (a. Przywilej pracy; b. O Polsce bez emocji: kilka liczb)</i> <i>Powołanie Federacji Instytutów Europy Środkowo-Wschodniej</i>	98 107
SPRAWY I TROSKI		
Zbigniew P. Zagórski:	<i>Skutki dezinformacji naukowej</i>	109
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Antoni Pospieszalski:	<i>Moralność świecka</i>	115
UKRAINA		
Bohdan Osadczyk:	<i>Władza nad przepaścią</i>	121
Bogusław Bakuła:	<i>Z prasy ukraińskiej</i>	128
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	133
—	<i>Mniejszości narodowe i religijne w post- komunistycznej Europie</i>	138
NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1992		
Krzysztof Pomian:	<i>Nagroda Publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego — Karol Modzelew- ski</i>	141
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Nagroda Literacka im. Zygmunta Hertza — Stefania Kossowska</i>	142
Olga Scherer:	<i>Nagroda Przyjaźni i Współpracy — Wojciech Sikora</i>	144
CI, CO ODESZLI		
Andrzej Dobosz:	<i>O Zbigniewie Raszewskim (5.IV.1925- 7.VIII.1992)</i>	145
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Ratajczak:	<i>Ten wariat Wojciech Bąk</i>	154
Kazimierz Orłoś:	<i>„Tydzień Polonistów” w Lublinie</i>	171
Stawomir Magała:	<i>Przeciw zbowidrzeniu</i>	172
OSIEMDZIESIĘCIOLECIE		
W.S.:	<i>80-te urodziny Jerzego Turowicza</i>	174

Ciąg dalszy na str. 224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1993

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada) — po raz 24-ty	F. 280,00
Aleksander I. Bragiński, Jülich Barmen (Niemcy) — po raz 42-gi	F. 400,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton, po raz 23-ci — dol. 500,00	F. 2.625,00
Tomira W. Buxell, Wellesley, MA (USA) po raz 18-ty — dol. 213,00	F. 1.118,00
A. Cassel-Kokczyński, Londyn — Lit. 100.000.	F. 450,00
Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA) — po raz 20-ty — dol. 34,000	F. 179,00
Dla uczczenia pamięci moich drogich Rodziców — Idy Jurysiowej-Spira i Romana Jurysia — córka	F. 300,00
Dla uczczenia pamięci Witolda Zahorskiego w czwartą rocznicę Jego śmierci od Emanuela W. i Miły Łopatto z Florencji	F. 300,00
Jan Furdak, Montesson (Francja) — po raz 2-gi	F. 320,00
Józef K. Jordanowski, Elizabeth, NJ (USA) — po raz 10-ty — dol. 20,00	F. 104,00
Taddeus J. Maczyński, Des Plaines, IL (USA) — po raz 16-ty — dol. 25,00	F. 131,00
Od Akowca, ps. „Hugo” z Niemiec	F. 400,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair, NJ (USA) — po raz 25-ty — dol. 38,00	F. 200,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — po raz 23-ci — Dol. 89,00	F. 463,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA) — po raz 16-ty — dol. 34,00	F. 179,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA) — po raz 33-ci — dol. 51,00	F. 268,00
Julitta Szylar, New York, NY (USA) — po raz 6-ty — dol. 200,00	F. 1.050,00
S. Szynalski, St. Agathe, MAN (Kanada) — po raz 14-ty — dol. can. 20,00	F. 84,00
Róża Tarnowska, Paryż, po raz 3-ci	F. 200,00
Elżbieta i Witold J. Zahorscy, Rzym — w czwartą rocznicę śmierci Męża i Ojca Witolda Zahorskiego	F. 500,00
Lucja Zalewska, Chicago IL (USA) — po raz 28-my — dol. 1.000,00	F. 5.250,00
Henryk Zegadło, Mallorca (Hiszpania) — po raz 3-ci	F. 290,00
Z okazji 4-ej rocznicy zgonu Ludmiły Brejskiej-Nawrockiej, redaktora <i>Wiarusa Polskiego</i> w Lille, The Maria Françoise Nawrocka Majchrowicz M.D. Educational Fund (USA) — dol. 300,00	F. 1.575,00

Ciąg dalszy WPLAT na str. 223

1993 15 1481

P. 9786 Chr.
Archi.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Widziane z Brukseli i z Wilna

PAN TADEUSZ... BRAZAUSKAS

CZYLI NAJNOWSZY ZAJAZD NA LITWIE.

HISTORIA NIESZLACHECKA Z ROKU 1992

WE DWUNASTU KSIĘGACH. PROZA

Księga pierwsza: Gospodarstwo

„Niech pan nie zdejmuje palta. Trochę zimna pomoże panu lepiej zrozumieć nasze problemy...” Jesteśmy w gmachu parlamentu litewskiego w Wilnie, na kilka dni przed wyborami 25 października 1992. O zdjęciu palta nie ma mowy, w pokoju jest 10 stopni. Na dworze naturalnie gorzej. Ale zrozumienie problemów litewskich nie jest wcale, albo, lepiej, nie jest tylko funkcją termometru.

Bądźmy sprawiedliwi, Landsbergis miał także pecha. Także, nie tylko. Opatrzność, żeby od niej zacząć, wyraźnie go zawiodła. Zima spadła na Wilno gwałtownie i za wcześnie. Miasto, tradycyjnie, jak wszystkie po-sowieckie miasta, było nie tylko absolutnie nieprzygotowane, ale i strukturalnie i organizacyjnie niezdolne do odparcia zimy. Tym razem jednak wszystkie siły się sprzegły w ataku na Litwinów. Ludzie marzli na ulicy i w domu. Centralne ogrzewanie było wyłączone, nie było także ciepłej wody. W niektórych szpitalach sytuacja była dramatyczna. Minister Zdrowia zapowiadał, że w najgorszym razie ciężko chorych zwiezie się do jedyne go szpitala, który dysponuje własną siecią ciepłowniczą. Zimno było także w szkołach. Nauczyciele prowadzili „seanse samo-ogrzewające”, tak aby nie przerywać lekcji i nie odsyłać dzieci do domu. W domu zresztą nie było ani lepiej ani cieplej.

Wilno wydawało się w owe dni miastem cudów. Bez korków, nawet w wąskich uliczkach Starego Miasta. Samochody zostały pod domem. Z braku benzyny. W stacjach państwowych sprzedaż paliwa na prywatne potrzeby była zabroniona. Dostępna była tylko w wypadkach „skrajnej potrzeby”: zaopatrywane były ambulanse pogotowia, straż pożarna, samochody dostawcze artykułów żywnościowych, no i... karawany. Można było naturalnie benzynę dostać. Na czarnym rynku, albo w kilku stacjach zainstalowanych i obsługiwanych przez jakiś koncern fiński po cenach i w dewizach zachodnich: 85 centów za litr.

Rachunek jest prosty. Pozwala na zimno, dosłownie i w przenośni, zrozumieć dylemat. Litwini zarabiają (zarabiali w październiku) średnio 10.000 „kuponów” (papierowy pieniądz, ze zwierzątkami zamiast Lenina, który zastąpił rubel) miesięcznie. Jeden dolar wart był wtedy ok. 250 kuponów. Inaczej mówiąc, przeciętny Litwin zarabiał 40 dolarów lub 50 litrów benzyny miesięcznie. Wiem, że jest to rachunek powierzchowny, że nie można w ten sposób określać poziomu czy trudności życia, zjawisko jest przecież dobrze znane we wszytkich krajach wschodniej Europy, ale wystarczy, aby zrozumieć nastroje. Ale, dodajmy od razu, prawdziwe statystyki obrazu nie poprawiają. Od grudnia 1989 ceny na Litwie wzrosły ponad 20-krotnie, w samym wrześniu 1992 podskoczyły o 25%.

Brak korków nie oznacza zresztą, że poruszanie się ulicami Wilna nie przedstawiało żadnych trudności. Było koszarne. Błoto, albo, gorzej, gołoleź. Wieczorami wiało grozą. Ulice ciemne, właściwie wcale nie oświetlone, przechodnie szybko znikali, nie mieli zresztą czego oglądać, witryny puste, ciemno wszędzie, głucho wszędzie... „kryzys energetyczny — powiada fachowo kolega — jest tym bardziej dotkliwy, że właśnie nawalił jeden sektor atomowej elektrowni w Ignalinie, 90 km na północny-wschód od Wilna. Awaria niegroźna, ale w niedobrym momencie...”.

Eufemizm. Dla takich awarii dobrych momentów nie ma. Zobaczyłem Wilno pierwszy raz w życiu cztery dni przed wyborami, ale szybki i pobieżny rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że do urn Litwini pójdą bez entuzjazmu, *et c'est le moins qu'on puisse dire...* Coś w rodzaju gorączki wyborczej opanowało tylko niewielką kolonię dyplomatyczną i dziennikarską. (Przy okazji dowiedziałem się, że w Wilnie nie ma żadnej placówki belgijskiej, co ma o tyle inteligentne i zabawne — dla kogo? — konsekwencje, że zmusza obywateli suwerennej Litwy do starania się o wizę do Brukseli w konsulacie belgijskim w... Moskwie).

Księga druga: Zamek czyli parlament

Poza tym niewiele znaków przypominało, że coś się dzieje, że idą wybory, że, jak mi powiedział od razu w czasie pierwszego spotkania Landsbergis, „tu chodzi, proszę pana, o podstawowy wybór, Litwini będą wybierać między opcją zachodnią lub wschodnią dla swego kraju”.

Reszta Litwinów nie zdawała sobie widocznie sprawy z wielkości stawki. Albo w ogóle nie o to im chodziło. W każdym razie, kiedy Landsbergis wołał o opcji, to Litwini, klnąc na zimno, błoto i brud, otuleni w co mieli, szybko przechodzili — nie zwracając uwagi — obok symbolu „opcji”, to znaczy resztek barykady i drutu kolczastego, otaczających zwalisty, w późnosowieckim stylu, budynek parlamentu litewskiego. A przecież to tu właśnie niecałe dwa lata temu rozegrana została pierwsza właściwie zwycięska runda w walce o niepodległość Litwy. To wokół parlamentu przecież, i wokół Landsbergisa, który nie opuszczał gmachu, po masakrze u stóp wieży telewizyjnej w Wilnie, gdzie sowieccy komandosi zamordowali 14 osób, Litwini utworzyli żywy mur z własnych ciał, aby bronić, z narażeniem życia, tego co uznali za symbol swej niepodległości.

Pytam, po co zostawili smętne resztki betonu i drutu? „Potrzebujemy symboli”, powiadają. Kto potrzebuje? Litwini w każdym razie potrzebowali czegoś innego. „Ogrzećcie mieszkania, powiadam, to ważniejsze od symboli”. „Eh, odpowiada, pan nie zna Litwinów. My żebrać nie będziemy. Honor ważniejszy”.

Aluzja jasna: Rosjanie chcą nas wziąć zimnem, ale my się nie damy. Moskwa rzeczywiście zmieniła procedurę paliwową wobec swoich byłych republik. Nie tylko wobec Litwy, choć dla Bałtów, całkowicie zależnych od rosyjskich dostaw, jest to wyjątkowo dotkliwe, a wobec tych wszystkich, którzy opuścili strefę rubla, Rosja wstrzymała dostawy ropy i gazu. Żąda prawie światowej ceny i płatnej w dewizach. Ale państwo litewskie jest biedniejsze od jego obywateli: nie ma dewiz. No i jest zimno, na ulicy i w domu. *In extremis* Litwa podpisała umowę z Tatarstanem o wymianę ropy za artykuły przemysłowe, ale to było i za późno i za mało, aby sytuację poprawić. Poprawić ją radykalnie może tylko nowa, normalna umowa z Rosją, albo dostawy z Zachodu, ale pod warunkiem wybudowania specjalnego portu przeładunkowego. Kwestia setek milionów dolarów i wielu lat...

Nie mogąc ogrzewać ciała, władze starały się podgrzewać ducha. W ciągu mniej niż dwóch lat Litwa miała czterech premierów, a w ciągu ostatniego roku dyskusję o reformie i samą reformę zastąpiła awantura o przeszłość, wojna na „teczki”. Chaos

i bezsens polityczny są widoczne gołym okiem. Nawet w drobiazgach. Główna ulica Wilna zmieniała nazwę jedenaście razy. Świętego Jerzego pod carami, Mickiewicza w Polsce, Stalina, a potem Lenina w Sowietach, teraz nosi dumne imię Giedymina, założyciela miasta w XIV wieku. Może nie wystarczy — powiadam pod wpływem rozmów z „normalnymi” ludźmi. Ale zbywano mnie pogardliwym wzruszeniem ramion. „Dla nas, powiadają, przyszłość nie jest kwestią centralnego ogrzewania”. Trzy dni później trzeba było mimo wszystko zmienić zdanie.

Księga trzecia: Umizgi czyli sabat czarownic

Lenina już nie ma, nawet cokolwiek zniknęła, zostały tylko prawie niewidoczne ślady, ale gmach po KGB, po przeciwnej stronie ulicy stoi nadal. I straszy. Uczestniczyłem właśnie — zaproszony (w płynnej polszczyźnie) przez Juozasa Tumelisa, przewodniczącego Sajudisu (w cywilu dyrektora działu starodruków w Bibliotece Narodowej i wielkiego przyjaciela *Kultury*) — w ceremonii egzorcyzmów. Zmarznięty na kość, siedziałem w niewielkiej grupie w byłej sali kinowej litewskiego KGB, gdzie bardzo młody minister kultury inaugurował przyszłe „muzeum ludobójstwa”. Gmach, do którego dostęp jest ciągle skrupulatnie kontrolowany, na takie muzeum rzeczywiście wyjątkowo się nadaje, rzadko widziałem coś bardziej ponurego. Po kilku przemówieniach (i przeziębieniach) goście zostali zaproszeni do lochów, gdzie obejrzeć można było kilka cel, w których — można sobie to było bez trudu wyobrazić — KGB, a przedtem Gestapo tortuowało i mordowało litewskich patriotów.

Na razie niewiele więcej jest do oglądania. KGB miało sporo czasu na uporządkowanie, nie paniczne ewakuowanie Wilna i Litwy w ogóle. Zostawiło puste ściany. Wywiozło wszystko inne, a przede wszystkim archiwa. Ale, powiada pan Tumelis, do czasu. To muzeum da się urządzić. Pan Tumelis wie o czym mówi. Był on mianowicie także wiceprzewodniczącym komitetu powołanego dla odzyskania KGBowskich archiwów litewskich. Właśnie, opowiadał, wrócił z misji. Gdzieś w Archangielsku czy Krasnojarsku — już nie pamiętam — ale daleko w głębi Rosji, odnalazł pierwszych... 140 bieżących metrów pólki z dokumentami KGB z Wilna. Zabawa — żeby to tak określić — dopiero się zacznie. Nie chodzi bowiem tylko o muzeum. Sprawa KGBowskiej trucizny, to nie jest kwestia makulatury, a polityki, należy do kategorii nie pamiętek i wspomnień, a tematyki aktualnej, prosto z życia i wpisanej w wybory. Jak się bowiem okazało, archiwów KGB co prawda nie

było, ale jak trzeba było, to się teczki odnajdywały. Co będzie teraz, kiedy teczki oficjalnie wrócą?

Litewska wojna na teczki była tym bardziej niszcząca, że elita, a o nią przecież chodzi, jest stosunkowo wąska. Dwie historie warto poznać bliżej, dwa poplątane życiorysy, dwie kariery polityczne ostatecznie przerwane, dwa nazwiska chyba ostatecznie skompromitowane: Kazimiera Prunskiene i Vergilius Czepajtis. Pani Prunskiene była działaczem tej „dobrej” kompartii litewskiej, która zerwała z Moskwą i była jednym z istotnych czynników niepodległościowej polityki litewskiej. Premier, między marcem 1990 i styczniem 1991, pierwszego rządu niepodległej Litwy, pani Prunskiene została oskarżona o współpracę z KGB. Nosila rzekomo pseudonim „Szatrija”, od (jak mnie poinformował czytelnik *Gazety Wyborczej*, pan Mieczysław Jachniewicz) nazwy kurhanu na Żmudzi, gdzie miały odbywać się sabaty czarownic.

Pani Prunskiene wszystkiemu zaprzecza. Jako profesor ekonomii musiała po każdej podróży za granicę sporządzać odpowiedni raport, ale — jak twierdzi — nie miało to nic wspólnego z donoszeniem do KGB. Dokumenty, które miały udowodnić jej „stałą współpracę z KGB” są, według niej, sfałszowane. „Ich cel sprowadza się wyłącznie do storpedowania jej kariery politycznej”. To pan Landsbergis — powiada jego była premier — postanowił ją zdyskredytować, m.in. w perspektywie wyborów powszechnych...”

Na razie udało się. Pani Prunskiene nie kandydowała. Ale nie tylko ona. Vergilius Czepajtis też zniknął z kampanii i z listy kandydatów. Tylko, że Czepajtis był — można powiedzieć — człowiekiem z drugiej strony. Bomba wybuchła, kiedy wileński dziennik *Republika* wydrukował kilka listów zawierających donosy do KGB na litewskich opozycjonistów. Tu obeszło się bez czarownic, listy były podpisane pseudonimem bardzo zwyčajnym, „Juozas”, czyli po prostu Józef, pod którym — jak doniósł dziennik — ukrywał się Czepajtis, jeden z najbliższych przyjaciół i współpracowników Landsbergisa i jeden z założycieli Sajudisu. Donosy Czepajtisa na siebie odnalazł m.in. w swojej teczce Tomas Venclova, litewski poeta i krytyk, przyjaciel *Kultury*, kiedy pierwszy raz przyjechał z emigracji w USA na Litwę.

Tu kończą się opowieści o czarownicach, a zaczyna problem. Przecież archiwów nie było, zostały wywiezione. Skąd więc nagle się znalazły i to jak na zamówienie, akurat kiedy były potrzebne? I przeciwko komu były potrzebne? Pani Prunskiene twierdzi, że dowody zostały zwyczajnie sfałszowane, ale, na jej nieszczęście, komisja sejmowa, powołana dla sprawdzenia stosunków między niektórymi posłami a KGB, dała im wiarę. Z Czepajtisem historia byłaby po prostu zabawna, gdyby nie była

tak smutna. *Republika* twierdzi mianowicie, że „teczkę” Czepaj-tisa kupiła na... bazarze w Wilnie. Ceny nie podali, ale im się widocznie opłaciło. Landsbergis stracił bliskiego człowieka, stracił także na prestiżu, a w *Republice* — co za przypadek — Landsbergisa bardzo nie lubią.

Nic dziwnego, że kiedy w przeddzień wyborów *Republika* zapowiedziała druk cudownie (Ostra Brama jest niedaleko) odnalezionej „teczki” samego Landsbergisa, nagle popsuł się cały system zasilania w redakcji i drukarni dziennika. Następnym numer gazety ukazał się dopiero w dzień po wyborach. Bez „teczki” Landsbergisa. Widocznie była już niepotrzebna. Według poważnych informatorów,teczka po prostu nie istniała: Landsbergis jest jednym z nielicznych, obok Tumelisa, na którego, nawet zdaniem jego wrogów, nie można rzucić najmniejszego cienia jakiegos podejrzenia.

Księga czwarta: Łowy bez dyplomatyki

Litwa Mickiewicza była może jak zdrowie, ale teraz jest chora, zarażona bakcyłem po-sowieckiego spadku, podejrzliwości, zawiści, pogoni za zemstą i korytem. Tak jak we wszystkich innych krajach post-komunistycznych, sowietyzowanych przez ponad pięćdziesiąt lat, społeczeństwo litewskie także było zgangrenowane, spenetrowane przez polityczną policję bolszewicką i jej lokalnych kolaborantów. Tak jak we wszystkich krajach po-sowieckich, kwestia oczyszczenia sceny politycznej od byłych współpracowników KGB stoi i na Litwie na porządku dziennym. I tak jak gdzie indziej, będzie to zabawa kosztowna. Na Litwie, tak jak nigdzie indziej, nie wymyślono jeszcze modelu lustracji czy dekomunizacji właściwej, praworządnej, sprawiedliwej, moralnie i rzeczowo skutecznej.

Prawdziwa czystka na Litwie nie jest zresztą możliwa. Partia komunistyczna liczyła 200.000 członków, co oznacza, że właściwie każda rodzina miała jednego dorosłego w partii. Inaczej by nie przeżyła. Dlatego, i słusznie, procesów sądowych (samosądy moralne to inna parafia) przeciwko członkom partii komunistycznej nie było i nie będzie. Nawet „przymusowych” donosicieli wśród czynnych polityków nie będzie się ścigać. Wystarczy, żeby się przyznali, a wtedy mogą nawet ubiegać się ponownie o mandat poselski. Ilu takich jest, nie wiem, ktoś mi powiedział, że chodzi o cztery osoby, co wydaje się zbyt daleko posuniętą tolerancją.

W każdym razie, także w litewskich warunkach, każda próba drastycznego uregulowania tej sprawy może spowodować takie skutki polityczne i państwowe (w gospodarce, kulturze i

administracji), że, według moich niepodejrzanych rozmówców, po prostu, mówiąc brutalnie, cały interes się nie opłaca.

Nie znaczy to wcale, że nie należy karać za czyny, rozliczać prawdziwych winnych, prawdziwych agentów, tych, którzy przyczynili się naprawdę do sowietyzacji kraju i narodu, deportacji czy represji Litwinów. Którzy popełnili przestępstwa w świetle nie „papierowych cudów”, znajdujących na bazarach, a w świetle prawa obowiązującego na Litwie. Przykład Polski i gorszącej próby ogólnonarodowej dintojry nie jest zachęcający. Doświadczenie litewskie także nie. Zarzut współpracy z KGB przyczepiano wszystkim, którzy się komuś nie spodobali. Ktoś mi zacytował wniosek z „Obserwatorium” w październikowej *Kulturze*, którą tutaj czytają być może z większą uwagą niż w Warszawie: „Niepodobna zbudować prawa na bezprawiu, sprawiedliwości na odwiecie, przyszłości na nienawiści”. Na razie jednak odnajdujemy na Litwie stygmaty znane także z Polski: rdzę donosicielstwa, antysemityzm (w „literaturze” np. jako okrutny bolszewik i morderca Litwinów występuje z reguły osobnik o żydowskim nazwisku), spadek autorytetu instytucji i ludzi, odpadanie od Sajudisu ludzi uczciwych, zdolnych, dynamicznych, którzy, zdegustowani, szukają szczęścia poza polityką. Trudno było przypuszczać, aby mogło się to nie odbić na wyniku wyborów. I odbiło się.

Księga piąta: Kłótnia czyli nam strzelać nie kazano

Noc już zapadła, kiedy w obwodzie Silute, niedaleko bałtyckiego brzegu, patrol litewskich pograniczników wytopił, bez trudu zresztą, konwój kilkunastu pojazdów byłej armii czerwonej — okupacyjnej armii rosyjskiej”, jak ją tutaj oficjalnie nazywają. Oczywiście, normalne ostrzeżenia, pokrzykiwania „stój, kto jedzie” itp. nie poskutkowały. Wtedy Litwini strzelili, najpierw w powietrze, a potem, zdawało im się, w opony. Bez skutku. Rozkaz zatrzymania się Rosjanie mieli całkowicie w nosie. Chwilę później, bez żadnych już przeszkód, konwój przekroczył granice suwerennego państwa litewskiego i spokojnie wjechał na teren Kaliningradu, enklawy suwerennego państwa rosyjskiego.

„No i co mieliśmy uczynić?”, pyta mnie, nie czekając na odpowiedź, jeden ze współpracowników Andriusa Butkewiciusa (kiedyś na pewno Butkiewicz), z zawodu lekarza, obecnie ministra obrony Litwy. „Mogliśmy, naturalnie, strzelać naprawdę, zabić albo zranić żołnierzy, a właściwie przemytników rosyjskich, którzy — my to świetnie wiemy — wieźli zwyczajnie kontrabandę. Ale to stworzyłyby niedobry precedens i wiele problemów. Do tej pory z naszej strony nie padł jeszcze ani je-

den strzał w kierunku naszych okupantów. To jest spory kapitał moralny, nie należy go marnować...”

No, ale jak długo? Litwa stanowi łatwy tranzytowy teren ogromnego przemytu. To chyba zresztą dlatego w ubiegłym roku posowieccy komandosi zamordowali (choć dowodu wprost ciągle brak), na granicy białoruskiej w wyjątkowo brutalny sposób siedmiu młodych celników litewskich. Ale, mówiąc cynicznie, przemyt to nie najgorsza, „ot, ludzka”, powiadają, strona obecności wojsk rosyjskich na terytorium Litwy.

Nikt nie wie, nawet w rządzie litewskim, jaka liczba żołnierzy rosyjskich „okupuje” Litwę. Rosjanie dysponują na terenie Litwy około 180 bazami (czy miejscami postoju) zajmującymi 68.000 hektarów, czyli 1% obszaru kraju. Nawet w większym kraju niż Litwa byłoby to widoczne i dotkliwie. Szczegół, ale ważny i niebezpieczny — większość baz usytuowana jest wewnątrz miast. W Wilnie znajduje się „północne miasteczko”, ogromna baza wojsk pancernych, prawdziwe ghetto za wysokim murem, który objeżdżałem samochodem ponad pół godziny, ale do końca nie objechałem.

„Regularnie ponawiamy żądanie danych o liczebności korpusu, ale bez skutku — powiadają Litwini. Naszym zdaniem żołnierzy rosyjskich jest ok. 35.000”. Liczby się wahają, ale zasadnicze pytanie litewskie pozostaje bez zmiany: dlaczego 24 godziny wystarczyły Rosjanom na zajęcie Litwy, a potrzebują i domagają się długich lat, aby móc się wycofać?

Pytanie retoryczne, odpowiedź jest znana, m.in. z Polski. Stała i trwała obecność żołnierzy rosyjskich na Litwie stwarza niewątpliwie sytuacje wybuchowe. Spokój, a może i pokój, w tej delikatnej strefie Europy może być funkcją przypadkowego incydentu, takiego jaki się mógł wydarzyć w opisanych wyżej okolicznościach na granicy Kaliningradu. (Kaliningrad to oddzielny temat, wiele znaków wskazuje, że znajdzie się on niedługo, oby nie przez zaskoczenie, na czołowym miejscu dyplomatycznych zmartwień Polski, Litwy no i Rosji). Wiele innych eksplozji zostało zresztą zażegnanych w ostatniej chwili. Niedawno w Kłajpedzie Rosjanie zagrozili ekspedycją czołgów, aby uwolnić ich oficera z rąk policji litewskiej. Wystarczyła wtedy mała iskra...

„My nawet nie wiemy, opowiada oficer litewskiej policji, kto dowodzi kim. Gdzieś tam jest naturalnie wysokie dowództwo, ale na dole, mam wrażenie, każdy sobie oficerem...”

Księga szósta: Zaścianek czyli słoń i porcelana

Dla Litwy, małej, słabej, pozbawionej właściwie własnych sił obronnych, kwestia ewakuacji wojsk rosyjskich jest bardziej draż-

liwa nawet niż w Polsce. Problem wycofania tych wojsk jest na pierwszym miejscu porządku dziennego wszystkich negocjacji litewsko-rosyjskich. Decyzja polityczna właściwie już zapadła. Jeszcze przed puczem Borys Jelcyn zaakceptował zasadę szybkiego wycofania. 8 września 1992 roku podpisana została nareszcie umowa o wycofaniu się Rosjan do 31 sierpnia 1993.

Pożyjemy, zobaczymy... Sprawa nie jest łatwa. Podpisać łatwo, dotrzymać trudniej. Generałowie rosyjscy powołują się, i słusznie z ich punktu widzenia, na dwa aspekty sprawy. Z jednej strony, powiadają, Nadbałtyka to ważny dla naszego supermocarstwa teren strategiczny. Są tam rozlokowane jakieś szalenie skomplikowane urządzenia radarowe, namiarowe itp. Co prawda nie bardzo wiadomo, dlaczego supermocarstwo rosyjskie obawia się akurat inwazji np. ze Szwecji, ale można zrozumieć, że generałom nie jest łatwo porzucić cenne gadzety i terytorialne parametry superpotęgi.

Z drugiej strony — też z ich punktu widzenia — generałowie powiadają, że nie mogą rzucić tysięcy rodzin oficerskich w pusty step, że nie ma tam dla nich mieszkań, szkół dla dzieci itd. Litwini rozumieją te problemy, ale w końcu to wszystko nie ich wina, oni Rosjan do siebie nie zapraszali.

Najważniejsze jednak i najniebezpieczniejsze — tłumaczy mi Landsbergis — jest to, że sprawa wycofania z Litwy przekształcona została w problem wewnętrznej, a nie zagranicznej polityki rosyjskiej. Pod pretekstem mianowicie, że interesy oficerów rosyjskich i ich rodzin nie są należycie zabezpieczone, parlament rosyjski sprzeciwił się ratyfikacji umowy z 8 września. „Ja — powiada Landsbergis — wierzę Jelcynowi, ale przecież pan wie, co się dzieje w Moskwie...”

Wiem. W sprawie ewakuacji Litwy, a tym bardziej pozostałych dwóch państw bałtyckich, zamieszanie jest całkowite. Tuż przed wyborami Jelcyn ogłosił, że wstrzymuje ewakuację, potem jego minister obrony, generał Graczow, zdementował prezydenta, po czym konserwa przypuściła generalny atak na Bałtów za złe traktowanie Rosjan. Dotyczy to przede wszystkim Łotwy i Estonii, gdzie Rosjanie stanowią około 40% ludności i gdzie są oni rzeczywiście pozbawieni niektórych uprawnień, np. wyborczych, ale przy tej okazji dostało się także Litwie. Landsbergis opowiedział *à propos* treść swojej rozmowy z generałem Mironowem, dziś już wiceministrem obrony, wówczas jeszcze dowódcą okręgu bałtyckiego. Otóż, ten jak się okazało, dowcipny generał powiedział Landsbergisowi, któremu wcale nie było do śmiechu: „Ja wam radzę, wy nas nie wypychajcie za ostro. Wcale nie wykluczone, że po wyborach będziecie chcieli zaprosić nas na nowo...”

Nie ma obawy. Postulat ewakuacji jest równie aktualny co

przed wyborami, a może nawet bardziej. Dziś, właśnie z uwagi na zmianę ekipy, obecność rosyjska stanowi groźny i niszczący czynnik psychologiczny. I to winno się jak najszybciej zmienić. Z tego punktu widzenia Brazauskas — zdaniem niektórych — może sobie łatwiej poradzić z Rosjanami niż Landsbergis. On wie, jak z nimi rozmawiać...

Zapada wieczór w przeddzień wyborczej niedzieli. Za oknem pada gęsty śnieg. Zimno jak cholera, ale humor nie znika. Landsbergis streszczał swoje ostatnie rozmowy z Rosjanami. „Tłumaczą mi oni — powiada — że Rosja to ogromny kraj, że na terenie normalnej, nie imperialnej, polityki zagranicznej, a zwłaszcza w dziedzinie stosunków z jej byłymi koloniami, porusza się jak słoń w składzie porcelany. Czasem więc zdarza się rosyjskiemu słoniowi zbić jakiś talerzyk. Ja ich rozumiem — powiada Landsbergis — ale chciałbym, żeby ten talerzyk nie był litewski...”

Księga siódma: Rada czyli 50 plus 2

Czarna niewdzięczność? Głupota ludzka? Krótka pamięć narodu? Pozostałości mentalności komunistycznej i pięćdziesiąt lat okupacji sowieckiej? Swoista „wygoda” życia w zależności, to co Vauvenargues określa formułą, że „niewola ściąga człowieka do poziomu, na którym człowiek zaczyna ją lubić”? A może po prostu chęć zmiany, próba nowej formuły przejścia przez najgorsze „morze czerwone” i dojścia do obiecanego, ale niewidocznego, Kanaan? Może szukanie „lepszego” Mojżesza?

Wszystko to, i zapewne także sporo innych czynników, składa się na wytłumaczenie jak to się stało, że w niecałe dwa lata po masakrze pod wieżą telewizyjną w Wilnie i obronie własnymi piersiami parlamentu, z którego akcją oporu kierował Vytautas Landsbergis, że w ponad rok zaledwie po wejściu Litwy do kategorii państw wolnych i suwerennych, Litwa stała się pierwszym w historii państwem epoki *post-post*-komunistycznej.

Wszystko to prawda i pomaga zrozumieć, w jaki sposób pierwsza z republik sowieckich, w której władzę objął ruch wyzwolenia narodowego, Litwa weszła do historii znowu jako pierwsza z republik po-sowieckich, która już jako państwo niezależne oddaje dobrowolnie spadkobiercom kompartii mandat naprawienia błędów popełnionych przez niepodległościowych demokratów.

Wszystko to, i na pewno wiele innych jeszcze elementów, pomaga zrozumieć jak to się stało, że Litwa jest pierwszym krajem, którego obywatele, w drodze wolnych i demokratycznych wyborów, oddają władzę partii politycznej, która jest bezpośred-

nim spadkobiercą partii komunistycznej, tej samej, którą niedawno, w drodze wolnych i demokratycznych wyborów, od władzy wypędziła. Wszystko to pomaga zrozumieć, ale nie wystarczy aby zrozumieć.

„Pięćdziesiąt lat rządów sowieckich, powiedział do mnie Landsbergis, nie znika bez śladu”. „2 lata rządów Sajudisu także nie”, odpowiedziałem. Lub, jak to jeszcze lepiej napisał Wojciech Maziarzki w *Gazecie Wyborczej*, „symbol przegrał w zderzeniu z bolesną codziennością”.

Kropkę nad i postawił litewski kardynał Sładkiewiczus, nie podejrzany o brak sympatii dla Landsbergisa. „Nie można — powiedział ów świątobliwy człowiek w wywiadzie dla niemniej świątobliwego miesięcznika *30 Giorni* — wszystkiego tłumaczyć chłodną zimą i brakiem ciepłej wody... Aby zwyciężyć w wyborach, trzeba pozyskać sympatię i poparcie ludzi...”. Słowa także święte. Cytuję za *Polityką*, ale wywiad z kardynałem, który zauważył przy tej samej okazji, że „zbytne mieszanie się (Kościoła) do polityki przynosi rezultaty odwrotne do zamierzonych”, warto przedrukować w *Kulturze* w całości.

Księga ósma: Zajazd czyli „Gudri Lape”

To nie było zwycięstwo wyborcze, to był plebiscyt. Najbardziej zaskoczony rozmiarami zwycięstwa był sam Brazauskas. Jeden z jego bliskich ludzi powiedział mi: „Nikt się tego nie spodziewał. Nie mamy dosyć dobrych ludzi aby obsadzić wszystkie stanowiska. Nasi najlepsi ludzie już są w prywatnym businessie”. W chwili pisania tych słów nie wiadomo, jak i z kim Brazauskas będzie rządzić, ale wiadomo, że gdyby chciał (mam nadzieję, że nie zechce) mógłby rządzić sam, ma bowiem absolutną większość w parlamencie. Sajudis jest drugim na miejscu, ale został zredukowany do niewielkiej siły opozycyjnej. To daje miarę, jak wielkie były błędy Sajudisu i Landsbergisa, jak głęboko nie rozumieli oni tego, co się naprawdę w kraju dzieje i myśli.

Sajudis, zafascynowany grą polityczną, intrygami, upojony nacjonalizmem nie tylko antyrosyjskim, ale i antypolskim, płaci cenę za arogancję i ślepotę, Landsbergis osobiście za pychę. To są ostre słowa, ale jeżeli Sajudis i Landsbergis tego nie rozumieją, to następne wybory także przegrają.

Przypadek Landsbergisa zasługuje na uwagę. To istotny czynnik przegranej Sajudisu. Muzykolog, specjalista od XIX-wiecznej muzyki litewskiej, Landsbergis był całe życie antykomunistą, ale nic nie predestynowało go do odegrania wielkiej roli historycznej. Odwrotnie, był to właściwie model polityka anty-

mediatycznego. Unikał zresztą kamer, bo wiedział, że to nie jego mocna strona. A tymczasem wszedł do historii, i to z hukiem i szumem. Okazał się zręcznym politykiem, odważnym i upartym (w dobrym sensie) negocjatorem, sprytnym taktikiem, zwłaszcza w niełatwych rozmowach z Rosjanami. Litwini z podziwem, ale bez czułości, nazwali go „Gudri Lape”, czyli mądrym lisem. Gdyby był wodzem Indian u Karola Maya, to by wystarczyło. Ale na Litwie w 1992 roku...?

Landsbergis był może mądrym lisem, ale, jak twierdzą nawet bliscy mu ludzie, lisem niesympatycznym. Ma niewątpliwie poczucie humoru, ale jest to humor zimny i bezlitosny. Bywa ironiczny aż do sarkazmu, a nawet pogardy i prowokacji. Taki człowiek musi zwyciężać, albowiem kiedy przegrywa, to przegrana zamienia się w klęskę. I tak się stało.

Landsbergisowi właściwie nic się nie udało. Reforma rolna zawałona, przeprowadzona bez wyobraźni, właściwie spauperyzowała naród. A przecież, jak zauważył Brazauskas, jedna trzecia Litwinów żyje z pracy na wsi. Landsbergis naturalnie nie odpowiada za to, że Rosjanie zablokowali dostawy ropy, że zażądali ceny światowej. Ale Landsbergis odpowiada za to, że tego nie przewidział. Nikt nie może mieć do Landsbergisa pretensji o to, że postawił się Rosjanom, że bronił niepodległości, że nie chciał „zabrać”, ale można mu zarzucić to, że nie przewidział skutków swojej polityki, nie uprzedził Litwinów, że wybierają się w bardzo długą i trudną wycieczkę.

Landsbergis powiedział mi, że w „głosowaniu wzięła udział także Rosja”. Miał zapewne na myśli zablokowanie przez Moskwę dostaw paliwa. Ale Landsbergis chyba myli się, jeżeli sądzi, że Rosja chciała w ten sposób głosować na Brazauskasa. Z jednej strony dlatego, że nic nie wskazuje, aby Jelcyn był skłonny robić prezenty Brazauskasowi. Były szef byłej kompartii ma, być może, lepsze „chody” na Kremlu niż nacjonalistyczny przywódca Sajudisu, zna Jelcyna czy Wolskiego z dawnych czasów, zmniejszy napięcie na linii Wilno-Moskwa, ale nie przypuszczam, żeby nowy rząd litewski dostał ropę rosyjską na innych warunkach niż te, jakie Moskwa zaproponowała czy też chciała — jak mówi Landsbergis — narzucić właśnie jemu. Rosji po prostu na prezent już nie stać. Niepodległość to rzecz kosztowna i Jelcyn, nawet gdyby chciał, to miałby spore trudności w przeforsowaniu w swoim parlamencie tezy (niezupełnie zresztą absurdalnej), że za niepodległość Litwy powinna płacić właśnie Rosja. Z drugiej strony, jeżeli uznać, że Brazauskas to komunista, to nie widać powodów, dla których Jelcyn miałby pomagać komunistom na Litwie, tym samym, których nie może się pozbyć w Moskwie.

To wszystko tym bardziej, że — to czysta logika — będzie on, przynajmniej w pierwszej fazie, bardziej katolicki niż papież,

bardziej ostrożny, bardziej wymagający wobec Moskwy, bardziej „patriotyczny” niż Landsbergis. On przecież wie, że nie może sobie pozwolić na uzasadnienie najmniejszego podejrzenia odnośnie jego ewentualnej podwójnej lojalności...

Landsbergis, to prawda, nie miał szczęścia. Zima, brak ogrzewania i ciepłej wody, zamroziły ludzi. I dobiły Sajudis. W pewnym stopniu, Sajudis przeszedł drogę Solidarności: nie wytrzymał szoku wolności. Zobaczymy, czy przetrzyma kurację opozycyjną?

Księga dziewiąta: Bitwa czyli postęp

Poza bardzo fragmentaryczną aluzją do Solidarności, na Litwie nie ma w istocie analogii do żadnej innej sytuacji w pokomunistycznej Europie. Dla zmniejszenia szoku litewskiego, egzegeci, bezrobotni kremlinolodzy i akademicy mętlnicy przywołują przykłady Rumunii, Jugosławii czy Mongolii... nawet Angoli. Wszystko to są kraje, gdzie mimo śmierci sowietyzmu komuniści pozostali jednak u władzy. Otóż trzeba powiedzieć, że taka analogia nie istnieje.

W Rumunii czy Jugosławii — bo to są najczęściej cytowane odniesienia — komuniści sami siebie zastąpili, sami po sobie nastąpili. W Rumunii np. Iliescu i w poprzednim parlamencie miał większość, ale przecież i przedtem był prezydentem. Na Litwie stała się rzecz jakościowo inna, bez precedensu. Eks-komuniści byli w opozycji, a potem wrócili do władzy. Nigdzie jeszcze obywatele jakiegoś kraju postkomunistycznego nie zwrócili się do eks-komunistów z propozycją naprawy zegarka popsutego przez antykomunistów. W Rumunii głosowanie na Iliescu było głosowaniem za *status quo*, aktem konserwatywnym. Na Litwie głosowanie na Brazauskasa było głosowaniem za zmianą, za ruchem, za postępem. Tego jeszcze nie było. Nad tym warto się zastanowić.

Księga dziesiąta: Emigracja czyli nie ma powrotu

Oddając masowo głosy na partię Brazauskasa, Litwini głosowali nie za powrotem eks-komunistów, ale przede wszystkim przeciw Sajudisowi. Ale nawet jeżeli interpretować „pozytywnie” głosowanie na Brazauskasa, to pogląd, że Litwini głosowali na komunistów graniczy z brednią. Do komunizmu, eks-komuniści litewscy wiedzą to bardzo dobrze, powrotu być nie może. To, co się określało mianem komunizmu, już nie istnieje, zginęło śmiercią właściwie samobójczą. To po prostu był, także na Lit-

wie, system obcy, okrutny, nieproduktywny i nieopłacalny i żaden normalny Litwin do tego systemu wracać nie chce. Do urn wyborczych Litwini poszli w zupełnie innym celu.

Ale poza tym warto wiedzieć, że, odmiennie chyba od wszystkich innych, była partia komunistyczna Litwy nie jest zdyskredytowana. Od kilku lat to już nie była partia taka jak inne. Kompartia Litwy zerwała z Moskwą w grudniu 1989 roku, kiedy to jeszcze nie było takie proste, a Kreml miał jeszcze wszystkie zęby. To wtedy właśnie Kreml delikatnie przypomniał Brazauskowi, że Wilno to prezent... Stalina, który „oddał” ich stolicę Litwinom 11 października 1939, po poćwiartowaniu Polski razem z Hitlerem. Wbrew gromom Gorbaczowa, partia Brazauskasa i on sam ogłosili w lutym 1990 roku, że ich „celem podstawowym jest odrodzenie niepodległego państwa litewskiego” i stanęli w awangardzie ruchu nacjonalistycznego i niepodległościowego, byli jednym z czynników zwycięstwa Sajudisu i dojścia do niepodległości. Wspomniany już kardynał wystawił Brazauskowi prawdziwe „świadczenie chrztu”, przypominając, że to on właśnie „jako szef partii komunistycznej zwrócił wierzącym katedry w Wilnie i Kownie”.

W niedzielę wyborczą Litwini otrzymali dostęp do lochów KGB. Sajudisowi się zdawało, że koszmarna chmura przeszłości wzmacni nacjonalistyczne, antykomunistyczne nastroje wyborców. Ogromna kolejka tych wyborców, na śniegu i mrozie, stała pod KGB cały dzień. Litwini obejrzeni cele śmierci i tortur, wielu miało tam bliskich, niektórzy sami przez to przeszli. Po czym, często ze łzami w oczach i nienawiścią do Moskwy i jej litewskich agentów w sercu szli do urn i głosowali na Brazauskasa. Czy można sobie wyobrazić, że ci sami Litwini, którzy najpierw zwiędzali lochy KGB, potem oddali głosy na tych, którzy w tych lochach „urzędowali”?

Księga jedenasta: Rok 1812 czyli rok 1992

Bardzo ciekawa historia: prasa zachodnia całkowicie zlekceważyła litewskie wybory. Niektóre wielkie gazety, np. *Le Monde*, miały w chwili wyborów litewskich po kilku korespondentów i wysłanników na terenie b. ZSSR: w Moskwie, na Kaukazie, w Tadżykistanie. Tylko nie w Wilnie. Na konferencjach prasowych dziennikarze zachodni byli jak rodziny, prawdziwych, specjalnych wysłanników można było zliczyć na palcach jednej ręki, większość stanowili miejscowi „stringerzy”. No i Polacy, którzy stanowili zdecydowanie największą i najbardziej autentyczną grupę dziennikarską. Na ostatniej przedwyborczej konferencji np. z premierem Abisala (zdolny arogant), Polacy sta-

nowili absolutną większość, byli liczniejsi nawet od... Litwinów.

Że Polacy przybyli tak tłumnie, to nic dziwnego. Oni rozumieją stawkę. Że zachodni nie przybyli właściwie wcale, to też nic dziwnego: oni niczego nie rozumieli. A było i jest się nad czym zastanowić.

Litwa otworzyła bowiem nowy rozdział w praktyce i teorii przechodzenia byłych republik sowieckich od dyktatury do wolnego rynku, od komunizmu do demokracji. Epizod litewski stanowi demokratyczny eksperyment bez precedensu: w żadnym przecież posowieckim kraju eks-komuniści nie otrzymali tak bezdyskusyjnego świadectwa moralności, tak czystego świadectwa nowego (odzyskanego?) dziewictwa. Po raz pierwszy w historii byli komuniści objęli rządy na zasadzie pełnego legalizmu.

Jest to naturalnie operacja wysoce ryzykowna. W polityce nigdy nie można wykluczyć najgorszego, tym bardziej, że Litwa pozbawiona jest właściwie tradycji demokratycznych. Stąd, nie można wykluczyć np. dojścia do głosu u eks-komunistów elementów zemsty i rewanżu za lata pogardy i często poniżenia. Mogą u nich, choć nie muszą, odezwać się stare nawyki, może dojść na nowo do wojny na teczki, polowania z kolei na sajudisowskie czarownice itp.

Z drugiej strony, nie zabraknie po stronie nacjonalistycznej, u przegranych, odruchów typu „gruzińskiego”. Pogłos scenariusza z Tbilisi, buntu przeciwko legalnie wybranej władzy, tym razem przeciw „czerwonym agentom Moskwy”, był obecny w pierwszych reakcjach powyborczych, zwłaszcza w kołach zbliżonych do prawdziwej gwardii pretoriańskiej jaką — według niektórych moich informatorów — ma stanowić para-militarna służba ochrony parlamentu.

Partia Brazauskasa ma bardzo niewielkie szanse na szybkie uzdrowienie litewskiej gospodarki. Właściwie nie ma żadnych szans. Rosjanie nie pomogą, bo nie zechcą i bo ich na to nie stać. Zachód także nie pomoże. Nie pomagał nacjonalście Landsbergisowi, dlaczego miałby pomagać eks-komuniście Brazauskowi? Skandynawowie byli jakby nieobecni. Szwedzi przysłali króla. To może nie starczyć. Zasoby cierpliwości Litwinów są duże, ale nie są bez końca. Być może, jak twierdzą niektórzy, ludzie kategorii Landsbergisa należą już do historii. Być może, czas charyzmatycznych ideologów, heroldów wielkiej sprawy, natchnionych proroków niepodległości się skończył, że nadeszła pora pragmatyków, menadżerów, buchalterów bez cokołów. Być może... Ale jak się zachowają Litwini, kiedy zbankrutuje także Brazauskas, nikt nie wie. Może lepiej nie próbować. Może, mimo urazów, warto mu pomóc, a nie, jak mi dawano do zrozumienia, uprawiać politykę „im gorzej — tym lepiej”?

Księga dwunasta: Kochajmy się czyli szanujmy alternatywę

Albowiem demokracja to forma delikatna i czasem zaskakująca. Nie należy nią za mocno wstrząsać przed użyciem. Dekomunizacja np. stanowi zapewne nieunikniony aspekt okresu przejściowego. Ale dekomunizacja czy inna lustracja wprowadzana w życie z podejrzanych pobudek, w warunkach zarówno kryzysu gospodarczego jak i zamieszania politycznego, stanowi mieszkankę wysoce wybuchową. Przy czym nie jest pewne, że wybuchnie ona w miejscu na to przewidzianym. Podobnie jak nie wiadomo, kto naciśnie guzik, jeżeli miałoby się okazać, że będzie to wybuch zdalnie kierowany.

Inaczej mówiąc, mogą zaistnieć takie okoliczności, że alternatywa eks-komunistyczna nie będzie wcale najgorsza. Można sobie wyobrazić przecież, że na fali generalnego rozczarowania, z demokratycznej urny wyborczej wyskoczyć może w Rosji jakiś Żyrynowski, no a w Polsce jakiś Tymiński. W końcu, nie trzeba się oszukiwać. Nie tylko na Litwie istnieją dziś warunki stwarzające możliwość „nowego zajazdu”, czyli apelu do „męża opatrnościowego”. Nie tylko na Litwie klasa polityczna działała w oderwaniu od prawdziwych nastrojów obywateli, nie tylko na Litwie polityka sprowadzała się często do pogardy wobec prawdziwych priorytetów sytuacji. Na Litwie istniała alternatywa. Byli nią eks-komuniści. Może się okazać, że nie wszyscy będą mieć takie szczęście...

Wydarzenia litewskie stanowią zarówno lekcję co i ostrzeżenie dla wszystkich krajów, w których podobny rozwój sytuacji jest możliwy, a może nawet przewidywalny. Litwa ma wątpliwy zaszczyt odegrania przed światem wielkiej premiery i być laboratorium wielkiego doświadczenia. Może stać się tego doświadczenia pierwszym beneficjentem. Albo pierwszą ofiarą...

Epilog

*„I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem”.*

A uczyniłem tak aby — jak pisze sam o swoim poemacie słynny poeta litewski Adamos Mickievicius — ostrzec czytelników *Kultury*, że „Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitej namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy”. Wydaje mi się, że dosyć tego mieszanina.

Notowane w Wilnie i pisane w Brukseli
w październiku i listopadzie 1992 roku.

Leopold UNGER

P.S. 1. Nie poruszyłem w ogóle problematyki stosunków polsko-litewskich. Ma ona wymiar zarówno wewnętrzno-litewski co i międzynarodowy: polsko-litewski, polsko-litewsko-białoruski, rosyjski etc. Zawiera więcej elementów psychologii i resentymentów niż logiki i logistyki, co naturalnie utrudnia dziennikarską robotę. Nie znałem się na tym wszystkim przed wyjazdem na Litwę i nie miałem czasu, aby się z tą delikatną materią w czasie pobytu na Litwie zapoznać. Zachodziło więc ryzyko, że opierając się tylko na relacjach z drugiej ręki, napiszę głupstwa, skrzywdzę i pourażam ludzi, wypaczę obraz stosunków polsko-litewskich, państwowych, politycznych i ludzkich, a na to w *Kulturze* zwłaszcza, która stanowi prawdziwy mit i autorytet w inteligenckich kołach na Litwie, pozwolić sobie nie można. Albo więc zrobi to lepiej ktoś inny, a są tacy, i w Wilnie i gdzie indziej, albo poczekać trzeba na moją następną podróż w tamte strony.

P.S. 2. Już w „Listach z Rosji” (patrz *Kultura* nr 10/541) wspomniałem z wdzięcznością o pomocy i gościnności kolegów z PAPA w Moskwie. Alina Kurkus, korespondentka PAPA w Wilnie, potwierdziła moskiewskie wrażenia. Piszę o tym, bo w ten sposób PAP wpisuje się w znakomitą tradycję, którą zapoczątkowała chyba francuska agencja AFP. Na mocy tej tradycji, specjaliści wysłannicy, czyli dziennikarze z reguły gorzej (często wcale) poinformowani o sytuacji mogą korzystać z rady, źródeł i w ogóle gościnności kolegów stale akredytowanych na miejscu. To dobry znak. Dziękuję.

L. U.

Tolerancja i fanatyzm*

Rozwój teoretycznej myśli dotyczącej potrzeby tolerancji i norm prawnych zapewniających jej praktyczne przestrzeganie w życiu społecznym jest, bez wątpienia, jednym z wielkich osiągnięć cywilizacji zachodniej. Koncepcje te i normy zrodziły się tam wszakże nie przypadkowo: były one reakcją na wyjątkowo duże natężenie w tej cywilizacji fanatyzmu ideologicznego. Bez palenia heretyków na stosach, bez wycinania w pień waldensów, wojen religijnych, prześladowań politycznych czy rasizmu koncepcje te po prostu nie mogłyby się zrodzić, gdyż nie byłoby to niezbędne dla samego przetrwania tej cywilizacji i dla zapewnienia spokojnej egzystencji coraz bardziej zróżnicowanych społeczeństw, nie mówiąc już o ich współistnieniu na tej samej kuli ziemskiej z narodami wyznającymi inne religie i przyjmującymi inne systemy wartości.

Jest oczywiście bardzo trudno wskazać, dlaczego w cywilizacji europejskiej ten fanatyzm religijny się uformował i upowszechnił. Można by go wywodzić wprawdzie z tradycji judaistycznej, którą bez wątpienia charakteryzował, i chrześcijańskiej, która go przejęła, ale jest także bezspornym faktem, że pierwsze masowe prześladowania na tle religijnym w Europie godziły właśnie w chrześcijan i były zorganizowane przez skądinąd tolerancyjnych Rzymian, którzy godzili się poprzednio z istnieniem tyłu innych kultów, zaś pierwszym wielkim „heretykiem” zgładzonym za poglądy był Sokrates. Zdaje się to wskazywać, że

* W październikowym numerze *Kultury* opublikowany został tekst wykładu Antoniego Pospieszalskiego „Uwagi o tolerancji”, który wywodzi tolerancję z ewangelicznych nauk i przedstawia jej rozwój jako osiągnięcie epoki nowożytnej, co wydaje się ujęciem. nazbyt europocentrycznym. Ze względu na wielkie znaczenie tego problemu wydaje się użyteczne przedstawienie jego głębszych uwarunkowań kulturowych, z szerszej perspektywy.

już w europejskich kulturach pre-chrześcijańskich były elementy fanatyzmu. To zapewne spowodowało właśnie, iż idee tolerancji Nowego Testamentu nie zostały dostrzeżone, zaś zdominowały wyobraźnię masową tendencje fanatyczne Starego Zakonu.

I

Sprawa tolerancji wiąże się ściśle ze stosunkiem do zadawania śmierci, do użycia przemocy i wojny. Zasługuje z pewnością na uwagę fakt, iż rozmaite ludy pasterskie, od Europy aż po stepy Mongolii, charakteryzowała szczególnie wojowniczość i gotowość mordowania innych, jaka nie występuje u prastarych osiadłych ludów rolniczych. Znalazło to wyraz, między innymi, w akceptacji i gloryfikacji pojedynku. Jeśli jakiś lud akceptuje zabicie współziomka dla błahego zazwyczaj powodu, zwykle traktuje on również zabicie „wroga” za czyn godny chwały. Jest zdumiewające, szczególnie w konfrontacji z cywilizacją wschodnioazjatycką, jak wysoki był prestiż wojny i walki w starożytnej Grecji. Według Heraklita, na przykład, między ludźmi i bogami trwa wieczna wojna, której symbolem i ofiarą był Prometeusz. Co więcej, utrzymywał on, że wojna w sensie najbardziej abstrakcyjnym (*Polemos*) jest ojcem wszystkich rzeczy, panuje nad nimi i kieruje biegiem spraw, właśnie przez nią byty manifestują się jako przeciwstawne, dopiero przez ich opozycję rodzi się harmonia i wszystkie byty rodzą się z tej niezgody. Wojna w tym abstrakcyjnym sensie rodzi sprawiedliwość i determinuje los ludów i jednostek, jednych czyniąc niewolnikami, a innym gwarantując wolność. Zgodnie z tymi koncepcjami „ten, który jest podobny, jest przyjacielem, zaś ten, który jest odmienny, jest wrogiem”. *Polemos* w tym sensie jest zasadą wszechrzeczy i prawem ogólnym *Logosu*. W tym kontekście jest także zrozumiałe, że w kulturach kręgu śródziemnomorskiego zrodziła się mogła koncepcja odwiecznej wojny między Złem a Dobrem, między siłami światła i ciemności, między bytami, które siły te ucieleśniają, a w konsekwencji „świętej wojny” w jej różnych wydaniach europejskich i muzułmańskich. Mamy tu zatem do czynienia z prastarym dziedzictwem ludów indo-europejskich, irańskich i semickich, wykazujących wyraźną skłonność do traktowania „innych” jako „wrogów” i uosobienia sił ciemności. Już Arystoteles występował przeciwko tym poglądom, tym niemniej one to właśnie określały politykę w kręgu śródziemnomorskim, z podbojami kolonialnymi, imperiami budowanymi na krwi i rozpadającymi się jak domki z kart, i narzucały wizję świata, według której człowiek dąży do zapanowania nad naturą, podboju innych kontynentów czy kosmosu.

Jeśli dla porównania przyjrzymy się cywilizacji chińskiej, która obejmuje w przybliżeniu tyleż ludności co cała Europa i kraje arabskie, a także Ameryka Północna, znajdziemy tam zupełnie inne podejście. Zgodnie z koncepcjami panującymi tam od starożytności wszystkie byty rodzą się z harmonijnego współdziałania Yin i Yang, dwu polarnych sił kosmicznych. Ideałem była tam właśnie harmonia: duchowa jednostki, społeczna, człowieka z naturą, itp. Wprawdzie i tam toczono wojny, ale uznawano je za ostateczną konieczność, nie zaś działania przynoszące „wieczną chwałę” jak w Rzymie, a traktaty wojskowe uczyły tam, że liczne zwycięstwa prowadzą państwo do zguby, a podporządkować innych należy głównie środkami dyplomatycznymi i politycznymi, a nie orężem. To pokój i harmonia były tam gloryfikowane, nie zaś wojna i podboje, jak w Europie. Uciekanie się do przemocy było tam moralnie potępiane i wymagało szczególnego uzasadnienia. Broń uznawano za przedmiot złowrogi, nie zaś godny szacunku. Zamiast „kultury pojedynku” znajdujemy „kulturę samobójstwa”, a zamiast kultu miecza kult pędzelka, ksiąg i uczoneści. Dodać tu jednak należy, że w kręgu kultur malajskich walka zbrojna była czci godna, a broń była traktowana z mistyczną niekiedy rewerencją, podobnie jak w Japonii, gdzie mieszały się wpływy kultur malajskich, altajskich i cywilizacji chińskiej. Byłoby zatem fałszywe nazbyt uproszczone przeciwstawianie Zachodu Azji Wschodniej.

Także Europa nie była oczywiście jednolita i wojowniczość różnych ludów była rozmaita. Charakteryzowała ona, między innymi, ludy słowiańskie, jak pokazuje to Francis Conte w swojej pięknej książce „Les Slaves — Aux origines des civilisations d'Europe”, opisując jak to w okresie całego wczesnego średniowiecza Słowianie zasilali rozmaite wojska, aż po armie hiszpańskich Maurów. Pokazuje ona także, z jak wielkim trudem rodziły się państwa słowiańskie, właśnie ze względu na ich wojowniczość i niechęć do uznania hierarchii. Tak, że podporządkowanie się można było tylko wyegzekwować siłą. W tym kontekście szczególnie wyraźna w Europie Wschodniej oscylacja między anarchią i dyktaturami nie może budzić zdumienia, a tolerancja dla „inności” była tam raczej wyjątkiem niż regułą, rezultatem czasowego godzenia się z obecnością tych „innych” raczej niż zaakceptowania ich „inności”. Wojujący nacjonalizm, który występuje w czasach nowożytnych we wschodniej części Europy o wiele wyraźniej niż w zachodniej, wiąże się prawdopodobnie z ową historyczną wojowniczością i niezdolnością do akceptowania różnorodności kulturowej i systemów pluralistycznych opartych na współpracy i harmonii. Każde z tych twierdzeń wymagałoby, rzecz jasna, odrębnego eseju, by ukazać wszystkie komplikacje tej złożonej materii, a tutaj postępujemy

się tylko pewnymi uogólnieniami, jak zawsze grzeszącymi pewnym uproszczeniem. Także w Chinach były zarodki arystokratycznej wojowniczości, później zanikłe, a i w kulturze europejskiej istniały z pewnością różne tendencje, zaś eskcesy wojowniczości i fanatyzmu prowokowały wysiłki zaradzenia złu. Wszakże apoteoza wojny i zabijania w Europie uderza, gdy porównuje się ją z cywilizacją chińską.

II

Przyjrzyjmy się jednak bliżej problemowi państwa, bo ma on szczególne znaczenie dla sprawy tolerancji. Idea państwa jednowyznaniowego i uzurpowanie sobie przezeń prawa do egzekwowania owej „jednolitości ideologicznej” przy pomocy miecza i stosu (czy też kuli w tył głowy i obozów Gułagu), a także narzucania siłą swojej religii (czy też ideologii) innym narodom wydaje się być specyficznym fenomenem europejskim. Nawet cywilizacja islamu, również o dużym natężeniu fanatyzmu, godziła się z istnieniem grup innowierczych w ramach jednego państwa, choć awans polityczny wymagał tam na ogół przyjęcia islamu. W Indiach, które w aspekcie religijnym dzielą przecież wspólną z Indo-europejczykami pre-chrześcijańską tradycję, i które były także pod silnym wpływem islamu, znajdującego zarówno religijny fanatyzm jak i różne inne koncepcje z nim związane, jak na przykład idee „ziemi świętej”, nieczystości rytualnej, itp., pluralizm wyznaniowy był także akceptowany, choć zamykał na ogół inne wspólnoty religijne w ramach odrębnych kast, albo traktował je jako takie. W efekcie awans polityczny i monopol władzy były tam związane z przynależnością do odpowiednich kast, uważanych w hinduizmie za wyższe, a zmiana tego porządku była możliwa tylko w wyniku podboju i narzucenia siłą dominacji grupy wyznającej inną religię, jak to stało się w wypadku muzułmańskiej dynastii Mongołów i Anglików. W obu tych cywilizacjach zatem tolerancja ideologiczna ograniczała się do życia społecznego, a w znacznie mniejszym stopniu do politycznego. I w obu obserwujemy zarówno fanatyzm jak i tendencje prozelityczne: w islamie wyraźne, w Indiach ograniczone tylko do wczesnego okresu dominacji buddyzmu, gdyż późniejszy hinduizm go nie dopuszcza, jako że buddyzm był tylko propagowany, nie zaś narzucany siłą, gdyż był on wprawdzie traktowany jako „dobrą nowinę”, którą chciano się dzielić, ale wymagał wewnętrznego „dojrzenia” jednostki go przyjmującej. W związku z tym był zarówno w Indiach jak i w Azji Południowo-Wschodniej tylko nauczany, nie zaś narzucany siłą, i istnienie grup etnicznych czy jednostek nie przyjmujących go by-

ło akceptowane. Pamiętać też trzeba, że islam i buddyzm, nie mając „hierarchii kościelnej”, nie mogły też wytworzyć ortodoksyjnej doktryny, której odrzucenie byłoby herezją. Obydwie więc te religie były z natury rzeczy wewnątrznie pluralistyczne i dopuszczały istnienie różnych ich wariantów.

Nacisk obydwu religii na indywidualne postępowanie wyznawcy i na jego zgodność z przyjętymi normami, nie zaś na przyjęcie określonych dogmatów, nadawał im z natury rzeczy niedogmatyczny charakter. W buddyzmie normy te miały przy tym bardziej moralną niż religijną naturę, jedynie islam kładł nacisk na aspekt religijny zgodnie z jego śródziemnomorskim rodowodem.

Znacznie większa jeszcze była tolerancja w Azji Wschodniej. Cywilizacja chińska, przyjęta także przez kraje ościenne, nie znała w ogóle fanatyzmu religijnego. Elementami unifikującymi w pluralistycznym językowie, etnicznie i religijnie cesarstwie było pismo hieroglificzne i uznanie zwierzchnictwa Cesarza. „Religia państwowa” ograniczała się do cesarskiego kultu Nieba i Ziemi i do propagowania etycznych nauk konfucjonizmu, gdy od epoki Han (206 p.n.e.-220 n.e.) stał on się doktryną dominującą, choć nie był z pewnością religią i były okresy kulturowania przez dwór cesarski taoizmu czy buddyzmu. W istocie nie było tam znane zjawisko „religii” takiej, jak ją pojmujemy na Zachodzie, to znaczy skodyfikowanego systemu wierzeń i praktyk, z profesjonalnymi sługami kultu i z formalnym przyjęciem jednostki do wspólnoty wyznaniowej. Dotyczy to oczywiście tylko podstawowej masy ludności, gdyż tworzenie się takich wspólnot religijnych było dopuszczane. Dotyczyło to rozmaitych rodzimych „sekt religijnych”, jak można by je nazwać, jak też islamu czy wierzeń chrześcijańskich. A pamiętać trzeba, że na terenach zachodnich cesarstwa dominował islam, a w okresie średniowiecza i największego rozkwitu kontaktów morskich dzielnice muzułmańskie w miastach portowych liczyły setki tysięcy mieszkańców, głównie pochodzenia cudzoziemskiego. Nawet obecnie Chiny są jednym z większych krajów muzułmańskich, licząc do 15 milionów wyznawców Proroka. Islam dominuje w prowincji Xinjiang i od wieków istnieją wspólnoty czy też całe kwartały muzułmańskie we wszystkich większych miastach Chin. W okresie średniowiecza znaczny jest rozwój nestorianizmu, a misjonarze katoliccy mogli nawet nauczać na dworze cesarskim i chrzczyć członków domu panującego, tak że rozwiązany zakon jezuitów znalazł nawet protektora w osobie cesarza chińskiego, który nie mógł zrozumieć, że ktoś go po prostu rozwiązał. Istniały tam także gminy żydowskie i Chiny były jedynym państwem, w którym w ramach gospodarki tradycyjnej, jeszcze w erze przedindustrialnej, nastąpiła samoistna sinizacja Żydów, do tego stopnia,

że fizycznie nie różnią się oni od Chińczyków, a z wierzeń religijnych zachowali tylko obyczaj niejedzenia wieprzowiny i święcenia soboty, zapomniawszy nawet studiów pism świętych. Antysemityzm nie był tam, oczywiście, znany.

Problem przynależności etnicznej czy wyznania religijnego był w pluralistycznym cesarstwie traktowany jako tak nieistotny, że wzmianek o nich nie znajdujemy zazwyczaj nawet w biografach znanych poetów, myślicieli czy dygnitarzy państwowych, i dziś tylko z największym trudem udaje się ją ustalić na podstawie rozmaitych danych pośrednich. Różnice etniczne traktowano tam głównie jako lokalne zróżnicowanie obyczajów, mentalności i języka zgodnie ze starożytnym powiedzeniem, że co sto mil inne są obyczaje i nawyki, a co tysiąc inne panują zwyczaje. Sinizacja ludów niechińskich była na ogół procesem spontanicznym, rzadko tylko uciekano się do środków administracyjnych. Przy tym politykę taką uprawiały nie tylko dynastie chińskie. Wprawdzie po okresie dominacji mongolskiej, kiedy to muzułmanie byli faworyzowani, dynastia Ming (1368-1644) starała się ich sinizować, m.in. przez popieranie małżeństw mieszanych, co zaowocowało jednak głównie szybkim zwiększeniem ich liczebności, gdyż dzieci zwykle przejmowały tradycję islamu, nie zaś chińską. Były jednak i inne wypadki, kiedy to na przykład Dynastia Północna Wei (386-535) ludu Toba zainicjowała forsowną sinizację swych ziomków, zakazując między innymi używania nazwisk Toba, zwyczajów rodzimych itp. Przy pluralizmie etnicznym tak cesarstwa jak też państw powstających w okresie jego rozpadu, ludy uzyskujące dominację polityczną z reguły podlegały szybkiej samoistnej sinizacji, tak że w niewiele lat po ustanowieniu dynastii mandżurskiej Qing (1644-1911) jeden z pierwszych jej cesarzy uzalał się w jednym z edyktów, że Mandżurowie na dworze już tylko klą w ojczystym języku.

Cesarstwo było zarówno w teorii jak i w praktyce tworem ponadetnicznym, pretendowało do roli „państwa uniwersalnego” sprawującego zwierzchność nad całym rodzajem ludzkim, musiało się więc godzić z jego zróżnicowaniem. System egzaminów państwowych na stopnie naukowe, otwierające drogę do kariery politycznej, był otwarty nie tylko dla wszystkich jego obywateli, włączając chłopstwo (z wyjątkiem tylko niewolników i „niskich” grup społecznych, jak kupcy), ale także dla obywateli państw wasalnych. Byli więc do nich dopuszczani Wietnamczycy, Mongołowie, Koreańczycy, muzułmanie ze środkowo-azjatyckich chanatów, a nawet hinduistyczni Czamowie (z państwa Czampa w dzisiejszym środkowym Wietnamie), co dawało im prawo do ubiegania się o urzędy w Cesarstwie. Tak więc pozwalano również Arabom i Persom osiedlać się w miastach portowych, a gdy przybyli Portugalczycy, im także pozwolono zakładać faktorie.

Dopiero w wyniku częstych pijackich burd i molestowania kobiet, obszar dla nich wydzielony odgradzono murem, dając w ten sposób początek Macao. Regułą było także uznawanie władców lokalnych ludów niechińskich i akceptowanie autonomii, pod warunkiem uznania bardziej nominalnego niż realnego zwierzchnictwa chińskiego. Aby obraz ten nie był nazbyt wyidealizowany, dodać jednak należy, że państwo propagowało tam określoną ideologię, opartą głównie na konfucjanizmie. Służył temu, między innymi, wyżej wspomniany system egzaminów (zapożyczony później przez państwo pruskie i brytyjską *Civil Service*), a także znano cenzurę i sporządzanie list „ksiąg zakazanych”. Służyły one jednak głównie walce z ideami „buntowniczymi” w sensie politycznym, znacznie rzadziej zaś tępieniu jakichś tez ideologicznych.

Fanatyzm nacjonalistyczny i ideologiczny, rozbudzony tak wyraźnie w okresie Rewolucji Kulturalnej, był w Chinach — tradycyjnie zorientowanych pragmatycznie — obcym importem z Europy. To właśnie nowożytny Zachód zainspirował tam, podobnie jak w tylu innych miejscach świata, tragedię fanatycznych konfliktów i prześladowań opartych na nacjonalizmie czy innych politycznych lub religijnych „izmach”, takich jak w Iranie Chomeiniego, Kambodży Pol Pota, czy w Indiach po ogłoszeniu ich niepodległości. W cesarstwie chińskim było to nie do pomyślenia, by państwo wtrącało się do kultów i każdy jego poddany mógł budować świątynię jaka mu się zamarzyła. Tylko w wypadku sekt, które podejrzewano o zamiar rebelii, wprowadzano zakazy ich kultów, co w praktyce sprowadzało się zazwyczaj do zakazu dla urzędników lokalnych do udziału w ich ceremoniach i udzielania im wsparcia finansowego. Pluralizm religijny był obyczajem tak zakorzenionym, że na pogrzeby chińskie w latach dwudziestych zapraszano tradycyjnie nie tylko okolicznych mnichów buddyjskich, taoistycznych, czy lokalnych szamanów, ale także misjonarzy, jeśli i tacy byli w pobliżu. I Chińczycy nie mogli wyjść ze zdumienia, gdy katolicki ksiądz oświadczał im, że nie przyjedzie, jeśli zaproszony będzie także pastor czy pop, lub odwrotnie. Dla nich wszyscy oni byli sługami kultów mającymi równe prawo odprawiania swych modłów za zmarłego, gdyż podziały religijne traktowali głównie jako dotyczące kapłanów i mnichów, nie zaś zwykłych ludzi, którzy w razie potrzeby mogli się zwracać o pomoc czy modlić do kogo w danym momencie mieli ochotę. Podziały te nawet jednak w świątyniach nie były dla nich wyraźne, i dominowało w nich synkretyczne łączenie różnych kultów.

W tej sytuacji dla fanatyzmu i nietolerancji nie było po prostu miejsca, o tolerancji nie trzeba było pisać ani jej postulować, bo była ona faktem tak naturalnym jak oddychanie. Każdy

mógł wierzyć w co mu się podobało lub szukając swojej prawdy łączyć wszystkie odpowiedzi, jakie doń przemawiały. Chińczycy nie znali podziału na *sacrum* i *profanum*, tak fundamentalnego od Europy aż po Indie, i nie wierzyli w istnienie jakiegokolwiek jednej prawdy absolutnej. Dla nich wszystko było relatywne. To co dla człowieka jest ziarnkiem piasku, dla mrówki jest wielkim kamieniem; wiosna ludzkiej miary, czy rok, są ledwo mgniemieniem dla drzewa żyjącego lat tysiąc, i mającego inną miarę czasu.

Nawet w języku chińskim przymiotniki są w istocie czasownikami: obiekt nie jest jakimś a tylko jawi się jako taki w danym momencie, lub ma aktualnie taką formę. Zatem nie tylko przedmioty nie były pojmowane jako mające stałe charakterystyki, a nawet wśród duchów nie było zawsze dobrych czy zawsze złych, zaś człowiek pojmowany był jako istota ustawicznie się samodoskonaląca. Z tej perspektywy przedmioty, zwierzęta i ludzie bywają tylko jakimiś w danym momencie, nie zaś są nimi w sensie egzystencjalnym, co w poważnym stopniu eliminuje filozoficzną podstawę nietolerancji.

III

Tu dotykamy innego aspektu nietolerancji: niecierpliwości, iż rzeczy są jakimi są, i chęci sztucznego i bezwolnego przyspieszenia zmian. Według Chińczyków każda rzecz ma swój czas, a każda przemiana z jednego stanu w drugi wymaga dojścia do końca cyklu przemian. Prezydent Havel podczas uroczystości przyjęcia go do francuskiej Akademii Nauk Moralnych i Politycznych 27 października 1992 r. wygłosił piękne przemówienie, w którym stwierdził:

„Myślałem, że czas jest mój. Popeliłem więc poważny błąd. Świat, Byt, Historia są zdeterminowane swoim biegiem czasu, w którym możemy wprawdzie interweniować twórczo, ale nad którym nikt nie może zapanować. Tak świat jak Byt nie podporządkowują się ślepo zamiarom jakiegokolwiek technokraty czy polityka”.

To liczenie się z realiami, o czym mówi Havel, wydaje się być niejako głębszą warstwą tolerancji dla różnorodności ludzkich poglądów, wierzeń i kultur, gdyż zakłada ono godzenie się z nią nie tylko w perspektywie naszego „teraz”, ale i historii, godzenie się, że rzeczy są jakimi są i że poddają się one naszej woli tylko częściowo, i tylko o tyle, o ile odpowiada to ich wewnętrznemu rytmowi przemian. Autentyczne zmiany postaw i poglądów wymagają swego czasu, nagromadzenia się doświadczeń i rozczarowań, przekształceń społecznych i politycznych, i dopiero wraz z nimi zaniknąć mogą zjawiska uważane przez nas

za „szkodliwe”. Dotyczy to oczywiście także fanatyzmu, którego przewyżczenie w świecie zachodnim wymagało paru setek lat, a i tak nie jest jeszcze wcale ostateczne, jak pokazują to najnowsze pogromy cudzoziemców w Niemczech czy antysemickie ekscesy w całej niemal Europie Zachodniej. W Europie Wschodniej na utrwalenie tolerancji i przewyżczenie także w tej sferze dziedzictwa epoki komunizmu i fanatyzmu, mającego pradawne źródła kulturowe, czekać niestety będziemy jeszcze długo. Tak więc nawet nietolerancja wymaga tolerancyjnego godzenia się z nią jako z faktem społecznym, i tylko „słabe oddziaływania” edukacyjne, nie zaś zakazy i środki radykalne, mogą z czasem przynieść pewną poprawę.

Neapol, 15 listopada 1992

Krzysztof GAWLIKOWSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNAŁEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

Zeszyt Williama Mouldinga, emeryta

OBJAŚNIENIE NABYWCY ZESZYTU

Wszystko tu było kwestią zwykłego przypadku. W czerwcu zeszłego 1991 roku wybrałem się do Londynu na miesiąc, prosiła mnie o to moja serdeczna, starzejąca się przyjaciółka L. Głębokie do niej przywiązanie nie wystarczyło, bym mógł przelknąć tak dużą (a raczej tak długą w czasie) porcję Londynu. Mój stosunek do tego miasta nacechowany jest, oględnie mówiąc, ostrą alergią. Alergią dosłowną, fizyczną. Po dwóch tygodniach pobytu zacząłem w ciągu dnia cierpieć na dość częste bóle i zawroty głowy, a nocą miewałem tak ciężkie napady duszności, że zwlekałem się z łóżka w moim pokoiku na piętrze i wystawałem obok otwartego okna, niekiedy pół godziny, a niekiedy nawet całą. Patrząc na uspięny Putney (w tej bowiem dzielnicy mieszkałem) w gęstym mroku o fioletowym odcieniu, absolutnie znieruchomiały, jak wymarły, jak obrócony w wielki cementarz, nie, to było ponad moje siły. Do ataków duszności przyłączył się nieokreślony lęk, zdawało mi się, że w łódce-lupince kołyszę się lekko na falach, nietkniętych najmniejszym choćby wietrzykiem, szaro-żółtego oceanu.

Miałem już za sobą dwa tygodnie pobytu, pozostawały jeszcze dwa. Usiłowałem skrócić je wizytami w muzeach i galeriach malarskich, spacerami w parkach londyńskich (wyprawilem się nawet raz do Hampstead Heath w dzielnicy moich kilku lat powojennych), dwukrotnie przesiedziałem popołudnie w pustym kinie *Everyman*, położonym blisko domu L. Gdy brak mi było już konceptów, a starałem się mój stan ukryć przed tak bardzo kochaną L., zatelefonowałem do mnie znajomy z okresu wojennego

i bezpośrednio powojennego. Umówiliśmy się na kawę w „polskim Londynie”. Z powojennego nędzarza stał się człowiekiem względnie zamożnym, zawdzięczał tę zamożność „życiu w światku licytacji”. Tak sam to określił, a chodziło po prostu o to, że znał wszystkie londyńskie lokale licytacyjne, krążył codziennie od jednego do drugiego, zdarzało mu się czasem kupić za niewielkie pieniądze rzecz cenną, przynoszącą dochód ze sprzedaży. „Oko znawcy, oko znawcy”, powtarzał z dumą uśmiechnięty. „Nie — pospieszył wyjaśnić, — nie chodzi o słynne licytacje na Bond Street, gdzie obrazy mistrzów czy drogocenne meble lub klejnoty rodzinne śrubują ceny zawrotne, gdzie tacy jak ja w ogóle nie ośmielają się zaglądać. Chodzi o niewielkie licytacyjne „budy” (użył tego słowa w różnych dzielnicach Londynu (Londyn jest niezgłębiany!, dodał), gdzie wyprzedaje się rzeczy po skromnych zmarłych, którzy — bywało — nawet nie zdawali sobie sprawy z wartości tego, co posiadają. Jedź ze mną jutro na Willesden Green, zawodowy licytator z tamtejszej „budy” zawiadomił mnie, że szykuje się mała sensacja”.

Znałem Willesden Green, tam w okolicach stacji metra mieszkał polski lekarz, do którego byłem „przypisany”. Kiedy przyjeżdżałem do niego wieczorami na badanie albo po receptę, szedłem jak po omacku, tak ciemne były ulice w słabym, żółtawym świetle lamp. W dzień posępność ustępowała zapewne miejsca zwykłej londyńskiej nudzie i monotonii domków ubogich w zieleń, opustoszałych zdawałoby się jak po przejściu zarazy.

„Buda” licytacyjna, *Auction Hall*, była rzeczywiście budą, musiała kiedyś służyć za skład narzędzi budowlanych, magazyn hurtownika lub zapasową siedzibę remizy strażackiej. Zebrani na licytacji ludzie, maksimum dwadzieścia osób, ubrani po staroświecku, o twarzach tak smutnych jak gdyby uczestniczyli w nabożeństwie żałobnym, w dziwny i niepojęty dla mnie sposób tworzyli na tle starych gratów ustawionych pod ścianami atmosfery dickensowską. Dickensowski też, żywcem wyjęty z rycin sławnego ilustratora powieści Dickensa, był licytacyjny mistrz ceremonii — niski, ruchliwy, wciąż podrygujący i podskakujący na podium, postukujący młotkiem w stół bez żadnej chwilowo potrzeby. Niebawem jednak pojawiła się potrzeba. Na stół wniesiono drewniany kuferek. Mój znajomy zamienił się w słuch.

Licytator mówił szybko, opluwając bez przerwy swoją wyświechtaną kamizelkę; mówił z lekkim odcieniem cocknejskim, ale od biedy zrozumiale. Rok temu, w lipcu 1990, umarł w wieku osiemdziesięciu pięciu lat Dick Mulbery, *Mister Chief Hangman of England*, główny kat Anglii, przeniesiony na emeryturę w roku 1956. Jako emeryt wyprowadził się na Putney

pod zmienionym imieniem i nazwiskiem Bill Moulding, do emerytury mieszkał z niezamężną siostrą na Willesden Green. Po jego tragicznej śmierci siostra sprzedała domek na Putney i przewiozła na Willesden Green wszystko co zostawił. W tym kufierku — stuknął młotkiem w drewniane wieko — znajdują się trzy drogocenne rzeczy wystawione dziś na licytację. Zanim zaczął je wymieniać i pokazywać, nakreślił coś w rodzaju wizerunku kata w słowach „mrożących krew w żyłach”. Pierwszą rzeczą był czarny katowski kaptur z otworami na oczy, „używany od pierwszej do ostatniej egzekucji”. Cena wywoławcza 100 funtów, doszło do 250, mój znajomy kupił go za tę sumę. Drugą rzeczą były skórzane, sztywne i jakby zrogowaciałe rękawice, w których kat „otwierał zapadnię i zadawał skazańcowi śmierć”. Cena wywoławcza znowu 100 funtów, tym razem mój znajomy musiał zapłacić, po ostrej licytacji z kobietą w pluszowej mantylce i czarnej woalce, 470 funtów. Nachylił się do mnie i szepnął: „Wycisnę za obie te rzeczy minimum dwa tysiące funtów”. Przed wyciągnięciem z kufierka i pokazaniem drugiej rzeczy, licytator głosem obliczonym na wywołanie dreszczyków grozy przypomniał, że *Mister Chief Hangman of England*, dla obecnych na sali słynny Dick Mulbery powiesił w ciągu swej dziesięcioletniej pracy 433 mężczyzn i 17 kobiet. *Can you imagine that? I to wszystko zapisał w swoim zeszycie, Copy-Book of William Moulding, Pensioner*, jak głosi napis na zielonej okładce”. Po cenie wywoławczej zapanowała cisza, potem trzy osoby wyśrubowały ją do 140 funtów, i znowu zapadła cisza. Pochyliłem się do mojego znajomego: „Chciałbym mieć ten zeszyt”. Krzyknął 150, nikt więcej się nie odezwał, wszystkie trzy rzeczy powędrowały do kufierka. Był tu dostatecznie dobrze znany, by chwileczkę tylko potrwała formalność wypisania czeku. „Przyjmij ten zeszyt jako mój upominek. Ostatecznie byliśmy razem w wojsku. Zrewanżujesz się według własnego uznania”. Z zeszytem Moulding-Mulbery wróciłem do L., ani słowem jej o tym nabytku nie wspominając. Reszta pobytu upłynęła mi na przeglądaniu zeszytu po nocach, a moje pozostałe dni w nielubianym (delikatnie mówiąc) mieście potoczyły się odtąd szybciej na wielogodzinnych rozmowach z L. i bez zwykłego wybrzydzenia się na Londyn.

Przed wyjazdem odszukałem domek, w którym emerytalne lata spędził Moulding-Mulbery (adres widniał na okładce zeszytu), ładny domek ze sporym ogrodem, na słabo zabudowanej ulicy, prowadzącej do Putney Cemetery (mieściła się w nim teraz *Bible Society*). A na cmentarzu, z pomocą przekonanego napiwkami dozorczy, mogłem podumać chwilę przed odnalezionym grobem, na którym stał świeży, duży krzyż z owalną, emaliowaną tabliczką: *William (Bill) Moulding, a Honest Godly*

Man, R.I.P., in Loving Sorrowful Memory of His Sister Mabel Mulbery.

COPY-BOOK OF WILLIAM MOULDING, PENSIONER

1. Było naturalnie reklamarskim, kłamliwym chwytem twierdzenie licytatora, że *Mister Chief Hangman of England* „zapisał to wszystko w swoim zeszycie”, wszystko czyli przeszło czterysta egzekucji męskich i blisko dwadzieścia kobiecych. Jego zeszyt nie był w ogóle dziennikiem czynności, czy katowskim rejestrem, lecz rozpoczętym w roku 1956, po przejściu na emeryturę, luźnym notatnikiem bez ładu i składu (pod tym względem nazwa *Zeszyt Emeryta* odpowiadała ściśle rzeczywistości), niezbyt zresztą jasne dla czego i po co rozpoczętym. W wielu miejscach Mulbery-Moulding wklejał wycinki gazet, nie zanadto — i słusznie — ufając swojej piśmienności. Pisał okropnie. Skończył tylko szkołę podstawową, jako kat brał pióro do ręki w dwóch wyłącznie wypadkach: żeby podpisać certyfikat egzekucji i odbiór zapłaty. Jest prawdopodobne, że jako młody człowiek pisywał po osiedleniu się w Londynie listy do ukochanej w Cardiff, ale nie znaleziono w jego skąpych papierach listów w odpowiedzi, więc należy w to raczej wątpić. Był, w praktyce, ledwie piśmienny.

I była to piśmiennosc niezgrabna, nieruchawa, odzwierciedlająca chyba ociężałość jego mózgu. Miałem wielkie trudności z odcyfrowaniem i ułożeniem w jakimś względny porządku jego zdań, nie wspominając nawet o pełnych notatkach, które były chaotyczną gonitwą myśli, pełną luk, niedopowiedzeń lub po prostu słów połączonych po drodze. Rzadko zatem będę przytaczał dosłowne fragmenty zeszytu; tam jedynie, gdzie udało mu się cudem wykrztusić coś na kształt sensownego zapisu.

Jak doszło do tego, że kupił u Smitha ten dwustronnicowy zeszyt w sztywnej zielonej okładce i pod fabrycznym napisem *Copy-Book* dopisał *of William Moulding, Pensioner*? Dużą zapewne rolę odegrała bezczynność emeryta, który w samotności zwłaszcza nie bardzo wie co robić z długim dniem. Myślę jednak, że prawdziwą sprężyną było co innego. W *London Illustrated News* z października 1956, których był wiernym czytelnikiem aż do zamknięcia pisma, znalazł swoją doskonale na gruby i glansowanym papierze reprodukowaną fotografię, z krótką dydaskalią, że *Chief Hangman of England, Mr. Richard (Dick) Mulbery* przeszedł właśnie na „zasłużoną emeryturę, po dziesięciu latach przykładowej pracy w służbie państwa i społeczeństwa”. Niżej pismo, bardzo konserwatywne, umieściło w ozdobnej ramce redakcyjną pochwałę kata: „Joseph de Maistre pisał, że

kat wiesza i ścina na mocy specjalnego dekretu Niebios, że bez niego zasady ustępują miejsca chaosowi, walą się trony i rozprzega się społeczeństwo”. Mulbery nie wiedział z pewnością kim był Joseph de Maistre, zapragnął jednak (podejrzewam) zachować na pamiątkę szpalte *L.I.N.*, zawierającą jego podobiznę z laurką tygodnika. Nie można wykluczać, że w tym celu zdecydował się na kupno zeszytu u Smitha.

2. Mister Hangman (tak go będę odtąd nazywał, żeby uniknąć wyboru między nazwiskiem prawdziwym i przybranym) nosił się widocznie z zamiarem napisania krótkiej autobiografii, bo pierwszy długi zapis był życiorysem aż do objęcia „odpowiedzialnego stanowiska” (jego własne słowa) w Londynie. Albo też, co wydaje się bardziej prawdopodobne, zdarzyło mu się wielokrotnie, na życzenie przełożonych, pisać służbowe *curriculum* i wbił je sobie mocno w twardą głowę.

Tak czy owak, z życiorysu można się było dowiedzieć, że urodził się 1 maja 1905 roku w Cardiff, jako jedyny syn górnika imieniem Jonathan. O wiele młodsza od niego była siostra Mabel. Jego matka nazywała się Margaret, z domu Peabody. Ojciec pracował ze swoim bratem Johnem (nie żonatym) w kopalni węgla. John mieszkał u nich w pokoju na poddaszu. Codziennie po kolacji ojciec czytywał na głos urywek Biblii, wszyscy musieli być wtedy obecni przy stole, nawet małeńka Mabel. Chłopiec liczył sobie osiemnaście lat, miał wkrótce zjechać po raz pierwszy na dno szybu, gdy jego ojciec i stryj, w odpowiedzi na złożone podanie, zostali przyjęci jako dozorczy w londyńskim więzieniu Wormwood Scrubs. Został w Cardiff z matką i siostrą, pracował w kopalni. W roku śmierci matki na suchoty miał trzydzieści lat. Dziewczyna Rose Willis była jego narzeczoną. Po śmierci matki ojciec sprowadził go wraz z siostrą do Londynu. Wtedy właśnie ojciec i stryj zostali katami, wykonywali swoje obowiązki na przemian. Ojciec był dumny, że wykonuje wyroki boskiej sprawiedliwości. Zaprawiał stopniowo do sukcesji syna, którego tymczasem zatrudniono także w więzieniu. Urwało się narzeczeństwo z Rose, przyszły Mister Hangman przestał myśleć o założeniu własnej rodziny. Ojciec i stryj zginęli w bombardowaniach Londynu, na krótko przed końcem wojny. Ich następcą wykonał pierwszy wyrok w roku 1946. „Pracowałem dziesięć lat, w tym zawodzie to bardzo dużo, ojciec i stryj zginęli po siedmiu latach zaszczytnej (*honorable*) służby”.

Pod życiorysem Mister Hangman wkleił notatkę *Shame*, wyciętą z *Evening Standard*. Autor notatki, miejski reporter wieczorówki londyńskiej, wyprawił się do Willesden Green z zamiarem przeprowadzenia wywiadu ze świeżym emerytem-katem.

Pani Mabel Mulbery, siostra kata, zawiadomiła reportera ze łzami w oczach (*no wonder!*), że jej brat wyprowadził się nie wiadomo dokąd i zmienił nazwisko. Dlaczego? Dopóki był katem, wszyscy w dzielnicy odnosili się do niego z bojaźliwym respektem. Kiedy stał się emerytem, codziennie spotykały go afronty w pubie, odwracano na jego widok głowy na ulicy, przestał chodzić na nabożeństwa w kaplicy metodystów, widząc jak ludzie odsuwają się od niego na ławce. Gdzie teraz mieszka? Wyjechał z Londynu? Pani Mabel patrzyła długo w oczy reporterowi, po czym odparła: „Nie wiem, nawet mnie nie podał adresu i nowego nazwiska. *Oh, what a shame!* Nie przyjeżdża czasem w odwiedziny do siostry? Przyjechał raz późną nocą. Siedziała naprzeciw niego płacząc, głaskał ją po twarzy swoimi wielkimi rękami. Pod wycinkiem wklejonym do zeszytu dopisał: *I am dead for my sister, I am dead for everybody on earth, but not for the Heaven's Ruler.* Użył tego zwrotu, zamiast słowa *God*, nauczywszy się przypuszczalnie na pamięć sentencji De Maistre'a o „specjalnym dekrete Niebios”. (De Maistre'a nazywał w dalszych partiach zeszytu *This very wise French gentleman*).

3. Długo wpatrywałem się w fotografię wyciętą z *Illustrated London News*. W pięćdziesiątym roku życia, jak świadczyła data w rogu, nie wyglądał zaiste na człowieka u progu emerytury. Ale lata jego „szczególnej” pracy liczyły się podwójnie, a może i potrójnie. „Szczególnej” ze względu na napięcie nerwowe i emocjonalne. Jego stryj John po pięciu latach pracy spędził trzy miesiące w zakładzie dla nerwowo chorych. Znany był, na początku lat dwudziestych, wypadek kata, który targnął się na własne życie.

Jego twarz z portretu fotograficznego zdawała się zaprzeczać owej „szczególności”. Kamienna, z gruba ciosana, o niskim czole i twardym spojrzeniu spod gęstych brwi, z dolną szczęką wysuniętą do przodu (oznaka stanowczości czy cień okrucieństwa?), kazała myśleć o twarzy podróżnika lub eksploratora, o skrzyżowaniu siły z odwagą. Kobieta wykrzyknęłaby: Boże, jaki przystojny! Zeszyt milczał na temat jego życia sentymentalnego, choć jedno pokraczne zdanie sugerowało jakby, że Rose Willis ze strachu zerwała narzeczeństwo, niewykluczone że uprzytomniwszy sobie, w jakim kierunku zmierza jego życiowa droga. Wyłączone z tekstu, izolowane na pustej stronicy, urwane w pół słowa, inne jeszcze zdanie mogło coś mówić o jego upodobaniach erotycznych, dojrzewających na emeryturze. „Lubiłem chłopców z chóru (pewnie kościelnego) i z boisk sportowych, *but they were panicky (!), when I was trying to approach them*”. I zaraz potem: „*They misunderstood my intentions*”. Całkiem

możliwe, że były to intencje najzupełniej niewinne, owoc niejasnych pragnień starego kawalera, przyciąganego przez młodość.

Jego niezmiennym, często powtarzanym tytułem do chwały była adnotacja urzędowa na wszystkich czterystu pięćdziesięciu protokołach wykonanego wyroku, że egzekucja odbyła się *without a hitch*, co na kolokwialny polski można by przełożyć „bez pudła”. Wiele składało się na tę ocenę przełożonych. Mister Hangman nie mógł sobie odmówić satysfakcji dokładnego wyjaśnienia, co mianowicie się składało, w jednym z najdłuższych i najpoprawniej stosunkowo sformułowanych zapisów zeszytu. Nadał nawet temu zapisowi tytuł *High Efficiency*, „Wysoka sprawność”.

Drobiazgowo przygotowania, pisał, *Meticulous Preparations*, które mają dać gwarancję operacji *without a hitch*, należy wszcząć w dniu poprzedzającym egzekucję. Mister Hangman i jego pomocnik przeprowadzają wczesnym ranem dyskretnie pomiary wzrostu i wagi skazańca, dla ustalenia wysokości spadku (pierwotne dane w aktach skazańca bywają najczęściej nieaktualne po długim pobycie w więzieniu). „Dyskretnie” znaczy tak, by nie zauważył tego skazaniec, przeważnie więc odchylając niepostrzeżenie zastawkę okienka w drzwiach celi. Tegoż dnia późnym wieczorem odbywa się próba generalna z wypchanym workiem tej samej wagi co skazaniec, w celu upewnienia się że strzyczek preliminowanej długości ani nie udusi za wolno skazańca, ani nie urwie mu głowy. Nazajutrz, dwie trzy godziny przed egzekucją, Mister Hangman wchodzi do celi. Musi być bardzo grzeczny, lecz bez udawania wylewnej serdeczności. Jest to psychologiczny *turning point*, trudny i niestety nie zawsze *successful*. Jeżeli skazaniec ścisną podaną mu rękę, wolno uznać w pięćdziesięciu procentach, że wszystko pójdzie gładko, *according to the plans*. Jeżeli odmawia, trzeba się liczyć z przykrymi niespodziankami. Na ogół jednak ścisną i to z przesadnym zapamię, jak gdyby podświadomie oczekiwał ulgi czy pomocy ze strony życzliwego mu oprawcy. *What a strange animal (sic) a man is!* „Jakim dziwnym zwierzęciem jest człowiek!” — jedyny to filozoficzny wykrzyknik w *Zeszytach Emeryta*. W wypadku uściśnięcia podanej mu ręki skazaniec może być skłonny do rozebrania partii domina i wypalenia papierosa — rzecz nader wskazana. Ważne jest, aby na krótko przed wyznaczoną godziną skazaniec siedział plecami do drzwi, przez które wejdzie kat w asyście urzędników i duchownego, zdarzają się bowiem (jakkolwiek rzadko) wypadki oporu i wtedy zamiast spokojnego wyjścia z celi następuje wywlekanie i wleczenie szamocącego się, związanego skazańca aż do miejsca, gdzie odbywa się egzekucja. Wśród opornych skazańców trafiają się furiaści, którzy znaczą swoją ostatnią drogę bluźnierstwami, przekleństwami, pluciem. Gdy skazaniec siedzi tyłem do drzwi celi, procedura staje się

błyskawiczna i działa jak naoliwiona: energiczne otwarcie drzwi, związanie skazańcowi rąk na plecach, prawie uroczysta (*almost solemn*) procesja na szafot. Na zapadni odpowiednie miejsce zakreślone jest zawczasu kredą. Skazańcowi wiąże się nogi i nakłada mu się biały kaptur oraz pętlę z ruchomym miedzianym pierścieniem. Mister Hangman wkłada swój czarny kaptur i naciąga rękawice. *Everything is fit and ready*, kończy się ten opis, nie bez nuty przechwałki w głosie.

4. Kolejny wycinek wlepiony był bez podania źródła, nazwy gazety, tylko z datą 1963: obszerny, niepodpisany artykuł *The Hanging of Edith Thompson, Forty Years Ago*. Kompilator *Zeszytu Emeryta* znał najwidoczniej ten głośny w jego fachu (jeśli wolno się tak wyrazić) wypadek, ale tylko ze słyszenia, prawdopodobnie z opowiadań ojca i stryja, którzy zresztą nie mogli w nim uczestniczyć bezpośrednio, skoro odcisnął się w kronikach sądowych w roku 1923.

Edith Thompson była chorowitą, brzydką kobietą w wieku pod trzydziestkę. Miała męża, pokornego i posłusznego, robotnika na nocną zmianę, który marzył jedynie o dziecku, a do żony odnosił się z należyтым respektem. Nie, nie mogli mieć dziecka, powiedział im o tym lekarz. Mąż, dotychczas abstynent, rozpił się, stał gwałtowny i agresywny, chociaż żonę traktował dalej dobrze. W sąsiednim domku mieszkał samotny policjant, który zaczął od zalotów przez płot w ogródku, wkrótce zaś stał się kochankiem Edith. (Na procesie przysięgała, że chodziło jej o cudze choćby dziecko dla męża, którego lekarz uważał za bezpłodnego). Którejś nocy mąż wrócił do domu w dwie godziny po wyjeździe, poczuł się źle, zemdlął w fabryce i miał krwotok. Zastał kochanków w małżeńskim łóżku. Mimo że osłabiony, rzucił się na policjanta z żelaznym łomem. Został przez rywala zasztyletowany trzynastoma ciosami kuchennego noża. Na procesie policjant zeznał, że Edith zamęczała go wezwaniami do zamordowania męża (słuchała tych zeznań, cicho popłakując) i że działał w obronie własnej. Skazano go na sześć lat więzienia, natomiast Edith na karę śmierci „za podburzanie kochanka do zabójstwa męża” (według sentencji wyroku).

Podczas egzekucji wypadły ze skazanej dosłownie wnętrzności, zanim zniknęła w zapadni (*her insides* — pisał autor artykułu — *fell out, before she vanishes through the trap*). Wszyscy, którzy brali udział w tej scenie, przyplacili ją zaburzeniami systemu nerwowego. Kat Ellis usiłował w kilka tygodni potem popełnić samobójstwo. Naczelnik więzienia Morton został po jakimś czasie tak opisany przez inspekcjonującego urzędnika: „Nie widziałem nigdy w życiu osoby o wyglądzie zewnętrznym tak zmienionym przez cierpienia psychiczne”. Kapelan więzienny

Murray opowiedział scenę egzekucji w tych słowach: „Gdyśmy się zebrali, wydawało się absolutnie nie do uwierzenia, że znaleźliśmy się tam żeby... Mój Boże, odruch rzucenia się i uratowania jej siłą był dla mnie prawie nie do powstrzymania”. Zastępczyni naczelnika więzienia, Miss Cronin, osoba z natury twarda i niełatwo ulegająca wzruszeniom, wyraziła się w ten sposób o powieszanej: „Myślę że gdyby ją oszczędzono, mogłaby się stać bardzo dobrą kobietą”.

Konkluzja autora artykułu była krótka. Na przykładzie Edith Thompson, w czterdzieści lat po jej powieszeniu, widać jak rozsądne, konieczne i ludzkie (jego podkreślenie) było zniesienie kary śmierci.

Nie zgadzał się z tym emerytowany Mister Hangman. W słowach dość pokretnych i bełkotliwych, pisanych wyraźnie w stanie rozdrażnienia, położył nacisk (*I would like to stress*) na dwa punkty. Po pierwsze, artykuł sugeruje, nie mówiąc tego wprost, że Edith Thompson była może niewinna. „Otóż chcę powiedzieć raz na zawsze, że nie ma takich wypadków, by skazany na powieszenie z dekretu Niebios (*as this very wise French gentleman says*) dostawał się w ręce kata niewinny; skoro go skazano, jest winny, *absolutely guilty*. Po drugie, stary przepis służby egzekucyjnej żąda kategorycznie, aby kobietom przed egzekucją wkładać obcisłe i nieprzemakalne majtki, dla uniknięcia wyżej opisywanych niedogodności”. Albo (czemu należy się dziwić) kat Ellis zapomniał o tym, zachował się więc w sposób wysoce *non-professional*, co być może popchnęło go później do próby targnięcia się na własne życie. Albo też w roku 1923 „nieprzemakalność materii, z której szyto specjalne majtki dla wieszanych kobiet, nie osiągnęła jeszcze perfekcji, jaką posiadała w okresie mojej służby”.

5. W latach powojennych odwiedzałem często moich przyjaciół na Putney. Ilekroć przyjeżdżałem z Hampstead metrem, musiałem na przystanku obok stacji czekać na autobus. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się *Bible Society*, w małym, zniszczonym mocno domku, przeznaczonym zapewne w dalszej przyszłości do wykupu i wyburzenia przez przedsiębiorców budowlanych lub dzielnicowy wydział mieszkaniowy. W godzinach popołudniowych i przedwieczornych obserwowałem wchodzących. Przeważnie samotni, dobijali do swojej duchowej przystani z wysiłkiem, powolnymi krokami zmęczenia, i drzwi wejściowe otwierali jakby z ulgą. Raz, stercząc na moim przystanku w przejmującym chłodziu i we mgle, postanowiłem ogrzać się chwilę w *Bible Society*. Tak, jego bywalcy byli w większości starzy, siedzieli w milczeniu na ławkach dokoła stołów, niekiedy z głowami opuszczonymi w drzemce na piersi. Do

młodych należało czytanie na głos Biblii, komentowanie jej, odpowiadanie na rzadkie pytania. Pod ścianami stały oszklone szafy z otwartymi na pokaz egzemplarzami Biblii w różnych językach. Panowała atmosfera surowości, izolacji, schroniska w czas burzy. Biblia była światłem w ciemnościach, opoką, poręką Jedynej Drogi — w stopniu znacznie większym, niż liturgia kościelna.

Przyglądając się starym, myślałem o wierszu czytanego podówczas nałogowo Kawafisa (po angielsku), o wierszu *Starzy ludzie*. „W zniszczonych ciałach tkwią dusze starych ludzi... Jak ich wymęczyło życie, które pędzą. I jak boją się, by go nie stracić, jak je kochają”. Inny jeszcze wiersz Kawafisa *Mury* przyszedł mi na myśl, kiedy (przez nikogo nie nagabywany w progę) ogarniałem wzrokiem całość biblijnego przybytku, czy raczej przytułku. „Zbudowali dokoła mnie mury wysokie... Nie spostrzegłem jak odcięli mnie od świata”. Sami odcięli się od świata w nędznym domku na Putney, obłożeni ze wszystkich stron Biblią, wsluchani w jej wersety, wierząc że można od świata uciec pod opiekuńcze skrzydła Najwyższego (i Sprawiedliwego) Prawodawcy i Sędziego.

Tu właśnie przychodził niemal codziennie Mister Hangman na emeryturze. Miał blisko. Mógł oddychać kilka godzin wspomnieniami dzieciństwa i wieku chłopięcego, biblijnymi wieczorami przy rodzinnym stole w Cardiff; mógł, co ważniejsze, utwierdzać się w przekonaniu, że niegdyś wykonywał swe obowiązki w zgodzie z duchem Starego Testamentu. Nowy Testament uważał, nauczony przez ojca, za „religię słabych”, a *religion of weaklings*.

Co pewien czas rejestrował w zeszycie wizyty w *Bible Society*. Zawsze w słowach świadczących, niezgrabnie co prawda lecz wyraźnie, że były dla niego źródłem wytchnienia i siły.

Aż do roku 1970. Zanim jednak spróbuję odtworzyć z *Zeszytu Emeryta*, co mianowicie zaszło w roku 1970, poruszę omijany dotąd temat *odcieni* w pracy wykonywanej przez Mister Hangmana. Chociaż starał się je zacierać, nie ulega dla mnie wątpliwości, że takie odcienie istniały. Zainaugurował swoją dziesięcioletnią służbę powieszeniem Baroneta Hawkingsa, arystokraty angielskiego, który podczas wojny „szczekał” w berlińskim radio hitlerowców. Żniwo nazajutrz po wojnie było obfite. Zdarzyło się, że w ciągu mniej niż doby powiesił dwudziestu siedmiu zbrodniarzy wojennych. I jedno i drugie wspominał z euforią, jak gdyby *without a hitch* miało tu wydzwięk wyjątkowy. Dlatego, jak sądzę, że boleśnie przeżył śmierć ojca i stryja pod bombami niemieckimi. Nie mógł nie odczuwać smaku odwetu.

Natomiast, mimo obojętnie „profesjonalnych” i wypranych z jakiegokolwiek litości uwag o powieszeniu Edith Thompson, znosił nie najlepiej (wykonując je bez zarzutu) egzekucje kobiet.

Co było tego przyczyną, nie umiał lub nie chciał ujawnić w swoim zeszycie. A przecież odruch niechęci, grymas zmnicierpliwienia na twarzy, nie dawał się ukryć w nielicznych wzmiankach o egzekucjach kobiet. Jak nie dało się ukryć westchnienie ulgi, gdy rok przed emeryturą powiesił Dorris Norton, o której wśród prawników przebąkiwano, że jest ostatnią kobietą skazaną w Anglii na śmierć. Otruła żonę kochanka. Dowody były słabe, niejednoznaczne, lecz przyznała się do winy sama, z jakąś niepojętą i gorliwą pasją, zaraz na wstępie procesu. To wystarczyło przysięgłym i sędziemu. W prasie wzmagała się z każdym dniem kampania przeciw karze śmierci, wyrok ogłoszono i wykonano jakby w pośpiechu. Przeczując, że odtąd już żadna kobieta nie wejdzie na szafot.

W roku 1970 zatem, zimą, a zimę nazywano wtedy najsurowszą w Londynie w ostatnim półwieczu, w *Bible Society* pojawiła się nowa osoba. Należała do grona prelegentów, lektorów i interpretatorów, jej wiek był trudny do określenia, od czterdziestu do pięćdziesięciu lat. Zauważył natychmiast jej podobieństwo, zauważył też że podczas lekcji nie spuszcza z niego oczu. Dorris Norton była jedyną osobą z czterystu pięćdziesięciu powieszonych, której twarz dobrze zapamiętał, może dlatego, że według pogłosek miała być ostatnia na szubienicy. A nowoprzybyła robiła wrażenie jej postarzałej kopii. Wychodząc wieczorem i wpisując się jak zwykle do księgi obecności, rzucił okiem na słupek nazwisk. Ruth Norton. Mogła być tylko siostrą Dorris, i to siostrą, która kazała myśleć o bliźniaczkach. Wrócił tego dnia do domu niespokojny, podniecony, *I was terribly agitated*. Dlaczego przyglądała mu się tak natarczywie? Wiedziała o jego tożsamości? W *Bible Society* występował jako William Moulding, ale liczył się z tym, że ktoś kiedyś go rozpozna. Co było rzeczywiście dziwne, *what was really strange*, od pierwszego wejrzenia nabrał do niej ogromnej sympatii, zapragnął mieć nareszcie przyjaciółkę. Nie przyjaciółkę w tym sensie, skończył niedawno sześćdziesiąt pięć lat, *te* sprawy załatwiał bardzo rzadko w lupanarze na Fulham, ale po prostu bliską osobę, z którą mógłby chodzić do kina i na spacer, którą mógłby zapraszać na *afternoon tea* i na długie rozmowy. Uprzytomnił sobie naraz dwie rzeczy. Pierwszą była okoliczność, że prawie nigdy nie rozmawiał z nikim dłużej niż kwadrans. Jego rozmowność skończyła się w Cardiff.

Miesiąc zaledwie trwał pobyt Ruth Norton w *Bible Society*. Ogłosiła to przed odejściem, pod koniec lekcji, dodając że skierowano ją do Birmingham. Pożegnała się ze wszystkimi. Jego popchnęła do kąta i na osobności powiedziała krótko: „Nie nazywa się pan William Moulding. Jest pan byłym katem Mulbery. Powiesił pan moją siostrę Dorris. Chcę żeby pan wiedział,

że ja wiem. Reszta należy do pana sumienia. Kochałam Dorris". Następnego dnia nie przyszedł do *Bible Society*. Ani nigdy więcej. Wspomnienie Ruth na nauczycielskim podium było dla niego *unbearable*, nie do zniesienia.

6. Druga rzecz, jaką sobie nagle uprzytomnił, była jeszcze cięższa, przyprawiła go o długi okres „rozpaczliwej konfuzji” (taki stan był dla niego czymś zupełnie nowym, wywoływał w nim uczucie popłochu i czasem bicie serca tak gwałtowne, że usiłował je opanować leżąc bez ruchu na łóżku i patrząc w sufit). Dla mnie zupełnie nowym i zaskakującym był zwrot *a desperate confusion* pod jego piórem.

Uprzytomnił sobie mianowicie, że z wyjątkiem twarzy Doris Norton nie pamiętał ani jednej twarzy czterystu pięćdziesięciu osób, które wyprawił na tamten świat. Wszystkie zbiły się w czarną masę, w jakiś wielki czarny (koniecznie czarny) gład, przygniatający go do ziemi, mimo że rękami starał się go odepchnąć lub przynajmniej powstrzymać. Ten wysiłek wydał mu się, może i słusznie, przyczyną jego sercowych sensacji.

Pół biedy w dzień, kiedy mógł walczyć z tym uczuciem. Ale nocą! Jego sen był nocną zmorą, *a nightmare*, to zdawał się dostrzegać jakieś ludzkie rysy odcisnięte w czarnym gładzie, rysy które nie poruszały żadnej struny w jego pamięci, były nieme, to znowu nic tylko czysta czern, płynna lecz leniwa jak strumień mazi, podpływająca do ust, nosa, do oczu. Budził się wtedy z krzykiem, Bogu dziękując że zamieszkał sam, że nikt jego krzyku nie słyszał.

Zapisał w zeszycie drukowanymi literami: „Nie wytrzymam dłużej tego piekła”. *In extremis* wpadł na pomysł, pozornie rozsądny. Wystosował do znajomego urzędnika *Home Office* list, w którym prosił o udostępnienie mu aktów (wraz z fotografiami) osób powieszonych przez niego w dziesięcioleciu 1946-1956, motywując swoją prośbę zamiarem napisania pamiętników dla zaokrąglenia skromnej emerytury; podsunął mu jakoby ten pomysł zawodowy *ghost-writer*. Otrzymał oschłą, dwuzdaniową odpowiedź: w stosunku do pracowników z jego rejestrem służby (podkreślone) obowiązuje zakaz ogłaszania pamiętników (*Special Activities Act 1903*). Ten zakaz nie obowiązywał naturalnie dziennikarzy, toteż niebawem (jak na czarodziejskie zamówienie) zobaczył na Fulham całą wystawę księgarni wyłożoną egzemplarzami *The People Dick Mulbery Hanged* Johnsona i Muira. W środku wystawy umieszczono egzemplarz otwarty na ilustracji, która przedstawiała sześć więziennych fotografii osób, wymienionych z nazwiska i określonych w podpisie u dołu jako *a probable judiciary error*. Jego fotografia z *London Illustrated News* towarzyszyła stronie tytułowej. Błogosławił wówczas swoją decy-

zję wyniesienia się z Willesden Green i jeszcze raz zabronił siostrze podawania komukolwiek jego adresu na Putney. Jego domek na Putney, blisko cmentarza, był na szczęście odosobniony i jakby nie dostrzegany.

Przeczytał książkę Johnsona i Muira dwukrotnie, z niemałym trudem, potykając się po drodze o nieznane sobie wyrazy i terminy prawnicze. Z początku odrzucał gniewnie pojęcie *judiciary error*, pomyłka sądowa, nawet z dodatkiem *probable*. Potem zwątpił w swoją pewność siebie, zwłaszcza wpatrując się godzinami w fotografie powieszonych. Autorzy książki zdobili zdobyć (jak, to ich zawodowa tajemnica) czterdzieści osiem fotografii, osiem ilustrowanych stronice po sześć zdjęć więziennych każda. W naszych czasach zdumiewał (i budził pewien szacunek) fakt, że zrezygnowali z wyłudzenia czy zakupienia fotografii rodzinnych skazańców od ich żyjących krewnych.

Te fotografie przykuwały jego uwagę z rosnącą siłą. Tekst — relacje o zbrodniach ludzi przez niego powieszonych i o ich procesach — budził w nim rosnącą obojętność. Wciąż wracał do ośmiu stronice wszytych do książki. Z czterdziestu ośmiu twarzy — pięciu kobiecych — nie pamiętał ani jednej. Działo się w nim coś zagadkowego, czego nie umiał pojąć i tym mniej wysłowić. *What happened to me, what is happening to me?* Wielokrotnie pytanie wynurzało się z zawilego bełkotu tej partii zeszytu, z jakimś dramatycznym i bezradnym naciskiem. Dla odzyskania równowagi psychicznej instynktownie cofnął się do zasady „byli wszyscy winni”, *they were all guilty, all of them*. Nie pomagało. Nawet ich bezsporna znowu (dla niego) wina pchała go do nich i równocześnie wypychała ze świata. Kiedyś wymazywał ich z oblicza ziemi tym prostym *without a hitch*, teraz szedł za nimi krok po kroku, nie czując w sobie żadnej winy, mając czyste sumienie, cokolwiek to słowo znaczyło w ustach takich jak usta Ruth. Miłosierdzie? Uczestnik zebrań i lekcji w *Bible Society* nie rozumiał tego pojęcia. Przez jego skołowaną głowę przepływały ciemne chmury.

Ale pod jednym względem ocalone od zapomnienia twarze przyniosły mu niejaką ulgę. Śnił inaczej. Znikł czarny, ciężki kamień, ustał potok czarnej mazi, ich miejsce zajęły twarze z fotografii. Budził się teraz nie z krzykiem, lecz z kaszlem, który jemu — nienawykemu do urojenia jednej bodaj łyzy — zastępował suchy szloch. Miejsce „rozpaczliwej konfuzji” zajęła „wspólnota ludzkiego nieszczęścia”, *a community of human disgrace*. Dawała mu poczucie przelotnego spokoju. Niekiedy myślał krótko o odebraniu sobie życie, bardzo krótko, tyle co mgnienie oka — wychowano go w pogardzie dla samobójców. Śmierć mógł zadać tylko Najwyższy Sędzia, albo sam, albo karzącą ręką innych. Stworzył sobie za to namiastkę odejścia: na Putney Ce-

metry kupił działkę na grób, ogroził ją niskim płotem, przychodził tam ilekroć pogoda pozwalała, „stojąc jakby nad własnymi zakopanymi zwłokami”, przeżywał chwile osobliwego zadowolenia, jeśli nie szczęścia. Ostatnio, w połowie lipca 1990, gdy wracał z cmentarza do domu pustą zazwyczaj ulicą, towarzyszyła mu po przeciwnej stronie na dystans grupka śpiewających i grających na gitarach chłopców, roślących, roześmianych, pstrokato ubranych, z wygolonymi głowami... *I was almost happy*, byłem prawie szczęśliwy, brzmiały ostatnie słowa zeszytu.

7. Resztę trzeba zrekonstruować. Z grubsza wiedziałem, co zaszło nocą 18 lipca 1990, ale bardzo z grubsza, w dekoracjach nader nieostrych, przesłanianych kłębami mgły. Mój londyński znajomy, który kupił dla mnie *Zeszyt Williama Mouldinga* i któremu po powrocie do Włoch zrewanżowałem się ładną akwarelą dość znanego malarza neapolitańskiego, mój znajomy więc wyraził gotowość przygotowania i przysłania mi „wyczerpującej dokumentacji prasowej”. Była ona istotnie wyczerpująca, składała się z blisko stu wycinków prasowych od 10 do 25 lipca, pokrywających cały okres zainteresowania publiczności tzw. „afery kata Mulbery”.

Było niezmiernie trudno ustalić dokładnie przebieg wypadków, toteż dziennikarze nie odmawiali sobie łatania, materią domysłów i wyobraźni, zbyt dużych luk, które zdawały się nie do odtworzenia.

Zaskoczeniem była prawdziwa tożsamość zamordowanego. Jego siostra, dowiedziawszy się w jakim stanie znaleziono zwłoki, nie chciała dać się zawieźć z Willesden Green na Putney w celach formalnej identyfikacji, tłumacząc się poświadczoną przez lekarza chorobą serca; potwierdziła jednak podpisem na urzędowym blankiecie, że od roku 1960 jej brat, *Chief Hangman* Mulbery, zamieszkał na Putney pod przybranym nazwiskiem William Moulding; i że znała co prawda jego adres, lecz nie ujawniła go nikomu na „kategoryczne i surowe życzenie zainteresowanego”. Policja, acz niechętnie, zadowolili się identyfikacją na odległość.

We wszystkich artykułach przyjmowano za pewnik, że od kilku dni (prawdopodobnie od 15 lipca) „grupa młodych drapieźników” z Roehampton albo z Wimbledon śledziła samotnego starca (85 lat!) na Putney, odprowadzając go od bramy cmentarza do furtki jego domu. Wszystko wskazywało na to, że wykorzystując jego pogodny w tych dniach (świadectwo dozorczy cmentarnego) usposobienie i zapewne brak jakichkolwiek podejrzeń, wprosilili się do niego na drinka około szóstej wieczorem 18 lipca. Lekarze przypuszczali, po sekcji zwłok, że tortury zaczęły się około ósmej i trwały do północy, do jego śmierci. Ja-

kie to były tortury (zakneblowano mu natychmiast usta) można tylko wnosić z policyjnego zakazu ich opisywania w gazetach. Jeden z policjantów wykrztusił, patrząc z uporem w ziemię: *absolutely indescribable*. Na konferencji prasowej oficer śledczy powiedział: „Jest nie do uwierzenia, że coś podobnego może być przez ludzi wymyślone”. Napastnicy (których aresztowano w końcu 4 grudnia 1990; gdyby nie zniesienie kary śmierci, cała piątka skończyłaby na szubienicy) nie tknęli domu na Putney, nie ukradli ani pieniędzy (w szufladzie stołu leżało trzysta funtów) ani cenniejszych przedmiotów, obsmarowali tylko białe ściany napisami, posługując się krwią torturowanego. Także te napisy, z woli policji, nie przeniknęły do gazet. Ich obsceniczność, połączona z bezinteresowną, spazmatyczną nienawiścią, była podobno czymś monstrualnym, w każdym razie nie nadającym się do przytoczenia w prasie. Co najistotniejsze, ani jeden z napisów nie zawierał aluzji do zawodu uprawianego dziesięć lat przez zabitego, przed jego przejściem na emeryturę. Oprawcy i mordercy w ogóle nie wiedzieli, że cztery godziny znęcali się nad byłym katem. Ich wybór był przypadkowy, równie dobrze mogli kogoś innego zamęczyć na śmierć dla zabawy, *for fun*, na sąsiedniej ulicy, albo w innej, odległej dzielnicy Londynu.

Wymagało sporego wysiłku i nerwowej wytrzymałości zebranie do trumny resztek Dicka Mulbery — Williama Mouldinga. Na pogrzeb przyjechała jednak, za zgodą lekarza, jego siostra. Strzępy (bo takiego, niestety, należy użyć określenia) zmarłego spalono w cmentarnym krematorium. Prócz siostry, urnę z popiołami pożegnali kaznodzieja metodystów, urzędnik *Home Office* i oficer policji. W schowku Dicka Mulbery znaleziono testament: zapisał wszystko siostrze, pod warunkiem że dom sprzeda po niskiej cenie oddziałowi *Bible Society* naprzeciwko stacji metra East Putney.

POŻEGNANIE LONDYNU

Mimo przywiązania do L., dojrzewało we mnie ślubowanie, że nigdy więcej nie pojedę do Londynu. Uboczną, choć ważną w tym ślubowaniu rolę odegrał mój kardiolog, który odradzał mi wszelkie dłuższe podróże. W tym wypadku „dłuższe” znaczyło zagraniczne, poza obręb jego nadzoru.

Ale zdarzyło mi się — zwłaszcza po ukończeniu lektury *Zeszytu Emeryta* — w imaginacji łązić godzinami po Londynie, między innymi z nadzieją zrozumienia, skąd się wzięła moja „londyńska alergia”. Z całą pewnością lwia jej część stanowiły moje osobiste doświadczenia w ciągu pięciu powojennych lat nad Tamizą. Truizmem jest twierdzenie, że kocha się lub co najmniej

lubi miejsca przeżyć pogodnych, a antypatią odpłaca się miejscom przeżyć bolesnych. Lecz w moim przypadku i ta reguła działa tylko do pewnego stopnia, skoro pamiętam że Londyn odepchnął mnie natychmiast po osiedleniu się w nim, gdy byłem wolny od jakichkolwiek w nim doświadczeń, gdy moje londyńskie życie było jeszcze białą, nie zapisaną kartą. A zatem? Gdybym zrozumiał, dlaczego zeszyt Williama Mouldinga tak bardzo moją niechęć do Londynu pogłębił, dotarłbym może do „jądra ciemności”. Ale nie rozumiałem, ulegając jedynie od czasu do czasu potrzebie włóczenia się w myślach po londyńskich ulicach. „To miasto pójdzie za mną”, mówił Kawafis o Aleksandrii. Coś podobnego mogłem powiedzieć o kilku w moim życiu miastach, dużych i małych. Nie o Londynie. To miasto, ociężałe i chorobliwie rozrośnięte, nigdy nie pójdzie za mną. I może w tym tkwiło „jądro ciemności”, o którym wiedziałem tyle tylko, że nie potrafię do niego w żaden sposób dotrzeć.

Moje imaginacyjne włóczęgi, co ciekawe, omijały miejsca znane mi dobrze z pięcioletniego pobytu po wojnie. Chciałem uniknąć spojrzenia podyktowanego urazem. Moja trasa była „trasą Mouldinga”: więzienie Holloway, w którym wieszali kobiety, dom na Willesden Green, w którym do czasu mieszkał z siostrą, dom w pobliżu cmentarza na Putney, w którym go torturowano i zamordowano. Doszło do tego, że w wyobraźni zajrzałem do mieszczącego się w nim teraz Towarzystwa Biblijnego. Jakaś starsza kobieta (kto wie, czy nie Ruth Norton, znowu przysłana do Londynu) czytała i komentowała *Księgę Eklezjasty*. Z lubością, dramatycznym głosem, podkreślała ciągły motyw Koheleta „marność i pogoń za wiatrem”. Dwukrotnie, ze łzami w oczach, przeczytała fragment:

*Za szczęśliwszych uznałem umarłych,
którzy dawno już zeszl,
od żyjących, których życie jeszcze trwa;
za szczęśliwszego zaś od jednych i drugich
uznałem tego,
co jeszcze wcale nie istnieje,
ani nie widział spraw niegodziwych,
jakię dzieją się pod słońcem.*

Wychodząc i kierując się w stronę cmentarza, nie wiadomo dlaczego powtórzyłem na głos, w zmienionej postaci, okrzyk Melville'a

OH MULBERRY
OH HUMANITY

Lipiec-sierpień 1992

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Powroty

Zjazd

Dziwne miasto. Opisane już tyle razy, wymarzone „niegdys nasze, znowu będzie nasze” — wreszcie nasze.

Dla nas było nim zawsze. Wyrośliśmy w nim, chodziliśmy do szkoły, spędziliśmy w nim nasze lata chłopięce. I każdy kolejny zjazd przyciąga nas do niego, do naszej szkoły, do naszych kolegów, do dni naszej młodości.

Nie była bardzo spokojna. W niemieckojęzycznym Gdańsku Polacy byli nikłą mniejszością. A antagonizm, typowy dla obszarów pogranicznych, dawał się nam nieraz we znaki.

Nasze niepozdrawianie hitlerowskich sztandarów sprawiło, że niejeden z nas oberwał po głowie, a chodzenie w mundurkach harcerskich skończyło się pewnego dnia kilkugodzinnym pobylem na komisariacie policyjnym.

Ale to dziwne miasto, pomimo swego faryzejskiego wołania o przyłączenie się „na powrót” do Rzeszy — *zurück zum Reich* — miało swój wyłączny, autonomiczny, charakter, który sprawiło, że jego mieszkańcy, trudniący się od wieków przede wszystkim kupiectwem, woleli nieraz szukać opieki u odległych władców polskich, aniżeli u siedzących za miedzą współbratymców. Język, jakiego w nim używano, budził dużo ciekawości uczonych i lingwistów. Przekupki na targu rybnym obrzucały urwisów kradnących im ryby epitetem *Du Leidack*, co brzmiało nam bardzo znajomo, zaś ich zarzekania, że nie dadzą się wstrychnąć na dudka, czyli oglupić — brzmiało w ich ustach jako „kujonieren” co Włochowi przywodzi na myśl niespecjalnie salonowe wyrażenie *coglionare* o identycznym znaczeniu. Wiadomo, miasto portowe gościło marynarzy wielu nacji. Jedno nadbrzeże nazywało się *An der Waterkante*, a nie *Wasserkante*, a najciekawsze ze wszystkiego, niewielka wieżyczka w porcie nosiła nazwę *Kick an de Köck* (*Guck in die Höhe* — patrz się do góry).

Było to miasto bogatych mieszczan, nosiło ślady zamożności. Wspaniałe ozdobne kamienice w stylu holenderskiego baroku czy rokoko, spalone podczas ostatniej wojny, zostały obecnie pieczołowicie odbudowane. Liczba samochodów jakie przed wojną parkowały niedaleko toru wyścigów konnych pod Sopotem zadziwiała polskich dziennikarzy. Ilość kin, wśród których królował nowoczesny „Ufa-Palast”, była na to niewielkie miasteczko wcale okazała. A cóż dopiero mówić o potężnych, trzy- i czteropiętrowych domach handlowych, które zgrupowane jeden obok drugiego koło Złotej Bramy dostarczały wszystkich możliwych towarów.

Prawie że na przedmieściu, w dawnych koszarach wojskowych, mieściło się nasze gimnazjum.

To była dziwna szkoła. Trwała dziewięć lat. Do jej dziwólągów należał przebieg roku szkolnego, który rozpoczynał się po Wielkanocy, a kończył przed nią. W związku z tym maturę zdawało się w lutym i ja przez wiele lat oczekiwałem tych bardzo długich, nareszcie — wakacji — jakie będę miał po maturze — od lutego do początku uniwersyteckiego roku szkolnego w październiku. Nic z tego nie wyszło. Dziwnym spłotem okoliczności zdałem maturę w czerwcu 1939...

Wstępowało się do tego gimnazjum po czterech, a zdając egzamin po trzech latach szkoły powszechnej. I zostawało się przyjętym do — seksty. Dziwne nazwy klas, narzucone przez władze gdańskie, towarzyszyły nam później w kwincie i kwarcie, a następnie w niższej i wyższej tercy, w obu sekundach i prymach. I w tej klasie, będącej marzeniem tylu lat, osiągało się wreszcie dojrzałość. Już dotarcie do wyższej prymy było wielkim zaszczytem. Nie tylko w naszej szkole: w języku niemieckim istnieje specjalny termin *Oberprimaner*, uczeń wyższej prymy, synonim kogoś już prawie dojrzałego, kogoś wstępującego w życie.

Weszliśmy w nie bardzo prędko. I choć na tradycyjnym balu po maturze, zwanym u nas *komersem*, a urządzanym przez klasę niższą prymę, byliśmy wszyscy dobrej myśli, to przeorało ono nas wkrótce do szpiku kości. Jedni, złapani zaraz pierwszego września i zapędzeni do KZ-tów, przebyli w nich całą wojnę, a nielicznych wypuszczono przedterminowo po długich miesiącach, tylko po to, by ich wcielić w szeregi *Reichswehry* i posłać na front rosyjski walczyć *für den Führer und Vaterland*, skąd nie wszyscy wrócili. Inni, jak wszyscy gdańszczanie-Polacy, wyzuci ze wszystkiego mienia oficjalnym dekretem gdańskiego *Gauleitera*, pozbawieni mieszkań, (idźcie na cmentarz i tam czekajcie aż umrzecie — poradziła policja mojej koleżance) zwłaszcza koleżanki, czepiali się jakiegokolwiek pracy, by móc przeżyć czy to w samym Gdańsku, czy też na pomorskich wioskach. A

ci wszyscy, których rozsiało po całej Europie, ba, nawet po Azji czy innych zakątkach świata! Niewielu przeżyło. Ale jakoś na ten zjazd, nie pierwszy zresztą, ściągnęło nas sporo. Po to, żeby ujrzeć aulę szkolną, już bez fresków oryginalnych, zniszczonych przez Niemców, by przejść koło budynku szkolnego, popatrzeć się na tablicę upamiętniającą „wychowawców i wychowanków”, żeby popatrzeć się na siebie samych a przede wszystkim, żeby we wspólnym spotkaniu przywołać choć na krótko lata, wspomniane obecnie już tylko jako chwile — młodości.

Zjazd odbywał się w nowo zbudowanym hotelu na wyspie Spichlerzowej czy też Spichrzanej, jednym słowem na *Speichelin-sel*, jak ją pamiętałem jeszcze z czasów przedwojennych. Na wyspie, utworzonej przez dwie odnogi rzeczki Motławy przed jej pobliskim ujściem do Wisty. Bo nie żyjąc w Gdańsku od wojny niełatwo było mi przyswoić nowe nazwy i pamiętać, że dawna *Frauegasse* to obecnie jest Mariacka, a ulica *Poggenpfuhl*, przy której mieszkailiśmy i z której nie pozostał ani jeden z dawnych, wąskich, o dwuokiennych fasadach, domów, to obecny Żabi Kruk. Tak samo nasza dawna szkoła; polskie gimnazjum Macierzy Szkolnej w Gdańsku, później przemianowane na gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego, nie mieści się już w *Am weissen Turm* — Pod Białą Wieżą — lecz stoi przy uliczce noszącej imię ówczesnego dyrektora naszej szkoły. Sama zaś szkoła jest zajęta przez jakieś liceum techniczne. To już inna szkoła.

Tak samo z ogromnego boiska przed szkołą, na którym spędzałem przerwy między lekcjami w ciągu dziewięciu długich lat szkolnych, nie zostało już nic. Zajął je ogromny las — park. Już go więcej nie zobaczyłem takim, jaki mignął mi wieczorem dnia 30 sierpnia 1939 roku opuszczając w pośpiechu Orłowo i przejeżdżając przez Gdańsk jednym z ostatnich pociągów jakie przejechały, bez zatrzymywania się, przez Wolne Miasto. Szarzał się wtedy niedaleko toru kolejowego, kompletnie pusty, przed złowieszczo ciemnym, bez jednego światła, opuszczonym, gmachem szkolnym.

Na zjazd przybyło nas stu i coś — tyłu, ilu pozostało jeszcze w kontakcie ze szkołą.

Nie poznawaliśmy się nieraz, choć twarze czasami wydawały się znane a czasami, na odwrót, w zupełnie zmienionych postaciach rozpoznawaliśmy kolegów z tej samej klasy.

Niby nic specjalnego. Takie zjazdy odbywają się wszędzie, z najrozmaitszych przyczyn. Ale w naszej wspólnoty jest coś innego. Czy łączy nas to poczucie przynależności do czegoś wyróżniającego się i swego czasu bardzo wyróżnianego — polskie gimnazjum w Gdańsku — to słowo przed wojną otwierało wiele drzwi — na pogrzebie marszałka Piłsudskiego, na polu

Mokotowskim, nasza delegacja, przetaczana z miejsca na miejsce, wylądowała na miejscach zarezerwowanych dla korpusu dyplomatycznego, czy jest to dawne odczucie wspólnego zagrożenia, na jakie byliśmy dzień w dzień wystawieni, zwracając uwagę pociągiem dla nas zarezerwowanym (*Nur für polnische Schüler*), który nas zwoził z różnych przedmiotów gdańskich, naszymi czapkami, naszym językiem.

Ale nasz zjazd miał jeszcze inną charakterystykę. Nasza szkoła była szkołą specjalną. Narzucony przez senat miasta Gdańska program matematyczno-przyrodniczy był na dość wysokim poziomie. Bo to i trygonometria sferyczna i teoria liczb i geometria wykreślna... Ale ministerstwo W.R. i O.P., które opiniowało nasze świadectwa dojrzałości — dwujęzyczne, polsko-niemieckie, a jakże — uznawało je za równoznaczne z maturą... humanistyczną. W samej rzeczy oprócz obowiązkowego niemieckiego a także łaciny, uczyliśmy się, do wyboru, albo angielskiego albo francuskiego, i to przez osiem klas. (Jak się potem ten angielski przydał!) Oczywiście także i polskiego. Nasi abiturienci, nasi *Oberprimaner*, wychodzili z gimnazjum przeczytawszy nie tylko Romain Rollanda czy też Szekspira w oryginale, o Goethem i Schillerze nawet nie wspominając (Heinego — nie, był wyklęty przez władze gdańskie), nie tylko z łatwością zdawali egzaminy wstępne na uniwersytety czy też politechnikę, ale posługiwali się bezbłędnym polskim językiem.

Wielka zasługa „wychowawców”, zawsze na zjazdach wspomnianych. Przybyło ich na zjazd już tylko kilku. Z żyjących nie przyjechała dziewięćdziesięcioletnia nauczycielka gimnastyki z Sanoka ani nawet profesor — matematyk — z pobliskiego Sopotu. To on napominał nam — przed wojną! — o teorii względności. Nie przybyła też bardzo już podstarzała nauczycielka niemieckiego, z którą przerabiałem w niższej trzecie „*Minne von Bernhelm*” Lessinga. I nie mogła przybyć nauczycielka angielskiego, jedyna profesorka nie posiadająca obywatelstwa polskiego, obywatelka Miasta Gdańska. To ona zacięcie starała się nauczyć nas poprawnej wymowy „*ti-ejcz*” — *th* — angielskiego. I to ona ukrywszy się przed oczyma współwzięniów w obozie Sachsenhausen, uciekła z tego świata przeciąwszy sobie żyły odłamkiem szkła. I jeszcze tylu innych zmarłych już czy też zgładzonych, którzy pojawili się na zjeździe tylko w naszych przelotnych i zawsze pogodnych wspomnieniach. Bo o momentach przykrych, lękach, zasłużonych czy też nie, nie myśleliśmy, widząc tę naszą już tak odległą młodość tylko przez różowe okulary. I wspominaliśmy naszych profesorów ze szczerą nie oklepaną wdzięcznością i uznaniem. To oni dzielili się z nami tym skarbem największym — wiedzą, to oni przekazywali nam tę wyłączną cechę człowieczą: SŁOWO.

Jak pisał poeta, także jeden z naszych profesorów:

*Słowo wam niosę, przynoszę wam słowo...
Z dali ziem polskich i z dali odwieczy.
Chwycicie je duszą! Bo słowo — chleb niosę
chleb, którym karmi się żywot człowieczy.*

Edwin Jędrkiewicz: Słowo wam niosę...

Był to zjazd w siedemdziesięciolecie założenia naszego gimnazjum.

Andrzej JĘDRKIEWICZ

Koszyłowce — powrót

Gdy po pięćdziesięciu latach władzy sowieckiej Anna Maria Modzelewska przyjechała wraz z synami do rodzinnego majątku na Podolu, prócz grobu ojca oraz wdzięcznej pamięci mieszkańców nie odnalazła niemal niczego.

1. We wrześniu 39 do wsi Koszyłowce (osiem kilometrów na południowy wschód od Jazłowca) wkraczają Rosjanie. W majątku stacjonuje sowieckie wojsko, dwór zostaje splądrowany, zapasy wyjedzone, dobytek zarekwirowany. W sąsiednich Powcach postrzelony dziedzic Jakubowski cudem uchodzi z życiem. W Lataczu pan Krasnowolski znika bez wieści. Los żony i dwóch córek porucznika Wielowieyskiego z Drohiczówki, wywiezionych pod jego wojenną nieobecność — pozostaje nieznaną. Podobnie jak i księżnej Lubomirskiej z oddalonego o kilka kilometrów Czerwonogrodu. Po południu Rosjanie są już wszędzie tam, gdzie jeszcze rano był polski rząd, Prezydent i Wódz Naczelny.

W październiku babka Niemirowska, matka Modzelewska i dwie córki, Klara i Anna, na trzech furach, odprowadzane przez pół wsi uchodzą do Lwowa. Do samego celu towarzyszy im kilku koszyłowieckich chłopów.

2. Błotnisty i mokry październik 92. Z Gdańska na Podole droga daleka. W ukraińskim autobusie Warszawa-Lwów działa tylko to, co niezbędne. Wszyscy dzwonią zębami, ale nikt nie za-

pyta o ogrzewanie. Sowiecki człowiek brał rzeczywistość taką, jaką była, cieszył się z tego co ma.

Bolszewicki żulik — kierowca wynajętej pod lwowskim dworcem taksówki — jeździ po dziurach bez dbałości o państwową „wołgę”. Umowa: 350 km jazdy od ósmej do ósmej za *sorok dolarow*. O nic nie pyta. Przelicza tylko czas i pieniądze. Wracając gubi drogę. Przeklina. Spóźnia się do Lwowa. Żąda więcej. Gdy nie otrzymuje dodatkowego wynagrodzenia, krzyczy i wygraża: *bolsze siuda nie prijezzajtie!*

3. Ziemia na Podolu jest czarna jak węgiel. Co rusz przy drodze straszą szpetne wyrobiska, rany zadane ziemi dla pozyskania żwiru lub kamienia. Droga nierówna, źle oznaczona. Nie wiadomo gdzie kończy się asfalt, a zaczyna pobocze. Wszędzie błoto, które bryłami klei się do butów.

Koszyłowieckie zabudowania folwarczne zaginęły w księżycowym krajobrazie kolchozu, w gąszczu porzuconych, pordzewiałych maszyn, w szpetnych kwadratowych przybudówkach.

Komunizm odcisnął na kolchozowych twarzach antropologiczne piętno. Twarze zawarte w połach uszatyh czapek, przynięcione daszkami nasuniętymi na oczy, owinięte watowanymi kołnierzami — to twarze ciemne i pospolite. W Koszyłowcach łagodną powierzchowność, szlachetność i dostojność oblicza zachowali jedynie ludzie starzy.

Kolchoźnicy patrzą nieufnie na wysiadających z taksówki przybyszów. Matkę i dwóch synów otacza coraz szerszy wianek walonek, waciaków i uszatek. Ciżba długo przypatruje się zdjęciom. Słuchają. Naradzają się, zbliżają głowy. Wskazują opuchłymi palcami na jar za dworem widoczny na fotografii. Wreszcie wydają werdykt: *pijdyte z nami*.

— *Tu buw jar a tu dom* — mówi jeden, spluwając białą śliną. Przez środek zrównanego z ziemią dworu biegnie droga. Traktory kolebią się na sterczącym w rozjeżdżonym błocie uskoku fundamentu. Diaboliczna moc sowieckiej destrukcji przejawiająca się zmianą geografii terenu, zawracaniem rzek i pogardą dla naturalnego porządku, nie ominęła Koszyłowiec. To, co kiedyś było płaskim jak talerz gazonem — dziś jest pagórkowatą pochyłością dźwigającą masywny pomnik wdzięczności Krasnoj Armii. Betonowy napis pod muskularną statuą sowieckiego frontowca głosi: „*Nikagda nie zabudiem naszych pagibszych*”. Stawy — to dziś wyschłe koryto i rozjechana grobla, park — z rzadka ocalałe drzewa. Nie ma stajni, sadu, ogrodu, kamiennych ławek, nie ma altany, huśtawek. Po dawnym parku powłóczy kopytami brudna, wymęczona krowa. Głaz z mottem: „*Lepiej zginąć niżli żyć w niesławie* wyrzekł Xiążę Józef Poniatowski w batalii pod Lipskiem, 19 października 1813” — pozostał już tylko na zdjęciu, któ-

re teraz kobieta od krowy obraca w brudnej dłoni. — *Ja niczego ne baczyła* — komunikuje. Nie ocalały nawet kamienne schody. Pozostał spichlerz, zamieniony na kolchozowe warsztaty, z którego dziś wyzierają odarte wraki traktorów.

4. W chacie u starego Kucego zatrzymał się czas. Wszystko jest takie jakie było przed wojną. Piec chlebowy na pół izby, ława, stół, święte obrazy. Skromnie ale czysto. Kucy powoził bryczką. Osiem lat w służbie pańskiej zajmował się końmi. Teraz piąty już rok leży przykuty do łózka. Kucy słabo słyszy i mówi z najwyższym trudem. Ogląda z uwagą zdjęcie. Z trudem pokonuje opór ciała.

— *Ja znaju te dwa konie, to Emil i Dorka*. Płacze.

— *To dziedziczka Anusja Modzelewska* — krzyczy Wasyl Danielewski, którego ojciec jak mówią był wiernym (zaufanym) dziedzica Tadeusza Modzelewskiego. Powierzano mu poważne obowiązki. Należało do nich kupowanie koni.

— *Anna! Dajcie ja was pocatuju* — dźwiga się Kucy.

— *A gdzie Klarunia?*

— *Siostra zmarła. Wszyscy zmarli. Tylko ja zostałam.*

— *A de kto?* — wskazuje Kucy na dwóch koło matki.

— *To moi synowie.*

— *Kto?!*

— *Syny koszyliwskiej dziedziczki* — krzyczy Wasyl.

5. Przez pięć lat nie działo się u Kucego tyle, ile wydarzyło się przez jedną godzinę niedzielnego październikowego popołudnia 1992 roku. Jak w malignie powróciła przeszłość, o której myślał, że pozostał jej ostatnim świadkiem. Kucy co rusz obserwował uchylające się drzwi i wsuwające się do izby postaci Makary Fedorownej, Anny Iwanuwniej, Głowy Selegowicz i innych. Drzwi skrzypiały. Wchodził rządca Melnik, który dziś spoczywa obok Tadeusza Modzelewskiego, właściciela Koszyłowiec. Wchodził Petrow, który ryzykując życiem odwoził panie do Lwowa, wchodziła zmarła tam Małanka Storosz — najdroższa niania.

Szkła Kucy ma grube, oczy duże. Długo jeszcze będzie rozmyślać. Pamięć Kucy ma dobrą. Tylko on pamięta, że dwór kupiony został w 1910 roku od hrabiego Mieczysława Pinińskiego.

— *To był wielki Pan, ekselencja, poseł austrijskiego parlamentu* — krztusi się Kucy.

Wpada filigranowa Makara Fedorowna, połyskuje złotymi zębami. Wyznaje przez łzy: — *Mene ciotka z waszych lalok w sukienki odiewała. Ja usi buła malutka.*

6. Pani Teodora Modzelewska była etnografem. Do dworu przychodziły kobiety i wyszywały ukraińskie hafty. Jej córka wyciąga teraz zawiniątka ocalonych szmatek, serwetek i krajkę. Chłopki podchodzą do okna, oglądają.

— *Ja znam, ja była u pani, ja wyszywała takie serwetki, znam, znam* — mówi Irena, siostra niani Małanki Storosz. Irena 13 lat spędziła w gułagu. Wywieziono ją w 49 za pomoc Ukraińskiej Powstańczej Armii.

— *Jak kto przyszedł do chaty, to ja nie odmawiałam, wiecie tak robili. Partizany wiecie stąd byli.*

— *Mnogo ludzi z Koszylowic w gułag wzięli* — mówi Wasyl. Ogląda zdjęcie z uroczystości winobrania w pobliskich Zaleszczykach w roku 1937. Rozpoznaje twarze trzech młodzieńców stojących u zaprzęgu w ukraińskich strojach.

— *Oni wiecie pomarli. Tego to ubili. Ruskie ubili. Niet, on nie był w UPA — zaprzecza — no zarezali... no u nas trudno było.*

Wiadomo, że pół wsi pomagało UPA. Jednak, gdy nawet dziś zapytać, nikt się nie przyzna. Za samo słowo szło się na zesłanie. Mirek, syn upowskich zesłańców, nieświadomy zestawienia barw, przyszedł do szkoły w niebieskich dzinsach i żółtym swetrze. „Polityczna manifestacja” skończyła się przesłuchaniem rodziców i relegowaniem Mirka ze szkoły.

7. Wasyl był na pogrzebie pana Tadeusza Modzelewskiego.

— *Ja pamiętaju wsio. Kto nie był? Wsie były, całe sieło była. Trumnę cały czas nieśli. Najpierw pany a od cerkwi do cmentarza fornale. Tam wysoko — pany by rady nie dali. Ja wsio pamiętaju.*

Dziedzic dostał nagłego ataku i mimo, że we dworze był i samochód i telefon, to lekarz ze Lwowa nie przybył na czas. I całe szczęście, potakuje Wasyl, że pan nie doczekał 39.

— *Pan nigdy by nie wyjechał do żadnego Lwowa. Tu by znalazł śmierć.*

8. Śmierć — brama życia, która jemu, człowiekowi wieku XIX, pozwoliła zabrać do swojej ziemi własny świat. Gdy umierał, mówił: ja tu będę leżał i patrzył z góry na was, na Koszylowce. I nie wiedział, jak dobrze że nie wiedział, iż wraz z nim kończy się epoka, a nadchodzi nowa, w której nie ma sacrum. Nie wiedział, że za pięć lat nie będzie już dworu, że za sześć — Berezowskiego, koszylowieckiego wójta, przepiłują w pół, a rodzinę spalą żywcem, że obok, w Lataczu nad Dniestrem, jednej tylko nocy z 15 na 16 stycznia 1945 roku zginie sześćdziesięciu Polaków, mordowanych całymi rodzinami, topionych w studniach, palonych na strychach, marznących nago w zaspach.

Nie wiedział, że z tej ziemi nikt nie pozbiera trupów, że rozkładać się będą do wiosny. To co miało dopiero nastąpić nie dawało się porównać z tym, czego już doświadczył.

Pierwszy majątek w Kudrynach skonfiskowali carscy za udział Ignacego — dziada Tadeusza — w powstaniu 1831. Drugi, Skotyniany koło Kamieńca Podolskiego — został za Zbruczem po traktacie ryskim. Tadeusz zmarł w 36 roku. Koszylowce przypadły w 39.

Dlatego Tadeusz musiał umrzeć pod błahym, byle jakim pretekstem, na atak ślepej kiszki w maju roku 36.

9. Czasy się wypełniają — zbliża się na wiekowym zegarze godzina, która rzeczy precz stąd człowiecze — kto wie czy w ostatniej godzinie będę mógł myśli zebrać, ażeby wypowiedzieć Wam wszystko jakbym tego pragnął — napisał w testamencie Tadeusz. Nie dokonał żadnej dyspozycji materialnej. Testament dotyczył wyłącznie spraw duchowych i pamiątek rodzinnych: (...) Pozostawiam Wam szablę pradžiadowską z napisem greckim i wizerunkiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem, dalej pas słucki, pergaminy tyżące się naszego rodu i zasług Pradziada Waszego Justyna jak też orderzy Jego z wojen napoleońskich i powstania 1831. — Szkatułka ze starego kocza zawiera różne korespondencje rodzinne, dębowa zaś jest to skarbicz połowy Konfederatów Barskich, których skarbnikiem był egzekutor Modzelewski, stryjeczny brat Ignacego Stolnika Sanockiego. Najcenniejszą i najdroższą pamiątką są pamiętniki Dziada Narcyza, które zawierają całą historię wieku XIX-go tak rodziny naszej jak i ruchów narodowych. Polecam te pamiątki drogie sercu memu Waszej starannej opiece, tj. żeby były przechowywane w bezpiecznym miejscu i chronione w razie jakich wypadków...

Ale mimo przeczuć i zaklęć Tadeusza w 39 roku żadne z miejsc na podolskiej ziemi nie było dość bezpieczne. Z wyjątkiem cytowanego testamentu nie ocalało nic. Nic prócz sceny sprzed 53, którą jak na kliszy utrwaliła wyostrzona pamięć dziecka, gdy na taras dzieciniego pokoju na piętrze wszedł oficer i powiedział:

— *Rebionok, smatritie rebionok!*

10. Cmentarz leży za wsią na górcie. Tadeusz patrzy na dwór, którego nie ma. Wasyl prowadzi. Przeciska się przez gęsto utkane wiejskie groby. Pokazuje laską zarośnięte chwastami miejsce.

— *To tu — powiada. — Tu jest dwie trumny. Metalowej w dubowej pokłali.*

— *A gdzie krzyż?*

— *Chrest upał, dubowyj był, upał.*

Jego zgniły czterometrowy szkielet leży opodal. Tadeusz pochowany jest w tymczasowym grobie. Teodora Modzelewska nie zdążyła przed wojną przenieść trumny męża do nowego grobowca, który ciągle czeka na potworną pogrzebową procesję całej wsi, na mistyczny rytuał spóźniony o 53 lata. Gdy zmarł ojciec, Anna miała sześć lat, jej siostra Klara — jedenaście.

11. W sieni u starego Kucego jest gęsto od ludzi.

— Siedziałyśmy tutaj półtora miesiąca — dopóki Rosjanie nie zjedli nam wszystkich zapasów — opowiadada Anna. — Nikt nas nie wyganiał.

— *Ale Ruskie chcieli rastrelić. To wtedy ludzie wsje skazali że Pani była dobra* — dopowiada Wasyl. — *Bo na Popiwcach to Pana Jakubowskiego rastreliali.*

— *Wsje mówili, że pani była taka jak ridna mama* — wtrąca Makara Fedorowna.

— *Pani budy zaznała, duże, duże* — powiada inna.

— Mamo, nie ma co płakać.

— Jak jak umrę to ja tutaj będę leżała, w tym grobie co mój ojciec — już powiedziałam to dzieciom. Wszystko przez tę wojnę. Ja tylko tu chcę leżeć. Nie mogłam tu żyć, to chociaż martwą będę.

Jarosław KURSKI

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wiersze

NOTA

Zmarły w 1958 roku mój śp. Dziadek, Adam Czartkowski, znany w okresie Dwudziestolecia historyk kultury, a botanik z zawodu, publicysta, wydawca pamiętników, autor biografii Szczęsnego Potockiego i Księżnej Łowickiej oraz słynnego, wydanego już po wojnie wraz z moją matką, Zofią Jeżewską, „Chopina żywego”, był zapalonym szperaczem, któremu literatura polska zawdzięcza odnalezienie m.in. kilku wierszy i szeregu listów Cypriana Norwida. W papierach, które po nim pozostały, znajdował się pożółkły wycinek z jakiejś starej gazety z poniższym poematem Tadeusza Micińskiego. Miciński, którego poezję odkryłem dzięki mojemu dziadkowi, zawsze należał do moich ulubionych poetów polskich i gromadziłem wszystko, co mogło go dotyczyć. Dziadek, jak pamiętam, cenił go wysoko i nazywał „Wielkim Magiem”. Nie wiem, gdzie zetknął się z nim osobiście, ale pewno miało to miejsce albo w Warszawie albo na Ukrainie. W swoich jedenastu tomach pamiętnika pt. „To co przeżyłem”, obejmujących lata 1900-1944, opisał z pewnością to spotkanie. Niestety, złożony w czasie wojny w Bibliotece Krasińskich, pamiętnik ten spłonął wraz z bezcennymi zbiorami tej biblioteki, podpalonej już po powstaniu warszawskim przez Niemców.

Czekałem na publikację tego poematu przez specjalistów od autora „W mroku gwiazd”, jednakże żaden z czterech wyborów wierszy Micińskiego, które ukazały się w Polsce w latach 1957-1980, nie uwzględnił tego bardzo ciekawego utworu, który, nawiasem mówiąc, w świetle wydarzeń ostatnich lat w kraju, nieoczekiwanie nabiera zaskakującej aktualności. Nie wspomina też o nim żaden z autorów monografii poświęconych temu poecie. Jak należy to tłumaczyć? Otóż poemat ten ukazał się w moskiewskiej *Gazecie Polskiej* w końcu marca 1918 (chyba 30 marca, sądząc po treści ogłoszeń teatrów polskich na odwrocie wycinka), a jak wiadomo, Tadeusz Miciński został zamordowany w lutym tegoż roku na Ukrainie. Być może nikomu nie przyszło do głowy, że w miesiąc

po śmierci poety mogły się jeszcze ukazać w prasie jakieś jego publikacje.

Zachowałem wszystkie osobliwości poezji Micińskiego: intonacyjną interpunkcję, dziwną ortografię, zwłaszcza w pisowni imion własnych, rozmaite archaizmy, neologizmy, rusycyzmy, wyrażenia gwarowe, stosowanie dużych liter ze względów emocjonalnych oraz odstępstwa od obowiązującej fleksji. Chropowatość, niewypolerowanie tej poezji, jak słusznie zauważa Jan Prokop w komentarzu edytorskim do „Poezji” Micińskiego (Kraków 1980), stanowi niewątpliwie jej cechę nieodłączną. Twórczość tego typu, będąca jakby zapisem nagłych przyptywów natchnienia, w których wyrażają się zmagania ponadindywidualnych, archetypalnych mocy duszy ludzkiej, przywodzi na myśl niekontrolowane, spontaniczne wybuchy wulkanów... Kiedyż doczekamy się nareszcie „Poezji zebranych” Tadeusza Micińskiego? A poza tym, czyż ten niezwykle, fascynujący twórca, wielki piewca Tatr, nie zasługuje na symboliczny grób na starym cmentarzu w Zakopanem (widziałbym go w kształcie odłamu górskiej iglicy) i na ulicę swego imienia? Przy okazji pragnę donieść zainteresowanym, że przygotowuję wraz z François Xavier Jaujard, dla jego wydawnictwa Granit, tom przekładów wierszy Micińskiego na francuski. Obejmie on poemat „Niedokonany” oraz wybór z pozostałych poezji i ukaże się w ramach nowej serii tego wydawnictwa — „Collection de l'Améthyste” — poświęconej poezji polskiej. Ostatnio wydaliśmy razem u Fayarda przekład „Nieobjętej ziemi” Czesława Miłosza. Pracujemy także nad obszernym wyborem wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Poemat Tadeusza Micińskiego „Pszenica i kąkol” złożyłem w 1989 roku w „Twórczości”. Niestety, jak dotychczas, mimo tzw. „świętej cierpliwości”, nie zdołałem doczekać się jego publikacji!

Krzysztof JEŻEWSKI

Tadeusz MICIŃSKI

PSZENICA I KĄKOL

Mówi Jasny Siewca

Rozwarte bramy turm —
zatrzęsły się ochrany —
niewolni ujrzeli swobodę...
Zabrzmiały dźwięki litaurów i surm —
płomień radości wezbrany
oświecił mej duszy pagodę!...

Zdjęto kajdany rdzawe z Świętogora —
z witezia Rosji, by pod niebo szedł...
Miliony dzwonów grają mu wśród bora —
— tyranii kres przyszedł i bied! —

Runęły szubienice, dzierżące koronę,
w płomieniach katownie, gdzie dostał szpicrutek
[o, Kriestów dni nieszczęśliwe!]
Jak długie korowody, mękami zbarczone!
na Sybir idące te pogrzeby żywe,
które z Carem wysyłał Maluta Rasputin
siewca krwi ludu w Judaszową niwę...

O, duchy zamordowanych żołnierzy —
wy, zatracone milionowe armie —
O, kwiecie przecudnej młodzieży!
umarłych wolnością nakarmię
i rozłęczę — wniebowzniosę
Antyfonę męczenników!
Rzucam gwiazdy przez otchłanie,
łamię starą śmierci kość —
jam nie pieśniarz — niewolników.

Runęła Władza carów, jak stare bożyszcze,
okrutne, zbrukane, wleczone na sznurach!
kopnięte w głąb zimną przez tłum, który świszczę,
a słońce — Bóg Słońce! — wyblęsnął na chmurach!...
Rozwarty na oścież loch carskiej Bastylia,
wychodzi rzesza w łańcuchach zjarmiona!
łzy jasne, obłędne iskrzą się w źrenicach!
Polacy!... przez mur więzienny wyście ze sobą gwarzyli —
że przyjdzie Jan święty, Król Duch w błyskawicach —
i wrócim na swój Wawel — na mury Ilionu —
i wreszcie się zjawią przy ludowych stołach —!
A Polska wolna wstanie przy innych Wszechświatu Aniołach —
i rzucon będzie łańcuch wraz ze starym Wężem
w tę otchłań, nad którą w błysnieniach, zwyciężym!
Z ludami wyjdziem na drogi Wszeczżycia,
w ogromnej tęsknocie Tytana,
na Tabor wkroczymy w światło Nieśmiertelne!
Bo ziemią naszą — Ziemia Obiecana,
mocarne pieśni tam zabrzmią — weselne —
pośród kos dzwonienia —
pośród młotów bicia!...
A jeśli trzeba iść w bój za Ojczyznę —
to pójdą swobodne rycerze kohorty

z tą duszą, która już piła ambrozę
i rzekę Śmierci — przeleci — skrzydlata!
nie będzie głodnych tłumów, zdobędziemy porty —
i święte Adrii i Bałtyku Morze
napelnią rzek naszych aorty
i wolne rozbłyśnie dróg morskich bezdroże —
aż do Chin — na Madagaskar pójdą te okręty
których bandera była już za Władysława!
A imię nasze — jako dawn[i]lej — Sława!
a cel istnienia — jako dawniej — święty!
bo zjawi się w świtach na Heliosa wozie
Lucifer—Mądrość!...

Głos siewcy złęgo

I topór Marata!

Głos Mickiewicza

Niagary szum
unosi mnie!
gwiazdzisty tum,
jak w cudnym śnie!
Na skrzydeł piorunach
gram hymny na strunach —
Tytan rozpętany
przebudzam wulkany —

Szatan

I Mnie!

Łatwo jest ogień przebudzić w Bohunach,
w bołtunach i w goworunach —
w różnych polskich jakobinach —
w całym polskim węzowisku...
Na Starym Mieście przy wodotrysku
sądy będą w krwawych łunach
na wzajemnych win śmietnisku!...

Siewca jasny

Tam, gdzie Iwan Groźny ścinał ludu krocie
rewolucyjne płyną ludowe sztandary!
zda się, że kwitną wśród mroku paprocie,
buchnęły płomieniem wiekowe ofiary...
W górę chorągwie Narodu!
z tłumami polskich wyгнаńców —

z Marienburga idziem grodu,
gdzie braliśmy w plon komturów!
Wtóra spod Wiednia tureckich pohańców...
Trzecia Jenę pamięta i Wagramy — !
Czwarta to jar Samosierry!
krzyżami ją krył Bonaparte!
Piąta — angielska pod murem Tudeli...
owa — spod Borodino, zna też Kremlu wartę...
A ta z Matką Boską wśród żalobnej szramy —
to straszna noc listopada —
w lochach Cytadeli!

Wyjdźmy więc wolni w wiosenne ulice
zaśpiewać hymny roboczym tytanom,
co muszą wnieść życie — płomienną Orlicę,
aż wszyscy w niej — zmartwychwstaną!

Szatan

Co?! chorągwie Zjednoczenia?
a gdzie wolność — wszechjudzenia?!

Mickiewicz

Moja wolność — to szczyt góry,
ponad którą — Mrok i Bóg!
Moja wolność — kwiat purpury
wśród skalistych dumnych dróg.

Moja wolność — to katedra,
którą wznosi lud — Król duch...
Moja wolność u stóp cedra
trawkę bada i gwiazd ruch.

Moja wolność — to z więzienia
wyprowadzić błądy rój.
Moja wolność — Duch płomienia —
Genezyjski święty znój!

Moja wolność — na wyżynie
wszechmisteria wiąże w Krzyż.
Moja wolność — nie przemienie,
bo jest nad nią Wieczność wżwyż.

Moja wolność — uścisk brata
tym Syzyfom i Tantalom,
tym wygnanym z biesiad świata
drzwi rozwieram ku moym salom!

Ziemia wspólna, Niebo wspólne
 lecz hierarchia różnych dusz...
 Krzesło winno być kurulne
 i miecz wzniesion tam — gdzie nóż!

Moja wolność — sieje zboża,
 a wyplenia chwasty żmij!
 Moja wolność — to bezdroża,
 które mówią: „Tworząc, żyj”!

Moja wolność — to Niagara,
 lecę nad nią — orli ptak!
 Moja wolność — to ofiara
 mówić w męce życia: — Tak! —

Moja wolność nieśmiertelna
 przegwiazdzista — z górnych nieb...
 Moja wolność — mnogopszczelna,
 jako lipa pośród nieb...

Moja wolność chce w Ojczyźnie
 sadzić lasy, zorać grób...
 Moja wolność — łączy bliźnie,
 jak Mojżesza gwiazdny słup.

Moja wolność — ?! Lucifera
 imię wezwij pośród Tatr...
 Moja wolność — dusze zbiera,
 które sieje — Boży Wiatr!

* * *

Głos ludowej Polski

*(Słychać głos cichy w ogromnej mogile,
 jak ptak, zbudzony powiewem Wolności):*

— Niech trędowaci umyją się w Syloce,
 a wy mnie zbudźcie, gdy już Pan zagości!...
 Wszakże Mistrz mówił: — byście byli ślepi
 ten grzech zarażeń byłby z was odjęty!
 Lecz już mówicie:

— Widzim jak najlepiej! —

Grzech wasz zostawa! Owoc wasz — przeklęty!
 Niechaj pasterze otwierają wrota
 Jutrzni, nim ciemni dorwą się złodzieje!

Wrotni wstawajcie, aby Iszkariona
 znów bram więziennych nie przywarł wierzeje!

Wolności pragnę, by wstać Cherubimem
 nie schodząc w brudne zwierzęce przepaście!
 Kocham ja Tatry i te ciche włości,
 które się złocą pod Krakowa Rzymem.
 Skrzydeł sześcioro mam i młot w mej ręce!
 Tragedii zmożę mrok, hieroglify cyfer
 nad życia drzewem głębin wiadomości —
 chcę zrywać: Tytan! Lud! Polska w jutrzence!
 Z jednym zakonem wewnątrz: że pośród ciemności,
 będziem nieść żagiew, jak dumny Lucifer!... —
 Tak Ci ślubujem, Ojczyzno i wiernie
 zdzierżymy. Trzydzieści milionów
 nas — mówią: — POLSKO! niech zakwitną ciernie,
 skowronki wzlecą wśród łąk i zagonów. —
 My będziem tworzyć duchowe lazury,
 niech inni brukują dusze!
 Wielbim Cię, Orle, duchu Purpury
 na Mlecznej gwiazd zawierusze.

Na dzień Zmartwychwstania
 ŁAZARZA Polskiego

Tadeusz MICIŃSKI

Wywiady „Kultury”

Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem

TERESA TORAŃSKA: — *Ten PRL, dlaczego właściwie upadł? Według pana.*

LESZEK BALCEROWICZ: — Załamanie systemu nastąpiło, musiało nastąpić, z powodu ekonomicznej niewydolności. Ale dokładnego momentu, w którym się to stanie, nie sposób było przewidzieć. Nie ma bowiem teorii, która pozwalałaby określić, kiedy będzie rewolucja. O dokładnym momencie decydują, jak zwykle, historyczne niepowtarzalne okoliczności, a także to, że w danym miejscu pojawia się taki a nie inny człowiek, czy grupa ludzi. W 1985 r. w Związku Sowieckim pojawił się Gorbaczow i on uruchomił proces, którego skutków na pewno sobie na początku nie uświadamiał.

T.T.: — *Czyli nie przez „Solidarność”?*

L.B.: — Są dwie teorie dotyczące upadku komunizmu, obie oparte na spekulacjach. Według pierwszej to Polska i „Solidarność” były zasadniczymi czynnikami zmian w całym obozie. Druga zaś głosi, że bez radykalnych przeobrażeń w Związku Sowieckim żadne otwarcie polityczne w krajach socjalistycznych — przynajmniej w najbliższych latach — by nie nastąpiło. Osobiście przychyliam się do drugiej, choć otwarte jest pytanie, w jakiej mierze polska rewolucja 1980-81 wpłynęła pośrednio na zmiany, które później dokonały się w Związku Sowieckim. Uważam, że Polska nie odzyskałaby niepodległości po I wojnie światowej, gdyby nie wojna między trzema zaborcami i nie odzyskałaby jej teraz, gdyby nie *pieriestrojka* Gorbaczowa. I nie pomógłby ani Piłsudski — wtedy, ani „Solidarność” — obecnie.

T.T.: — *Pan mówi herezje!*

L.B.: — Dlaczego? Przecież można sobie wyobrazić sytuację, że w miejsce Gorbaczowa przyszedłby ktoś, kto próbowałby utrzymać się poprzez zwiększenie terronu i mimo pogarszających się stale głównych wskaźników ekonomicznych, udało mu się.

T.T.: — *Na jak długo?*

L.B.: — Może na kilkanaście lat, a może tylko na kilka, nie wiem. We wszystkich bowiem krajach socjalistycznych występowały podobne tendencje spadającej efektywności, mierzonej produktywnością kapitału. Czyli inwestycje dawały coraz mniej dochodu narodowego.

T.T.: — *Od kiedy?*

L.B.: — Objawy niewydolności występowały od początku, ale gospodarka w latach 40-tych, czy początku lat 50-tych funkcjonowała lepiej, następował wzrost, dlatego, że była to gospodarka na bardzo niskim poziomie rozwoju. Po drugie: system nakazowy stosunkowo nieźle funkcjonuje w gospodarce prostej. Po trzecie: była bardzo wysoka stopa inwestycji, co w warunkach prostej gospodarki przynosiło realny wzrost. Kiedy jednak gospodarka stawała się coraz bardziej złożona pod wpływem własnego wzrostu, wtedy traciła swoją sprawność i w systemie nakazowym zaczęły występować coraz większe zaburzenia. Widać je było wyraźnie we wszystkich krajach socjalistycznych. Objawiały się w spadającej efektywności kapitału, która oznacza, że przyrost dochodu narodowego na jednostkę inwestycji jest coraz niższy. Próbowano ją rekompensować podwyższaniem stopy inwestycji, a więc poprzez wydatkowanie coraz większej części dochodu narodowego na inwestowanie i coraz mniej na konsumpcję, co jednak prowadziło do sytuacji, że wzrost był jałowy, bo trzeba było przeznaczyć go głównie na samopodtrzymanie gospodarki. Pierwsze symptomy kryzysu wystąpiły już w połowie lat 50-tych.

T.T.: — *Mówiło się, że przez wojnę w Korei i konieczność zbrojeń.*

L.B.: — Były to już jaskrawe objawy niewydolności. Przy czym problem wszystkich krajów socjalistycznych polegał jeszcze na tym, że ustawiono b. wysoko konsumpcję zbiorową, a więc społecznie finansowane wczasy, bezpłatne szkolnictwo, bezpłatną służbę zdrowia itd., co zawsze jest niewątpliwym awansem cywilizacyjnym, ale żadnego z tych krajów na to nie było na dłuższą metę stać. Lata 60-te to lata dalej spadającego tempa wzrostu i efektywności gospodarki, lata 70-te to życie na kredyt, bez nich kryzys konsumpcji byłby bardzo wyraźny. I wreszcie lata 80-te, kiedy to za życie na kredyt zaczęliśmy płacić wielkim kryzysem całej gospodarki, w tym i konsumpcji. W innych krajach sociali-

stycznych występowały na ogół mniejsze wahania, ale tendencje były podobne.

T.T.: — *Jakie, proszę porównać?*

L.B.: — We wszystkich pogarszały się główne wskaźniki ekonomiczne. W każdym malała efektywność gospodarcza, każdy był dotknięty pelżającym kryzysem, objawiającym się w tym, że kiedy kryzys z trudem opanowywano w jednej gałęzi gospodarki przerzucał się on na kolejną itd. Wszystkie próbowały ratować swoją gospodarkę poprzez zadłużanie się. Wszystkie, oprócz Czechosłowacji.

T.T.: — *I Rumunii.*

L.B.: — Rumunia najpierw się zadłużyła i potem w drastyczny sposób oddłużyła, za co zapłaciła ogromną cenę, zdegradowania gospodarki. W Rumunii spauperyzowano społeczeństwo i spowodowano, że całe obszary gospodarcze przestały działać z braku importu. Zadłużyli się Węgrzy, Bułgarzy, oczywiście i my i Związek Sowiecki, choć oni trochę później, bo dopiero w latach 80-tych. Kolejną cechą wspólną wszystkich tych krajów były niekorzystne wskaźniki demograficzne, które są pochodną sytuacji gospodarczej, a także pogarszająca się jakość życia (m.in. alkoholizm).

T.T.: — *W 1989 r., w chwili wybuchu wolności, gdzie była Polska, na tym tle?*

L.B.: — Sytuację wyjściową określają: wysokość zadłużenia zagranicznego, o czym już mówiliśmy i stopień zreformowania systemu gospodarczego. Tu Węgrzy byli w najlepszej sytuacji, bo np. mieli jako jedyni z krajów socjalistycznych przeprowadzoną już w 1988 r. reformę systemu podatkowego, obowiązywał u nich podatek dochodowy i podatek od wartości dodanej. W gorszej od Węgrów sytuacji byliśmy my, ale w jeszcze gorszej od nas Rosja, Bułgaria, Rumunia i Czechosłowacja.

T.T.: — *Oraz NRD.*

L.B.: — NRD miała ortodoksyjny system, bardziej scentralizowany niż w Polsce czy na Węgrzech, ponadto na masową skalę, podobnie jak w Rumunii, fałszowali statystyki, nie korygując np. wzrostu ze względu na ceny, przez co wzrost był pozorny i sporo ekonomistów na Zachodzie uległo złudzeniu, że gospodarka centralnie planowana może jednak jako tako funkcjonować, choć tylko w określonym społeczeństwie, tak zdyscyplinowanym jak niemieckie, co w rok później okazało się iluzją. Po drugie — o kondycji kraju decyduje stopień zdyscyplinowania gospodarki tzn. wielkie braki na rynku czyli kolejki i ogromna inflacja. Wielką inflację mieliśmy my, co bardzo utrudniało start,

i w ogromną, podobną do naszej, wpadła Rosja w dwa lata później, po rozpadzie Związku Sowieckiego, zanim zdecydowała się na przejście w gospodarkę rynkową. Nie miały inflacji NRD, Czechosłowacja i Węgry. Czechosłowacja i Węgry miały w miarę uporządkowany budżet, stabilną politykę makroekonomiczną.

T.T.: — *Bo naszą zdestabilizował rząd Rakowskiego, prawda?*

L.B.: — Nie, sprawa jest bardziej skomplikowana.

T.T.: — *Jak to! Przecież w sierpniu 1989 r., zanim oddał władzę, rozpętał hiperinflację.*

L.B.: — Bezpośrednią przyczyną wysokiej inflacji była decyzja uwolnienia spod kontroli państwa cen żywności, wprowadzona przez rząd Rakowskiego 1 sierpnia w już rozregulowanej gospodarce. Przez duży wzrost płac oraz ogromny wzrost dopłat do żywności. Decyzja słuszna ekonomicznie, którą jednak równocześnie powinno się obudować rygorami powstrzymującymi wzrost płac. Rząd Rakowskiego nie zrobił tego i chyba nawet zrobić nie mógł, ponieważ inflacyjny wzrost płac — w ramach niesłychanie wysokiej indeksacji — został w lipcu 1989 r. ustawowo uchwalony przez Sejm. Reasumując: proces inflacyjny, uruchomiony w wyniku interakcji dwóch stron — rządowej i społecznej — przybrał postać niekontrolowanego żywiołu, galopującej inflacji. Opozycja domagała się daleko idącej indeksacji płac i indeksacji cen minimalnych w rolnictwie, nie licząc się z konsekwencjami, co w końcu przy Okrągłym Stole wywalczyła. Błędem zaś strony rządowej było to, że znając sytuację gospodarczą kraju oraz stan finansów lepiej od opozycji, ustąpiła.

T.T.: — *Nie celowo?*

L.B.: — Jeżeli przez działanie celowe rozumie pani, iż ktoś z góry założył, że utrudni pracę następców, bo dopuści do ogromnej inflacji, to na to nigdy nie będziemy mieli definitywnego dowodu, ale w moim przekonaniu, działań celowych nie było.

T.T.: — *I komuniści nie przygotowali sobie, według pana, miękkiego lądowania?*

L.B.: — Jeżeli mieli takie plany, to tempo wydarzeń zdecydowanie je przekreśliło. Zwycięstwo „Solidarności” w czerwcowych wyborach było dla rządu wielkim zaskoczeniem. Zresztą dla opozycji również. Myślę, że strona rządowa w ogóle nie liczyła się z możliwością całkowitego oddania władzy, była gotowa jednak do podzielenia się nią. Tego dowodem był dla mnie Okrągły Stół.

T.T.: — *A spółki? Lawina spółek nomenklaturowych, które roz-*

pełzły się po przedsiębiorstwach państwowych właśnie za Rakowskiego?

L.B.: — Podobne zjawisko występowało na Węgrzech, nazwano je tam spontaniczną prywatyzacją. W postawie Wilczka, Rakowskiego, Sekuły i innych występowało dążenie do zreformowania systemu gospodarczego, w ramach ich możliwości, czyli ograniczeń politycznych. Był to rok 1988 — stąd wprowadzane przez nich zmiany w systemie prawnym. Sądzę, że chcieli przekształcić przedsiębiorstwa w ramach menadżersko-nomenklaturowej prywatyzacji, która w ich przekonaniu była na swój sposób ewolucyjną formą zmiany systemu, w którym elita poprzedniego wchodzi w skład elity gospodarczej nowego systemu. Reformy rządu Rakowskiego zresztą, trzeba im to oddać, były na swój sposób radykalne: usunęły ograniczenia rozwoju sektora prywatnego, unowocześniły strukturę administracji publicznej, upodabniając ją do struktur funkcjonujących w państwach o gospodarce rynkowej oraz wprowadziły liberalizację handlu zagranicznego czyli usunęły część różnych ograniczeń, utrudniających nasze kontakty ze światem zewnętrznym.

T.T.: — *Ale przecież po to, żeby rozpuścić aferę alkoholową i samemu zarobić na eksporcie wódki.*

L.B.: — Nie, nie. Rząd Rakowskiego chciał rzeczywiście zliberalizować handel zagraniczny i na listę produktów podlegających liberalizacji wpisano napoje alkoholowe. Czasami błąd na poziomie urzędnika pociąga za sobą dość poważne konsekwencje. Nie jestem skłonny upatrywać w tym jakiejś premedytacji. Wiem, z własnej praktyki, jak dużą rolę — przy wielkim zagęszczeniu zdarzeń, stressie, napiętym terminarzu — pełni zwyczajny przypadek.

T.T.: — *Proszę pana, czy pan naprawdę nie wyczuwa, że ja panu daję szansę?*

L.B.: — Jaką szansę?

T.T.: — *No, żeby pan napłuł na tych wstrętnych komunistów.*

L.B.: — Przedstawiam swój pogląd, po prostu. Jaki miałem przedtem i obecnie.

T.T.: — *Ale plucie, na kogokolwiek, najlepiej na komunistów, dobrze pana ustawi politycznie. Naprawdę.*

L.B.: — To prymitywne chwytły, ja w nich nie gustuję. Staram się na rzeczywistość patrzeć obiektywnie. Zawsze. Nawet jeśli w niej aktywnie uczestniczę.

T.T.: — *Ale...*

L.B.: — Proszę pani, mnie nigdy nie zależało na piastowaniu urzędów, nigdy nie dążyłem do posiadania stanowisk. Mnie interesowało zadanie, które podjąłem się wykonać: transformacja gospodarki, stabilizacja.

T.T.: — *Podobno nagroda Nobla.*

L.B.: — (Uśmiech) Nagrodę Nobla daje się teoretykom ekonomii, a nie praktykom. Zgłoszenie więc mojej kandydatury było pomysłem może dobrze życzących mi ludzi, ale raczej nie-realnym. Istnieją, proszę pani, zadania, które są nagradzane same przez się, jedni nazywają to satysfakcją osobistą, inni altruizmem, mniejsza o nazwę. Ja — obejmując urząd — generalnie nastawiałem się na najgorsze, choć forma ataków mnie zaskoczyła. Najbardziej się bałem, by nie wykonać ruchu, który wprowadzi będzie akceptowany społecznie, czy nawet zjednujący mi sympatię, ale który spowoduje, że sytuacja gospodarcza na dłuższą metę się pogorszy i całe zadanie zostanie przekreślone, co także ze względów politycznych byłoby bardzo złe.

T.T.: — *Rozumiem, pan chciał tylko zbudować w Polsce kapitalizm? Tak?*

L.B.: — Gospodarkę typu zachodniego. Takich określił wtedy używał Tadeusz Mazowiecki i krąg jego współpracowników, także ja. Być może wynikało to z historycznych konotacji, bo słowo „kapitalizm” wynalezione zostało przez socjalistów i od narodzin miało negatywne zabarwienie. A być może wypływało z zastosowanej przez nas autocenzury językowej, bo istniał jeszcze przecież Związek Sowiecki i występowała pewna ostrożność w używaniu słów. Choć już nie w formułowaniu programów, bo w programie wyraźnie zostało powiedziane, że zmierzamy w kierunku gospodarki rynkowej. Kiedy akceptowałem przyjęcie stanowiska, miałem pełną świadomość, że po latach otworzyła się przed nami możliwość, autentyczna możliwość wyboru drogi rozwoju i dlatego należy w Polsce budować to, co sprawdziło się w świecie. A więc nie gospodarkę socjalistyczną, centralnie planowaną, samorządową, ale gospodarkę prywatną.

T.T.: — *Wbrew „Solidarności”, która przez 9 lat walczyła o socjalizm z ludzką twarzą, prawda?*

L.B.: — Trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: czy socjalistyczny program „Solidarności” wynikał z autentycznego przekonania, że odpowiednio zreformowany socjalizm jest per saldo lepszy od kapitalizmu, czy ze świadomości, że ze względów ustrojowych kapitalizm nie wchodzi w rachubę.

T.T.: — *I wbrew „Sieci” wielkich przedsiębiorstw państwowych,*

w której pracach sam pan uczestniczył, bo „Sieć” walczyła przeciw o samorząd pracowniczy.

L.B.: — Zgadza się. Ja i wielu ówczesnych ekonomistów szukaliśmy klucza do zmiany systemu gospodarczego, uznając, że obowiązujący jest najgorszym z możliwych. Samorząd pracowniczy był więc po pierwsze: formą ucieczki od centralnego planowania, po drugie: z trudem, ale mieścił się w ramach ustroju, więc istniały — według nas — polityczne szanse na jego wprowadzenie i po trzecie: był systemem gospodarczym sprawniejszym niż centralne planowanie.

T.T.: — *I wbrew porozumieniom Okrągłego Stołu.*

L.B.: — Od początku byłem krytycznie nastawiony do tej litanii socjalnej, jaką na obrady Okrągłego Stołu przygotowała „Solidarność”, do tego katalogu roszczeń poszczególnych grup zawodowych, choć rozumiałem, iż jej ówczesna pozycja — związku zawodowego — skłaniała do stawiania żądań. Zresztą nikt nie myślał, że w Polsce nastąpi zmiana ustroju i przekazanie władzy. Opozycja dążyła więc do zhumanizowania obowiązującego systemu.

T.T.: — *A czy jakkolwiek wytrzymałby wywalczone przez nią przywileje?*

L.B.: — Zgoda. Porozumienia Okrągłego Stołu — mówię o zapisach socjalnych — były nie do zrealizowania.

T.T.: — *Ale nikt otwarcie tego społeczeństwu nie powiedział, nikt!*

L.B.: — Byłem w lepszej niż inni sytuacji. Nie uczestniczyłem w obradach Okrągłego Stołu, więc nie czułem potrzeby tłumaczenia się. Niektóre jednak ustalenia stały się źródłem napięć. Pamiętam np. negocjacje z kolejarzami, chyba już w październiku 89. Uczestniczył w nich, obok Jacka Kuronia, jeden z dyrektorów Ministerstwa Finansów, który podpisał się pod ustaleniem, że płace kolejarzy mają być o ileś tam procent wyższe od średniej krajowej. Byłem wściekły i o mało go nie wyrzuciłem z pracy. Postulatu tego nie uwzględniliśmy.

T.T.: — *I tak zaczęły się strajki, jeden po drugim.*

L.B.: — Wtedy jeszcze nie.

T.T.: — *To trochę potem.*

L.B.: — Z góry wiedziałem, iż są dwa rodzaje ryzyka. W pamięci miałem cały czas przykład Argentyny, która zaczęła ześlizgiwać się po równi pochyłej i zaprzepaściła swoje szanse. Istniały dwa rodzaje ryzyka: jedno, że podejmie się działania

ekonomicznie słuszne ale spotkają się one z oporem społecznym i zostaną odrzucone lub drugie, iż w obawie oporu społecznego i odrzucenia podejmie się działania łagodniejsze od niezbędnych, zostaną one przez społeczeństwo zaakceptowane, ale nie przyniosą pożądanego rezultatu. Zdecydowałem się podjąć pierwsze ryzyko.

T.T.: — *I pan — oczywiście — z góry założył, że ludzie strajkują nieludznie?*

L.B.: — Proszę pani, są dwa sposoby widzenia rzeczywistości. Jeden intuicyjny, i drugi — nie wiem, jak go nazwać, niech będzie — ekonomiczny. W pierwszym: ludzie porównują to co jest, z tym co było. W drugim: to co jest z tym, co byłoby, gdyby nie wykonano pewnych posunięć. Otóż porównywanie „tego co jest z tym co było” jest nieracjonalne, dlatego że nie istniała żadna, absolutnie żadna możliwość utrzymania poprzedniego stanu i gdyby próbowano, byłoby jeszcze gorzej.

T.T.: — *I było. Ale — według powszechnej opinii — przez pana.*

L.B.: — To przykład takiej naturalnej intuicyjnej percepcji rzeczywistości, której ulega większość ludzi, bo rozumując w kategoriach swoich własnych interesów, oni porównują obecną sytuację z poprzednią i dochodzą do wniosku, że nastąpiło pogorszenie, że naruszone zostały ich interesy. Ich percepcja jest jednak w pewnym sensie nieracjonalna. Wyobraźmy sobie, że nie zaczęlibyśmy zmieniać struktur gospodarki, która była przecież niesprawna, a wystawiona na wstrząsy zewnętrzne stawała się jeszcze mniej efektywna. Polska naprawdę znajdowała się na równi pochyłej. I to jest ten właściwy, racjonalny punkt odniesienia do robienia wszelkiego typu porównań. Porównywać trzeba do sytuacji, która by zaistniała, gdyby nie podjęto decyzji o zduszeniu inflacji, gdyby nie próbowano prywatyzować gospodarki, gdyby nie zaczęto jej przestawiać na gospodarkę otwartą. W Polsce właściwie powtórzył się scenariusz rozegrany wcześniej w Ameryce Łacińskiej, że rządy, które próbowały opanować chaos w gospodarce znalazły się pod ostrzałem oskarżeń, iż tłumią produkcję, albo że wiszą na pasku międzynarodowych instytucji.

T.T.: — *Bo tłumią, recesja okazała się faktem. Tak jak spadek płac realnych i utrata wielu świadczeń socjalnych.*

L.B.: — Po kolei. Statystyczne płace realne były sztucznie podwyższane wskutek tego, że wynagrodzenia rosły znacznie szybciej niż ceny. Efektem tego nie był wzrost stopy życiowej, lecz gołe półki i hiperinflacja. Aby to usunąć trzeba było zahamować wzrost płac i spowodować, aby płace rosły przez pewien

czas wolniej niż ceny. Nie jest to jednak koszt reformy. Nie jest też kosztem spadek produkcji, bo to nastąpiłoby i bez mojego drastycznego programu, ponieważ gospodarka znalazła się na równi pochyłej i z każdym rokiem byłaby coraz mniej efektywna, choć jej ostateczny upadek rozłożyłby się w czasie, co uwzględniając psychologiczne uwarunkowania byłoby prawdopodobnie inaczej odczuwane.

T.T.: — *Przede wszystkim nie byłoby pana.*

L.B.: — Ja — wprowadzając mój program — liczyłem, że już w 1990 r. będziemy mieli większe rozeznanie, które z wielkich przedsiębiorstw państwowych są niewypłacalne, a które mają szanse rozwoju. Stało się inaczej, sektor publiczny rozpoczął walkę nie o poprawę swoich wyników ekonomicznych, ale o przetrwanie. Wielkie zakłady są bardzo niewdzięcznym obiektem przemian, część z nich w ogóle nie nadaje się zresztą do szybkich przekształceń czego — jak wiadomo — nie można zrobić szybko, również szybko jak ustabilizowanie czy zliberalizowanie gospodarki. Te ostatnie bowiem nie wymagają współdziałania mas ludzi, ale mogą być decyzjami jednej czy kilku osób, która wprowadzi wymienialność złotówki, usunie ograniczenia w imporcie, zmieni stopę procentową i przygotowuje do uchwalenia przez sejm kilkunastu ustaw.

T.T.: — *To może trzeba było poczekać.*

L.B.: — Jaruzelski kiedyś powiedział w jakiejś rozmowie

T.T.: — *wyłączyć magnetofon?*

L.B.: — Dlaczego?

T.T.: — *Bo gdy jeden z obecnych promienników chciał o nim coś dobrego powiedzieć, prosił o wyłączenie.*

L.B.: — Nie, nie, byłem u Jaruzelskiego kilkakrotnie, żeby go jako prezydenta poinformować, co zamierzamy robić w gospodarce. Wałęsę także — z uwagi na jego pozycję społeczną jako przewodniczącego „Solidarności” — powiadomiłem o naszych planach, z czysto pragmatycznej kalkulacji, żeby mniej więcej wiedział, co się zdarzy i nie czuł się zaskakiwany.

Co do świadczeń socjalnych Polska, jak i inne kraje post-socjalistyczne, miała nadmiernie rozwinięty, nieefektywny — uwzględniając nakłady — ekstensywny system osłony socjalnej, który po pierwsze: z każdym rokiem działał gorzej i po drugie: doszedł do punktu, w którym dalej działać nie mógł, bo dokładać do niego nie było już z czego. W Polsce powstała sytuacja, że można było tylko drukować pieniądze. Ale to nie to samo co tworzenie kapitału. Kapitał tworzą oszczędności, a oszczędności

powstają wtedy, kiedy jest realny wzrost, a dodrukowywanie pieniędzy napędza inflację, koło się zamyka. Ten szeroki system świadczeń socjalnych, przywilejów branżowych, a zwłaszcza różnego rodzaju deputatów, w zlikwidowaniu których wystąpiły wewnętrzne opory w rządzie, bo obawiano się, że przekroczą granicę tolerancji społecznej, bardzo utrudnił Polsce start. Musiałem iść na pewne kompromisy. Wielu mówiło: popatrzcie na Koreę Południową, na Tajwan, które osiągnęły fantastyczne rezultaty. Rzeczywiście osiągnęły. Ale po pierwsze: tam od samego początku istniała struktura kapitalistyczna i przedsiębiorstw nie trzeba było poddawać rekonstrukcji, bo już działały na zasadach wolnorynkowych. Po drugie: państwo było silne, odporne na grupy nacisku, przez to zdolne do forsowania długofalowej strategii rozwoju. Po trzecie: istniał bardzo ograniczony system świadczeń socjalnych, nie obciążających w takim stopniu jak u nas budżetu i słabe związki zawodowe, które z braku siły nie hamowały reform.

T.T.: — *Bo u nas — według pana — hamują, tak?*

L.B.: — Pytała pani wcześniej, czym różniła się sytuacja Polski od pozostałych krajów socjalistycznych. Wyliczyłem trzy wskaźniki ekonomiczne, nie wspominając o czwartym — społecznym.

T.T.: — *Niestuszy politycznie?*

L.B.: — (Uśmiech) Otóż tym czwartym elementem jest stopień mobilizacji pracobiorców. No i pod tym względem w Polsce było najgorzej.

T.T.: — *Inne nie miały „Solidarności”? Zorganizowanego społeczeństwa?*

L.B.: — Zorganizowanego, ale jednocześnie podzielonego, bo co jest charakterystyczne dla Polski, to bardzo silny i zarazem skonfliktowany ruch związkowy.

T.T.: — *Trzy związki zawodowe robotnicze, cztery chłopskie, mówię tylko o większych.*

L.B.: — Właśnie. Z tego powodu nie było i nie ma nadal jednego partnera do rozmów, bardzo trudno zawrzeć z nimi jakieś porozumienie czy pakt społeczny. Występowały także trudności techniczne, bo trzeba było wszystkie negocjacje dwukrotnie co najmniej powtarzać, a więc poświęcić im więcej czasu, ponieważ „Solidarność” np. nie chciała usiąść przy jednym stole z OPZZ-tem. Tych problemów nie miały ani Węgry, ani Czechosłowacja. Nie mówiąc już o Bułgarii, czy Rumunii. Tam też nie ma tyłu co u nas partii politycznych, prześcigających się w populizmie, a do populizmu łatwo się odwoływać w czasach nabrzmiałych oczekiwaniami.

T. T.: — *Ale koszty, proszę mówić o kosztach programu.*
 L. B.: — Według mnie jest jeden — utrata pewności pracy. Naturalną, strukturalną właściwością gospodarki rynkowej jest pewien margines bezrobocia. Gospodarka socjalistyczna charakteryzowała się innym typem nierównowagi: nadmiernym zatrudnieniem, nazywanym ukrytym bezrobociem, zjawiskiem być może pozytywnym, ale korzystnym tylko pozornie, bo ktoś musi za tę bezużyteczną często, czy zgoła mało efektywną pracę płacić i płacił — konsument. Zasady „czy się stoi, czy się leży” nie da się pogodzić z regułami gospodarki rynkowej. Każdy więc kto jest za gospodarką rynkową musi się godzić z marginesem bezrobocia. Nie ma bowiem i nie będzie żadnej realnej gospodarki rynkowej, która zagwarantuje wszystkim pewność zatrudnienia, to trzeba sobie jasno powiedzieć. Więc albo — albo. I jeżeli ktoś uważa, że pewność zatrudnienia jest w Polsce najważniejsza, powinien być za gospodarką socjalistyczną, świadomie akceptując jej cenę. Ceną jest nie stały poziom życia, ale z każdym rokiem pogarszający się.

T. T.: — *Akurat mnie nie musi pan przekonywać.*

L. B.: — Wiem.

T. T.: — *Ale kogo? Bugaja?*

L. B.: — ...

T. T.: — *Olszewskiego? Winieckiego? Janowskiego? Kurowskiego?*

L. B.: — ...

T. T.: — *No tak, plotek o innych spodziewać się po panu nie można, niestety.*

L. B.: — (Uśmiech) Jednej można. Bardzo się ubawiłem, gdy zobaczyłem Gabriela Janowskiego w roli ministra rolnictwa, jak tłumaczył chłopom, że nie wolno protestować przeciwko rządowi blokując drogi, choć dwa lata wcześniej sam blokował, doskonała ironia historii. (Śmiech).

Sierpień 1992

Rozmawiała Teresa TORAŃSKA

Brazylia: Problemy wieku przejściowego

ROZMOWA Z AMBASADOREM
 JOSÉ OSVALDO DE MEIRA PENNA*

HENRYK SIEWIERSKI: — *W swej książce „Brazylia w Wieku Rozumu” napisał Pan, że „Brazylia republikańska nie znalazła jak dotąd adekwatnej formy swej politycznej organizacji”. Z Pana analiz psychologii zbiorowej i brazylijskiego charakteru narodowego wylania się portret osobowości odmienniej antropologicznie i kulturowo od modeli zimnej i protestanckiej Północy. Zarazem jest Pan może najbardziej konsekwentnym obrońcą liberalizmu w Brazylii. Jak wyobraża Pan sobie tę adekwatną dla Brazylii formę politycznego zorganizowania? Jak wyglądać miałby brazylijski model liberalizmu?*

JOSÉ OSVALDO DE MEIRA PENNA: — Tym, co charakteryzowało protestancką kulturę anglosaską i pozwalało na rozkwit liberalizmu w Anglii, Stanach Zjednoczonych i później w innych krajach Europy zachodniej, była zdolność pogodzenia wolności z ideą państwa praworządnego, *the rule of law*. Niestety w państwach łacińskich nie było to takie proste. Widzimy to choćby na przykładzie Francji, która w ciągu ostatnich 200 lat miała 15 różnych ustrojów i konstytucji. Można powiedzieć, że kraj ten żyje w stanie permanentnego braku stabilności. Także przez Włochy, Hiszpanię i Portugalię przetaczały się kolejne rewolucje i dyktatury. Teraz dopiero kraje te dają sygnały, jak gdyby wreszcie dostosowały się do form demokratycznych i liberalnych wypracowanych przez Anglosasów.

Brazylia, podobnie jak inne kraje Ameryki Łacińskiej, wytworzyła i rozbudowała państwo paternalistyczne, które od początku górowało nad społeczeństwem, które wyprzedzało niejako społeczeństwo. Myśliciel i poeta meksykański Octavio Paz mówi o filantropijnym Ogru. Ogru jest potworem i zarazem isto-

* José Osvaldo de Meira Penna — politolog, pisarz, dyplomata — jest jednym z głównych obrońców myśli liberalnej w Brazylii, autorem wielu książek, m.in.: *Psychologia niedorozwoju, Brazylia w Wieku Rozumu, Ideologie XX wieku, Utopia brazylijska, Opcja preferencyjna na rzecz bogactwa*. W latach 1980-81 był ambasadorem Brazylii w Polsce.

tą filantropijną, które traktuje swych poddanych jak dzieci, niezdolne do tego, by rządzić się same. Kontroluje zatem wszystko cokolwiek czynią, utrzymuje rząd paternalistyczny, zaspokaja wszystkie ich potrzeby i dba o to, aby odpowiednio się zachowywały. Przejście do systemu bardziej nowoczesnego nie jest jednak łatwe. Kiedy pisałem książkę „Brazylia w Wieku Rozumu”, chciałem powiedzieć, że Brazylia nie przeszła przez „Wiek Rozumu”. Europa przeszła w XVII i XVIII wieku, kiedy to zostały zbudowane podstawy państwa nowoczesnego, liberalnego i demokratycznego. Brazylia teraz dopiero dorasta do „Wiek Rozumu”, teraz dopiero, z wielkimi trudnościami, zaczynają się tu czasy nowożytne. Proces ten jeszcze trochę potrwa, i w Brazylii, i w całej Ameryce Łacińskiej. Nasza przewaga nad niektórymi krajami Ameryki hiszpańskiej polega na tym, że Brazylia nie wytworzyła tradycji przemocy politycznej. Nasza historia dostarcza stosunkowo niewielu przykładów politycznego gwałtu. Dlatego też ten nasz okres przejściowy jest w zasadzie wolny od krwawych wstrząsów. Nie znaczy to, że jest łatwy.

Wybitny politolog amerykański, Samuel Huntington, w jednej ze swych książek na temat społeczeństw rozwijających się mówi, że społeczeństwa te muszą najpierw rozwiązać swoje problemy polityczne, gdyż inaczej rozwój jest niemożliwy. Zgadza się całkowicie z tym stanowiskiem. Brazylia nigdy nie rozwiązała swoich problemów politycznych. Skończyło się Imperium, przyszedł okres tzw. Starej Republiki (do 1930), republiki oligarchicznej, potem okres skrajnej destabilizacji lat 1930-37, po którym zaczęła się dyktatura tzw. Nowego Państwa, dyktatura Getulio Vargasa, później nastąpił kolejny okres destabilizacji (1945-1964) zakończony niemal anarchią, po czym zaczęły się rządy nowej oligarchii wojskowej trwające aż do 1980 r. — i obecnie znajdujemy się jeszcze w okresie przejściowym i sukces Nowej Republiki stoi jeszcze pod wieloma znakami zapytania.

H. S.: — Poświęcił Pan wiele uwagi analizie myśli utopijnej i jej społecznych realizacji. Wygląda na to, że krytyka marksizmu nie przeszkadza Panu darzyć pewną sympatią utopii brazylijskich.

J. O. M. P.: — To wcale nie znaczy, że nie dostrzegam lub lekceważę niebezpieczeństwa utopii. Lękiem napawa mnie utopia polityczna. Myślę jednak, że utopia może mieć efekt pozytywny, jeśli nie tworzy politycznych form totalitarnych, katastrofalnych w skutkach, jak to pokazał wiek XX. Np. utopia urbanistyczna, idea budowy miasta nowoczesnego, futurystycznego, została zrealizowana w Brazylii, dobrze czy źle, poprzez budowę naszej nowej stolicy. Brasilia jest utopią urbanistyczną, którą można

krytykować z wielu powodów, lecz której nie można odmówić też wielu stron pozytywnych. W książce „Utopia brazylijska” chciałem pokazać, że element utopijny istnieje w Brazylii od początku portugalskiej kolonizacji. Istnieje w Brazylii tak jak i w całej Ameryce. Ameryka została nazwana Nowym Światem, światem utopijnym. Odnosi się to do Ameryki Południowej i Północnej. Amerykańscy Ojcowie Pielgrzymi również wyobrażali sobie, że w Ameryce Północnej odnajdą Ziemię Obiecaną. Stany Zjednoczone rozwinęły się na bazie idei wolności, bogactwa, sprawiedliwości, szczęścia — idei w swej istocie utopijnej. Trzeba więc widzieć w utopii ten podwójny aspekt, widzieć jej ambiwalentność. Ja interpretuję utopię oczywiście jako sekularyzację chrześcijańskiej obietnicy Nowego Królestwa. Oczekujemy tego Królestwa Bożego na Ziemi. To oczywiście idea głęboko ambiwalentna, ma aspekty pozytywne i negatywne. Trzeba jednakże przyznać, że jest ona czynnikiem mogącym służyć rozwojowi, bowiem bez nadziei na lepszy świat postęp byłby niemożliwy.

H. S.: — Czy w związku z tym i mesjanizm jest tu wciąż żywym elementem świadomości politycznej?

J. O. M. P.: — Historia Brazylii zna wiele ruchów mesjanistycznych, począwszy od przeniesionego tu z Portugalii sebastianizmu, który był reakcją na załamanie się potęgi Portugalii w XVII w. Cechą charakterystyczną tego mesjanizmu jest oczekiwanie na powrót króla Sebastiana. Zginął on wprawdzie w bitwie w 1578 r., ale ciało nie zostało znalezione i ma powrócić jako Mesjasz, który zbawi kraj od dekadencji i wszelkich nieszczęść. Sebastianizm ten przyjął się na dobre w Brazylii i wciąż jest obecny, ciągle oczekujemy na Męża Opatrznościowego, zwanego „Zbawcą Ojczyzny”. Nasz odsunięty prezydent, Fernando Collor, miał wiele cech „Zbawcy Ojczyzny”. Dla wielu Brazylijczyków był on „nowym Mesjaszem”, nowym Dom Sebastianem, który uwolni Brazylię od korupcji, polityków, chaosu i inflacji. Mesjanizm i utopia polityczna to zatem cechy stałe naszej świadomości politycznej.

H. S.: — W brazylijskiej myśli obecna jest tendencja przeciwstawiania wartości cywilizacji europejskiej wartościom „cywilizacji tropików”, i jeśli nawet nie zawsze jest to tak wyraźne przeciwstawienie jak w modernistycznym ruchu antropograficznym, to przynajmniej wiąże się z przekonaniem, że Południe ma do spełnienia szczególną misję. Czy i tu nie dochodzi do głosu swoisty mesjanizm, mesjanizm tropików?

J. O. M. P.: — Kwestii cywilizacji tropików poświęcił wiele uwagi nasz największy socjolog, Gilberto Freyre. Stworzył on nawet osobną dziedzinę nauki, którą nazwał tropikalizmem. Uważam za słuszną ideę cywilizacji tropików i jej misji (niekoniecznie mesjanistycznej), jednakże nie jako konkurencyjnej wobec cywilizacji europejskiej czy też jej przeciwieństwa, ale jako jej korekty czy też uzupełnienia w tropikach. Brazylia byłaby według mnie pierwszym przypadkiem adaptacji cywilizacji europejskiej w klimacie tropikalnym. W Ameryce Północnej cywilizacja europejska zaadaptowała się w klimacie umiarkowanym, podobnym do europejskiego. Brazylia jest pierwszą próbą dostosowania się cywilizacji europejskiej do klimatu tropikalnego i do populacji mieszanej, co najmniej w 50% pochodzenia afrykańskiego, indiańskiego czy mieszanego. Mamy więc tutaj cywilizację przemysłową, która dostosowuje się do tropiku. Jest to niewątpliwie nowy wkład do cywilizacji europejskiej, która w ten sposób może wykazać swą zdolność dostosowania się do tropiku, co dotąd jeszcze nie nastąpiło.

H. S.: — *I w Azji, np. w Indiach, Indonezji czy w Azji południowo-wschodniej?*

J. O. M. P.: — Tak, można powiedzieć, że lepiej czy gorzej cywilizacja europejska się tam zadamawia. Istniało tam jednak bogate podłoże kulturalne, stare cywilizacje, które już opanowały tropik. Oczywiście nie mam wątpliwości co do szans cywilizacji europejskiej w Azji. Widzimy np. Singapur, gdzie współczesna cywilizacja przemysłowa, kapitalistyczna, buduje wspaniałe, bogate miasto. To samo widzimy w Tajlandii. Co do Indii czy Indonezji, to trudno w tej chwili powiedzieć, czy adaptacja taka będzie możliwa. Są to kraje bardzo biedne, gdzie demokracja nie posiada jeszcze zbyt pewnych fundamentów.

H. S.: — *Jakimi wartościami swej kultury może Brazylia Pana zdaniem w sposób szczególny wzbogacić Europę?*

J. O. M. P.: — W jednej z moich książek próbowałem dokonać rozróżnienia między społeczeństwem, które określiłem jako „erotyczne” i „społeczeństwem logicznym”, używając pojęcia „erotyczne” w sensie filozoficznym, jak np. u Platona. Zainspirował mnie tu argentyński autor z początku wieku, Leopoldo Lugones, który zaproponował rozróżnienie między „kulturą prawdy” i „kulturą piękna”. „Kultura prawdy” to według niego kultura społeczeństw protestanckich, naukowych, technologicznych, a „kultura piękna” to kultura formy, sztuki, kultura basenu Morza

Śródziemnego. Myślę, że naszą misją jest odzyskanie dla kulturowego kompleksu Zachodu tego elementu kultury formy i piękna, tak bardzo zaniedbanego przez rozwój technologiczno-przemysłowy. Sztuka XX wieku, w porównaniu ze sztuką wieków poprzednich w Europie jest bardzo biedna. Myślę więc, że Brazylia mogłaby przyczynić się znacznie do odrodzenia „kultury formy”.

Filozof niemiecki Herman von Keyserling napisał w latach dwudziestych, po podróży do Argentyny, Brazylii, Chile i Boliwii, książkę pt. *Medytacje południowo-amerykańskie*. W książce tej, mówiąc o wkładzie jaki Brazylia wnosi do kultury europejskiej, używa on słowa portugalskiego „delicadeza” (delikatność), które jak twierdzi jest nieprzekładalne na język niemiecki. Wkład brazylijski polegałby więc na „delikatności”, tj. na szczególnym sposobie międzyludzkiego obcowania, w którym czynnik uczuciowy góruje nad utylitarnym. Brazylijczyk byłby więc istotą szczególnie wrażliwą, wymagającą uprzejmego i delikatnego traktowania, gdyż w przeciwnym razie może się zdegenerować i stać agresywnym. Inne ludy hiszpańsko-amerykańskie posiadają tę samą wrażliwość, lecz brak im kultury „delikatności”, stąd też stosunki międzyludzkie łatwiej prowadzą tam do aktów przemocy. Problem rasowy np. rozwiązaliśmy stosunkowo łatwo, w zasadzie bez stosowania przemocy. To nie znaczy, że w Brazylii nie było i nie ma dyskryminacji rasowej, lecz rodzaj panujących stosunków międzyludzkich czyni tę dyskryminację niejako podświadomą, łagodzi konflikty i nie dopuszcza do przerodzenia się ich w konfrontacje z użyciem siły.

Myślę, że taki właśnie mógłby być nasz wkład, estetyczny i etyczny, do cywilizacji zachodniej w tropikach.

H. S.: — *Nieomal wszyscy autorzy piszący na temat brazylijskiej psychologii zbiorowej mówią o niechętnym stosunku do etosu pracy jako cesze charakterystycznej. Niektórzy starają się nadać jej sens pozytywny, doszukując się tu wartości zapoznanych przez cywilizację pracy. Czy i Pan myśli, że kryje się tu jakieś przesłanie tropików dla Europy?*

J. O. M. P.: — Tak, *ociosidade* to motyw stały naszej narodowej psychoanalizy. Np. Paulo Prado w swym *Portrecie Brazylii* mówi dużo o lenistwie, zachłanności i pożądlivości jako cechach charakterystycznych naszej narodowej formacji... Rzeczywiście, nie da się ukryć, że dużo w tym prawdy, ale to nasze lenistwo nie przeszkodziło np. budowie Sao Paulo, miasta wielkiej pracy, miasta którego mieszkańcy są dumni ze swej pracy. Lecz rzeczywiście istnieje kult łatwego, wygodnego życia. W jednej z ostat-

nich moich książek pisałem o *homo ludens* i karnawale jako formie, w której najpełniej wyraża się nasz charakter ludyczny. Ale karnawał nie jest wyrazem lenistwa czy *ociosidade*, wręcz przeciwnie, jest wyrazem żywiołowej ekspansji życiowej energii. Natomiast lenistwo byłoby według mnie głównym nałogiem państwa paternalistycznego. Wyszła ostatnio książka myśliciela i prawnika z Sao Paulo, Ivisa Gándary, pt. *Nova classe ociosa* (Nowa klasa próżniacza) — „klasa próżniacza” to klasa biurokracji, która zajmuje tak wiele miejsca w naszej strukturze społecznej i politycznej.

H.S.: — *Czy i jak załamanie się komunizmu wpływa na świadomość i życie polityczne w Brazylii?*

J.O.M.P.: — Jako społeczeństwo pół-kolonialne, peryferyjne, podążamy zawsze za „modelem społeczeństwa wzorowego”, tj. społeczeństwa zachodniego, europejskiego i amerykańskiego. To „społeczństwo wzorowe”, które mniej więcej od stu lat kulturowało utopię socjalistyczną, rzeczywiście porzuciło ją na Zachodzie i obecnie również na Wschodzie Europy. Wygląda więc na to, że model socjalistyczny i komunistyczny wszedł w fazę końcową swego istnienia i będzie to oczywiście miało swój oddźwięk w Brazylii, tyle że trzeba będzie nań poczekać jeszcze dziesięć, może dwadzieścia lat. Odnosi się wrażenie, że lewicowi intelektualisci w Brazylii nie czytają gazet i nie wiedzą, co się dzieje w świecie. Słyszcy się często komentarze wprost absurdalne. Np. nie tak dawno przeprowadzono ze mną wywiad na temat Róży Luksemburg. Byłem jedynym spośród sześciu pisarzy, socjologów i politologów brazylijskich, który na pytanie o aktualność Róży Luksemburg dał odpowiedź negatywną, wszyscy pozostali starali się dowieść jej aktualności. Mam jednak nadzieję, że jeszcze przed końcem wieku dotrze do intelektualistów brazylijskich fakt, że Marks umarł.

H.S.: — *Czyż jednak przegrana kandydata lewicy, Luli, w drugiej turze ostatnich wyborów prezydenckich (1990) nie miała nic wspólnego z przeobrażeniami Europy Środkowej i Wschodniej?*

J.O.M.P.: — Trzeba pamiętać, że Lula przegrał różnicą zaledwie 5% głosów tj. miał zaledwie o 3 mln mniej głosów niż Collor, na ogólną liczbę 80 mln głosujących. Przegrał więc stosunkowo niewielką różnicą. I trzeba też pamiętać, że Lula nie jest komunistą, ale lewicowym socjalistą. Lewica była bardzo mocna w ostatnich wyborach i można powiedzieć, że to cud, że Lula nie wygrał i że lewica socjalistyczna i skrajna lewica nie

doszły do władzy, co oznaczałoby pogorszenie i tak już trudnej sytuacji. Było bowiem prawie pewne, że w takim przypadku doszłoby do wzmocnienia skorumpowanego państwa, być może do upaństwowienia banków i do odmowy spłaty długów zagranicznych, co doprowadziłoby do zerwania z międzynarodową wspólnotą finansową i jeszcze większej izolacji Brazylii.

H.S.: — *O ile przegrana Luli przed dwoma laty graniczyła z cudem, to dziś widać wyraźnie, że wybór Collora żadnym cudem nie był. Nasuwa się więc pytanie, czy upadek prezydenta Collora, który potrafił zmobilizować przeciwko sobie ogromne rzesze swoich niedawnych wyborców, nie tylko wzburzonych skandalem korupcji, ale również rozczarowanych efektami jego polityki gospodarczej, neoliberalnej, nie daje dziś mocnego argumentu lewicy?*

J.O.M.P.: — Niewątpliwie tym, co doprowadziło do upadku Collora i zmarnowania wielkiego kapitału nadziei i zaufania, jakim dysponował przed dwoma laty, był brak doświadczenia, arogancja, impulsywność i monumentalna głupota, wywodząca się z prowincjonalizmu jego klienteli. Jako swoich najbliższych współpracowników Collor dobrał sobie najgorszy element, jaki tylko można sobie wyobrazić. Wydawszy ok. biliona dolarów na swoją kampanię wyborczą, musiał widocznie jakoś spłacić dług swoim mecenasom, grzęznąc przy tym samemu w bagnie korupcji. Zarazem jednak jest Collor wielkim kozłem ofiarnym sfrustrowanej lewicy. Ruch na rzecz *impeachment* był oczywiście w głównej mierze reakcją zagrożonych interesów polityków, monopolistycznych przedsiębiorców, pasożytniczej biurokracji, nacjonalistów i „wdów z Placu Czerwonego”. Kryzys rządowy odzwierciedla głęboki kryzys państwa brazylijskiego, nieadekwatność naszych instytucji w stosunku od rzeczywistości, jego wielką podatność na korupcję. Dlatego, choć bez większego entuzjazmu, skłaniam się ku parlamentaryzmowi, za którym w wyznaczonym na przyszły rok plebiscycie wypowie się zapewne większość Brazylijczyków. W stuletniej historii naszej Republiki Collor jest pierwszym cywilem, który wybrany prezydentem w powszechnych, bezpośrednich i pluralistycznych wyborach, został odsunięty od władzy nie poprzez zamach stanu. Wszystko wskazuje na to, że u nas prezydenjalizm republikański nie zdaje egzaminu.

H.S.: — *Jako ambasador Brazylii w Polsce w latach 1980-81 był Pan świadkiem narodzin „Solidarności”. Jak Pan dziś ocenia tamte doświadczenia?*

J.O.M.P.: — „Solidarność” była ruchem antycypującym *glasnost* i *pieriestrojkę* i myślę, że był to w ogóle pierwszy na tak wielką skalę ruch transformacji i liberalizacji w Europie środkowej i wschodniej. Proces ten został wprawdzie przerwany przez stan wojenny, ale i tak Polska pokazała drogę, którą później poszedł Gorbaczow i inne kraje Europy Wschodniej. „Solidarność” to jedyna w swoim rodzaju świadoma i zorganizowana siła polityczna, nie mająca sobie równej czy choćby podobnej ani w ZSSR, ani w żadnym innym kraju środkowej i wschodniej Europy. Uważam, że miałem duże szczęście, mogąc być w Polsce w tym historycznym okresie.

Brasilia, listopad 1992

Rozmawiał Henryk SIEWIERSKI

KSIĄŻKI

ANTYKWARYCZNE I Z PRODUKCJI BIEŻĄCEJ

Na żądanie wysyłamy katalogi zawierające działy:

HISTORIA POLSKI ● LITERATURA ● JUDAICA

JĘZYKOZNAWSTWO ● BIBLIOGRAFIA

RELIGIA ● SZTUKA

KSIEGARNIA POLSKA:

A. i E. NEUSTEIN, TEL-AVIV, Allenby 94,
P.O.B. 29443, tel. 560 63 11, fax 00-972-3-62 38 76.

Kraj

Przesuwania rządu ciągnie dalszy

1. Zapowiadany moment prawdy (patrz *Kultura* 12/1992) właśnie nadszedł, choć nie podobna jeszcze przewidzieć rezultatu politycznego tego spiętrzenia rozstrzygnięć, które nastąpią najpóźniej wkrótce po Nowym Roku. Z wieloma z nich od dawna już zwlekano, choć sytuacja nie jest wcale taka komfortowa, by wolno było liczyć, jak w zeszarych i dobrze osiadłych układach, że nie ma okoliczności, w których by w końcu brak rozwiązań nie był najlepszym rozwiązaniem (program prywatyzacji, problem mieszkaniowy). Na pewno zaś nie można będzie uniknąć decyzji co do budżetu i ustaw towarzyszących ani też nie uda się już chyba odroczyć awantury o zakaz aborcji. Sądzę, choć to jest trochę wróżenie z fusów, że rząd Hanny Suchockiej przetrwa tę wielką falę, ale sądzą również, że wyjdzie z niej politycznie nadszarpnięty, z przetrąconym grzbietem, sparaliżowany.

Skąd to przewidywanie?

Stąd, przede wszystkim, że sygnalizowana poprawa gospodarcza jest i zbyt nierównomierna, i zbyt nikła. Według Osiatyńskiego produkcja przemysłowa w grudniu wyniesie 111-112 % grudniowej z 1991, za rok będzie znów o 13 % wyższa niż teraz. Ale już produkt narodowy brutto w r. 1992 nie wzrośnie chyba o więcej niż o 1-1,5 % w porównaniu z 1991 (rok do roku), a w 1993, według pani Gronkiewicz-Waltz z Narodowego Banku Polskiego, wzrost też nie przekroczy 2%. Co gorsza, jest to wzrost bardzo wybiórczy, dotyczy niektórych tylko branż i, zwłaszcza, głównie czołówki zakładów (jego motorem jest eksport). Wszystko to można uznać za całkiem prawidłowy bieg rzeczy, gdyż tak słabo stymulowane wychodzenie z recesji w warunkach przebudowy systemów własności i zarządzania nie

pozwala się spodziewać niczego lepszego. Otóż tego, co prawidłowe, nie wystarcza. Bezrobocie rośnie nadal (stopa 13,5%), marginalizując trwale coraz nowe setki tysięcy rodzin. Rozrastają się terytoria, gdzie nie ma nadziei na nic. Pisałem o tym w poprzedniej *Kulturze*. Przybywa więc jednocześnie i ludzi wyzbytych z nadziei, i tych, którzy spodziewają się, i nieraz domagają, zbyt wiele, jak na to, co mogą uzyskać.

Poprawa zbyt nikła i nierównomierna oddziałuje zapewne bardzo rozmaicie na nastroje i nastawienia opinii. Sondaże przeprowadzone w połowie listopada, a publikowane w grudniu zdają się na to wskazywać (CBOS, sopocka PBS). Z jednej strony rośnie procent respondentów, którzy sądzą, że polityka rządu daje szansę na wyjście z kryzysu; w listopadzie było ich po raz pierwszy od długiego czasu więcej niż pesymistów (40:37), z drugiej, z przeliczeń korelacyjnych wynika, że nastroje są coraz wyraźniej determinowane przynależnością respondenta do Polski A lub Polski B. 44% odpowiada CBOSowi (w październiku): „Dla ludzi takich jak ja nie ma w gruncie rzeczy znaczenia, czy rząd jest demokratyczny czy nie”. 43% sądzi zresztą, że polska demokracja funkcjonuje źle, a tylko 1%, że dobrze.

Tutaj dochodzimy do drugiej grupy respondentów politycznych sondaży, tych mianowicie, których odpowiedzi nie determinuje tak bardzo ich sytuacja materialna i jej perspektywy. Z tej grupy rekrutują się głównie aktywni wyborcy i rzeczywista klientela partii politycznych. Właśnie nastroje w tej grupie obywateli w stanie czynnym decydują w znacznej mierze o zachowaniach klasy politycznej.

Obywatele są zatem zdania, że demokracja funkcjonuje źle. Lubią na ogół premier Suchocką (80% listopadowych respondentów CBOS „ufa” pani premier..., cokolwiek by to miało znaczyć), ale aż 53% jest zdania, że jej rząd kieruje się raczej interesami partyjnymi niż interesem państwa (22% nie ma zdania, 25% sądzi przeciwnie). Otóż partie mają w opinii pozycję słabą i z upływem ostatnich miesięcy 1992 coraz słabszą. Najnowszy zestaw preferencji wyborczych (PBS, listopad) jest w tym zwłaszcza znamieny, że wydatny spadek odnotowują w nim zarówno partie, utożsamiane z trzonem koalicji rządowej — Unia Demokratyczna, Kongres Liberalno-Demokratyczny, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe — jak też ugrupowania „twardej” opozycji: Konfederacja Polski Niepodległej, Polskie Stronnictwo Ludowe, Porozumienie Centrum (a Ruch dla Rzeczypospolitej nie osiąga nawet bariery 2% wskazań). Sukces odnoszą tylko Sojusz Lewicy Demokratycznej z Ruchem Ludzi Pracy OPZZ-etu, NSZZ „S” oraz Unia Pracy; pierwsze dwie formacje najpewniej ze względu na nadzieje związane z „paktem

dla przedsiębiorstw”, które się w grudniu raczej nie potwierdziły. Unia Pracy dosięga 5,5% wskazań jeszcze przed inicjatywą referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej, a SLD zbiera punkty (11% wskazań) także jako opozycja wprowadzie zdecydowana, ale, jak to stwierdziła sama pani premier, odpowiedzialna. W sumie zaledwie 7 stronnictw uzyskuje ponad 5% wskazań każde, tzn. przechodzi próg aktualnie planowanej ordynacji. Jednocześnie inny sondaż (CBOS) dowodzi, że rośnie ilość wyborców skłonnych uczestniczyć w przedterminowych wyborach. 40% w listopadzie, wobec 33% w lipcu, będzie, jak twierdzi, głosować na pewno; 20% chyba tak — bez zmiany; 11%, wobec 17% w lipcu — raczej nie; wreszcie 16%, wobec 20% w lipcu — na pewno nie.

2. Przytoczone wyniki ilustrują chyba dobrze przyczyny, dla których większość partii politycznych, koalicyjnych i opozycyjnych zaczęła się już w końcu listopada zachowywać nerwowo, w grudniu zaś wręcz maniackalnie. Opisywane w poprzedniej *Kulturze* przesuwania rządu na nowe (po części) fundamenty nie przebiega już spokojnie, niepostrzegalnie i bez wstrząsów. W szczególności, wiele ugrupowań zachowuje się tak jakby już rozpoczynały kampanię wyborczą, chociaż zarazem proste fakty dowodzą, że kampanii takiej nie mogłyby wygrać. Innymi słowy, tupią i robią groźne miny, ponieważ nie wolno im okazać, że właściwie boją się wojny. Ponieważ jednak rzecz nie dzieje się wśród chłopców na podwórku, ale w świecie dorosłych i na serio, łącznie mogą sobie wytupać tę wojnę, od której chcieli tamtych drugich odstraszyć. W tupaniu celują KPN i PC, część „olszewików” i rozmaici wolni strzelcy z różnych ugrupowań chłopskich, bez różnicy, rządowych i opozycyjnych. Jak się zdaje, tylko w przypadku KPN jest to działanie planowe, co nie znaczy, że zaplanowane trafnie: KPN, która zawsze grała o całą pulę — ostatecznie, Moczulski jest jedynym, obok Wałęsy, kandydatem na prezydenta RP drugiej kadencji — nie oczekuje już niczego od aktualnego parlamentu i lęka się, nie bez podstaw, że im dłużej będzie on trwał, tym bardziej archaiczną wyda się ona sama. Jak długo można wieszać Jaruzelskiego i śpiewać Pierwszą Brygadę? KPN wykorzystuje więc każdą okazję, by aktualny *establishment* polityczny wyśmiać i sponiewierać w oczach wyborców; argumentów jej rzecznicy stosują niewiele i coraz rzadziej, przeciwnik nie zasługuje na nie, wystarczą mu epitety. Jak dotąd, KPN raczej traci niż zyskuje (prawie 12% wskazań wyborczych w lipcu, niespełna 8% w listopadzie), ale jest ciągle jeszcze wysoko nad 5-procentową kreśką. PC się natomiast po prostu rozlatuje, „olszewicy” zaś usiłują zaistnieć, jako spoista politycznie siła, ich poczynania publi-

czne nie są więc, by tak rzec, planowane wyborczo, lecz egzystencjalnie, jest to bardziej dowód typu „krzyczę, więc jestem”, a jeszcze nie lub już nie rzeczywista mobilizacja. W sumie ta „twarda” opozycja reprezentuje dość skromny potencjał wyborczy, jej godzina mogłaby wybić dopiero w razie otwartego kryzysu demokracji, kiedy na ulicę wychodzą pałkarze w kolorowych koszulach a nikogo innego nie ma.

Znacznie ciekawsze rzeczy dzieją się natomiast w obozie koalicji, a najciekawsze jest właśnie to, że najzupełniej świadome, iż kontrakt koalicyjny z Hanną Suchocką jest dla nich optymalnym w obecnych warunkach rozwiązaniem i że raczej tracą prowokując kryzys i ewentualne przedterminowe wybory — partie te ulegają coraz częściej i coraz gromadniej takiej samobójczej, zdawałoby się, pokusie. W ZChN miernikiem sytuacji może być fakt, że notable partyjni: Chrzanowski, Niesiołowski, Goryszewski, są tam dziś rzecznikami koalicyjnego umiaru, którzy z trudem utrzymują pozory dyscypliny w szeregach. „Siedmiu wspaniałych” posłów Marka Jurka z frakcji Akcji Katolickiej nie ogranicza się bynajmniej do walki w obronie poczętych (oraz tych, którzy właśnie poczęci być mają). Grupa ta otwarcie aspiruje do przewodzenia ponadpartyjnemu blokowi integrystów i w tym celu afiszuje bez żadnej zenady takie poglądy, jak np. że Narutowiczowi nie należy się pamięć, bo był masonem (Jurek) lub że zdarza się wprawdzie przyzwoity niewierzący, ale tylko wśród tych, których wychowały wierzące matki (Libicki). Warto wiedzieć, że wymienieni panowie nie są to żadne gorące, niedowarzone głowy, lecz świadomi politycy: afiszowanie skrajności jest dla nich najlepszym sposobem takiego „ustawienia się” (na prawo od prawej ściany), żeby zająć pozycję przewodników stada. W ich rozumowaniu nadal na prawo, walka zaś polityczna jest walką dobra ze złem. Jakoż siedmiu wspaniałych znajduje adherentów nie tylko we własnej partii, zaś paraliż polityczny, jaki ogarnął trzeźwiej myślącą część polskiego Episkopatu — od Glempa do Muszyńskiego i Zimonia — i uniemożliwił jej jakikolwiek kompromis w związku z ustawą antyaborcyjną, jest także dowodem siły integrystycznego nurtu.

Nawet jeśli Hanna Suchocka i jej doradcy szczerze wierzą, że sprawa aborcji (a właściwie penalizacji aborcji) nie załamie koalicji, integrysty są niebezpieczni dla rządu w nieco inny, bardziej pośredni sposób. Do niedawna kompromis UD-ZChN wystarczał, by koalicja mogła ogarnąć cały chrześcijański nurt polityczny (nawet PC, choć chadeckie głównie z nazwy, też się do niej zgłaszało). Teraz krystalizacja formacji integrystycznej sprawia, że katolicy alianci Unii Demokratycznej, zarówno ZChN jak chadecy Halla i Łebkowskiego, stają się bardziej wyma-

gający, a ich lojalność wobec koalicji wątpliwsza. Ostatecznie doprowadzi to najpewniej do wyjścia z koalicji części obozu katolickiego. Logicznym odpowiednikiem tej ewolucji jest niespodziewana „liberalna radykalizacja” drugiego skrzydła koalicji, klubu liberalnego (KLD-PPG-rozłamowcy z PC). Tutaj „powrót do źródeł” objął zarówno otwarty sprzeciw wobec wyznaniowości państwa jak i zakwestionowanie fiskalizmu budżetowego, który, zdaniem liberałów, dławi przedsiębiorczość. Ponieważ wszyscy twierdzą, że klasa średnia już jest, liberałowie nie zamierzają najwyraźniej nikomu odstąpić ani jej, ani jej pieniędzy, a antyklerykalizm ich nowego manifestu ma również adresatów wśród zwolenników Unii Demokratycznej. Wreszcie Unia Demokratyczna, która nawet już po odejściu grupy Halla nie umie się zdobyć na żadne bardziej wyraziste zachowania. Unia jest aż tak państwowotwórcza i aż tak dogłębnie oddana pluralistycznej demokracji, że usiłuje być odzwierciedleniem swoich ideałów: państwowa i pluralistyczna. Obserwatorom wydaje się nieraz, że ludzie tej partii nie mają żadnych poglądów poza tolerancją, która jest wobec tego swoistym „uśmiechem Kota bez Kota”. UD odpowiada na to, że jest tylko nieideologiczną formacją i nie gwałci niczych sumień. I zapewne gdyby UD była sama na scenie, byłaby to całkiem sympatyczna monopartia. Ale w otworzeniu politycznym Polski 1992 taka postawa czyniłaby z niej po prostu gliniany garnek wśród żelaznych. Czyniłaby — gdyż naprawdę UD nie jest wcale aż tak nieideologiczna i aż tak bezbronna. Jest to formacja, która odpowiada dość dokładnie formułce z felietonu Kołakowskiego o konserwatywno-liberalnych socjaldemokratach — dodać by należało jeszcze „wierzących” — oraz ulubionej tezie Michnika o niedorzeczności podziału na prawicę i lewicę. Ukryta ideologia UD sprawia, że partia ta może funkcjonować tylko w odpowiednio „miękkim” otoczeniu, gotowym zawsze do pragmatycznych kompromisów. Tymczasem w Polsce 1992 kompromisy są coraz trudniejsze i coraz częściej niezwykle niemożliwe, czego np. doświadcza teraz ze swym budżetem najbardziej kompromisowy z pokomunistycznych ministrów finansów, Jerzy Osiatyński. Ale decydujący cios zadał Unii Demokratycznej Kościół katolicki, na którego rozsądek liczyła najbardziej. Toteż jest wysoce prawdopodobne, że dawna ROADowska większość Unii, której przewodzi Władysław Frasyniuk, wydobędzie teraz z partyjnego glinianego garnka jedną przynajmniej deklarację ideologiczną: większość UD będzie partią laicką. Co wtedy zrobi reszta od Mazowieckiego do Suchockiej? Wiele wskazuje, że kampania o referendum w sprawie ustawy antyaborcyjnej zakończy dzieje Unii Demokratycznej w jej obecnym kształcie. Tak by się nie stało tylko w jednym mało prawdopodobnym wypadku, gdyby

Sejm na referendum przystał. W przeciwnym razie, i po uchwaleniu przez tę samą większość ZChN-owskiej ustawy, kampania o referendum przekształci się w trwały ruch społeczny i nowy ośrodek krystalizacji politycznej, którego siła przyciągania podda Unię Demokratyczną nieznośnym naprężeniom.

Ten skrótowy przegląd pomija bardzo wiele elementów, od partii chłopskich poczynając. Decyduje o tym sytuacja szczególnego skłócenia tych formacji, które właśnie dlatego, że reprezentują bardzo zbliżone interesy i programy, walczą o tę samą klientelę i do rządów czy opozycji przechodzą na przemian, a odróżnić się starają ideologicznie: PSL jest centrolewicowe, a PL z sojusznikami prawocentrowe... Trzeba jednak odnotować, że teraz wiatr w żaglach ma PSL Pawlaka, a wyborcy ministra Janowskiego uczestniczą w manifestacjach chłopskiej opozycji. Pominąłem też — czy przepraszać? — pana prezydenta, to jednak dlatego, że znów jest on za a nawet przeciw. Jest za Suchocką, ale zastanawia się, czy nie zrobić ponownie roku 1980. Jest za referendum w każdej sprawie już przy 500.000 podpisów (w projekcie Karty Praw), ale przeciw referendum Komitetu Bujaka, który podpisów (stan na 13 grudnia) zebrał 780.000... I tak dalej...

Rząd Hanny Suchockiej, jak zaznaczyłem, może przetrwać. Ale po tej burzy będzie raczej „rządem powierniczym”, *caretaker government*, załatwiający sprawę bieżące, zapewne na mocy jakichś ograniczonych pełnomocnictw udzielonych przez parlament, który cały swój czas i wysiłek poświęci kampanii wyborczej. I będzie to ostatni z paradoksów, ponieważ owe pełnomocnictwa przewidziano w małej konstytucji, aby rząd umocnić.

Warszawa, 13 grudnia 1992

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Jak niespodziewane kształty może przybierać nostalgia. Pamiętam, gdy kiedyś po dłuższej nieobecności wróciłem do Polski, wyjechał po mnie znajomy swoim małym fiatem. Wsiadając poczułem nagle zapach potu tego pojazdu, charakterystyczną woń benzyny i oleju, która mnie rozczuliła, a nogi skurczone pod brodą wyzwoliły jakieś bioprądy w plecach, zaś jak zwykle odklejająca się podsufitka połaskotała mi rozkosznie ciemię. Nowe

generacje samochodów nie mają swojego zapachu, podobnie jak mieszkania w nowych blokach. A przecież stare budynki też posiadają własną woń, która jest sumą wszystkich śniadań, obiadów i kolacji, past do butów i podłogi, kurzu z porządków, z domowych czułości i gwałtownych kłótni. Świat zachodni poprzez większą higienę, środki czystości, mycie i czyszczenie, systemy wentylacyjne, zabrał przedmiotom i ludzkim gniazdom ich naturalny zapach.

Pamięć zapachów wydaje się najgłębiej zakodowaną pamięcią. Dla mnie chyba szczególnie poruszająca jest woń wilgotnej popękanej czerwonej cegły. To z niej był zrobiony świat mojego dzieciństwa. Na początku lat 50-tych Warszawa była jeszcze przetykana ruinami domów. Magia ruin, wilgotnych piwnic, gdzie mieszkała śmierć, gdzie gromadziły się duchy ostatniego powstania i wszystkich powstań poprzednich, a czerwień rozłupanej cegły była kolorem krwi. Zabici zdawali się leżeć płytko pod ziemią. Domy żyły. Schowany w piwnicach jeszcze przedwojenny hipopotam płukał gardło, co przekazywały wszystkim piętrami ukryte w ścianach rury.

Czas, który płynie szybciej niż czujemy, niż chcemy, jest zwykle obnażany przez rosnące drzewa i dzieci. Na podwórku swojego dzieciństwa rosłem wraz z akacjami. Gdy ujrzałem je dzisiaj, przeraził mnie ich stan. Umierają, może ze starości, a może tylko z braku czułości. Są jak ramiona wyciągnięte ku niebu, jedno uschło i złamało się. Na tym co jeszcze stoi poznaję zagiętą gałąź, o ileż wyżej dzisiaj wzniesioną niż wtedy, gdy dziećmi skakaliśmy z niej na stertę piachu. Ryzykowali ze mną połamanie nóg J. i jego brat P. Mieszkali w sąsiednim domu. Nie byli to źli chłopcy, chociaż robili czasami rzeczy nieprzewidziane. Nikt jednak nie mógł przypuścić, że w kilka lat później zabiją swoją matkę, prostytutkę, używając kuchennego noża. Od tego czasu wydaje mi się, że jestem blisko każdej zbrodni, bo pamiętam ile u tych dwóch chłopców było cech dobrych. A to charakterystyczne wygięcie gałęzi ocalało i jest znakiem czasu, który odszedł. Znakiem niepokojąco trwałym, w drzewie, które umiera. Czy społeczności nie przechowują przez wieki takich zagięć?

Badanie naszej opinii publicznej zaczyna być zabiegiem coraz bardziej bolesnym, bo ujawnia stronę naszej twarzy której chcielibyśmy nie widzieć. Zapytano oto ludzi o płk. Kuklińskiego, który przez lata ujawniał CIA nasze i sowieckie tajemnice wojskowe, by przed stanem wojennym zwać na Zachód z wiadomością, że za chwilę ten stan wojenny będzie wprowadzony. Teraz ten oficer chce wrócić do Ojczyzny, ale nie może, bo czeka nań wyrok śmierci ubrany w mundurek stanu wojennego.

I jest straszny pasztet, co z tym wyrokiem teraz zrobić. Na zdrowy rozum wszystko wydaje się proste. Ale oto zaskakująco duży procent naszego antykomunistycznego społeczeństwa uważa, że był on zdrajcą i już wolą generała Jaruzelskiego. Nie do wiary. A co mamy zrobić z naszą tradycyjną miłością do USA? Wiedzieli a niczego nie zrobili, uznając zbliżającą się pacyfikację za mniejsze zło. Nie zamierzam przyłączać się do gromadki tych, którzy tak pracowicie zaplątują i rozplątują dzisiaj różne nasze moralne węzły, podpisują listy protestacyjne, to w obronie, to przeciw pisarzowi Mackiewiczowi — był czy nie był zdrajcą? Przeciw i za lustracją, w obronie i przeciw eks-premierowi Olszewskiemu. Teraz listy moralnego oburzenia produkuje sprawa Kuklińskiego. Jest spór, jedni twierdzą, że on bohater, po prostu Wallenrod, inni że tylko płatny zdrajca, jeszcze inni — np. Prezydent — że właściwie nie wiadomo, bo za mało posiadamy danych, więc trzeba poczekać i nie gorączkować się. Zapewne wszystkie trzy sądy są słuszne. Ci, co tak łatwo wydają wyrok, tak naprawdę sięgają ramieniem poza Kuklińskim. Np. nie znoszą Wałęsy, więc w wahaniu Prezydenta widzą kolejną kroplę jego małości i podejrzanych powiązań. Sam Prezydent mówi, że „nie wiadomo”, ale w rzeczywistości myśli — nie mogę narażać się korpusowi oficerskiemu, bo mam tylko ekskomunistyczny korpus, innego nie ma. Ci co tak łatwo kierują kciuk w dół są byłymi kolegami Kuklińskiego, nie mogą wybaczyć, że wyskoczył z g., kiedy oni w nim utonęli. Jak widać, Wallenrod ma czystą pościel tylko w romantycznej literaturze.

Na 40-lecie polskiej telewizji rozpisano konkurs — jaki program cieszył się największą popularnością? Na mnie osobiście wielkie wrażenie uczyniła chwila, gdy telewizja przestała kłamać. A nasz naród oto wybrał serial „Cztery pancerni i pies”, którego autorem był obrzydliwy komuch, pułkownik Przymanowski, a sami pancerni oraz ich pies propagowali przeciw armii sowiecką i polsko-sowiecką dozgonną przyjaźń.

Nasz sąsiad, Litwa, nie do wiary — nasz suwerenny i wolny sąsiad — zachował się jak ktoś, kto rąbiąc drzewo ucina sobie nogę. Litwini w wyborach nie głosowali na Landsbergisa i „Sajudis”, a na byłych komunistów. — „Rzeczywiście, jestem zaskoczony” — powiedział Landsbergis, i domyślam się, że — jak zwykle zakatarzony — wytarł nos.

Nasz dawny brat, mając trudniejszą od nas sytuację, popełnił więcej od nas błędów i teraz za to płaci. Trudno o wyraźniejsze ostrzeżenie! Ale my przecież jesteśmy mistrzami w lekceważeniu znaków na niebie i ziemi.

Ciekawa jest dzisiaj pozycja byłych komunistów. W jakimś sen-

się ogromnie im się udało. Tak rozłożyli swoje społeczeństwa, że te nie miały już zębów by im odgryźć głowę. Byli komuniści są teraz przepłukiwani z jadu przez czas i nową sytuację. Z wyrwanym językiem ideologii, z twarzą oplutą przez dawne zbrodnie wyciągnięte teraz dopiero z odmetów ziemi — zachowują się nagle racjonalnie. Gdy wygrywają, jak na Litwie, od razu chcą się dzielić władzą. Natomiast dawni prześladowani, dziś przy władzy, szarpiają się w przerebli swojego topniejącego zwycięstwa. Będąc kiedyś kozłem ofiarnym, dzisiaj sami robią kozła ofiarnego z byłych komunistów. To prawda, w jakimś sensie tamci są winni nawet zmianom klimatycznym. Sam mógłbym długo wyliczać, w ilu miejscach złamali mi życie, począwszy od autorytarnego przedszkola i szkoły, i jak się potem ono krzywo pozrastało; prosty już nigdy nie będę. Ale właściwa przyczyna tworzenia postkomunistycznych spisków i zagrożenia jest inna. Gdy czasy trudne, a uchwyt na władzy wąty, gdy ciemne chmury i brakuje siły, a skłócenie wzajemne przelewa się przez brzegi, gdy demokracja wątpi w siebie, i w ogóle dla szyku, i aby nie było wątpliwości — rządzący lub do władzy pretendujący szukają „przedmiotu”, który im właśnie daje szczególne uprawnienia. Przed wojną była to legionowa przeszłość Piłsudskiego i jego grupy. Teraz jest tym „solidarnościowa przeszłość”. Z różnych powodów zdaje się owa tradycja bardziej wąta od etosu legionowego, więc dla wzmocnienia uwyrażnia się podział: my-oni, oni czyli ekskomuniści, lub romansujący z systemem, spaskudzeni i zbrukani, gdy my czysti. Przed wojną „tamci” byli zbrukani biernością. Legioniści mieli jednak Piłsudskiego, którego uwielbiali, który przy wszystkich swych wadach, które tak uwyżniały się pod koniec życia, miał jednak wielką klasę. Kombatanci „Solidarności” mieli Wałęsę na sztandarach, ale krótko. Dzisiaj on sam woli ludzi spoza „Solidarności”, a najwięksi jego wrogowie to dawni towarzysze walki. Analogie więc mają w sobie zupełnie inaczej ustawione meble oraz inne głowy na tych samych karkach. I właściwie chyba w najbardziej zdumiewający sposób przetrwała do dzisiaj prawie niezmieniona tylko przedwojenna formacja endecka.

Katyń dobił do swojego brzegu. Polscy wolni archiwiści szperają w sowieckich archiwach, jakby się przedzierali przez zakurzoną dżunglę zbrodni. Najpierw proste męskie słowa — „rozstrzelać”, a „Sprawy rozpatrywać bez wzywania aresztowanych i bez przedstawiania im aktu oskarżenia” podpisane — „Stalin”. Potem, w roku 59, równie szczerze proste słowa: „Akta personalne 21 875 rozstrzelanych nie przedstawiają żadnej wartości operacyjnej ani historycznej — nawet dla polskich przyjaćiół. Zlikwidować”. Potem dalsze lata i aż do wczoraj budowanie na kłamstwie kłamstw kolejnych.

Pamiętam z czasów studenckich egzamin na studium wojskowym. Kapitan o twarzy wypłowiałej od lektur partyjnej prasy zapytał mnie o Katyń. Powiedziałem, że nie ma wątpliwości, że zrobili to Rosjanie. Zdawał się wyrwany z półsnu, zatrzepotały mu rzęsy, jak dwa spłoszone ptaki. Kiedy się upewnił, że nie śni, rozkazał ponownie zdawanie egzaminu za tydzień i wyrzucił mnie za drzwi. Ależ to był straszny tydzień. Nie zaliczyć wojska oznaczało nie ukończyć studiów, a w konsekwencji dwa lata prawdziwych koszar. Nie mogąc sam sobie poradzić, podzieliłem się problemem z kolegami. Wspólnie uzgodnili, że wojsko jest poza moralnością, że jeżeli w ogóle godzimy się być w tym g., to umawiamy się, że mówimy jak trzeba, a potem dezynfekujemy usta. Odbarczony moralnie przez zbiorowość stawilem się na egzamin i wyrecytowałem modlitwę o rzekomej zbrodni sowieckiej, w rzeczywistości będącej dziełem hitlerowców. Zdawało mi się, że kapitan odetchnął z ulgą. Świat był znowu na swoim miejscu. Płukałem potem usta, ale nie pomogło. Czulem się jakbym zjadł szczura. Więcej, pamiętałem, że recytując lekcję otwierałem coraz szerzej zwieracz kłamstwa i za chwilę mógłby przejść o wiele większy jego ładunek. Pomyśleć, że to był zaledwie pierwszy mały krok. To miejsce goiło mi się przez wiele tygodni, a jakiś ból czuję do dzisiaj. Ale nie mogę powiedzieć, że nie rozumiem, już rozumiem jak drogą małych kompromisów i małych kłamstw dochodzi się do kłamstw monstrualnych, do zgody i do uczestnictwa w zbrodni. Nie chcę tu robić z siebie moralnego kryształ, jest wiele sfer życia, gdzie uprawiamy różne postacie kłamstwa i kamuflażu, brniemy w to po szyję, ja nie jestem lepszy, a świat się nie wali. Lecz kłamstwa w sprawach publicznych są szczególne, bo zatruwają studenta, z których czerpie wodę zbiorowość.

Nasze i sąsiednie społeczności są w „stanie zakłopotania” (zwrócił na to uwagę socjolog I. Krzemiński). Jest nawet w psychologii społecznej taki termin „zakłopotanie”, a wyniki badania opinii społecznej to potwierdzają. Ludzie nie radzą sobie z rzeczywistością, nie potrafią jej uporządkować i podjąć decyzji. Groch z kapustą. To wielkie wahanie, z którego rodzą się sądy całkowicie za sobą sprzeczne. A w tle jest lęk. Ludzie tęsknią za dawnym światem, chociaż go nienawidzą, są za wolnością i demokracją ogólnie, ale przeciw niej w szczegółach. Rolnicy, którzy na swoich barkach przez mroki PRL przenieśli do dziś prywatną gospodarkę, wedle badań myślą dzisiaj w kategoriach realnego socjalizmu. Ale zarazem jako grupa społeczna są najbardziej za udziałem Kościoła w państwie, co nie przeszkadza im być przeciw rozmodlonemu Prezydentowi. Jeszcze większe zakłopotanie i sprzeczności wyrażają robotnicy.

Przeglądając wyniki badania poglądów naszego społeczeństwa, dochodzi się do wniosku, że kolejne rządy wprowadzają reformy w imieniu grupy społecznej, której albo jeszcze nie ma, albo jest bardzo mała, dopiero tworzy się i sama też popada w konfuzję.

Moja znajoma dziennikarka penetrując małą gminę miała wrażenia, które w pełni potwierdzają publikowane badania. Groch z kapustą. Gdy zapytałem byłego sołtysa wsi Borsuki, czy są w okolicy zwolennicy partii skrajnie narodowej, ten odparł, że nie ma „bo w gminie jest teraz kompletne bezżydowie”. Bardzo mi się podoba słowotwórczy geniusz naszej prowincji. Cała Polska jest dzisiaj jednym wielkim bezżydowiem, ale z sołtysiem mało kto się zgadza. Badania wykazały, że co czwarty obywatel Polski uważa, że u nas w kraju mieszka od 760 tys. do 3,4 mln Żydów, a co dziesiąty, że jest ich od 3,8 mln do 7,2 mln (jak na dłoni widać, że to nie antysemityzm, a wielki strach przed duchami). Ten dramatyczny stan rzeczy, chociaż zupełnie wyimaginowany, zapewne jeszcze pogłębia stan zakłopotania. Jest ono głębinowe. Któż z nas nie zna tego uczucia, wychodzi się i wraca, krok do przodu i znowu nazad, głupi wyraz twarzy, coraz zimniejszy pot na karku i na twarzy. I ma się ochotę z tej bezradności gryźć albo bić. Jednostki jak i społeczności są w takim stanie gotowe czynić straszne głupstwa, szczególnie gdy pojawi się ktoś, kto głośno powie dokąd iść, co robić i jak to zakłopotanie zamienić na pewność.

Wydałem sam sobie zakaz cytowania Miłosza, bowiem istnieje groźba, że zostanie on zacytowany na śmierć. A przecież już prawie zacytowano na śmierć Norwida i Gombrowicza. Obszary cytologii są u nas ograniczone, więc rzucane wiadra zło-wrogo brzęczą o dno. Ale Miłosz mnie przełamał swoją wizją. Był pytany o ankietę „przecenieni, niedocenieni”, bodajże na łamach *Kultury*, ale takie ankiety pojawiają się i gdzie indziej. Nie mniej chaotycznie i po omacku toczy się dyskusja, kto jest a kogo nie ma w naszych szkolnych podręcznikach. To poszukiwanie jakiejś wskazówki z kompletnie zdruzgotanej przez nowy czas hierarchii kulturalnej. Miłosz odparł: — „wynik tej ankiety jest w pewnym sensie przygnębiający. Wszystko to wyglądało bardzo poważnie, dopóki było przykryte wiekiem. Z jednej strony — oficjalnej doktryny, z drugiej — opozycji. Kiedy pokrywkę zdjęto z garnka, zobaczyliśmy tam kilkanaście miotających się karaluchów. Zupełnie opętanych. Bez żadnego rozeznania, co i kto, z czym i do czego. Przygnębiające”. Młoda jest wyobraźnia starego poety, ale nie ma w tej wizji pełnej jasności, czy karaluchy to pisarze, krytycy, czy nasze społeczeństwo. Pewnie wszystko po trochu. Sam się tak czasami czuję, karaluchowato.

Nasze życie literackie, ale to dotyczy całej sztuki i kultury, to od dawna chory salon, najpierw chory na stalinizm, potem na bolesne z niego wyłączenie, wylizać się z takiej choroby trudno do końca życia. A w latach 70-tych i 80-tych przykryto dawne miary opozycyjną dekoracją. Zrobiła się nieznośna rupiecarnia. Krytycy z tego wszystkiego albo powariowali, albo wiali do bezpiecznych zawodów. Każda próba obalenia tego salonu przez młodych zbuntowanych czy starzejących się zbuntowanych jest żalosa, bo brakuje im sił i talentu, kopią rachitycznym odnózem.

Nowy czas zniwelował wszystkie autorytety do tego stopnia, że gdy ktoś się zachowuje jak autorytet, wygląda to i brzmi tragicomicznie. Zdarza się, że zniwelowane autorytety nagle z okazji czyjegóż okrągłego jubileuszu biorą się do kupy i zaśpiewają w chórze — on jest geniusz. A przecież każdy wie, że fetowany zawsze był tylko średniak, do tego ostatnio też zupełnie zniwelowany. Nazwisk nie będzie, boję się.

Ale jeszcze większy strach krytykować Kościół nasz, tak stary, tak mądry, tak duży, oparty na tak pięknej księdze. Ale skoro On ma te wszystkie przymioty, to krytyka mu nie zaszkodzi. Niepokój co do dzisiejszej roli Kościoła staje się coraz bardziej powszechny. W wielu sprawach nie ma jasności i łatwo się pomylić. Ale są rzeczy, które nie potrafią nie budzić mojego niepokoju, a nawet gorzkości. Wydaje się, że pomoc ludziom chorym na *aids* powinna być dla Kościoła pięknym wyzwaniem i niczym więcej. Ale okazuje się, że tam gdzie jest erotyka, widzenie Kościoła jest zaburzone emocjami. Kościół zdaje się w *aids* widzieć przede wszystkim stosunek analny i to ze szczegółami zdumiewającymi w oczach tych, którzy nie powinni w ogóle wiedzieć o co chodzi. W drugiej przerażającej odsłonie widzi Kościół niewierność małżeńską. I oto Kościół zamiast bronić chorych, których wykurzali ogniem i żelazem mieszkańcy małych miasteczek, począł brać w obronę właśnie tych mieszkańców. Dotyczyło to również Lasek, gdzie ofiarami „przełazania” padły małe dzieci. Wtedy to Prymas sformułował „prawo do lęku”. W tym kontekście owo prawo pozwala gnać precz każdego, kogo się boimy, również chore dzieci. Nie potrafię sobie wyobrazić Chrystusa, który boi się przytulić i odpycha chorego na *aids*. Szczególnie, że przecież już wiadomo, że tak nie można się zarazić. Dalej, Prymas głosi, że „z tą chorobą sprawa jest zbyt poważna aby ją oddać w ręce krzykliwych amatorów i na siłę tworzyć ośrodki dla chorych na *aids* pośród skupisk ludzkich”. Problem, że oprócz „krzykliwych amatorów” nikt się chorymi zająć nie chce. I pomyśleć, że te słowa płyną z Jasnej Góry do milionów Polaków z ust polskiego Prymasa. Uwa-

ża on, że swoboda seksualna jest źródłem wszelkiego zła. Powtarza to wielokrotnie z konsekwencją godną szacunku. Kardynał, to prawda, mówi o miłości dla chorych, ale jakoś nie brzmi to czule i miłosiernie, bo tuż obok jest podkreślone, i jeszcze raz podkreślone, że „Nie możemy zamykać oczu na to, że choroba *aids* powstaje i rozszerza się z postaw nieładu moralnego. Ja nie mówię, że *aids* jest grzechem i nigdzie Kościół tak nie twierdzi, jak to się mu czasami imputuje. *Aids* sam nie jest grzechem, jak śmierć nie jest grzechem, ale śmierć nie może być spowodowana nieładem społecznym”. Przykro mi, ale mimo tak dużej i skomplikowanej pozawijanej pierzyny, kto się tu położy na łonie Kościoła to pokaleczy się, bo jest tam ukryty nóż.

Kościół bardzo się gniewa na środki masowego przekazu. Inny to gniew niż ten, jakże usprawiedliwiony, w czasach gdy Kościół był rzeczywistością opluwany, a czasami nawet prześladowany. To gniew tych, którzy nie mogą się nadziwić i pogodzić, jak to możliwe, że po zwycięstwie i w czasie gdy Kościół współwłada, tak wiele dzieje się nie po myśli Kościoła. Episkopat zwraca uwagę, że „nagłaśnia się wszelkie próby podważenia wartości chrześcijańskich, a nawet z pogardą mówi się o krzyżu, modlitwie i podstawowych zasadach moralnych uznawanych przez ogromną większość społeczeństwa”. Stąd walka Kościoła, by wartości chrześcijańskie wpisać w ekran telewizora, już właściwie otwarcie się mówi, że powinna istnieć obyczajowa i moralna cenzura. Przewodniczący klubu parlamentarnego ZChN, Stefan Niesiołowski, oświadcza: „My chcemy wprowadzić chrześcijański system wartości, bo jeśli się tego nie zrobi, to istnieje groźba, że zostanie on zastąpiony inną ideologią — ideologią łatwego życia, unikania wyrzeczeń, hedonizmu, pogardy dla drugiego człowieka, ojczyzny, własnej tradycji”. Dlatego „nie należy pokazywać programów, z których wynika na przykład, że wierność małżeńska to przejaw głupoty, a zdrada jest czymś chwalebny”.

Film „Emmanuelle” wyświetlany w telewizji wywołał moralną burzę. Młodzieżowy zespół rockowy o lubieżno-prowokacyjnej nazwie „Piersi” wylansował szlagier. „ZChN zbliża się”. Wyjaśniam, że ZChN to Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, co prawda zubożone o Macierewicza, ale z Kościołem na sztandarze. W piosence jest wstrząsający fragment o proboszczu, który wypił dwie butelki wódki, po czym rozbił Toyotę, co jak się zdaje młodzi bezbożnicy zacerpnęli z gazety. I teraz biją wszystkie dzwony, że młodzież kała religię. Jeśli Kościół rozpoczyna wojnę z muzyką rockową, z ironią i z młodzieżowym dowcipem, to rokowania są fatalne. Oczywiście nie dla młodzieży, ona jest ostatecznie zawsze górą, dopóki się nie zestarzeje.

Posel Niesiołowski, przew. klubu parlamentarnego ZChN, może jest szczególnym przypadkiem, ale staje się postacią sztandarową, a nie jakimś wybrykiem. Piszę w ogóle o nim, bo nie należy on do grupy, którą można określić jako „po lobotomii”. Kiedy mówi o homoseksualistach, emocje grają na wszystkich skrzących. On to widzi, widzi za każdym razem z detalami ten, jak się mówi, „grzech sodomii”. I nie ma wątpliwości, że *aids* jest dzieckiem tego grzechu. Mówi „nie mogę zgodzić się z tworzeniem wokół niektórych chorób jakiejś szczególnej atmosfery”. Tak, choroba ta jest szczególna, bo śmiertelna, bo zagraża całej naszej populacji. Aby się przed nią bronić, trzeba do niej podchodzić racjonalnie, a nie tylko kazać o przestrzeganiu nauk Kościoła. Tego nie udało się nauczyć ludzi przez tysiące lat, zaś są kraje pod bokiem, gdzie w ciągu roku nauczono młodzież używać prezerwatyw. Ale u nas propagować prezerwatywy to, rzecz jasna, namawiać do grzechu. W ogóle zapobieganie ciąży inaczej niż poprzez wstrzemięźliwość płciową to grzech. Politycy związani z Kościołem od dawna twierdzą, że do największych polskich problemów należy za mała dzietność. Rzeczywiście warto by postawić pomnik Matki Polki Dziętej, obfitej producentki.

Sejm kieruje do komisji rządowy projekt zmiany w kodeksie rodzinnym umożliwiający separację. Umożliwi ona rozstanie wierzącym małżonkom. Jak ktoś zauważył, doprowadzi to głównie do „usankcjonowania obłudy społecznej”.

Rzecznik Praw Obywatelskich, Tadeusz Zieliński, jak się wydaje, uczciwy i kompetentny, padł ofiarą nagonki, gdy ośmielił się zaskarżyć „rozporządzenie o warunkach i sposobie organizowania religii w szkołach publicznych”. Niezgodności z obowiązującym prawem są liczne, więc rzecznik musiał się tym zająć. Ale Prymas stwierdził, że wystąpienie rzecznika dotknęło przede wszystkim ludzi wierzących. Wedle Prymasa, rzecznik „powinien wiedzieć czy 'dana czynność' jest zgodna z wolą narodu, bo ostatecznie to naród i jego wola decydują o kształcie prawa”.

Rzecznik przyjął te słowa ze zdumieniem: „jestem karcony w sposób niedopuszczalny w kraju, w którym istnieje rozdział Kościoła od państwa”.

Senator Bender, obecnie ZChN a wczoraj PAX, czyli „katolickie” ramię PZPR, dzisiaj jakże odmieniony, oświadcza: „Rzecznik praw obywatelskich, prof. Tadeusz Zieliński, stał się orędownikiem laicyzacji młodzieży polskiej, co bezskutecznie starali się osiągnąć komuniści z PPR i PZPR”.

A Tadeusz Zieliński zwierza się: „Człowiek stale naraża się na różne napaści i niewybredne ataki, a nawet na niebezpieczeń-

stwo osobiste. Gdybym dziś chciał iść do kościoła i ktoś by mnie rozpoznał, to nie wiadomo, co by się tam działo”.

Jakby nie dość było w Polsce politycznych nieszczeń, pojawił się nagle skandal w postaci Anastazji P. i jej książki, a ten skandal zdaje się potwierdzać opinię Prymasa oraz przew. klubu parlamentarnego ZChN, „że oczywista nasza jest zagrożona erotycznym napięciem”. Oto diabeł zaatakował nawet świętynię naszej demokracji. Gdybym wierzył w szatana, nie miałbym wątpliwości, że młoda, ładna kobieta zawsze jest jego narzędziem. Anastazja P. czyli właśnie taka niewiasta pokręciła się po naszym parlamencie, nawijając posłów na swoje powaby, również tych, co nawet spać chodzą z krzyżem, po czym wyświadała się dziennikarzowi. Jest bez wątpienia hochsztaplerką, ale moje parlamentarne źródła twierdzą, że w tej książce zawarto jednak bardzo wiele prawdy. Anastazja P. oświadcza, że miała również spotkania wielokrotnie z wyż. wym. posłem N. Nie uwierzyłem. A tu moje żywe i pewne źródła sejmowe mówią, że poseł sam z nimi osobiście rozmawiał i że się przyznał, że owszem spotkał się z Anastazją P., „ale na tym koniec”. Czyli jak Chrystus, był kuszony, lecz się oparł. Może to więc sam Pan Bóg wysłał tę niewiastę, by wystawiła na jeszcze jedną próbę nasz parlament? Anastazja P. na koniec oświadcza: „Po kilku dniach pobytu w Sejmie wypowiedziałam zdanie, i trzymam się tego, że każda polska, zakompleksiona kobieta wpuszczona tam na 24 godziny, pozbywa się kompleksów do końca życia, tam doprawdy wszystko ma szansę, co nie jest mężczyzną. To się natychmiast wyczuwa, to napięcie erotyczne, które panuje w tym gmachu — no, może nie na samej sali obrad — jest niesłychane. Aż iskry można wręcz zobaczyć gołym okiem”. Było już w tym parlamencie obalanie, lustrowanie, dekomunizowanie, a teraz jest iskrzenie. Nie wiem czy posłowie siebie traktują poważnie, bo ci, którzy ich wybrali, już od dawna nie.

Nieliczni, którzy odważają się dzisiaj mówić Kościołowi „Nie”, zanim to powiedzą, jak zakłęcie wygłaszają takie oto zdanie: „boję się prymitywnego antyklerykalizmu”. Albo „stoi- my wobec dwóch zagrożeń, klerykalizmu i zwierzęcego antyklerykalizmu” (jest w tym kropla fałszu, bo któż jednak trochę nie liczy na ten antyklerykalizm, choćby prymitywny). Po tych zakłeciach następuje krytyka, gdzie nawet mogą paść słowa o „krucjacie katolickich fundamentalistów”.

Unia Demokratyczna zaczyna ujawniać coraz głębszą szczylinę. To podział na zwolenników pełnego kompromisu z Kościołem, choćby bez akceptacji wszystkich jego skrajności, zaś druga strona uważa, że tak dalej być nie może i należy na Kościół pod-

nieść rękę. W Unii jest Basia Labuda, wedle Kościoła dziecko diabła, i Pani Premier, która oto drze publicznie swój mandat delegata w Poznaniu, gdzie na konferencji regionalnej UD zgłoszono aprobatę referendum. A przecież zwolennicy referendum nie chcą pytać, czy w ogóle ustawa antyaborcyjna ma istnieć, a tylko o jej obecną drakońską postać i ewentualną postać łagodną. Pani Premier godzi się najwyraźniej z tezą Kościoła, że o tak podstawowe sprawy moralne nie pyta się o zdanie społeczeństwa. Uważa poza tym, że to referendum podzieli naród i doprowadzi, kto wie, do rozpadu koalicji rządowej.

Niezręczna sytuacja Unii Demokratycznej, której wielopoglądowość wydaje się coraz bardziej szkodliwą. Gniewają się na nią „zaściankowcy” i „europejczycy”. (Taki podział jest karygodnym uproszczeniem, ale doprawdy jakiś kawał prawdy w nim jest, mimo wszystko). Wnioski ze stanu rzeczy wyciągnął KLD, czyli nasi liberałowie. Oto wkładają zbroję, otwierają przyłbicę, mówią — „jesteśmy przeciwko restrykcyjnej ustawie antyaborcyjnej”, mówią jakby szli na śmierć za heretycką wiarę. Wiem, że tak naprawdę myślą, są stosunkowo młodzi, mają otwarte głowy, są bliżej Europy, ale pomogło im w tej decyzji przekonanie, że tu jest szansa na wielki kapitał polityczny. Bo narzmięwa w narodzie gniew na Kościół, a gniewnymi, do wczoraj, zostawali tylko byli komuniści. Więc należy temu antykościelnemu elektoratowi otworzyć jakiś postsolidarnościowy basenik. A Unia nadal stoi bezradnie na rozstajach i nie zaspokaja już prawie nikogo. Wierność, z jaką nadal popierają ją środowiska naukowo-artystyczne, jest wstrząsająca. I przecież Unia do dziś z wysokiego spoconego inteligenckiego czoła nie starła przekonania, które narodziło się po klęsce jesieni roku 90 — „społeczeństwo to okropny element, który do nas nie dorósł”. Tu też tkwi źródło niejednego problemu.

Jak poważna jest sytuacja, zobaczył Hall i odszedł, widzi Frasyniuk i łamie milczenie, aż słychać chrupot kości. Przyjemnie patrzeć, jak prawdziwi bohaterowie stanu wojennego, mimo lat uprawiania mdłej polityki, nie utracili heroizmu i determinacji. Do akcji wkracza też znowu Zbyszek Bujak, on też walczy odważnie o referendum. Czyli dwa filary antykomunistycznego podziemia, a zaledwie lat 10 starsi, schodzą do antyklerykalnego podziemia — co się porobiło! Już widzę oczyma chorej wyobraźni, jak Bujak i Frasyniuk wiedzeni przez byłych komunistów przemykają się ukrytymi korytarzami na tajne antyklerykalne spotkanie w podziemiach dawnego domu partii. Frasyniukowi, jak wtedy, towarzyszy posłanka Barbara Labuda, też UD, rzeczniczka polskiego feminizmu. W stanie wojennym Barbara ukrywała się we Wrocławiu i wpadła dramatycznie razem z legendarnym przywódcą Regionu. Potem więzienie... czyż można

mieć w Polsce piękniejsze biografie, bielszy moralny kręgosłup? Nie wydaje mi się to mieć żadnego znaczenia dla naszych bojowych katolików, którzy już wołają dawnych komunistów. „Polska znacznie niedługo przypominać Irlandię — mówi nagle Frasyniuk, raniąc głęboko serce swojego szefa, Tadeusza Mazowieckiego. I nie zważając na krew broczącą z tej rany, ciągnie: — „A przecież to dopiero pierwszy krok na drodze do państwa wyznaniowego. Obawiam się wprowadzenia zakazu antykoncepcji, zakazu prowadzenia edukacji seksualnej, obawiam się cenzury kościelnej. Unia nie może w tej sprawie milczeć”. A jednak milczy. Więc Frasyniuk dodaje: „Nie po to 'Solidarność' walczyła tyle lat o wolność słowa, żebyśmy teraz musieli milczeć. Dlaczego — pytam — ksiądz Prymas w homilii wygłoszonej w rocznicę zamordowania ks. Popiełuszki uznaje za czarny charakter Barbarę Labudę, posłankę Unii, a nie morderców ks. Jerzego?”

Bo, drogi Władku, Kościół uważa was za swoich, ale odszczepieńców. A Kościół ma niezwykle długie i „piękne” tradycje, by swoich schizmatyków, nawet świętych, traktować gorzej od niewiernych, choćby przestępców. Ale ślepotą byłoby nie widzieć, jak gigantycznie Kościół zmienił się na lepsze. Doszło nawet do tego, że oto dzisiaj Kościół ustami Papieża przyznaje, że prawie 400 lat temu, to nie Kościół a Galileusz miał rację. Czyli ziemia nie jest już centrum wszechświata.

Zebrało mi się na żarty z Kościoła, niedobrze. Nie boję się jego gniewu, ale swojego błędu w ocenie. Moje widzenie też jest zaburzone. Sam kiedyś byłem zanurzony w religii na głębokość swej dziecięcej wyobraźni, zbyt wielu znam pięknych księży i ludzi pięknie wierzących, zbyt mnie porusza Nowy Testament, za wielkie i skomplikowane jest naczynie Kościoła i zbyt wiele w nim drzwi, których ja od tak dawna niewierzący nie potrafię otworzyć. Rozumiem też, że Kościół musi być zawsze bardziej konserwatywny niż aktualne życie — pytanie tylko, czy to krok wstecz czy kroków wiele. Ale zaraz tu rodzi się straszna myśl. Ile takich drzwi do świata przyziemnego jest z kolei zamkniętych dla Kościoła, dla księży i biskupów? Dla nich pewne niezwykle ważne sfery życia człowieka są zamknięte na wielką czarną kłódkę. Ta kłódka wrzyna się w żywe ciało i może zarażać rdzą cały organizm.

Notatki ekonomiczne

PRZYWILEJ PRACY

Skończyła się zimna wojna. Jak domek z kart rozpadło się potężne imperium. Miliony ludzi starają się w różny sposób „dać sobie radę” z nagle uzyskaną wolnością. Wzlot oczekiwania szybkiej poprawy znalazł się w konfrontacji z trudną codziennością. W tych warunkach nadzieję często zastępuje zawód, a przyszłość staje się synonimem niepewności.

Świat nie może narzekać na brak ogromnych problemów. Niektóre są zupełnie nowe, inne istnieją i narastają od lat. Znikło widmo globalnego konfliktu nuklearnego i konfrontacji wielkich mocarstw. Na jego miejsce pojawiło się niebezpieczeństwo proliferacji broni nuklearnych, które nagle znalazły się w posiadaniu nowych, niepodległych państw. Imperium terroru ustąpiło miejsca wybuchowi nacjonalizmu, którego tragicznym i barbarzyńskim przykładem jest wojna w Jugosławii. Przyszłość Rosji i jej rola w nowym układzie świata stanowi wielki znak zapytania. Trudna do przewidzenia jest gra i ambicje świata muzulmańskiego w nowych nacjonalistycznych konfliktach, z których wiele posiada także wyraźny wymiar religijny. Proces przestawiania komunistycznej gospodarki na zasady wolnego rynku okazał się powolny i skomplikowany, a jego bezwzględność musiała pociągnąć za sobą wysokie koszty społeczne. Do nich należy obniżenie stopy życiowej oraz powstanie bezrobocia.

Ze starych problemów, coraz to w nowych punktach globu, szczególnie w Afryce i w Azji, powstaje widmo masowego głodu, związane z eksplozją demograficzną, rabunkową gospodarką oraz wyniszczeniem środowiska naturalnego. Na tę rzeczywistość nakłada się wzrastająca epidemia AIDS, a jej zasięg wykracza daleko poza granice biednych krajów, z których pochodzi. Panuje ogólna *mobility* — masowy ruch i przemieszczanie się wielkich rzesz ludzi wzdłuż i wszerz całego globu, umożliwiające wolnością poruszania się oraz nowoczesnymi środkami transportu. W tych warunkach granice państwowe nie spełniają już tradycyjnej roli barier.

Setki tysięcy ludzi napływają stale do bogatych krajów Zachodu w poszukiwaniu lepszego życia. Są to nie tylko prawdziwi uciekinierzy z różnych teatrów wojny. Biedacy z Trzeciego Świata korzystają z każdej okazji, aby dostać się do Europy Zachodniej lub do Północnej Ameryki. Dołączają do nich rzesze obywateli dawnego ZSSR, którzy korzystając ze

zdobytej niedawno swobody poruszania się po świecie, rozglądają się za lepszym losem, jeśli tylko mają do tego okazję i mogą sobie na to pozwolić. Okazuje się jednak, iż w tych bogatych krajach znalezienie pracy bynajmniej nie jest już łatwe. Trwająca od kilku lat światowa recesja gospodarcza pozbawiła pracy wiele tysięcy rodzimych mieszkańców tych krajów. Nie ulega kwestii, iż fala ksenofobii i wrogości wobec nowoprzybyłych, którą ze zrozumiałym niepokojem obserwujemy teraz w Niemczech i innych krajach Europy jest bezpośrednim skutkiem opisanej tu sytuacji.

Powstaje więc pytanie czy w miarę powrotu koniunktury gospodarczej nastąpi w tej dziedzinie jakaś trwała poprawa, czy znajdzie się dla wszystkich praca, nie tylko dla napływających zewsząd obcokrajowców, ale przede wszystkim dla tubylców? W tym miejscu właśnie dochodzimy do problemu pracy jako przywileju, który coraz wyraźniej rysuje się w krajach rozwiniętych gospodarczo. Jest to problem niedostrzegany jeszcze lub wstydliwie przemilczany przez przywódców i polityków, a — co ciekawe — także nie podjęty dotąd do publicznej dyskusji przez prasę i inne media. Przyczyną jest prawdopodobnie jego *novum* oraz społeczne fundamentalne następstwa, do których zupełnie nie jesteśmy przygotowani.

Podstawą gospodarki kapitalistycznej jest nadal zasada wzrostu, który jest nie tylko postulatem, ale niejako warunkiem normalnego działania gospodarki. Związana jest ona z „prawem” stałego podnoszenia stopy życiowej i wynikającego z tego oczekiwania ciągłego indywidualnego bogacenia się. Regularny wzrost rzeczywistych zarobków i dochodów przyczynia się do powiększenia siły nabywczej ludności, co z kolei zwiększa popyt na towary i usługi i jest w ten sposób motorem rozwoju ekonomicznego. Zasada ta nie budzi wątpliwości czy zastrzeżeń w stadium uprzemysłowienia gospodarki lub nawet w początkowym okresie jej dynamiki i konsolidacji na wyższym poziomie rozwoju. Stadium to, jak i poprzednie, odznacza się budową nowych fabryk, tworzeniem infrastruktury, rozwijaniem sektora usług. Charakteryzuje je w interesującej nas dziedzinie tworzenie nowych miejsc pracy. Rośnie produkcja, wzrasta zatrudnienie, zwiększa się siła nabywcza ludności, a więc popyt, co z kolei powoduje dalszy wzrost produkcji. Problem powstaje dopiero w fazie post-industrialnej, kiedy to podstawowym zadaniem staje się zwiększenie wydajności za pomocą racjonalizacji produkcji. Chodzi więc nie o jej zwiększenie przez dodatkowe zatrudnienie, lecz poprzez unowocześnienie technologii, przez automatyzację. Tylko w ten sposób bowiem można utrzymać jej konkurencyjny charakter. Ta faza rozwoju gospodarczego wyraża się więc nie tworzeniem, ale redukcją miejsc pracy.

Automatyzacja oznacza bowiem przede wszystkim redukcję personelu. I choć siła robocza nadal zachowana może — przy wymogu większych kwalifikacji — liczyć na wzrost dochodu, istotę zjawiska stanowi powiększająca się armia ludzi bez pracy, których siła nabywczą nie tylko nie wzrasta, lecz — przeciwnie — przez sam fakt utraty pracy maleje. Oczywiście każdy człowiek zwolniony z pracy lub zaczynający jej szukać po skończeniu szkoły ma nadzieję, iż w końcu znajdzie zatrudnienie. Przebywanie „na zasiłku”, o ile takowy w ogóle nie jest ograniczony w czasie, nie stanowi dla większości ludzi pożądanej formy zdobywania środków do życia. Większość ludzi chce pracować i to nie tylko dla pokrycia potrzeb materialnych. Nie trzeba tego chyba bliżej uzasadniać mimo, iż — jak wszyscy wiemy — istnieje w każdym społeczeństwie pewien odsetek ludzi, którym dogadza lub nie przeszkadza permanentna egzystencja pod skrzydłami *welfare state*. Wiemy wszyscy, iż pewna pula pracy nadal i zawsze pozostanie. Nawet najbardziej zautomatyzowana produkcja wymaga obsługi przez człowieka. Niektóre dziedziny gospodarki posiadają ograniczoną zdolność mechanizacji, sektor usług wreszcie charakteryzować się będzie zawsze wysokim poziomem zatrudnienia. Wszystko to oznacza jednak tylko to, że pewna liczba ludzi w każdych warunkach znajdzie pracę. *Novum* zjawiska, które omawiamy, polega jednak na tym, że ogólna liczba miejsc pracy maleje.

Wystarczy rozejrzeć się dookoła, aby zaraz dostrzec zakres powszechnej modernizacji i automatyzacji, który spowodował redukcję setek tysięcy ludzi i stworzył w wysoko rozwiniętych krajach zachodnich wielomilionową armię bezrobotnych. Z tym zjawiskiem zasada cykliczności gospodarki kapitalistycznej: *prosperity-recesja-prosperity* nie ma nic wspólnego. Wprowadzenie komputerów w administracji i księgowości wyrugowało w krótkim czasie tysiące urzędników, którzy stali się zbędni. Powszechne zastosowanie faxu zrewolucjonizowało dosłownie łączność w każdej dziedzinie pracy. W dużym stopniu okazała się niepotrzebna funkcja sekretarek i maszynistek. Rozwój telefonii, z aparatami umożliwiającymi każdemu przetłumaczenie rozmowy, zapisanie numeru oraz dokonywanie wielu czynności, telefony przenośne i inne urządzenia łączności radykalnie zredukowały liczbę telefonistek. W handlu rozwija się powszechnie samoobsługa, od stacji benzynowych do wszelakiego rodzaju sklepów opartych na tej zasadzie. Na każdym kroku królują automaty do sprzedaży napojów chłodzących, papierosów, słodczy, biletów tramwajowych czy kolejowych i wielu innych niezliczonych towarów czy usług. W przemyśle na przysłowiowej taśmie montażu samochodów stanowiska wykwalifikowanych robotników zastąpione zostały przez roboty. W wielu innych dziedzinach

proces produkcji osiąga stopień 80-procentowej lub prawie 100-procentowej automatyzacji. W transporcie, tak lądowym jak morskim czy lotniczym, załadunek i wyładunek towarów został prawie w pełni zmechanizowany. Aby ocenić skalę tego postępu, wystarczy obserwować ładowanie wielkiej ciężarówki czy statku morskiego lub przyglądać się przygotowywaniu do odlotu pasażerskiego odrzutowca. I tak dalej i tak dalej, przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Istotne jest uświadomienie sobie, że automatyzacja wszelkich czynności jest procesem stale postępującym i jej granicę stanowi rodzaj czynności i stopień w jakim nadaje się ona do zmechanizowania. Poza tym skalę możliwości na przyszłość wyznacza już tylko ludzka pomysłowość.

Nikną więc co chwila, na każdym kroku, tradycyjne stanowiska pracy, powiększa się liczba bezrobotnych. Powstają oczywiście nowe dziedziny działalności, głównie w sektorze usług, ale ilość tworzących się miejsc zatrudnienia jest znacznie mniejsza od utraconych w opisanych wyżej procentach. W krajach zachodnich bezrobocie osiągnęło lub przekroczyło 10% i dotknęło kilkanaście milionów ludzi. Rządy dwoją się i troją dla znalezienia rozwiązania tego problemu i prześcigają się wzajemnie w obietnicach bez pokrycia, składanych swoim wyborcom. Próby przekwalifikowania bezrobotnych, przedłużenia lat nauki lub podejmowania takich czy innych prac publicznych mogą stanowić co najwyżej paliatywy — nie zaś obiecywane rozwiązanie problemu. Politykom jest na rękę zwalanie winy za istniejące bezrobocie na obecną recesję gospodarczą. Zapewniają, że sytuacja ulegnie poprawie, gdy tylko nadejdzie nowy cykl koniunktury. Implikują przy tym — wyraźnie tego nie mówiąc — że doprowadzi to do radykalnego zmniejszenia bezrobocia. Ale czy tak jest w istocie?

Dla ilustracji posłużę się kilkoma liczbami z terenu Australii, która stanowić może bardzo typowy przykład sytuacji wysoce uprzemysłowionego kraju Zachodu. Liczba oficjalnie zarejestrowanych bezrobotnych przekroczyła tu ostatnio 11% i obejmuje około miliona ludzi. Przewiduje się, iż po zakończeniu recesji, w roku 1993, przyrost produktu narodowego brutto (PNB) ma wynieść 2%. Nie poprawi to jednak w wystarczającym stopniu sytuacji na odcinku bezrobocia. Rząd twierdzi, iż 3-procentowy wzrost przyczyniłby się już do jego zmniejszenia. Natomiast według opinii Centrum Badań Ekonomicznych ten stopień wzrostu pozwoli najwyżej zatrudnić świeżo upieczonych absolwentów szkół. Dopiero osiągnięcie 4-procentowego przyrostu, podwójnego w stosunku do przewidywań na rok 1993, miałyby w dziedzinie zatrudnienia jakiś wyraźny wpływ. Trzeba sobie jednak zdać sprawę, iż takie tempo wzrostu zakłada podwojenie PNB w okresie około 20 lat, co w przypadku wysoko

rozwinętej gospodarki wydaje się zbyt ambitne i mało realne. Jasne jest jednak, że nawet osiągnięcie takiego poziomu nie zapewni znacznego zmniejszenia bezrobocia. Przekładając powyższe abstrakcyjne rozważania na język konkretnego przykładu, wyobraźmy sobie, że obecnie tj. w czasie kryzysu (przy milionie bezrobotnych) jakiś zakład czy dziedzina przemysłu pracuje zaledwie na pół lub trzy czwarte obrotów. Kiedy, w miarę poprawy sytuacji, dojdzie ona nawet do pełnych 100% obrotów — ilu obecnych bezrobotnych będzie można dzięki temu zatrudnić? Pamiętamy przecież, iż nasz hipotetyczny zakład czy dziedzina przemysłu — jak tak wiele innych — ulega znacznej mechanizacji i automatyzacji. A to przecież jest powodem, że tak wielu ludzi utraciło pracę.

Z dotychczasowych rozważań wyłania się więc perspektywa znacznego permanentnego bezrobocia w krajach zachodnich. Wynikają zaś z niej od razu dwie poważne konsekwencje. Pierwsza to ograniczenie imigracji dla zachowania miejsc pracy dla rodzimej ludności. Jest ono konieczne także dla zapewnienia spokoju społecznego, dla uniknięcia zjawisk, które ostatnio obserwowaliśmy np. na terenie Niemiec. Druga to podział istniejących stanowisk pracy pomiędzy wszystkich, którzy do niej aspirują i posiadają potrzebne do tego kwalifikacje. To z kolei oznaczać będzie zmniejszenie godzin pracy przysługujących jednej osobie. Ponadto, stojąca u podłoża filozofii wzrostu gospodarczego zasada stałego podnoszenia stopy życiowej może wymagać rewizji. Okazuje się ona bowiem niemożliwa, ponieważ tempo rozwoju produkcji będzie musiało ulec znacznemu zwolnieniu.

Trudno spekulować, jak będzie wyglądało życie w warunkach, kiedy praca stanie się przywilejem. Możemy jednak z całą pewnością spodziewać się, iż taki stan rzeczy pociągnie za sobą radykalne zmiany w stosunkach społecznych. Dla polskiego czytelnika opisany tu problem może się wydawać odległy, abstrakcyjny niemal. Można się przecież spodziewać, iż kiedy sprywatyzowana gospodarka w Polsce ruszy wreszcie z kopyta, nastąpi okres ożywienia i szybkiego rozwoju. Jest jednak Polska częścią współczesnego świata i wcześniej czy później, w ten czy inny sposób, zjawiska w nim zachodzące obejmą także nasz kraj.

O POLSCE BEZ EMOCJI: KILKA LICZB

Każdy, kto odwiedza dziś postkomunistyczną Polskę, podkreśla doskonale zaopatrzenie rynku, takie do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni na Zachodzie. Można dostać wszystko, w pełnym wyborze, czego dusza zapagnie. Trzeba tylko mieć pieniądze. W

szczegółności uderza ogromna ilość towarów importowanych. Od wszelkiego rodzaju samochodów, aparatów elektrycznych i elektroniki, poprzez odzież, konfekcję, obuwie, do kosmetyków i środków piorących, francuskiego mleka, australijskiego masła, holenderskich czy włoskich herbatników, niemieckich lodów i napojów chłodzących. Wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek numer *Gazety Wyborczej*, aby natknąć się na dziesiątki ogłoszeń wszelkich towarów importowanych, zarówno takich, jakich w Polsce dotąd nie produkuje się, jak i zwykłych artykułów konsumpcyjnych posiadających rodzime, często zupełnie dobre, ekwiwalenty.

Oczywiście taki wybór i różnorodność cieszą oko, ale zaraz nasuwa się pytanie: skąd Polska na to wszystko bierze pieniądze? A za tym idzie, równie logiczna, wątpliwość: czy słuszne jest dopuszczanie bez ograniczeń importu towarów, które produkuje także borykający się z trudnościami polski przemysł? Obecnie na tapecie jest wprowadzenie na pewne towary, szczególnie wyroby przemysłu spożywczego, ceł ochronnych. Jakby nie było, faktem jest, że *aby importować, każdy kraj musi posiadać także odpowiedni eksport*.

Tymczasem wszyscy wiemy, że gospodarka znajduje się w stanie poważnej depresji, przemysł jest w zastojach lub też pracuje na bardzo wolnych obrotach. Rynek b. ZSSR załamał się, filary polskiego eksportu z okresu komunizmu — węgiel, statki, tabor kolejowy — runęły, a fama głosi, iż kraje Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej nie dopuszczają produktów polskiego rolnictwa. Skąd więc ma się brać eksport dogorywającej gospodarki? Jak to wszystko wytłumaczyć?

Ostatnio w atmosferę powszechnego w Polsce narzekania i pesymizmu wdarł się krótki, zastanawiający komunikat Centralnego Urzędu Planowania (CUP). Stwierdza on mianowicie, że w II kwartale 1992 roku eksport wzrósł o 12%, a import spadł o 8%. Co ważniejsze: *saldo handlu zagranicznego Polski było dodatnie*. Nie do wiary. Zostawmy więc powierzchowne, emocjonalne często oceny i sięgnijmy do liczb z najnowszych publikacji Głównego Urzędu Statystycznego¹.

Co Polska eksportuje

22,2% eksportu stanowią wyroby przemysłu elektromaszynowego (głównie wyroby przemysłu metalowego, maszyny i urządzenia energetyczne i środki transportu wodnego),

17,7% — wyroby przemysłu metalurgicznego (w tym:

1. Handel Zagraniczny 1992 — GUS, Warszawa, październik 1992.

wyroby walcowane, hutnicze i walcowane z metali nieżelaznych),

10,5% — wyroby przemysłu chemicznego (w tym: nawozy sztuczne i produkty farmaceutyczne),

10,0% — wyroby przemysłu spożywczego (głównie: produkty mięsne, ryby i przetwory rybne, produkty mleczarskie oraz przetwory owocowe i warzywne),

8,6% — eksportu (malejący udział) stanowią węgiel, koks i brykiety,

7% — wyroby przemysłu drzewno-papierniczego (w tym: tarcica i półfabrykaty oraz meble),

6,9% — produkty rolnictwa (głównie produkty upraw polnych i hodowli),

5,9% — wyroby przemysłu lekkiego (w tym połowę stanowi odzież),

3,4% — wyroby przemysłu mineralnego (w tym ponad połowę — wyroby ze szkła).

Wymienione grupy towarów składają się łącznie na 92,2% polskiego eksportu. Resztę stanowi szeroka gama towarów, które w tym miejscu nie zasługują na wyszczególnienie.

Dokąd kieruje się polski eksport?

W ciągu ostatnich kilku lat kierunki polskiego eksportu uległy zasadniczej zmianie. Chociaż b. ZSSR był jeszcze w roku 1991 drugim pod względem wielkości rynkiem eksportowym, stanowił on zaledwie 11%. Eksport do pozostałych krajów b. RWPG wynosił już tylko:

- 0,2% — do Bułgarii,
- 0,3% — do Rumunii;
- 0,7% — na Węgry,
- 0,3% — do Chin,
- 1,4% — do b. Jugosławii.

Jedynie Czechosłowacja stanowiła wyjątek (4,6%).

W wypadku Kuby czy Albanii eksport polski zmalał do zera.

Ogólnie biorąc, ponad 70% polskiego eksportu trafiało na rynki Europy Zachodniej. A oto pełna lista najważniejszych 15-tu krajów-odbiorców, w kolejności ich udziału w polskim eksporcie:

29,4% — Republika Federalna Niemiec

- 11,0% — b. ZSSR
- 7,1% — Wielka Brytania
- 5,2% — Holandia
- 4,6% — Czechosłowacja
- 4,5% — Szwajcaria
- 4,1% — Włochy
- 3,8% — Francja
- 2,6% — Szwecja
- 2,5% — U.S.A.
- 2,3% — Dania
- 2,0% — Belgia
- 1,5% — Finlandia
- 1,4% — Jugosławia

Wymienione rynki stanowią łącznie 86,5%. Na resztę składa się kilkadziesiąt krajów europejskich i pozaeuropejskich, z których każdy odbiera poniżej 1% polskiego eksportu i nie zasługuje w tym miejscu na wyszczególnienie.

Podane wyżej liczby nasuwają od razu dwie refleksje:

a) Możemy założyć, że w roku 1991 nie miało już więcej miejsca — w przeciwnieństwie do lat poprzednich — dofinansowywanie gospodarki z budżetu państwa. Okazuje się więc, że przy ogólnym kryzysie gospodarki i niewątpliwym zastojem w dużej części przemysłu, poszczególne dziedziny (a może pojedyncze zakłady?) okazały się zdolne do produkcji i eksportu z zyskiem w nowych warunkach wolnego rynku.

b) Zadziwiające jest, jak w trudnych warunkach odchodzenia od dawnego systemu gospodarki planowej szereg zakładów wykazało prężność i zdolność do konkurencji na rynkach zachodnich.

Sektor prywatny

Rewelację stanowi także udział sektora prywatnego w tym eksporcie. Statystyki GUS² za okres styczeń-grudzień 1991 rejestrują bowiem oddzielnie — dla uchwycenia dynamiki zmian — udział tego sektora. Okazuje się więc, iż w roku o którym mowa wynosił on już ponad 20% (21,8%).

Z ogólnego eksportu sektora prywatnego 70,6% przypadło na kraje Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, 12,7% na kraje b. RWPG, a 16,6% — na pozostałe.

Biorąc pod uwagę, iż udział sektora prywatnego w gospodarce polskiej nadal jest stosunkowo niewielki — z różnych

2. GUS — Informacje Statystyczne, Handel Zagraniczny — styczeń-grudzień 1991, dane ostateczne — Warszawa, marzec 1992.

względów znacznie mniejszy od postulatów i oczekiwań — jego dynamizm oraz nastawienie na eksport rzucają się w oczy.

Jeszcze kilka ciekawych liczb

Z materiałów GUS³ dowiadujemy się, że Polska liczy 38,3 milionów ludności. W liczbie tej ponad 20% — 7,9 milionów — stanowią emeryci i renciści. 61,9% ludności mieszka w miastach, reszta — 38,1% — na wsi. Warszawa liczy 1.655 tysięcy mieszkańców.

Przyrost naturalny w Polsce roku 1991 wynosił w skali ogólnokrajowej 3,7 promila, w miastach był mniejszy — 2,4, zaś na wsi o wiele wyższy — 5,8.

W ludności posiadającej zatrudnienie w roku 1991 był następujący stopień wykształcenia:

- 12% — wykształcenie wyższe,
- 27% — policealne i średnie zawodowe,
- 6,3% — średnie ogólnokształcące,
- 29,4% — zasadnicze zawodowe, oraz
- 25,3% — podstawowe i niepełne podstawowe.

Wreszcie ciekawe są liczby wyjazdów i przyjazdów w ostatnich dwóch latach (zaokrąglamy je tutaj do pełnych milionów):

Wyjazdy Polaków za granicę:

- 1990 — 22 miliony
- 1991 — 21 milionów

przyjazdy cudzoziemców do Polski:

- 1990 — 18 milionów
- 1991 — 37 milionów

Liczby te obejmują ilość przekroczeń granicy (tzn. osoba, która przyjechała lub wyjechała kilkakrotnie liczona jest szereg razy).

Wszystkie przytoczone tutaj dane mają swoistą wymowę i pociągają za sobą ważne konsekwencje dla sytuacji współczesnej Polski. Omówienie ich wykracza już poza ramy niniejszego artykułu.

Sydney, 16 listopada 1992

Jerzy BONIECKI

3. GUS — Mały Rocznik Statystyczny 1992.

POWOŁANIE FEDERACJI INSTYTUTÓW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

19 października 1992 roku dyrektorzy instytutów naukowych podejmujących problematykę Europy Środkowo-Wschodniej:

- Instytut Europy Środkowej z Budapesztu,
- Centrum im. Franciszka Skoriny z Mińska,
- Instytut Europy Środkowo-Wschodniej ze Lwowa,
- Instytut Europy Środkowo-Wschodniej z Lublina,

na uroczystym zebraniu powołali w Lublinie do życia Federację Instytutów Europy Środkowo-Wschodniej.

W posiedzeniu uczestniczyli również obserwatorzy reprezentujący Instytuty w stadium organizacji: Lublina i Praga, a także przedstawiciele pokrewnych Instytutów spoza Europy Środkowo-Wschodniej, między innymi z Nancy.

Celami nowo powstałej Federacji są:

- współpraca pomiędzy Instytutami, które powołały Federację,
- wspólne występowanie na arenie międzynarodowej,
- rozwój kontaktów pomiędzy środowiskami naukowymi zainteresowanymi problematyką Europy Środkowo-Wschodniej,
- popularyzacja problematyki Europy Środkowo-Wschodniej,
- wymiana naukowa pomiędzy członkami Federacji.

W połowie stycznia 1993 roku odbędzie się spotkanie w Budapeszcie, na którym zostanie ustalona sprawa statutu Federacji oraz zostaną przedyskutowane i przyjęte programy badawcze i projekty wspólnych wydawnictw realizowanych przez Federację. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej z Lublina zgłosił następujące propozycje:

- publikacja pisma naukowego, poświęconego problematyce Europy Środkowo-Wschodniej, jako organu Federacji,
- publikacja serii syntetycznych ujęć historii krajów Europy Środkowo-Wschodniej,
- publikacja serii atlasów poświęconych historii i aktualnej sytuacji w krajach Europy Środkowo-Wschodniej,
- prowadzenie badań na temat wzajemnych stosunków pomiędzy mniejszościami narodowymi w przygranicznych obszarach poszczególnych krajów.

Wszyscy sygnatariusze Federacji oraz uczestnicy spotkania zgodnie stwierdzili, iż integrowanie działań oraz współpraca naukowo-badawcza pomiędzy poszczególnymi instytutami zrzeszonymi w Federacji przyczynią się do dalszego wzajemnego poznania, pogłębienia wzajemnych kontaktów oraz zbliżenia narodów zamieszkujących tereny Europy Środkowo-Wschodniej.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOSZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128

Cena F. 70,00

DRUKARNIA POLSKA

KONTRAST

Brzozastrzeczna 33
D-5209 Schönbühl-Flaumbach
0 031/7777

wykonywa:
książki, broszury, czasopisma, katalogi,
prospekty, edycje, ulotki, blankiety,
karty świąteczne i wizytowe
oraz wszelkie inne prywatne, społeczne,
naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich
językach europejskich,
głównie w polskim i rzymskim.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!
Dla P.T. Autorów akustyczny mikrofilm
długoterminowy kredyt.

Sprawy i troski

Skutki dezinformacji naukowej

Środowisko, w którym działam od dziesiątków lat, zajmujące się podstawowymi badaniami w chemii i fizyce, a także projektami inżynieryjnymi, jest coraz bardziej zaniepokojone powiększającą się przepaścią pomiędzy stanem światowym tych dziedzin a świadomością — już nie tylko szerokiego społeczeństwa, ale co gorsze elit umysłowych nauk humanistycznych, szeroko rozumianych. Należą do nich nie tylko filozofowie, historycy, socjologowie, prawnicy, politolodzy ale i praktycy — parlamentarzyści i politycy.

Natura nie znosi próżni i lukę informacyjną pomiędzy humanistami a nami wypełniają niestety zbyt często nieodpowiedzialni dziennikarze i ich wyższe stadium ewolucji, czyli komentatorzy i publicyści. Mam dla nich wiele szacunku, gdyż drogą żmudnej specjalizacji stali się fachowcami i przyjemnie się ich czyta. Ale specjalizacja w pisaniu o rzeczach ścisłych to rzecz rzadka. Większość dziennikarzy uważa, że pisać może o wszystkim, od Kuby Rozpruwacza do syntezy termonuklearnej. Popadają wtedy w swoisty *mózgopląs* (lekarze i językoznawcy zechcą mi ten termin wybaczyć, jeżeli tolerują *oczopląs*). Ofiarą tego stanu są Czytelnicy i co gorsze działacze.

Nie możemy wymagać, by środowiska zainteresowane miały dokształcać się samorzutnie w dziedzinach ścisłych. Nie brakuje co prawda doskonałych periodyków w Polsce; jest *Wiedza i Życie*, *Świat Nauki* czyli polska wersja *Scientific American*, *Problemy* i liczne książki — dziś wszystko to wspaniale ilustrowane. Ale miejmy litość dla działaczy społecznych: jeżeli akurat ich coś zainteresuje, to może być to na przykład Czarna Dziura, ciekawa sama w sobie, ale bez znaczenia dla ich działalności.

Jedno z wydarzeń w październiku roku 1992 jest dobrą okazją do przedstawienia fragmentu spraw wprowadzających zamieszanie w umysłach. Właśnie wtedy rozpoczął się rutynowo

transport morski związków plutonu z Francji do Japonii. Pluton służy do wytwarzania tańszego, w końcowym efekcie, paliwa nuklearnego dla energetyki. A ta właśnie w wersji nuklearnej nie powoduje kwaśnych deszczów ani nie pogarsza efektu cieplarnianego, bo nie zwiększa zawartości dwutlenku węgla w atmosferze.

Materiały dla energetyki nuklearnej transportuje się stale i jest to od jej początków przedmiotem starannego przygotowania się na wszelkie ewentualności. Wszystkie etapy transportu są obwarowane drobiazgowymi przepisami międzynarodowymi. Swego czasu przewożony był na trasie Francja-Leningrad i z powrotem, w celu taniego w Rosji wzbogacenia, sześćofluorek uranu, bardziej od tlenku plutonu niebezpieczny. Ładunek raz nawet zatonął w kanale La Manche, ale wszystko było przygotowane na takie zdarzenie i nic nikomu; ani przyrodzie się nie stało. Zapewne „Zieloni” udawali, że „nie zauważyli” zagrożenia, ale szczęśliwe zakończenie sprawy nie było przecież po ich myśli. Teraz jednak, w braku widocznie innych zajęć, *Greenpeace* poderwał dziennikarzy. *Spiegel-Redakteur*, niejaki Walter Mayr, napisał w numerze z datą 12 października w świętym oburzeniu, że tona plutonu jakości bombowej rusza w świat. Dodał że to materiał na 150 bomb typu Nagasaki. Łatwo sobie wyobrazić, jaki to może mieć wpływ na nastroje Czytelnika! Dziennikarz dalej podkreśla odwagę jedynych dwóch zielonych obywateli Hagi — emerytowanego kolejarza i stolarza którzy przeszkadzają transportowi. Dlaczego tylko dwóch sprawiedliwych? Bo reszta mieszkańców żyje z przemysłu nuklearnego, pisze z triumfem p. Mayr.

Nie wdając się w nużące Czytelnika szczegóły, twierdzenie o bombowej jakości transportowanego plutonu jest całkowicie fałszywe, szczególnie w zestawieniu z podaną liczbą bomb. Mieszanina izotopów plutonu, wytworzonego w powszechnie stosowanych siłowniach nuklearnych, nie nadaje się bez bardzo skomplikowanych operacji na wytworzenie bomby. W ramach próbnych wybuchów nuklearnych Amerykanie sprawdzali to dokładnie i raz z trudnościami się to udało. Wyniki są na tyle jasno opublikowane, że nie sądzę, by jakikolwiek terrorysta lub państwo o takich zapędach miało ryzykować niepotrzebne pirackie przechwycenie statku na morzu.

Mówiąc o uproszczeniach, energetyka nuklearna nie ma na celu produkowania bomb, a tylko takie ustalanie składu paliwa oraz takie prowadzenie procesu „wypalania”, by najtaniej otrzymać największą ilość energii. A to nie prowadzi do czystego plutonu 239, tego właśnie bombowego. Ten ostatni najlepiej otrzymywać z reaktorów grafitowych załadowanych uranem i określonym, niewielkim stopniu wzbogacenia, a jeszcze lepiej z

reaktora ciężkowodnego, na przykład typu CANDU (od Kanady, ciężkiej wody i uranu). Tak postąpili swego czasu Hindusi, gdzie pięciuset chemików z wypalonego paliwa wydzieliło właściwy pluton, a inni zrobili z niego ładunek, zdetonowany później celem przerażenia Pakistańczyków.

W tym miejscu ja, chemik, pytam politologów i wojskowych, czy rzeczywiście Pakistan został wystraszony i na ile bomba hinduska zmieniła coś w układzie sił subkontynentu? Na moje oko efekt był żaden, a jedyną ofiarą był Hindus, kierownik przedsięwzięcia bombowego, który uległ atakowi serca.

Gdyby statek *Akatsuki Maru* transportował nawet właściwy pluton, to nie sądzę, by ktokolwiek miał go przechwycić, bo po co. Smutne przecież dla wszystkich, może więcej dla fachowców nukleoniki niż kogokolwiek innego, użycie bomb w Japonii było jedyną i chyba niepowtarzalną okazją uzasadnionego militarnie i politycznie zastosowania. Było zresztą przedłużeniem i eskalacją okrutnych konwencjonalnych bombardowań, które przyniosły Japończykom (i Niemcom) wielokrotnie większe straty ludzkie i materialne niż bombardowania nuklearne. Żadnej innej uzasadnionej okazji do użycia broni „A” nie było; nawet najbardziej uzasadniona i nienarażona wówczas na odwet okazja koreańska nie okazała się sensowna, bo powodowałyby więcej zniszczeń — nie licząc szkód moralnych — niż potrzeba.

Poruszam sprawę nieodpowiedzialności hamburskiego tygodnika, bo nie jest to pierwsze zniekształcenie prawdy przez dziennikarzy. Może jeszcze bardziej szkodliwym, często powtarzanym kłamstwem jest twierdzenie, że radioaktywność jest zaraźliwa, że wszystko co leży koło radioizotopu staje się od jego promieniowania radioaktywne. Pogląd ten przenika niestety i do głów polskich popularyzatorów. Należy przeciw temu gorąco zaprotestować. Nie staje się promieniotwórczym pacjent po prześwietleniu aparatem roentgenowskim, ani po zakładaniu w pobliże guza igły z radem. Ani po terapii cząstkami przyspieszonymi w akceleratorach do energii niespotykanych w naturalnych izotopach. Ażebym wspomniany rad mógł wywołać — słabą zresztą — aktywację niektórych pierwiastków, należy zmieszać go z berylem, czyli wykonać skomplikowaną czynność. Bardzo prosimy dziennikarzy o zaprzestanie twierdzeń o zaraźliwości promieniotwórczością! Ubarwia to ich utwory, ale wprowadza społeczne zamieszanie. Przy tej okazji muszę zwrócić uwagę na naiwność propagandy ekologów. Czyżby uważali oni te tysiące robotników i inżynierów przemysłu nuklearnego za *kamikaze*? Właśnie dlatego, że zagrożenia znane są od początków nukleoniki, przemysł nuklearny stał się bardzo bezpieczny, a stopień ryzyka lub prawdopodobieństwo wypadku są znacznie mniejsze niż np. przy pracy na platformach wydobywczych gazu i ropy

naftowej. A do kategorii zaawansowanej hysterii należy zaliczyć osoby, które podeszły pod parkan strefy ochronnej reaktora i już czują pierwsze objawy choroby popromiennej.

W obecnych nerwowych czasach w ogóle należy pisać — jak zawsze zresztą — prawdę i tylko prawdę. Inaczej przestępcy ulegają przeróżnym złudzeniom i zaczyna się to, co dzieje się na granicy Polski i b. ZSSR. Tamtejsi ludzie kradną co tylko ma znaczeń radioaktywności i usiłują wcisnąć to tutejszym Arabom i pośrednikom, żądając w dodatku bajonńskich sum za groszowej wartości preparaty. Nie tylko nie można z nich zrobić bomby, ale nawet nikomu krzywdy, chyba że się połknie albo będzie się z tym spało przez dłuższy czas.

Opisuję zamieszanie dziennikarskie proveniencji zachodniej, bo przenosi się ono łatwo na Polskę. Tu panuje ciągle kult wiarogodności wszelkiego słowa drukowanego. Z artykułów w prasie polskiej widać, jak to w pocie czoła, kartkując słownik, dziennikarz wysmaża bzdurę pomnożoną o jego niefachowość i słabą znajomość języka. Przecież praca większości dziennikarzy w Polsce przypomina opowieści Marka Twaina, powtórzone przez Hańka w Szwejku: jak to się robi gazetę z wycinków pism zagranicznych. Jak sprawa plutonowa dowodzi, trzeba zachować najwyższą ostrożność w korzystaniu ze źródeł prasowych, nawet o dobrej opinii.

Szczęśliwy ten Zachód, że dzięki dotartym strukturalom może minimalnie tylko przejmować się specyficznym terrorem ekologów. Polska do tego nie doszła i nieodpowiedzialne akcje dziennikarskie przyczyniły się do zaprzepaszczenia połowy miliarda. Tyle warta była inwestycja wstrzymanej budowy elektrowni nuklearnej w Żarnowcu. Kluczową rolę spełniło tu Radio Wolna Europa, a w nim niejaka p. Danuta Drzewińska (kwalifikacje nieznanne) która głosiła kłamstwa własne, np. że elektrownia ma mieć reaktory grafitowe RBMK typu czarnobylskiego. Oprócz tego rozpowszechniała dywersyjne materiały nadsyłane z Polski, często podpisywane tytułami profesorskimi, tyle że nie tych specjalności co trzeba. Szczególnie dużo wśród nich było dentystów Trójmiasta. Jest dla mnie do dziś zagadką, dlaczego elektrownia nuklearna nie podobała się właśnie stomatologom. Ci pożyteczni fachowcy przejdą do haniebnego rozdziału historii techniki w Polsce. Stomatolodzy działali chociaż otwarcie, ale wiele działań było anonimowych, np. ulotki rozdawane senatorom RP z obliczeniami, ile bomb będzie produkował Żarnowiec!

Dlaczego rząd RP oparł się na tych głosach, a nie uwzględnił opinii krajowych i zagranicznych (zachodnich) fachowców? Nowa władza nie miała zaufania do naukowców z uczelni, bo pamiętano, że „komuniści zadbali, by personel nauczający młodzież był politycznie pewny”. Nie miała też zaufania do ludzi

wyrzuczonych za antykomunizm z uniwersytetu (jak autor tego artykułu) i zesłanych do Instytutów, bo „ci ludzie mieli kon-szachty techniczne z Rosjanami, a może i z KGB”. Niedoinformowanie rządu było tak tragiczne, że nie zauważono nawet, że Żarnowiec miał być bardziej czeską siłownią niż rosyjską. Czesi właśnie mieli od lat pięćdziesiątych uzasadnione ambicje rozwoju samodzielnej energetyki nuklearnej, niezależnej od wszelkich kontaktów rosyjskich. Nie zdziwię się, gdy będą ujawnione dokumenty obaw sowieckich, które w tej samodzielności widziały zagrożenie dla imperium. Znajdą się dowody lub nie, ale faktem jest, że po roku 1968 zabrano się do gładyszalowania (ten hitlerowski termin jest jak najbardziej tu na miejscu) nieposłusznych Czecho-Słowaków z resztą RWPG. Tym nie mniej wiele rozwiązań czeskich okazało się lepszych od rosyjskich i te przechodziły do nas. Dziś wolne te dwa narody — czeski i słowacki — mogą swobodnie uprawiać swą zaawansowaną technologię. Ich elektrownie nuklearne dostają wysokie oceny specjalistów zachodnich. Życzymy sobie, by w Czechach wypierały elektrownie węglowe, które zrzucają kwaśne deszcze i na nasze tereny z katastrofalnymi skutkami.

Pomimo dobiecia elektrowni w Żarnowcu, rozpędzona maszyna dezinformacji nuklearnej działała i działa dalej, tym razem tępiąc wszelkie zastosowania promieniowania, łącznie z medycznymi. Ich integralną częścią są składowiska odpadów, zresztą o śmiesznie niskim poziomie aktywności w porównaniu z tym, co przechowuje się w krajach cywilizowanych. Składowiska te, nazywane przez dziennikarzy wysypiskami izotopów, nie zagrażają oczywiście nikomu. W tej dalszej kampanii nieoceniona okazała się nadal p. Drzewińska z RWE, ale tej już mało kto słucha. Doszła natomiast potężniejsza p. Czajkowska w Polskiej Telewizji, która w niewybredny sposób wymyśla zagrożenia, rozpalające wyobraźnię. Odbywa się to z przygrywkami gitarzystów, którzy śpiewają coś w rodzaju pieśni protestów modnych wśród hippisów lat siedemdziesiątych. Żeby było dziwniej, na końcu programu znajduje się zdumiewająca informacja, że sabat ten jest finansowany przez Ministerstwo Ochrony Środowiska! A nowy szef tego resortu w pierwszych oświadczeniach powiedział, że będzie popierał alternatywne źródła energii, nie mając oczywiście na myśli energetyki nuklearnej, tylko te, które nawet w krajach ciepłych i wietrznych wykazały ograniczoną przydatność.

W kwestii przechowywania odpadów mamy wydarzenia kuriozalne: gdy zaproponowano nikomu niepotrzebne rozległe bunkry — pozostałość z czasów wojny — na składowanie betonowych bloków z odpadami, to zmobilizowano przeciw projektowi opinię społeczną. Jej kluczowym argumentem było wcześniej-

sze zasiedlenie bunkrów przez nietoperze. Ze smutkiem, jako praktykujący członek Kościoła, muszę powiedzieć, że wsteczną rolę w niszczeniu projektu odegrał ks. biskup Michalik. Powinno być to ostrzeżeniem dla organizacji z autorytetem, że wystąpienia jej członków automatycznie są z nią utożsamiane. A przecież jestem przekonany, że Kościół nie jest przeciw medycynie, która właśnie na odcinku diagnostyki izotopowej i leczenia nowotworów nie ma nawet cienia związku z tymi problemami, które mogłyby wzbudzić wątpliwości natury etycznej.

Przykrą jest rzeczą, że artykuł popularyzacyjny dla humanistów dotyczy dziedziny, w której tak jawnie zaniedbuje się opinie fachowców. Niestety jeszcze jeden artykuł będzie musiał być poświęcony podobnej sprawie, która jest pełna nieporozumień. W kwietniu roku 1992 prowadziłem dyskusję na temat skutków awarii czarnobylskiej. Sądzę, że wnioski z tej dyskusji, obiektywne, niezależne materiały światowe, a także, niestety, manipulacje polityczne winny być opublikowane w formie strawnej dla niespecjalistów. Na tym popularyzację zagadnień nukleonicznych powinno się zakończyć, bo umykają inne zagadnienia nauk ścisłych końca XX stulecia, których bezpośrednie konsekwencje dla myślenia i działań humanistów są niezwykle ważne.

Zbigniew Paweł ZAGÓRSKI

Polnische Buchhandlung

KSIEGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

O religii bez namaszczenia

Moralność świecka

W londyńskim *Times'e* z 31 października 1992 ukazał się list do redakcji podpisany przez ośmiu członków brytyjskiego Komitetu Obywatelskiego dla Bośni i Hercegowiny, apelujący o podjęcie przez rządy ONZ, w tym zwłaszcza USA i Wspólnoty Europejskiej, akcji, która zmusiłaby Serbów oblegających od sześciu miesięcy Sarajewo do zaprzestania bombardowania miasta i umożliwiła jego mieszkańcom przeżycie nadchodzącej zimy. Sygnatariusze apelu powołują się na fakt, że niedawny zakaz lotów bojowych nad Bośnią, poparty groźbą ograniczonej interwencji militarnej Zachodu, okazał się skuteczny, gdyż Radovan Karadžić mimo wszystko nie może ryzykować zbrojnej konfrontacji z Zachodem. Jeśli ONZ nie uratuje Sarajewa, miałby na sumieniu nie tylko krew mieszkańców Sarajewa, ale i rzeszę bośniackich uchodźców, którzy zostaliby pozbawieni ostatniej piędy własnej ziemi, na której mogliby się schronić.

Podzielam oczywiście troskę sygnatariuszy apelu, jak podziela ją wszyscy, którzy z rosnącą trwogą i wstydem patrzą na to, co się dzieje w byłej Jugosławii. Nie wiadomo jeszcze, czy Rada Bezpieczeństwa podejmie jakąś akcję i jaka będzie jej skuteczność. Na razie możemy tylko stwierdzić fakt moralnego zaangażowania Zachodu na rzecz ofiar jugosłowiańskiej tragedii jak i tylu innych tragedii w innych krajach i na innych kontynentach: w Somalii i innych zagrożonych głodem krajach Afryki, w Saddam-Husejnowym Iraku, we wstrząśniętym trzęsieniem ziemi Egipcie czy zalewanym regularnie powodzią Bangladeszu. Fakt naszego zaangażowania jest oczywisty, ale zawiera on pewne elementy, które nie są oczywiste, i na te elementy chciałbym zwrócić uwagę. Ogólnie określamy to jako zaangażowanie Zachodu, choć jest to określenie bardzo niecisłe. Sekretarzem generalnym ONZ jest przecież Egipcjanin, wśród sił pokojowych ONZ w Jugosławii jest między innymi kontyngent pa-

kistański, dochodzenia zbrodni wojennych w Jugosławii prowadzi Polak (Tadeusz Mazowiecki), głównym i najbardziej sprawnym administratorem pomocy dla głodującej Somalii był do niedawna Algierczyk. I tak dalej. Natomiast gros środków finansowych i zasobów materialnych zaangażowanych w tych akcjach istotnie pochodzi z krajów geograficznego czy politycznego Zachodu (do którego należy także Japonia). Tak samo gros personelu. I główne ośrodki decyzji (Waszyngton, Nowy Jork, Londyn, Paryż, Bruksela, Genewa) leżą na Zachodzie.

Nade wszystko jednak opinia publiczna, która kształtuje moralne zaangażowanie leżące u podłoża tych akcji, to w ogromnej mierze opinia publiczna szeroko pojętego Zachodu. To w tej mocno zachodniej glebie mają swe korzenie wielkie organizacje charytatywne działające na arenie międzynarodowej, jak Międzynarodowy Czerwony Krzyż i *Amnesty International*, jak *Oxfam* i *Help the Children Fund* jak *Misereor* i *Médecins sans Frontières*. Wiele z nich ma charakter specyficznie chrześcijański, jak w Wielkiej Brytanii *Christian Aid* i katolicki *Cafod*; jest rzeczą oczywistą, że kluczową (choć nie wyłączną) rolę w tej aktywizacji moralnej grają kościoły chrześcijańskie. Do tej roli kościołów jeszcze powrócimy za chwilę.

Najpierw chciałbym zwrócić uwagę na ciekawy fakt, który widoczny jest również w zacytowanym na początku apelu o pomoc międzynarodową dla obłożonego Sarajewa. Sygnatariusze apelu najwidoczniej czują się moralnie odpowiedzialni za losy mieszkańców miasta i tą odpowiedzialnością obarczają także szeroko pojęty Zachód, natomiast nie mówią nic o podobnej odpowiedzialności sprawców jugosłowiańskiej tragedii, w tym także tych, którzy z kolei stają się jej ofiarami. Jeśli niektórym z nich grozi się wyrokami skazującymi za zbrodnie wojenne, to jest to raczej zabieg taktyczny, mający na celu położenie kresu okrucieństwu, nie zaś apel do poczucia moralnego sprawców zbrodni. Sprawcy zatem są traktowani raczej przedmiotowo, bez mała jak ślepe siły natury, jak powódź albo trzęsienie ziemi. Albo nieurodzaj i głód. W debacie nad tym kto ponosi odpowiedzialność za straszliwą klęskę głodu w Somalii, wskazywano oskarżycielskim palcem w pierwszym rządzie na ONZ i jej agencje specjalne, następnie na rządy zachodnie (USA i kraje EWG), wreszcie na zachodnie organizacje charytatywne, że nie zdołały na czas przedsięwziąć środków zaradczych. Nie obarczono winą sąsiednich krajów arabskich, które zupełnie nie zatroszczyły się o losy swych współwyznawców w przeważnie muzułmańskiej Somalii, choć środków na pewno by im nie zabrakło. Nikomu do głowy nie przyszło, by choćby częścią winy za narodową katastrofę obciążyć samych Somalijczyków. Nawet przywódcy polityczni w Somalii i zwalczające się wzajem-

nie bandy zbrojne, rabujące żywność i mordujące ludność, są traktowani przez odpowiedzialny za wszystko Zachód na równi ze ślepyimi siłami natury.

To zaangażowanie Zachodu (zawsze rozumianego szeroko, ale w tym sensie zaangażowanie wyłączne) jest skomplikowanym zjawiskiem. Nie jest ono zapewne całkiem bezinteresowne. Jest w nim element politycznej kalkulacji, troski o własną przyszłość i jest poczucie własnej wyższości, przynajmniej materialnej i politycznej, jeśli nie moralnej. Jednak zasadniczy trzon tego zaangażowania jest niewątpliwie natury moralnej, nawet (powie-działbym) religijnej, bo jest ono motywowane poczuciem ludzkiej solidarności i żywego współczucia, czyli tego, co w języku religijnym nazywa się miłością bliźniego. Pomoc niesiona ludziom mniej uprzywilejowanym, obciążonym większą niż przeciętna dozą osobistego i wspólnotowego nieszczęścia, przybiera tu postać autentycznej ofiary, co znowu jest terminem religijnym — w płytko rozlanym masowym współczuciu może ofiary tylko pieniężnej, ale również serdecznej myśli, nieraz równoznacznej z mniej lub bardziej uświadomioną, mniej lub bardziej artykułowaną modlitwą. W skali węższej i głębszej ofiarność przybiera formę bardziej aktywną — od pracy organizacyjnej czy dowódczej na szczeblu centralnym po prace szeregowego personelu wykonującego konkretne zadania w terenie. Często jest to praca nędznie albo wcale nie wynagradzanych wolontariuszy; także praca żołnierzy, idących w teren na rozkaz, nie może być pozbawiona elementu osobistego zaangażowania, tego co w języku wojskowym nazywa się *morale*. To słowo nabiera tu, w akcjach oddziałów pokojowych czy rozejmowych ONZ, całkiem nowego sensu, właśnie sensu *quasi* religijnego. Żołnierz ONZ, a także działacz organizacji charytatywnej i dziennikarz, naraża swoje życie nie jako strona w konflikcie zbrojnym, lecz jako pracownik społeczny w najlepszym tego słowa znaczeniu, walczący o prawo do niesienia pomocy ofiarom wojny po obu stronach. Przy tym jego dobra wola jest w najlepszym przypadku ledwo tolerowana przez obie walczące strony, które widocznie wolą mieć swobodę zabijania się wzajemnie bez przeszkód ze strony trzeciej. W byłej Jugosławii ta paradoksalna sytuacja występuje szczególnie jaskrawo.

Jest to sytuacja bez precedensu i dlatego może jej paradoksalność tak bardzo rzuca się w oczy. Jakkolwiek oddziały pokojowe ONZ nieraz już interweniowały w różnych punktach globu, to jednak nigdy jeszcze nie były to interwencje na taką skalę i tak aktywne. Interwencja w Iraku miała zupełnie inny charakter, bo tu oczywiście siły ONZ były stroną przywracającą naruszony porządek międzynarodowy. W Jugosławii natomiast siły ONZ są zaangażowane w akcjach rozjemczych, podobnie

jak w większości podobnych interwencji w innych krajach, przy czym tu dochodzi do tego prowadzona na niespotykaną skalę akcja charytatywna, głównie dostarczanie pomocy medycznej i żywności. Międzynarodowe akcje ratownicze i charytatywne też nie są nowością, lecz w Jugosławii ta akcja występuje po raz pierwszy w połączeniu z prowadzoną przez wojsko akcją pokojową i rozjemczą. I stąd ten specyficznie moralny charakter zaangażowania Zachodu w Jugosławii. Kiedyś wojsko służyło tylko do tego, by zabijać wrogów (to pozostaje uzasadnieniem awersji pacyfistów do służby wojskowej); od niedawna wojsko służy również do tego, by rozdzielać wrogów, aby się wzajemnie nie zabijali. Teraz w Jugosławii wojska ONZ otrzymały dodatkowo jeszcze jedną całkiem nową funkcję: ratować ofiary wojny od wojennych cierpień i śmierci, choćby nawet kosztem ofiar śmiertelnych we własnych szeregach. Jesteśmy świadkami zdumiewającej ewolucji moralnej. *Morale*, jakie jest wymagane od żołnierzy oddziałów pokojowych, jest bardzo szczególnej natury, bo może się ono powołać na słowa Ewangelii, że *nie ma większej miłości niż ta, która własne życie daje*, i że *błogosławieni są pokój czyniący*.

Znowu wprowadzam tu terminologię religijną, by uwypuklić fakt, że to zaangażowanie Zachodu, będąc zaangażowaniem moralnym i humanitarnym, ma również swój wymiar religijny. Nie znaczy to wcale, bym chciał ten szeroko rozumiany Zachód kanonizować jako wzór do naśladowania dla reszty świata. Są w cywilizacji zachodniej elementy godne naśladowania (i faktycznie naśladowane, dzięki temu staje się ona na naszych oczach cywilizacją planetarną), ale są również elementy złe czy kontrowersyjne, niemoralne czy moralnie obojętne. Ten nurt jednak, który w tym artykule próbuję wydestylować, jest nurtem dobrym, a dobry jest moim zdaniem właśnie dzięki temu, że ma on swój wymiar religijny. Ten wymiar religijny nie jest jednak *explicite* wyeksponowany i cała akcja zachowuje swój charakter czysto świecki. Znaczący to w gruncie rzeczy, że nie ma tu radykalnego przedziału między tym co religijne a tym co świeckie, między *sacrum* i *profanum*. Bo wartości religijne, gdy są realizowane w normalnym świeckim życiu stają się przez to świeckie, a życie świeckie, gdy są w nim realizowane najwyższe ludzkie wartości, nabiera przez to wymiaru religijnego. Cywilizacja zachodnia przez wieki kształtowała się w atmosferze wartości głoszonych przez chrześcijaństwo. Dlatego choć wartości te były i są realizowane w sposób bardzo niedoskonały, często wprost sprzeczny z chrześcijaństwem, to jednak nie dziwi, że jej formy moralnie dojrzałe dają się opisać w sposób najbardziej naturalny słowami zaczerpniętymi z Ewangelii.

Określenie wartości religijnych i moralnych cywilizacji zachod-

niej mianem chrześcijańskich niekoniecznie oznacza — i nie powinno oznaczać — nadania tej cywilizacji charakteru wyznaniowego. Wartości te są dziś powszechnie odczuwane jako ogólnoludzkie i jeśli już mamy mówić w kategoriach wyznaniowych, to na tym polega historyczny triumf Ewangelii Chrystusa. Ale wszelka identyfikacja wyznaniowa, jakkolwiek w pewnej mierze nieunikniona i nawet konieczna, zawsze pociąga za sobą niebezpieczeństwo wyznaniowego bałwochwalstwa, ubóstwienia wspólnoty religijnej kosztem czci należnej tylko prawdziwemu Bogu, który jest Bogiem wszystkich ludzi. I właśnie w sytuacji jugosłowiańskiej mamy drastyczne przykłady takiego bałwochwalstwa; stanowią one niejako odwrotną stronę medalu moralno-religijnego zaangażowania szeroko pojętego Zachodu. Bo Jugosławia jest terenem historycznego współzycia i konfliktów aż trzech wyznań względnie religii. Przy tym katolicyzm Chorwatów i prawosławie Serbów są nierozłącznie spojone z poczuciem narodowym i tradycjami kulturalnymi, jakże odmiennymi, Chorwatów i Serbów. Natomiast odrębność bośniackich muzułmanów zdaje się zasadzać w większej mierze na ich islamskiej religii niż na innych kulturowych cechach odróżniających ich od ich równe słowiańskich pobratymców. Tak czy owak, jakże bezsilna jest religia wszystkich trzech narodów wobec rozbujających namiętności, zgoła szatańskich, trzech skłóconych nacjonalizmów! Jest bezsilna właśnie dlatego, że jest podzielona na trzy wyznania. Różnice wyznaniowe — pozornie religijne, lecz w gruncie rzeczy nie mające nic wspólnego z religią — tylko podsycają wzajemną nienawiść, szalenstwo „czystek etnicznych” i akty straszliwego okrucieństwa wobec bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie pomogły nic szlachetne apele arcybiskupa Zagrzebia Kuharića i patriarchy Belgradu Pavele o umiarkowanie i pohamowanie nienawiści. Ogłoszony niedawno wspólny apel obu dostojników przynosi im zaszczyt, gdyż świadczy, że prawdziwe chrześcijaństwo nie całkiem zamarło pod wyznaniową skorupą obu społeczności. Ale to nie zmienia faktu, że religia w Jugosławii jest bezsilna. Religijny wymiar patriotycznych zaangażowań — serbskich, chorwackich, bośniackich — jeśli w ogóle w tych zaangażowaniach istnieje, stanowi ponury kontrast z wymiarem religijnym moralnego zaangażowania Zachodu, który starałem się wyżej opisać. Wygląda na to, że oddziały pokojowe ONZ, komitet rozjemczy Dawida Owena i Cyrusa Vence'a, Czerwony Krzyż i zachodnie organizacje charytatywne odgrywają tu rolę cywilizowanych misjonarzy wśród prymitywnych barbarzyńców. Historia świata i historia chrześcijaństwa przechodzi dziwne zgoła koleje.

Jugosłowiański paradoks polega na tym, że pewne ośrodki

świeckiego świata realizują pewne podstawowe wartości religijne w sposób bardziej skuteczny, są moralnie bardziej dojrzałe, bardziej chrześcijańskie niż powołane do głoszenia tych wartości ośrodki religijne. Nie jest to zjawisko ograniczone do samej tylko Jugosławii. Widzieliśmy w toku tych wywodów, jak często organizacje czysto laickie aktywnie realizują przykazanie miłości bliźniego — przypomnijmy choćby tylko *Amnesty International* — i jak często wyznaniowy fanatyzm legitymizuje zbrodnie — przypomnijmy tylko Północną Irlandię. Wydaje mi się, że prowadzi to do dwóch bardzo generalnych konkluzji:

1. Świecki świat, nawet jeśli bezreligijny, nie jest przez to samo amoralny, materialistyczny, egoistyczny itd. Ponieważ religia bywa fanatyczna i anty-humanitarna, laickość nie jest sama w sobie złem, któremu zdrowa religijność zawsze powinna stawiać opór. Przeciwnie, laicyzacja może sprzyjać realizacji istotnych religijnych wartości, zwłaszcza szeroko pojętej miłości bliźniego. Świeckie wartości moralne, dlatego że są moralne, mają swój wymiar religijny. Jest bardzo prawdopodobne (osobiście jestem tego pewny), że religijny wymiar wartości świeckich jest wynikiem wielowiekowej penetracji wartości Ewangelii do świadomości społecznej. W Ewangelii zasadnicze religijne wartości są prezentowane jako niezależne od przynależności religijnej czy wyznaniowej. Zob. na przykład: Mat. 7,21-23; 8,5-13; 23,1-3; Mk. 2.23-28; 9,38-40; Łk. 10,29-34; 19,1-10; Jan 3,21-23.

2. Dalsza penetracja wartości ewangelicznych do świadomości świeckiego świata wymaga daleko idącej tolerancji międzywyznaniowej i poza-wyznaniowej, minimalizacji różnic doktrynalnych (właśnie w celu zrobienia miejsca dla podstawowych ewangelicznych wartości) i świadomego zmniejszania przedziału między tym co religijne a tym co świeckie, między *sacrum* a *profanum* (w celu ułatwienia penetracji). W sferze jurysdykcji oznaczałoby to daleko idącą liberalizację wewnątrz-wyznaniowych dyscyplin i rewaloryzację wrażliwości indywidualnego sumienia na przykazania Ewangelii. Innymi słowy, wszelka ewangelizacja musi iść w parze z radykalnym i szerokim ekumenizmem i ufny poszanowaniem autonomii świeckiego świata.

Antoni POSPIESZALSKI

Ukraina

Władza nad przepaścią

Między trójzębem a łapówką

Koło historii toczy się nad Dnieprem między postępem i zapaścią. Postęp to telefony. Od niedawna połączenie z Kijowem z Ameryki czy Europy następuje błyskawicznie. Tak samo można automatycznie dzwonić ze stolicy Ukrainy we wszystkie strony świata. Postęp — to uruchomienie kilku nowoczesnych linii lotniczych do głównych metropolii Zachodu. I na tym się ta śpiewka kończy. Wciąż jeszcze przybysz z za granicy musi na lotnisku w Boryspolu wyładować swój bagaż ze zwału waliz i toreb na wozie-platformie, wciąganej przy pomocy dyszla przez dwóch ludzi do wnętrza maleńkiej hali przyjazdowej. A potem, czy chce czy nie chce, każą mu wlec ze sobą wszystko do kontroli w następnej sali, gdzie dodatkowo trzeba wypełnić przedpotopowe formularze dewizowe i celne ze stereotypowymi pytaniami czy się wwozi broń, narkotyki i pornografię. A przy kontroli paszportów po przeciwległej stronie zwisają ustawione pod odpowiednim kątem lustra-szpiegówki, pozwalające dyżurnemu obejrzyć przybysza niżej pasa. Stare to urządzenia z epoki NKWD-KGB i w większości krajów post-komunistycznych dawno zdemontowane. W Boryspolu nadal kompromitują Ukrainę.

Jest pierwszy grudnia — a zatem rocznica referendum o niepodległości i wyborów prezydenta państwa. Na dworze zięb i ponure spojrzenia przechodniów. Nikt nie gra na fanfarach, nikt nie wywiesza sztandarów. Nad Kijowem wisi szara smuga smutku. Tylko garstka niezłomnych zebrała się na Placu Niepodległości, by uczcić zeszloroczne zwycięstwo w godny sposób. A mimo nich przewała się na Chreszczytaku masa zgorzkniałych, spode łba spojierających na patriotyczne widowisko mężczyzn i kobiet, dzieci. Zakutani w fufajki i kozuchy czekają cierpli-

wie na autobusy. A te jeżdżą nabite po brzegi rzadko, bo nie ma benzyny. Czasami przemknie taksówka, ale śmiałków, gotowych do zapłacenia sto razy droższej niż dawniej taryfy, mało. A jak ktoś wsiada, to chyba cudzoziemiec lub miejscowy bogacz-oszust. Owszem są podobno również zamożni tubylcy, którzy w legalny sposób doszli do pieniędzy. Sam znam takiego na Krymie. Posiada prywatną fabrykę rur do gazociągów i kanalizacji. Zarabia krocie i finansuje szereg gazet i pism. Ale takich jak ten Kolesnykow w Simferopolu gdzie indziej nie uświadczysz. Za to wszędzie aż huczy o mafiach, aferach, łapówkach. Jest to temat rozmów towarzyskich, wódczanych przypowiastek i codziennej plotki w kolejkach po chleb, mięso i coraz rzadsze masło i mleko.

Do niedawna kulejące zaopatrzenie ratowała mafia czarno-włosych handlarzy z Kaukazu. Na rynku Besarabce można było u nich kupić co się chciało, byle się miało pod dostatkiem najpierw rubli, a po ich wycofaniu kuponów — karbowanów. Ale kruczowłosi młodzieńcy handlowali nie tylko pomarańczami i jabłkami — granatami. Można było u nich nabyć i zwykłe granaty, pistolety, złoto, kokainę no i inne chodliwe aczkolwiek wstydlive rzeczy i obiekty. Kiedy kilka razy doszło do strzelaniny między konkurencyjnymi mafiemi, naczelnik prezydenta na Kijów, Salij, wymiółł je ze stolicy. Bezpieczeństwo się przez to nie poprawiło. Na opróżnione miejsce wskoczyła rodzima mafia, niemniej chciwa i brutalna. Ale pogorszyło się zaopatrzenie w poszukiwane artykuły spożywcze i luksusowe. Własna mafia ma gorszy smak a jej macki sięgają przeważnie do Rosji i Polski. Stara się o kontrolę czarnego rynku z prywatnych importów tureckich, chińskich i indyjskich. Bo na Ukrainie współczesnej tak jak w onegdajszej Polsce, każdy czymś handluje, kombinuje, przelicza kupony na walutę. Jak ongiś w Warszawie — pokazali się kijowscy cinkciarze. Jadą na wozie galopującej inflacji. Stoją na mrozie i w ślocie. Kupują i sprzedają dolary, marki i rosyjskie ruble za ukraińskie karbowanice — kupony.

Kto jest winien?

W pierwszą rocznicę historycznego referendum zawisło w powietrzu pytanie, czy to był zamarnowany rok a jeżeli tak, to kto jest winien? Opozycja i prasa szarpia politycznego trupa zdymisjonowanego premiera Fokina, obarczając go główną winą za klęskę gospodarczą i zaprzepaszczenie rzekomo szansy na wyjście z dołka. Fokin milczy a oskarżyciele zerkaają już w stronę prezydenta Krawczuka jakby chcieli pokazać palcem, że faktycznie to i on winien, bo przecież otaczał tarczą swej opieki

przegranego dziś szefa rządu. W drugim rzucie na ogół oględnych zarzutów wytknięto prezydentowi jego stawkę na Symonenkę, starego kamrata z Odessy i zwolennika planowej gospodarki. Krawczuk lekcewał sobie początkowo nadciągającą burzę, ufny w swą władzę prezydencką i zdolności integrujące rozmaite grupy społeczne i obozy polityczne. Wnet jednak pojął, że oprócz zeszlorocznego zwycięstwa wyborczego i poparcia z zagranicy, wewnątrz kraju opiera się o słaby i śliski grunt pod nogami. Nie powiodły się próby utworzenia czegoś w rodzaju „Bezpartyjnego Bloku Współpracy z prezydentem”. Nie utwierdziła się też w terenie sieć przedstawicieli-naczelników władzy prezydenckiej, zaś powołana do życia instytucja Dumy i osobistych doradców pozostała nieruchliwym ciałem dworskim.

Niejako uprzedzając swych adwersarzy Krawczuk zastosował strategię obrony, przytaczając w serii wywiadów wiele słusznych argumentów o trudnym okresie tworzenia na ugorze rzeczywistych struktur państwowych. Ostrzega też przed pochopnym eksperymentowaniem a przede wszystkim niebezpieczeństwem rozpetania psychozy polowania na czarownice. Nie można dopuścić do recydywy wyszukiwania „wrogów ludu”. Ukraina musi być liberalnym państwem, gdzie rządzi prawo i autorytet władzy a nie siła autorytaryzmu. Należy być ostrożnym z rzucaniem oskarżeń bez dowodów. Na to istnieje prokuratura i na to są sądy, ale nie instytucje polityczne — powtarza Krawczuk.

Ale nie ulega wątpliwości, że ostatnie wydarzenia, związane ze zmianą rządu doprowadziły do osłabienia pozycji Krawczuka. Nasuwa się analogia z Bushem i Gorbaczowem; tak jak tamtym, tak też głowie państwa ukraińskiego zaszkodziło zbyt przesunięciem aktywności z polityki wewnętrznej na zagraniczną.

Przepychanka na górze

Powołanie czołowego technokraty Leonida Kuczmy na nowego premiera zmieniło dotychczasowy układ sił w Kijowie. Przedtem władza była podzielona pomiędzy prezydentem i parlamentem z wyraźną przewagą głowy państwa. W praktyce przypominało to w dużym stopniu system francuski. Politykę wykonawczą regulował według swego widzi mi się prezydent. Operował też często przy pomocy własnych rozporządzeń, często nie oglądając się na władzę ustawodawczą, która to tolerowała. Natomiast szef rządu pozostawał w cieniu, podobnie jak w Paryżu.

Z chwilą kiedy na czele gabinetu stanął Kuczma wszystko się zmieniło. Nowy premier zażądał daleko idących prerogatyw dla siebie i ograniczenia władzy prezydenckiej. W tym dziele po-

zyskał sojusznika w osobie przewodniczącego parlamentu Iwana Pluszcza. Zdaje się, że Krawczuk zwalniając fotel szefa izby ustawodawczej pomylił się w ocenie swego następcy. Traktował Pluszcza jako poczciwinę z prowincji i nie dostrzegł u niego chłopskiej przebiegłości i niewątpliwych zdolności do zręcznych manewrów zakulisowych. Możliwe, że wyraźne obecnie ambicje polityczne przewodniczącego parlamentu wyrosły dopiero z biegiem czasu głównie pod wpływem podróży do stolic świata zachodniego, gdzie go przyjmowano z honorami.

Premier Kuczma otrzymał żądane pełnomocnictwa, a Krawczukowi obcięto skrzydła. Zdawało się, że odtąd figurą na szachownicy ukraińskiej będzie szef rządu. Ale tak się w pełni nie stało. Kuczma wprawdzie otrzymał upoważnienia do rządzenia przy pomocy dekretów na pół roku, ale Pluszcz zmobilizował pokazną grupę posłów, którzy zablokowali nieograniczoną władzę premiera. Każdy jego dekret musi przejść przez sito komisji parlamentarnych. Izba ustawodawcza zachowała dla siebie — a nie dla prezydenta — prawo weta. Parlament może w ciągu dziesięciu dni od wydania dekretu założyć sprzeciw.

Mamy tedy coś w rodzaju triumwiratu Krawczuk-Kuczma-Pluszcz, w którym na skutek zręcznych zabiegów tego trzeciego w rządzie, nastąpiło pewne wyrównanie pozycji. Ale gra o wpływy jeszcze trwa. Zapowiada się próba sił pomiędzy prezydentem i przewodniczącym parlamentu o władzę w terenie. Krawczuk chce się nadal opierać na swych delegatach-naczelnikach, a Pluszcz pragnie odrodzenia nadmurszałych już miejskich i wiejskich Sowietów. Zresztą Ukraina nie jest w tej materii jakimś wyjątkiem. Prawie we wszystkich państwach postkomunistycznych konflikt ten jest na porządku dziennym.

Nadchodzi czas wielkiej próby

Rację mieli ci rzecznicy opozycji, którzy twierdzili że działające po kolei dwie ekipy rządowe Masoła a potem Fokina nie mają pojęcia o sterowaniu największym terytorialnie i najstabszym wśród potęg europejskich państwem ukraińskim. Nowy rząd Kuczmy ma już rozeznanie w istniejącej sytuacji. Zarówno wicepremier Ihor Juchnowskij jak też jego najmłodszy kolega w gabinecie Wiktor Penzenyk nie ukrywają, że stan jest bliski katastrofy. „To już nie jest naprawa republiki” — powiadają w chwili wolnej od permanentnej pracy — „to działanie nad krwędzią przepaści”. Wciąż jeszcze zespół Kuczmy sporządza zestawienie strat i błędów przeszłości, co opóźnia proklamację i wdrożenie pierwszych środków zaradczych, zanim przyjdą konkretne reformy.

Jest to rząd fachowców i swego rodzaju koalicja byłych „Czerwonych dyrektorów”, profesorów i byłych dysydentów. Próba pojednania reformatorskich tendencji wśród dawnej nomenklatury z dążeniami niepodległościowych działaczy umiarkowanej opozycji. Pod kątem widzenia reprezentacji regionalnej — co jest w obliczu tendencji i interesów odśrodkowych niezwykle ważnym czynnikiem — mamy do czynienia z reprezentacją ziem naddnieprzańskich wraz z Zagłębiem Donieckim, prowincji lwowsko-wołyńskiej oraz Zakarpacia. I choć przy obsadzie stanowisk politycznych na Ukrainie — mimo jednej trzeciej mniejszości narodowych — nie ma klucza narodowościowego, o obecnym rządzie można powiedzieć, że składa się z ukraińskiego trzonu i polityków pochodzenia rosyjskiego i żydowskiego. Przypomina to czasy pierwszej niepodległości za Petlury, z tym, że wówczas była jeszcze domieszka polska ale dziś ten czynnik w życiu politycznym już nie odgrywa tej roli co wówczas.

Gabinet Kuczmy prasa nazwała „rządem ostatniej szansy”. Określenie bardzo bliskie prawdy, a czy szanse tę wykorzysta — zależy od wielu czynników. Nie tylko od parlamentu ale i od opozycji poza-parlamentarnej. Należy pamiętać, że izba ustawodawcza wyłoniła się z na pół demokratycznych wyborów 1990 roku. Nominalnie posiada wciąż jeszcze większość byłych komunistów. A społeczeństwo, od którego to poparcia będzie zależała sanacja gospodarki, jest pogrążone w głębokiej apatii. Oczekiwało rychłej poprawy zaopatrzenia, godziwych zarobków, poprawy stosunków z biurokracją. Mocno się zawiodło a nowi władcy nie podjęli na czas szczerego dialogu z ludnością, lecz poszli wytartymi drogami arogancji i lekceważenia społeczeństwa.

Zacierają ręce dawni i nowi komuniści, których potraktowano nadzwyczaj szlachetnie, rezygnując — często na skutek zabrudzonych własnych kamizelek — ze wszelkiego oczyszczania życia publicznego. Dzisiaj wszystko się już przemieszało i nie wiadomo kto co i kiedy robił. Ofiary i oprawcy piją wódkę w tych samych restauracjach, pracują nierządno w tych samych instytucjach. Cienka warstwa niepodległościowców, zajęta budowaniem państwa, zaprzepaściła dzieło pociągania do odpowiedzialności przynajmniej siepaczy, winnych śmierci milionowych rzesz chłopskich i tysięcy inteligencji. Cięży to jak kamień nad młodą demokracją ukraińską, pogłębia cynizm i demoralizację polityczną, zaciera granice między dobrem a złem, ośmiela wreszcie wczorajszą nomenklaturę, która początkowo, po klęsce puczu moskiewskiego, przycupnęła w anonimowości, nie wiedząc co jej grozi. Odradzają się więc inicjatywy komunistyczne pod różnymi przebrańmi, tworzą się grupy robocze, a przy wtórnych wyborach ich kandydaci zdobywają pierwsze miejsca.

Niewykluczone, że gdyby obecnie rozpisano nowe wybory, to kandydaci lewicy post-komunistycznej, mimo jej dwuznacznego stosunku do niepodległości, mogliby wyjść na czoło zwycięzców. Jest to pierwszy rachunek za opieszałość niepodległego państwa i zaniedbań ukraińskiej elity demokratycznej, która się nie zdobyła na poważną debatę z wczorajszym systemem podwójnego niewolnictwa: społecznego i narodowego. Za tę fatalną pomyłkę, za polityczne i duchowe niechlujstwo, trzeba będzie jeszcze bardzo drogo zapłacić.

Ukraiński Centrolew, to przede wszystkim „Nowa Ukraina”, swego rodzaju sojusz socjaldemokracji z lewicą liberalną i ze Stronnictwem Zielonych i Partią Odrodzenia Demokracji oraz z gronem przedsiębiorców, zwolenników programu prywatyzacji przemysłu i rolnictwa. Na prawo od tej koalicji uplasował się sojusz partii centrowych i prawicowych pod wspólnym mianownikiem Kongres Sił Narodowo-Demokratycznych. Wchodzi w skład konserwatywna ukraińska Partia Republikanów, Partia Demokratyczna, Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna i prawdopodobnie niedawno utworzona Partia Liberalna. Do tego sojuszu należy chyba zaliczyć również przenikającą na Ukrainę z emigracji konserwatywno-liberalną grupę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów-melnykowców. Jeszcze dalej od tego Centrum prezentuje się pstra mozaika prawicy; jest to obóz ukraińskiego nacjonalizmu w skali od umiarkowanego do skrajnego faszyzmu. Należy przy tym zaznaczyć, że Ukraina jest chyba jedynym krajem, w którym nastąpiło odrodzenie przedwojennych kierunków profaszystowskich. Nie stało się to np. w Polsce z ONR, w Rumunii z Żelazną Gwardią, ani w Chorwacji z Ustaszą. Zaś demokracja ukraińska odniosła się do pogrobowców prawicowego totalitaryzmu równie pobłażliwie jak wobec jego komunistycznej antypody. Skrajnie nacjonalistyczne ugrupowania mają swych zwolenników w dwóch nowych partiach a mianowicie w Konserwatywnej Partii Radykalno-Republikańskiej pod kierownictwem pośle Chmary z Galicji i kijowskiej (pseudo) Chłopskiej Partii narodowego pisarza Serhija Płaczyndy. Ale główne siły nacjonalistyczne skupiają się w ruchu OUN-banderowców przeniesionym z emigracji, częściowo też odnowionym na Ziemi Halickiej, trochę na Wołyniu ale i w Kijowie i w innych miastach nadnieprzańskich (głównie w środowiskach politycznych „uchodźców” z Galicji). Grupa ta, zasobna w pieniądze składane przez emigrację w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych na Wyzwoleńczy Front, miała stosunkowo łatwy start we Lwowie a potem w Kijowie i w innych ośrodkach. Po atakach przywódczyni Sławy Stečko na prezydenta Krawczuka i groźbie władz, że zastosują sankcje prewencyjne, banderowcy zmienili taktykę i przeszli na „miękki” kurs. Postanowili też roz-

szerzyć bazę wpływów powołując do życia w Kijowie „Kongres Ukraińskich Nacjonalistów”, zachowując jednocześnie zgodnie z nienaruszonymi zasadami totalitaryzmu tajne komórki OUN we wszelkich możliwych instytucjach. Ale niespodzianie wyrastają im rozmaite grupy konkurencyjne, jak Organizacja Nacjonalistów imienia Doncowa, Państwowa Niezawisłość Ukrainy — weteran ruchu nacjonalistycznego, Kandyby, Ukraińskie Narodowe Zgromadzenie pod przywództwem ociemniałego syna wodza Ukraińskiej Armii Powstańczej, Czuprynki-Szuchewycza i wreszcie ukraińska Narodowa Samoobrona — paramilitarny ruch bojówkarzy. Na szczęście wewnątrz tego neofaszystowskiego konglomeratu, który szerzy ksenofobię i walenie się przyczynia zarówno do wzrostu nastrojów prokomunistycznych jak też ruchów separatystycznych wśród Rosjan, zwłaszcza na Krymie, istnieją osobiste animozje i ideologiczne porachunki.

W końcu trudny temat „Ruchu”. Ten ongiś wspaniały i zasłużony w dziele zdobycia wolności, istotnie masowy ruch społeczny, przeżywa na własnym ciele działanie nieubłaganych praw polityki, którym podlegały i podlegają wszelkie ogólnonarodowe ponadpartyjne i ponadgrupowe sojusze, zrodzone w konkretnych sytuacjach i wynikające bądź to z krańcowych sytuacji zbiorowego zagrożenia, bądź z konieczności takiego wyjątkowego stanu mobilizacji społeczeństw. Dziś „Ukraiński Ruch Narodowy” boryka się z tymi samymi procesami rozkładu, co niegdyś „Solidarność” w Polsce, czy „Sajudis” na Litwie. Od roku „Ruch” stał się platformą i odeskoczną chorobliwych ambicji wodzowskich Wiaczesława Czornowoła. W toku tych przepychanek i intryg z kierownictwa odeszła cała elita intelektualna i ostał się drugi a może tylko trzeci garnitur działaczy. Na początku grudnia 1992 odbył się czwarty nadzwyczajny zjazd organizacji. Skład delegatów, atmosfera i procedura zgromadzenia, urągające elementarnym zasadom tolerancji, doprowadziły wreszcie do podporządkowania organizacji osobistej władzy Czornowoła. A ponieważ społeczny skład członków jest coraz prymitywniejszy, doszło do secesji na tle nacjonalistycznym, Czornowoł uważał za słuszne dokonać również ideologicznego zwrotu na prawo. Dowodem tego było jego oświadczenie, że pomiędzy nacjonalizmem banderowców a jego poglądami nie ma żadnych różnic. Na samym zjeździe nakazał z rezolucji wyrzucić wzmiankę o neutralności Ukrainy i puścić płazem szaleńcze antysemickie oświadczenie Płaczyndy wraz z propozycją, aby Ukraina sprzedawała rakiety Kadafiemu i Husseinowi. Zaś na konferencji prasowej wódz „Ruchu” zaczął coś bredzić o końcu wieku partii politycznych również na Zachodzie. Wreszcie w nowych statutach postanowiono, że „Ruch” będzie zarówno organizacją polityczną jak też społeczną. Tych kręta

było za dużo jednemu z założycieli organizacji, rektorowi Akademii Mohylańskiej, Bruchoweckiemu, który otwarcie zarzucił Czornowolowi metody bolszewickie. Dosadniej wyraził się również inny współzałożyciel organizacji, Mykoła Porowski, składając z traskiem swój mandat w kierownictwie. W końcu ze starego zarządu pozostał wśród zupełnie nowego składu jako jedyny ekonomista Czerniak.

Pośród wielu rezolucji ograniczę się do wzmianki na temat oświadczenia o akcji „Wisła” i dyskryminacji mniejszości ukraińskiej w dzisiejszej Polsce. Jest tam mowa o zbrodni przeciwko ludzkości, o mordowaniu w polskim obozie koncentracyjnym w Jaworznie w latach 1947-49, o rezolucji Senatu z 1990 r. i o milczeniu Sejmu w kwestii akcji „Wisła”. Delegaci Ruchu zwracają się wreszcie do prezydenta Ukrainy i parlamentu, celem wystosowania do Prezydenta i Sejmu Rzeczypospolitej postulatów osądzenia akcji „Wisła” „jako zbrodniczej, z wszelkimi z tego wypływającymi rezultatami w dziedzinie moralnej i prawnej”, oraz o „stworzenie odpowiednich warunków do powrotu deportowanej ludności ukraińskiej na rodzime ziemie”.

Rezolucja ta jest w pewnej mierze również skutkiem impasu, który pomimo podpisania 18 maja 1992 roku traktatu polsko-ukraińskiego zaistniał i dotąd trwa we wzajemnych stosunkach pomiędzy Kijowem a Warszawą. Obie strony są za to odpowiedzialne, ale opieszałość i zwłoka wydają się być w przeważającej mierze po stronie polskiej. Zmarnowano prawie cały rok na czcze gadanie. I dobrze, że z mojego okna w centrum Kijowa widzę, jak fantastycznie odnowiono wieże polskiego kościoła i bardzo źle, że z Przemysła dochodzą nowe wieści o barbarzyńskich wyczynach tamtejszego społeczeństwa wobec religijnych symboli greckokatolickich. A po głowie płacze się myśl, dlaczego nad Wisłą panuje przepaść między frazesem o tolerancji a dziką rzeczywistością?

Kijów, 13 grudnia

Bohdan OSADCZUK

Z prasy ukraińskiej

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD: W dniach 30 września-7 października 92 r. ukraińska delegacja po raz pierwszy wzięła udział w posiedzeniu organów doradczych Rady Europy otrzymując status gościa specjalnego. Ukraińskiej delegacji przewodniczył Bohdan Horyń.

Ukraina nie jest członkiem Rady Europy, ale w niektórych kołach sądzi się, iż ma większe szanse zostać nim prędzej niż Rosja. ■ 8-11 października 92 w Winnipegu (Kanada) odbywał się 17 Kongres Ukraińców Kanady. Wzięło w nim udział 500 delegatów z Kanady. Gościem Kongresu był premier Kanady i inne osobistości polityczne. Kongres odbywał się m.in. z okazji 125-tej rocznicy powstania Kanady, 100-lecia diaspory ukraińskiej w Kanadzie i pierwszej rocznicy istnienia suwerennej Ukrainy. Te trzy tematy oraz wybór nowych przedstawicieli zdominowały przebieg obrad. ■ Ukraina otrzymała część majątku ZSSR pozostawioną za granicą. Do podziału tego majątku i jego wyceny powołano specjalną komisję pod nazwą „WNP-Rosja”. Rozpatrywano własność pozostawioną w 35-ciu krajach. Na razie Ukraina otrzymała należną część zagranicznego majątku z 15-tu krajów. Są to budynki, aktywa gospodarcze i sprzęt, należące do byłego Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSSR. ■ 3 października Ukraina podpisała z Rosją porozumienie gospodarcze. W porozumieniu położono nacisk na kwestie regulacji finansowych, rozliczeń i zasad wymiany, zwłaszcza w sytuacji wzajemnych zadłużeń setek przedsiębiorstw. Niespłacone przez rosyjskie przedsiębiorstwa kredyty sięgają sumy 300 miliardów karbowanów. Taką sumę jest winien Ukrainie rząd Rosji, który zablokował wszelkie większe spłaty długu. Porozumienie całościowo regulujące stosunki między oboma państwami zapewne nieprędkiem zostanie podpisane, zwłaszcza po nieudanym szczycie państw WNP, na którym Ukraina, Azerbejdżan i Uzbekistan zakwestionowały hegemonię Rosji. W Biszkeku Ukraina zablokowała rosyjską inicjatywę utworzenia jednego dla wszystkich systemu monetarnego, nie podpisała także dokumentu o bezdewizowym przekraczaniu granic. ■ W Kijowie przebywała z oficjalną wizytą delegacja Ministerstwa Obrony Stanów Zjednoczonych. Amerykanie omawiali problemy redukcji broni konwencjonalnej i atomowej. Minister obrony K. Morozow wystąpił z oficjalną prośbą o pomoc w przygotowaniu ukraińskich specjalistów ds. rozbrojenia. Amerykanie wstrzymali się na razie z odpowiedzią. ■ Ukraina wystąpiła z oficjalnym protestem wobec Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rosji. Powodem stało się naruszenie przez Rosję warunków umowy jałtańskiej w sprawie podejmowania wspólnych decyzji dotyczących lokalizacji i wszelkich działań floty czarnomorskiej. Dowództwo Floty bez powiadomienia rządu w Kijowie wysłało dziewięć okrętów wojennych w rejon Suchumi, gdzie trwają zbrojne walki między Gruzami i Abchazami. Parlament abchaski wyraził wolę przyłączenia republiki abchaskiej, wchodzącej w skład Gruzji, do Rosji. Ukraina nie chce pozwolić Rosji na szantażowanie kogokolwiek siłami armady, za którą odpowiedzialne są oba państwa. Po kilku dniach trzy największe okręty powróciły do bazy w Sewastopolu. ■ Z rozkazu admirała I. Kasatonowa we flocie czarnomorskiej rozpoczęto znowu zwalniać oficerów, którzy opowiedzieli się za służbą na rzecz Ukrainy. M.in. zwolniono przewodniczącego Związku Ofice-

rów Ukrainy, Anatolija Kapinosa. Czystka objęła oficerów pułków lotniczych wchodzących w skład Floty Czarnomorskiej. ■ 27 października Rada Najwyższa zatwierdziła nowy koalicyjny rząd Ukrainy. W jego skład weszło kilku przedstawicieli sił demokratycznych, a wśród nich na wysokie państwowe stanowiska dwóch lwowskich deputowanych: I. Juchnowskij, który został pierwszym wicepremierem i W. Pynzenyk jako wicepremier, minister ekonomiki. Ukraińska prasa pisała po wyborze bezpartyjnego Kuczmy — pierwszy premier wolnej Ukrainy. Kuczma jest inżynierem, kandydatem nauk, dyrektorem Dniepropietrowskich Zakładów Maszynowo-Budowlanych, największego kompleksu produkcji rakiet na świecie, zatrudniającego ponad 50 tys. ludzi. ■ Parlament Ukrainy ratyfikował traktat z Polską. Ratyfikacja odbyła się po sprawozdaniu min. spraw zagranicznych A. Zelenki i dyskusji deputowanych nad całością obecnych stosunków ukraińsko-polskich. Wystosowano wiele zapytań do ministra o ocenę sytuacji mniejszości ukraińskiej w Polsce, debatowano nad „nierozumiętym wstrzymywaniem się Sejmu Rzeczypospolitej z oficjalnym potępieniem operacji Wisła”. Proponowano nawet, by wstrzymać się z ratyfikacją dopóki Sejm Rzeczypospolitej nie rozstrzygnie tej sprawy na korzyść ukraińskiej mniejszości. Minister odpowiedział, że operacja „Wisła” znajduje się w polu uwagi ukraińskiej dyplomacji. ■ Od 12 listopada ub. r. na Ukrainie jedyną walutą jest karbowaniec, który zastąpił rubla, aczkolwiek jeszcze nie całkowicie. Jest to poważny krok Ukrainy w kierunku opuszczenia strefy rubla. Najpierw rząd Ukrainy wprowadził kupony, które stanowiły uzupełnienie brakujących rezerw rublowych. W ciągu roku rządowi udało się sztuka polegająca na wyparciu z wszelkiego obrotu gotówkowego rosyjskiej waluty, choć w sklepach można było jeszcze, jeśli kto chciał, płacić rublami do 12 listopada. Karbowaniec jest walutą przejściową do podstawowego pieniądza Ukrainy — grzywny, którą władze mają zamiar wprowadzić za kilka miesięcy. Karbowaniec jest monetarną hybrydą. Składa się z bilonu w kopiejkach, wyższych nominałów w kuponach oraz kuponów-czeków w rozliczeniach bezgotówkowych. Do 15 listopada ukraińskie banki wymieniały rubla za karbowanica w stosunku 1:1. Od 16 listopada warunki wymiany kształtują zasady podaży i popytu. Kurs rubla nieznacznie przewyższa wartość karbowanica. ■ Pod względem obrotów handlowych największym partnerem Ukrainy (wyjąwszy Rosję) są Niemcy, a Polska zajmuje drugie miejsce. W ostatnim okresie między Polską i Ukrainą wyraźnie wzrósł obrót baterowy, a to z uwagi na brak wymiennej waluty u obu partnerów. Załamał się ukraiński eksport do Polski energii elektrycznej i węgla. W związku z tym Polska nie dostarczyła na Ukrainę od roku 1990 ponad 150 tys. ton zamówionego wcześniej cementu, a także wielu innych surowców i towarów. Zgodnie z podpisanym w październiku 1991 roku porozumieniem handlowym i gospodarczym przewidziane jest wprowadzenie klauzuli najwyższego uprzywilejowania w sferze podatków, procedury celnej powiązanej z eksportem

i importem towarów oraz usług. Strona polska oferuje Ukrainie współpracę ponad 500 firm. Niestety, stan prawny, brak banków, niewymienialność waluty, nie daje tu wielkich szans rozwoju. ■ Według danych Ministerstwa Statystyki w pierwszej połowie roku 92 produkcja na Ukrainie zmniejszyła się w porównaniu do roku ubiegłego o ponad 25 %. Produkcja towarów powszechnego użytku spadła o 25 %, w tym żywności o prawie 40 %. Inflacja spowodowała prawie 7-krotne zubożenie ludności przy braku towarów pierwszej potrzeby, a zwłaszcza żywności. ■ Przewodniczący Funduszu Majątku Państwowego Wadim Wasiliew publicznie stwierdził, że na przełomie roku 1992/93 rozpocznie się masowa prywatyzacja. W tym celu Gabinet Ministrów Ukrainy przygotował 40 aktów prawnych, które mają uruchomić mechanizm prywatyzacji, a w pierwszym rzędzie mechanizm wykupu majątku państwowego. Pojawia się weksle i obligacje. ■ Akcyjno-Komercyjny Bank „Ukraina” wspólnie z Promnbudbankiem i Ukrsocbankiem mają zamiar otworzyć 10-15 filii w Rosji, przede wszystkim na Dalekim Wschodzie i Kubaniu. Filie będą pełnić rolę swoistego koordynatora i pośrednika między ukraińskimi i rosyjskimi przedsiębiorstwami. ■ 25 października 1992 zmarł w wieku 64 lat jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów ukraińskich Iwan Switłyčnýj. Był także znakomitym krytykiem i eseistą. Należał do generacji „sztidesiatnykiw”, która poniosła ogromne ofiary rozproszona po łagrach, więzieniach i szpitalach psychiatrycznych za swoją wolę kultywowania i odradzania kultury ukraińskiej. W styczniu 1972 roku otrzymał wyrok za „antysowiecką agitację i propagandę” — 7 lat obozu i 5 lat zesłania. Wrócił stamtąd inwalidą. Przez ostatnie najtrudniejsze lata życia Switłyčnýj był sparaliżowany, żył w biedzie, nie publikowano jego utworów. Pierwszą książkę poetycką na Ukrainie wydano mu dopiero w 1991 roku. ■ Laureatami nagrody amerykańskiej fundacji Omeljana i Tatiana Antonowiczów zostali w roku 1992 polityk Zbigniew Brzeziński, poeta Iwan Dracz, Bohdan Hawryłyszyn, uczony, członek Klubu Rzymskiego. Jednym z pierwszych laureatów tej nagrody był zmarły w łagrze poeta Wasyl Stus. ■ W Kijowie otwarto biuro emigracyjnego wydawnictwa „Smolokyp” zasłużonego dla rozwoju ukraińskiej kultury w diasporze. ■ Ukazał się 63 numer *Litopisu Bojkowszczyzny* za rok 1992 ukazującego się nakładem Głównego Zarządu Towarzystwa „Bojkowszczyzna” z siedzibą w Filadelfii (USA), a drukowanego w Toronto. Rocznik jest poświęcony kulturze Bojków, a także aktualnym wydarzeniom zachodzącym na Ukrainie zachodniej. Pismo drukuje interesujące materiały dotyczące Zinowija Krasiwskiego (1929-1991), bojkowskiego poety, działacza politycznego, przewodniczącego Zarządu OUN na Ukrainie oraz pośmiertne podsumowanie działalności Jarosława Łesiwa (1943-1991), poety, więźnia politycznego, członka Ukraińskiej Grupy Helsińskiej, który zginął w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. ■ Emigracyjny *Szlach Peremohy* zamieścił „Ostrzeżenie Oddziału Informacji OUN” przed tendencyjną, zdaniem

OUN, książką Wasyla Weryhy „Wtraty OUN pid czas Drugoji Switowoji wojny”. Weryha twierdzi, że zwolennicy S. Bandery w OUN zamordowali w czasie wojny kilku członków OUN będących zwolennikami Melnyka, w tym znanych działaczy O. Senyka i M. Sciborskiego. OUN zdecydowanie potępiła przypisywanie jej terroru indywidualnego w konfliktach wewnętrznych. Wiele niezadowolonia w diasporze wywołała też inna niż przyjęto w historiografii ukraińskiej wersja śmierci ostatniego komendanta UPA, R. Szuchewycza „Czuprynki”. Wedle Weryhy nie zginął on w bunkrze w boju z enkawudystami, lecz na ulicy Lwowa z rąk Wasyla Kuka, który zresztą był następcą Szuchewycza i prawdopodobnie bolszewickim agentem. ■ Dotychczasowy budynek ukraińskiego liceum ogólnokształcącego w Górowie Iłowieckim okazał się nieprzystosowany do pomieszczenia większej liczby klas. W liceum rozpoczęło naukę dziewięć oddziałów, natomiast budynek szkolny liczy tylko siedem izb. Alarm podniosła prasa ukraińska i gazety olsztyńskie określając całą sprawę mianem grubego skandalu. Przedstawiciele władz oświatowych twierdzili, że nic nie było im wiadomo o sytuacji szkoły. Problem rozstrzygnął tymczasowo zarząd gminy oddając do dyspozycji liceum kilka pomieszczeń. Liceum w Górowie jest jedyną szkołą w Polsce, w której wszystkie przedmioty wykładane są po ukraińsku. Uczy się w niej młodzież z wielu województw północnych i wschodnich. ■ W listopadzie ukazał się w Warszawie pierwszy tom trzypiętomowej książki Mikołaja Siwickiego pt. „Dzieje konfliktów polsko-ukraińskich” (nakładem autora) zawierający komentarze i dokumenty odnoszące się do polityki II Rzeczypospolitej wobec mniejszości ukraińskiej w latach 1918-1939. Autor zapowiada dwa następne tomy w najbliższych miesiącach. ■ Autor rubryki pt. „Z prasy ukraińskiej” uprzejmie przeprasza Czytelników za przypadkowe podanie (*Kultura* 9/540) mylnej informacji, że pismo *Holos Berestejszczyny* („Głos Ziemi Brzeskiej”) jest jednym z pism mniejszości ukraińskiej w Polsce. *Holos Berestejszczyny* ukazuje się w Brześciu nad Bugiem od kwietnia 1991 roku, dociera wszakże z sukcesem do Ukraińców zamieszkujących tereny państwa polskiego po lewej stronie Bugu.

Z prasy ukraińskiej wynotował:

Bogusław BAKUŁA

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Poprzednie notatki zakończyłem 11 listopada słowami: „Starcie między Jelcynem a zjazdem deputowanych zadecyduje o tym, jakie będą najbliższej zimy posunięcia Rosji...”. W dniu, w którym piszę, 14 grudnia, walka wciąż trwa. Zjazd, który miał potrwać dziewięć dni i tylko na dziewięć dni dostał pieniądze (diety na hotel, solidną strawę itd.) nadal obraduje i nie wiadomo, kiedy skończy. Ale efekty pracy przywódców rosyjskich do pierwszej połowy grudnia są dość jasne. Do ustalenia pozostały szczegóły. Miesiąc temu zaryzykowałem prognozę, że rozbieżność zdań między władzą ustawodawczą i wykonawczą zakończy się kompromisem, że Borys Jelcyn ustąpi, rozwodni rząd Gajdara „dyrektorami”, którzy opóźnią reformy, a może nawet złoży przeciwnikom w ofierze samego Gajdara.

Co się działo na Kremlu, na którym obraduje zjazd i pracuje prezydent Rosji? Przygotowania do boju zaczęły się w październiku. Gruchnęła wieść, że Jelcyn zamierza rozpuścić zjazd i wprowadzić dyktaturę. Stronnicy prezydenta apelowali, aby to zrobił. Wasyl Sielunin, ekonomista znany ze swoich krytycznych wypowiedzi przeciw Gorbaczowowi, powiedział 27.10, na zebraniu moskiewskich demokratów, że „deputowani dobierają się prezydentowi do gardła”, więc najprawdopodobniej „zmuszony będzie rozwiązać zjazd i bardzo umocnić władzę wykonawczą” (*Izwestia*, 28.10.92). Pierwszy bój stoczono z powodu daty zjazdu. Jelcyn chciał przesunąć go na wiosnę albo początek lata. Deputowani postanowili zwołać go na 1 grudnia, zgodnie ze statutem. Przedmiotem sporu nie była pora roku, kiedy najprzyjemniej przechadzać się po Moskwie. 1 grudnia upływał termin nadzwyczajnych pełnomocnictw, udzielonych Jelcynowi przez zjazd.

Pierwszą walkę prezydent przegrał. Zjazdu przesunąć się nie udało. Zaczęły się manewry o głosy deputowanych. Szczególnie uganiano się za przedstawicielami Związku Obywatelskiego, silnego — wszyscy tak uważają — ugrupowania pod przewodnictwem Arkadego Wolskiego. Skupia ono Związek Przemysłowców Wolskiego, grupę

wiceprezydenta Ruckiego i Partię Demokratyczną Nikołaja Trawkina. Głównym celem prezydenckiego ukazu o „prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych” było przekonanie przemysłowców do polityki Gajdara. Ukaz pozwala dyrektorom wykupywać akcje swoich przedsiębiorstw razem z akcjami robotników, w ich rękach zostaje kontrolny pakiet akcji, podatki zostają znacznie obniżone, premiuje się eksport itd.

W przeddzień zjazdu sytuacja była niejasna. W kolejnym comiesięcznym wywiadzie, jakiego były prezydent ZSSR Michaił Gorbaczow udziela *Komsomolskiej Prawdzie*, wyłożył on szeroko rozpowszechniony pogląd. Na uwagę dziennikarza, że „zjazd może poruszyć kwestię dymisji Jelcyna” były prezydent odpowiedział: „Ja bym tego w tej chwili nie robił. Musi jednak pokazać, że wychodzi naprzeciw całemu narodowi, że nie daje sobą manipulować jakiejś grupie. W ogóle należy usunąć z otoczenia Jelcyna odrażające postacie, które już podpowiedziały mu 'puszczę białowieską'” (*Komsomolskaja Prawda*, 7.11.92). Uważa się powszechnie, że „puszczę białowieską”, tzn. uchwałę przywódców Rosji, Ukrainy i Białorusi, którzy 8 grudnia 1991 spotkali się w Puszczy Białowieskiej i zdecydowali tam rozwiązać Związek Sowiecki, wymyślił Genadij Barbulis, najbliższy doradca polityczny Jelcyna.

Deputowani zaczęli zjeżdżać do Moskwy i oto prezydent robi im pierwszy podarunek — usuwa ze swego otoczenia kilka „odrażających postaci”. Wszyscy doskonale wiedzą, kogo deputowani szczególnie nienawidzą: Barbulisa, wicepremiera, ministra informacji Połtoranina, ministra spraw zagranicznych Kozyriewa i naturalnie premiera Jegora Gajdara. Jelcyn przychyliła się do próśb o dymisję Połtoranina, równocześnie zwalnia swojego zwolennika dyrektora telewizji Jegora Jakowlewa, Barbulis traci stanowisko sekretarza stanu, zostaje szefem grupy pomocników prezydenta.

Przemówienie premiera — spokojne i rzeczowe, przypominające, że reformy trwają zaledwie jedenaście miesięcy przy bezustannym oporze deputowanych, że sytuacja ekonomiczna nie jest tak straszna, jak zapowiadali przeciwnicy reform — nie przekonało zjazdu. Żaden z byłych krajów socjalistycznych nie wyszedł jeszcze z kryzysu, ale wszyscy wiedzą, że są tylko dwie drogi: przez bezrobocie albo przez inflację. Gajdar wybrał inflację (co nie znaczy, że Rosja potrafi uniknąć bezrobocia). Deputowanym, którzy chcieli krytykować premiera, wystarczyło przytoczyć liczby, które pokazują spadek wartości rubla, i płakać nad losem narodu rosyjskiego. W odpowiedzi na zarzuty przewodniczącego zjazdu Rusłana Chasbułatowa, że rząd wybrał „drogę amerykańską”, a powinien wybrać „szwedzką”, Gajdar odparł, że jeśli nie uda się osiągnąć finansowej i politycznej stabilności, wypadnie mówić nie o „amerykańskiej” albo „szwedzkiej”, tylko o latynoamerykańskiej albo afrykańskiej drodze.

Przemówienia deputowanych świadczyły o tym, że prawdziwym przedmiotem obrad były nie zagadnienia ekonomiczne, lecz polityczne. Ścisłej mówiąc jedno pytanie: kto rządzi Rosją, zjazd

czy prezydent. Kwestie te niewątpliwie są ze sobą powiązane. Jegor Gajdar ironicznie pogratulował deputowanym, że nareszcie wszyscy są za reformami i zaproponował, aby przyrzeć się propozycjom opozycji: „Proponuje ona, abyśmy zrezygnowali z prywatyzacji ziemi, wstrzymali prywatyzację przemysłu, zamrozili płace i ceny, wskrzesili państwowy urząd planowania Gosplan, przywołali do porządku byłe republiki sowieckie, które jakoby mają za dużą samodzielnność, a w dalszej perspektywie zapewne zbudowali łągry dla agentów światowego imperializmu”. Jeśli pominąć łągry, których nikt otwarcie nie żądał, to Gajdar bardzo wiernie zresumował gospodarczy program opozycji. W *Sowietskiej Rossiji* z 11.11.92 ukazała się tzw. platforma pióra dyrektora woroneskiej fabryki mechanicznej, Georgija Kostyna. Fabryka Kostyna produkowała (i jak przyznał nadal produkuje) najlepsze — jego zdaniem — rakiety strategiczne świata. Kostyn odczytał swój program 24 października na zjeździe Frontu Ocalenia Narodowego i zaproponował swoją kandydaturę na stanowisko premiera Rosji. Jego program nazywa się „Gospodarka sterowana” i jego właśnie miał na myśli Jegor Gajdar. Program Związku Obywatelskiego różni się tylko formą od propozycji Kostyna, który za cel uważa „przywroćenie do 2000 roku dla większości mieszkańców Rosji poziomu życia z 1985 roku”.

5 grudnia zjazd głosował w sprawie specjalnych pełnomocnictw dla prezydenta. Propozycji, aby go ich pozbawić, zabrakło tylko jednego głosu do wymaganej większości trzech czwartych. Rusłan Chasbułatow, przeciwnik prezydenta, nazwał wynik głosowania pyrusowym zwycięstwem.

9 grudnia zjazd rozpatrywał kandydaturę Gajdara na stanowisko premiera. Dzień wcześniej Jelcyn zaproponował parlamentowi kolejne ustępstwo: prawo weta wobec nominacji czterech najważniejszych ministrów, spraw zagranicznych, obrony, spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa. Innymi słowy znaczyło to, że prezydent składa w ofierze ministra spraw zagranicznych Kozyriewa. Do pozostałej trójki zjazd nie żywi specjalnych pretensji. Deputowani prezent przyjęli, ale głosowali przeciw Gajdarowi. Zabrakło mu 54 głosów do absolutnej większości na zjeździe, na którym uczestniczyło 1.041 deputowanych. Blok frakcji pod nazwaniem „Jedność Rosji” zaproponował na premiera Georgija Kostyna, którego program przybrał nazwę „Sterowana Rosja”.

Po czym nastąpił wybuch. Rano 10 grudnia Borys Jelcyn rzucił zjazdowi wyzwanie: „Nadeszła odpowiedzialna, decydująca chwila... I zjazd i prezydenta osądzi tylko jeden sędzia — naród... Dlatego widzę tylko jedno wyjście z głębokiego kryzysu władzy — powszechne referendum. Proponuję, aby zjazd wyznaczył referendum na styczeń 1993 z następującym pytaniem: 'Komu powierza Pan/Pani wyprowadzenie kraju z kryzysu ekonomicznego i politycznego i odrodzenie Federacji Rosyjskiej — zjazdowi w obecnym składzie czy prezydentowi Rosji?' Konstytucja czy też to, co z niej zostało,

robi z Rady Najwyższej, jej kierownictwa i przewodniczącego jedy-nowładców Rosji”.

Jelcyn rzucił zjazdowi rękawicę i wyszedł, prosząc deputowa-nych, aby poszli za jego przykładem. Ku zdziwieniu obecnych i prawdopodobnie jeszcze większemu zdziwieniu prezydenta wyszło niewielu — jakie 150-170 wybrańców ludu. Na sali zawrzało: sły-chać było okrzyki, aby nie opuszczać Kremļa, bo mogą nie wpuścić z powrotem, ten i ów wspominał rozpedzenie Konstytuanty 5 stycz-nia 1918 roku. Powoli gwar przycichł i zjazd zaczął uchwałać jedną po drugiej poprawki do konstytucji, które odbierały prezy-dentowi wiele prerogatyw. Gorączkowa działalność ustawodawcza zjazdu okrawała władzę Jelcyna, która kurczyła się jak *peau de chagrin*.

Moskiewski korespondent *Le Monde* zaczyna swój komentarz z ostatniego tygodnia w Moskwie następująco: „Ostatni, decydujący bój okazał się pojedynkiem z operetki” (*Le Monde*, 15.12.) Miał na myśli kompromis, ustalony 12 grudnia w wyniku dwudniowych przetargów między Jelcynem i Chasbułatowem. Mimo protestów ekstremistów Chasbułatow przeszedł do głosowania bez dyskusji. Za opowiedziało się 541 posłów — niewielka, ale wystarczająca większość.

Uгода przewiduje referendum. Ale nie w styczniu (to nawet technicznie nie byłoby możliwe), tylko w kwietniu. Jelcyn uzyskał to, czego chciał jeszcze w październiku — decyzję odłożono do wiosny. Pytanie, na które naród ma odpowiedzieć, zostanie sformu-łowane inaczej, nie tak jak rzucił zjazdowi w twarz prezydent. Teraz pytanie brzmi: czy zgadza się Pan/Pani z podstawową zasadą konstytucji? Znaczy to, że po pierwsze uchwali się wreszcie nową konstytucję, a po drugie że jednak zostanie postawiona kwestia pre-rogatyw władzy wykonawczej i ustawodawczej.

Znaleziono też kompromisowe wyjście w sprawie premiera. Jest to kompromis subtelny i sprytny. 14 grudnia zjazd będzie głosował dwukrotnie. Najpierw w głosowaniu „miękkim, rankingowym” (formuła nieznana ani rosyjskiemu językowi, ani obyczajom): prezy-dent przedstawi zjazdowi trzech kandydatów; ten, który zwycięży, będzie kandydował do „twardego głosowania”. Jeśli nikt nie uzyska niezbędnej większości, Jelcyn mianuje Gajdara pełniącym obowiązki premiera. Czyli powrót do punktu wyjścia. Za to Jelcyn ostatecznie (można sądzić) zrezygnował z Barbulisa, którego pozbawił tytułu szefa grupy doradców. Talent byłego profesora marksizmu-leni-nizmu zasługuje na uznanie: genialnie odgrywa rolę prezydenckiego piorunochronu. Zaledwie kilka dni temu Arkady Wolski oświadczył, że zjazd przyda się przynajmniej o tyle, o ile uda mu się oderwać Barbulisa od prezydenta.

Zjazd zobowiązał się też — to był jeden z warunków kom-promisu — że zrezygnuje ze wszystkich poprawek do konstytucji, które uchwalił w dniach, kiedy oburzał się na prezydenta.

Kto wygrał, kogo przegrał? Wydaje się, że wszystko wróciło w

utarte koleiny. Można jednak podejrzewać, że kompromis zawiera więcej punktów aniżeli te, które ogłoszono. Można się spodziewać, że rząd zostanie zmieniony na korzyść partii „dyrektorskiej”, czyli że i tak już dość wodniste wino reformy zostanie jeszcze bardziej rozwodnione. A jeśli Gajdar pozostanie szefem rządu, to zmieni się jego polityka.

Zjazd raz jeszcze pokazał (jeśli to było potrzebne), że głów-nym problemem Rosji jest kryzys władzy. Zawieszenie potrw-a jeszcze cztery miesiące. Stało się oczywiste, że ani w kraju, ani w parlamencie nie ma partii z programem, a są wyłącznie żądni wła-dzy przywódcy. Borys Jelcyn pokazał, że nie ma poważnego konku-renta. Jeśli można się tak wyrazić, nie widać Jelcyna który konku-rował z Gorbaczowem. Ale zarazem prezydent pokazał, że trzyma się na dawnym autorytecie, na charyzmie, nie ma natomiast partii lub ruchu, na którym mógłby się oprzeć.

Zjazd był kolejną lekcją w szkole demokracji. Pokaz nie był zbyt ponętny — jałowe przemówienia i tasowanie kart pod okiem kamery telewizyjnej nie dodały deputowanym powagi. Ale zawarto kompromis i podpisano porozumienie. Czy i jak zostanie zrealizo-wane, pokaże najbliższa przyszłość. Jeden z najbarwniejszych przy-wódców opozycji nacjonalistycznej, Siergiej Baburin, elegancki adwokat z bródką, tak podsumował obrady zjazdu: „Nasza rosyj-ska tradycja polega na tym, żeby nie wykonywać podpisanych decyzji i to pozwoli uratować sytuację...”. On sam głosował przeciw. Można jeszcze przypomnieć, że w marcu 1991 r. Gorbaczow zorganizował pierwsze i ostatnie referendum w ZSSR. Ludy imperium zapytano, czy chcą zachować Związek czy nie. Większość opowiedziało się za zachowaniem „niewzruszonego związku wolnych republik”. W grudniu 1991 trzej panowie zdecydowali w Puszczy Białowieskiej, że Związek należy zlikwidować — i zlikwidowali.

Na pytanie „kto rządzi Rosją?” nie ma na razie odpowiedzi.

14.12.1992

Adam KRUCZEK

Z ostatniej chwili:

Późnym wieczorem 14 grudnia „miękkie”, a potem „twarde” głosowanie dało wyniki. Premierem Rosji został Wiktor Czerno-myrdin, dotychczasowy pierwszy wicepremier w rządzie Gajdara. Znaczy to, po pierwsze, że Jelcyn zrezygnował z człowieka, który kierował reformą ekonomiczną. Czyli poniósł porażkę. W paździer-niku rozmawiałem z Wiktorem Czernomyrdinem. Jego głównie mia-łem na myśli, pisząc w ubiegłym numerze *Kultury* o „kapitanach przemysłu” którzy są w rządzie, ale nie pochwalają polityki Gaj-dara. Nominacja Czernomyrdina oznacza, że rząd Rosji zdoino-wali „praktycy”, usuwając w cień „teoretyków-monetarystów”.

W rządzie Gajdara Czernomyrdin kierował całą rosyjską energią — ropą, gazem, elektrycznością, energią nuklearną. Ropą i gazem jako inżynier-naftowiec zajmował się całe życie. Jako doświadczony administrator sowieckiego chowu — autorytatywny i twardy — spróbujecie zaprowadzić porządek w przemyśle. Do rządu Gajdara wszedł niedawno, kilka miesięcy temu, jako jeden z trzech przedstawicieli „partii dyrektorów” Wolskiego.

A. K.

Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowo-Wschodniej

SPRAWOZDANIE Z OBRAD KONFERENCJI

LUBLIN 20-22 X 1992

Uczestników obrad powitał prof. Jerzy Kłoczowski w imieniu swoim oraz Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej — gospodarza konferencji. Prof. Kłoczowski podziękował wszystkim osobom i instytucjom, które pomogły zorganizować konferencję, wymieniając w pierwszej kolejności Komitet Badań Naukowych i osobę prof. Piotra Hubnera — dyrektora departamentu polityki naukowej, UNESCO i pana Federico Mayora, Fundację Batorego i pana George'a Sorosa, a także Fundację Demokracji w Nowego Jorku. Referaty wprowadzające w problematykę konferencji wygłosili — Józefa Hennelowa (Polska), Lew Kozłow (Białoruś), Michał Kirsenko (Ukraina), Laslo Sebok (Węgry) i Halina Kobeckaite (Litwa). Obrady toczyły się w trzech sekcjach problemowych:

I — Polityka narodowościowa państw Europy Środkowo-Wschodniej.

II — Mniejszości narodowe i religijne w świetle statystyk i

III — Status mniejszości narodowych w okresie przełomu.

Udział w pracach wspomnianych sekcji wzięło ok. 150 osób reprezentujących różne środowiska naukowe. Wygłoszono łącznie 57 referatów w sekcjach problemowych. Referentami byli przedstawiciele Białorusi, Litwy, Czech, Rosji, Słowacji, Ukrainy, Węgier, Łotwy, Słowenii, Francji oraz Polski. W bardzo ożywionych dyskusjach brali udział przedstawiciele wszystkich wymienionych państw.

Omawiane w referatach zagadnienia dotyczyły obszaru Polski, Białorusi, Ukrainy, Litwy a także Czech i Słowacji. W dyskusji poruszono też problemy Węgier, Chorwacji, Słowenii i Armenii. Zakres chronologiczny wygłoszonych referatów był również bardzo szeroki, chociaż zasadniczo ograniczał się do XX w. Wiele wystąpień dotyczyło pośrednio lub bezpośrednio wieku XIX, a tylko w nielicznych przypadkach sięgano aż do średniowiecza.

Problematyka poruszana podczas obrad poszczególnych sekcji była bardzo różnorodna. W sekcji zajmującej się polityką narodowościową państw Europy Środkowo-Wschodniej omawiano kwestie związane z nacjonalizmem postkomunistycznym oraz analizowano przyczyny konfliktów narodowościowych. Szczególną uwagę zwracano na współzależność konfliktów międzypaństwowych, religijnych, międzyetnicznych i wewnątrzetnicznych. W wielu referatach obecny był problem rusyfikacji w polityce Rosji i Związku Sowieckiego oraz jej wpływ na politykę edukacyjną poszczególnych państw bloku postkomunistycznego. Omawiano również politykę narodowościową Polski od okresu międzywojennego po 1991 r. W dalszych referatach poruszano zagadnienia związane z polityką narodowościową Litwy, Białorusi, Ukrainy, Łotwy oraz Estonii, koncentrując się w przypadku Białorusi i Litwy na sytuacji mniejszości polskiej.

Sekcja druga skupiała swe zainteresowanie na statusie mniejszości narodowych w okresie postkomunistycznym. W trakcie obrad podkreślano brak europejskiego systemu ochrony mniejszości narodowych i etnicznych, a także mówiono o kłopotach z pewną definicją mniejszości narodowej w prawie międzynarodowym i wewnętrznym. Porównywano międzywojenny i powojenny model międzynarodowych uregulowań statusu mniejszości narodowych i wpływ tych rozwiązań na sytuację międzynarodową. Dokonano również interesującego przeglądu unormowań statusu mniejszości narodowych w krajach postkomunistycznych na podstawie obowiązujących w nich konstytucji. Wiele uwagi poświęcono problemowi relacji pomiędzy mniejszościami a krajem pochodzenia, kwestii umiędzynarodowienia konfliktów na tle statusu mniejszości narodowych powstałych na skutek zmiany granic w Europie po II wojnie światowej. Wspomniano o dylematach elit i społeczeństw nowotworzących się państw pokomunistycznych dotyczących modeli i wzorów ustrojowych dla swoich państw, w tym także wzorców dla ukształtowania stosunków etnicznych i religijnych. Dużej wagi problemem była sprawa narodowo- i państwotwórczych oddziaływań religii dominujących i konieczności gwarancji dla mniejszości narodowych i religijnych. Z wcześniej wymienioną kwestią wiąże się również problem miejsca i roli Kościołów w procesie transformacji politycznej i prawnej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Poruszono wreszcie ogólny problem roli, jaką prawo może odegrać w kształtowaniu świadomości społecznej w zakresie stosunków narodowościowych oraz znaczenia, jakie może mieć w okresie transformacji systemowej w krajach postkomunistycznych wprowadzenie modelu ochrony

praw mniejszości narodowych opartego na standardach zachodnioeuropejskich.

Uczestnicy obrad sekcji trzeciej — Mniejszości narodowe w świetle statystyk — omówili zagadnienia wiążące się ze statystycznym i kartograficznym ujęciem problemów mniejszości narodowych i religijnych w Europie Środkowo-Wschodniej. Przedstawiono problemy związane z wykorzystywaniem istniejących statystyk, rejestrów itp. z powodu zafalszowań w minionym okresie. Obrady sekcji obok ciekawych rozwiązań metodologicznych przyniosły obfity plon w postaci dużej ilości materiałów statystycznych i map, które będą opublikowane w najbliższej przyszłości.

Podsumowując obrady we wszystkich sekcjach można przedstawić następujące postulaty, które pojawiły się podczas wielogodzinnych posiedzeń:

— Istnieje konieczność przedstawienia punktów widzenia wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej i dążenia każdej ze stron do zrozumienia punktu widzenia innych. Jeśli istnieją zaszczości historyczne, należy przyjmować długofalowe programy ich naprawy;

— Konieczna jest rewizja dotychczasowych mitów i stereotypów istotnych dla wzajemnego postrzegania narodów regionu. Należy zmienić dotychczasowe nieprawidłowe przedstawianie zagadnień etnicznych w podręcznikach. W tym celu należy powołać komisje podręcznikowe;

— Istnieje konieczność systemowej wymiany myśli naukowej, co szczególnie dotyczy młodego pokolenia intelektualistów.

Wyniki konferencji winny znaleźć oddźwięk w środkach masowego przekazu nie tylko w Polsce, ale i w sąsiednich państwach. Jej dorobek i wnioski powinny dotrzeć tak do polityków, jak i do szerokich rzesz społeczeństw, ponieważ powszechne zauważenie i zrozumienie omawianych podczas konferencji problemów pozwala z większym optymizmem zapatrywać się na naszą wspólną, środkowo-europejską przyszłość.

Obrady konferencji zakończył prof. Jerzy Kłoczowski dziękując wszystkim uczestnikom za intensywną i owocną pracę.

Nagrody „Kultury” za r. 1992

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO: KAROL MODZELEWSKI

Karol Modzelewski jest przede wszystkim historykiem, autorem fundamentalnych prac o pierwszym okresie dziejów Polski — *Organizacja gospodarcza państwa piastowskiego X-XIII wiek* (1975), *Chłopi w monarchii wczesnopiastowskiej* (1987) — oraz o wczesnośredniowiecznej Italii, zwłaszcza o tej jej części, która w drugiej połowie VI w. została opanowana przez Longobardów. Modzelewski daje w tych pracach dowód mistrzowskiej umiejętności wynajdywania i interpretowania źródeł, zadawania im pytań, których jego poprzednicy nie zadawali, i odnawiania w ten sposób obrazu badanych epok. Toteż środowisko historyczne, nie tylko polskie, ale również międzynarodowe, uważa go zgodnie za jednego z najbardziej twórczych i nowatorskich mediewistów średniego pokolenia.

Modzelewski jest również politykiem i publicystą. *List otwarty do partii*, napisany przezeń wspólnie z Jackiem Kuroniem w latach 1964–65 (wydany przez Instytut Literacki w 1966 r.), znaczy jedną z przełomowych dat w historii opozycji antykomunistycznej w Polsce. „Książka Kuronia i Modzelewskiego jest niesamowitą sensacją polityczną. Wiele lat temu pisałem, że w Kraju nikt nie potrafi wyprodukować programu alternatywy, że nie mamy Dżilasa itp. — To jest lepsze niż „Nowa klasa” Dżilasa — ponieważ Dżilas daje tylko analizę krytyczną a nie program”. Tak oceniał *List otwarty* natychmiast po przeczytaniu Juliusz Mieroszewski (do J. Giedroycia, 14.08.1966), który poświęcił mu później ważny artykuł („Kuroń i Modzelewski”) w: *Polityczne neurozy*, 1967, s. 78–87). *List* stał się zresztą wydarzeniem międzynarodowym, a w Polsce — platformą pierwszej grupy młodzieży zdecydowanej podjąć walkę z panującym reżymem;

zarazem przyczynił się pośrednio do krystalizacji postaw ideowych i politycznych wśród intelektualistów i ludzi kultury.

Cwierć wieku z górą dzieli nas od tamtego czasu. W ciągu tych lat Modzelewski przeszedł długą drogę do zajmowanego obecnie stanowiska, różniącego się w sposób istotny od tego, któremu dał wyraz w *Liście* i które sam poddał później krytyce. Ma on za sobą lata więzienia i działalność w Solidarności, której był jednym z współzałożycieli, a później — pierwszym rzecznikiem prasowym; jego artykuły i wypowiedzi z tego okresu ukazały się w książce wydanej przez Archiwum Solidarności (*Między ugodą a wojną*, 1989). Ma też za sobą imponującą pracę badawczą, której nie sposób całkiem oddzielić od jego publicystyki.

Odrzucając młodzieńczą rewolucyjność i wizję społeczeństwa ukształtowaną w swym zasadniczym zrębie przez rewizjonistyczną odmianę marksizmu, Modzelewski pozostał jednak wierny przekonaniu, że życie społeczne i gospodarka są obszarami konfliktu, gdyż interesy tych, którzy ponoszą koszty przemian, zderzają się z interesami tych, którzy korzystają z przywilejów. Oraz przekonaniu, że myślenie o społeczeństwie i działanie polityczne nie ma prawa zapominać o tych pierwszych ze względów zarówno pragmatycznych, jak moralnych. Państwo, jeśli ma być państwem wszystkich obywateli, winno zatem, jego zdaniem, korygować nierówności odtwarzane, a nawet pogłębiane przez mechanizmy rynkowe, zachowując zarazem neutralność w kwestiach ideologicznych i wyznaniowych. Wartościami afirmowanymi przez Modzelewskiego są sprawiedliwość społeczna, praworządność, demokracja. Wszystko to wpisuje jego publicystykę w ten nurt, który swego czasu reprezentował w polskiej myśli politycznej Juliusz Mieroszewski, i czyni z niej zjawisko o szczególnej doniosłości w naszym życiu ideowym i politycznym ostatnich lat.

Krzysztof POMIAN

NAGRODA LITERACKA IM. ZYGMUNTA HERTZA: STEFANIA KOSSOWSKA

Była redaktorem *Wiadomości* londyńskich po śmierci Mieczysława Grydzewskiego i po śmierci jego następcy, Michała Chmielowca, od 1974 do 1981 roku. *Wiadomości* różniły się diametralnie od *Kultury*, na ogół kto czytał *Wiadomości* nie czytał *Kultury* i na odwrót. Były niewątpliwie ulubionym tygodnikiem emigracji polskiej w Londynie, spełniały więc ważną rolę. Stefania Kossowska, borykając się z rosnącymi trudnościami, zdo-

łała przedłużyć ich egzystencję do roku 1981. Z punktu widzenia polskiego życia kulturalnego za granicą wielka to zasługa. Jak zasługą jest jej obecny nadzór nad bogatym archiwum *Wiadomości*, z którego czerpią już badacze i historycy literatury w Polsce. Kossowska, która mogłaby o sobie powiedzieć, że „terminowała” u Grydzewskiego, redaguje dziś *Srode Literaturę*, cotygodniowy dodatek do londyńskiego *Dziennika Polskiego*.

Kulturalne zasługi Kossowskiej nie przysławiają nam oczywiście faktu, że jest ona przede wszystkim pisarką. Grydzewski, jak każdy rasowy redaktor, cierpiał na piórowstręt, prowadził jednak w swoim tygodniku stałą rubrykę *Silva Rerum*. Kossowska miała stałą rubrykę *W Londynie*, gdzie podpisywała swoje felietony Big Ben. Były to często felietony urocze, świetnie pisane, oparte na autentycznej erudycji i na doskonałym znawstwie miasta. A także na osobliwej i rzadkiej raczej miłości do Londynu, którą dzieliła z Tymonem Terleckim (na pewno nie ze Stanisławem Mackiewiczem). Z felietonów Big Bena powstała pierwsza książka Kossowskiej, *Mieszkam w Londynie*.

Następna książka Kossowskiej *Jak cię widzą, tak cię piszą* dowiodła, że w portreciście miasta i jego mieszkańców (angielskich i polskich) drzymał również dar portrecistki ludzi. Tom, prócz kilku opowiadań, zawiera szkice piórkim, to wspomnieniowe (Makuszyński, Nowaczyński), to inspirowane przez żywe jeszcze modele (Anders, Grydzewski). Stało się jasne, że emigracja polska dorobiła się swego kronikarza, że nie wszystkich jej protagonistów pochłonie stopniowo niepamięć. Wydana rok temu w Warszawie (przez Bibliotekę *Więzi*) trzecia książka Kossowskiej, *Galeria przodków*, jest doprawdy portretową kroniką lat spędzonych na obczyźnie. Baliński i Danilewiczowa, Tola i Tymon Terleccy, Grydzewski i Zygmunt Nowakowski, Kukiel i Józef Mackiewicz, Stroński i Wittlin. Czytelnicy *Kultury* pamiętają na pewno wspomnienie Kossowskiej o Wacławie Zbyszewskim, włączone do *Galerii przodków*; wspomnienie wyśmienite, choć nie było i nie jest łatwo napisać coś świeżego i oryginalnego o niedocenianym wciąż w pełni WAZ.

Nagradzamy dobre pióro, pisarkę inteligentną i wrażliwą, jedną z osób, którym pielęgnowana na emigracji kultura polska zawdzięcza bardzo dużo.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

NAGRODA PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY: WOJCIECH SIKORA

Wojciech Sikora w latach studiów filozofii na UJ (1977-1980) był czynnym opozycyjnym działaczem studenckim, w końcu aresztowanym. Po zwolnieniu w Sierpniu zostaje wybrany do Zarządu Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS) i uczestniczy w zakładaniu pierwszych kół związku Solidarność. Jest jednym z członków najbardziej zaangażowanej grupy, do której należą m.in. Bronisław Wildstein, Anna i Andrzej Mietkowsy, Anna Krajewska. Grupa ta podejmuje wspólnie decyzję pierwszego wyjazdu w lutym 1981 na Zachód, gdzie (na uniwersytetach w RFA i Szwecji) Sikora bierze udział w licznych prelekcjach i spotkaniach na rzecz Solidarności. Ogłoszenie stanu wojennego w Polsce przekreśla możliwości powrotu do Polski. W 1982 r. Sikora wraz z innymi prosi o azyl polityczny we Francji,

Po 13 grudnia jest członkiem założycielem Grupy Koordynacyjnej NZS i współpracownikiem Komitetu „S” w Paryżu, gdzie zajmuje się głównie „przerzutami” i kontaktami z „S” Regionu Małopolska, przy czym grupa studentów paryskich zdobywa dla polskich kolegów lokal na Uniwersytecie Jussieu, intensywnie ich popierając.

W latach 1982-1986 pracuje w *Kontakcie*, pisząc również do *Kultury* („Kronika francuska”). Od 1984 jest członkiem redakcji i przedstawicielem niezależnego krakowskiego kwartalnika *Arka*, zaś od 1985 także przedstawicielem australijskiej Fundacji Polcul, powstałej w roku 1984 w celu przyznawania nagród ludziom kultury w Polsce. Od 1987 jest sekretarzem Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej w Paryżu. Jego głównym źródłem utrzymania jest praca w założonej wspólnie z Anną Alberti firmie składopisowej Aktis S.A.R.L.

Olga SCHERER

Ci, co odeszli

O Zbigniewie Raszewskim

(5 IV 1925 — 7 VIII 1992)

Szkic tytułowy zamykający książkę Zbigniewa Raszewskiego „Starościeczczyna i postęp czasu” z roku 63-go zaczyna się od tabeli, w której autor zestawia dziesięć sztuk, dziewięć komedii i jedno libretto operowe, napisanych w latach 1766-1865. Są to utwory bardzo różnej wartości, w części całkiem już zapomniane. Wszystkie cieszyły się jednak w swoim czasie wielkim powodzeniem. Łączy je tylko jedno: we wszystkich o rękę panny ubiega się dwóch konkurentów. Jeden w stroju cudzoziemskim — fraku — wnosi na scenę obyczaj zachodnioeuropejski. Drugi, ubrany w kontusz, broni obyczaju sarmackiego. W tabeli zwycięski rywal widnieje zawsze po lewej stronie, pokonany po prawej. Sztuki, opatrzone datą, w których zwycięża fraczek umieszczono w lewej szpalcie, pozostałe w prawej. Zaczynając lekturę 34 stron komentarza do tej tabeli można się spodziewać, że autor przedstawiając dzieje teatru mającego służyć reformie obyczajów, sam raczej sprzyja konkurentom we fraku. Rzecz się jednak niezmiernie komplikuje. Najpierw wybitny aktor, Karol Boromeusz Świerzawski, obsadzany chętnie w rolach ojców panien, tradycyjnych szlachciców, czynił owych Staruszkiewiczów — wbrew intencji komediopisarzy — główną i najlepiej przyjmowaną postacią przedstawień. Raszewski opisuje dokładnie i wyjaśnia przekonywująco, jak to się stało, że teatr sprzeniewierzył się swojemu programowi i w procesie fraka z kontuszem adwokaci fraka znaleźli się w mniejszości. Szkic ten stanowi zwięzłą i przejrzystą historię społeczną jednego stulecia teatru polskiego, „... nie tego, który wymarzyli sobie najinteligentniejsi Polacy, ale tego, który był”. Jest zarazem dobrym przykładem pisarstwa tego autora, jego niezmiernej wiedzy, upo-

dobania do szczegółów a zarazem sprawności myśli w porządkowaniu obfitego materiału. Już wtedy okazało się, że Zbigniew Raszewski jest pisarzem, który w sposób pasjonujący potrafi opowiadać historię dzieł i wydarzeń, które same w sobie nie wywołują już niczyjego zainteresowania. Książka z roku 63-go zawierająca także szkice o pierwszych latach Teatru Narodowego, teatrze krakowskim 1781-89, „Krakowiakach i góralach” Bogusławskiego, doświadczeniach teatralnych Słowackiego i Mickiewicza, była wydana w nakładzie dwu i pół tysiąca egzemplarzy. Nie została jednak w całości rozsprzedana i dość szybko obniżono jej cenę z 45-ciu na 5 złotych. Zakupiłem wówczas pewien jej zapas w przeświadczeniu, że dorosłe nowe pokolenie czytelników. Niepowodzenie „Staroświecczyny” mogło mieć trzy równoczesne przyczyny: niesprawność dystrybucji, odmienność autora i daleko posuniętą dyskrecję jego entuzjastów. Kilkanaście lat potem, w „Krótkiej historii teatru polskiego”, opowiedział Z.R. o pół konspiracyjnych przedstawieniach „Dziadów” na początku naszego stulecia pod zaborem rosyjskim. W Kamieńcu Podolskim przyszedł na przedstawienie podejrzliwy naczelnik policji, ale po drugiej odsłonie znudzony i śpiący poszedł do domu. Dyrektor zespołu zdołał wcześniej uprosić publiczność, by nie reagowała oklaskami na grę artystów, bowiem czujność policji byłaby zdwojona. Spektakl skończył się w grobowej ciszy, przy ukradkiem ucieranych nosach. „Staroświecczyna” przeszła przez cenzurę, która nie doszukała się w niej niczego nieprawomyślnego. Zarazem roztropność nakazywała, by nie świętować tego wydarzenia zbyt hucznie. Była to druga książka autora, urodzonego w r. 1925. W latach 45-49 Z.R. studiował polonistykę w Poznaniu u przedwojennych profesorów, głównie Zygmunta Szweykowskiego, któremu w r. 66 poświęcił godny uwagi szkic, zatytułowany „Profesor”. W r. 49 został asystentem Szweykowskiego. Doktoryzował się w r. 51 rozprawą o Zapolskiej, ale już w r. 52 zaczęło się wyrzucanie go z uniwersytetu. Leon Schiller, zachwycony jego pracami o Ritterze i Zapolskiej, postanowił go ściągnąć do powstającego właśnie pisma naukowego *Pamiętnik Teatralny*. Nie było to łatwe, ponieważ z Poznania nadeszła opinia, że kandydat jest „obcy politycznie, wrogi Polsce Ludowej”. Na dodatek dygnitarzom w Warszawie nazwisko kojarzyło się z osobą przedwojennego generała, dość znanego, ponieważ był jedynym polskim generałem wywodzącym się z cesarskiej armii niemieckiej. Z.R. nie był synem ani wnukiem generała, jednak zbyt dokładne prostowanie tego faktu nie wydawało się szczęśliwym pomysłem, ponieważ jego ojciec, Jan, był rzeczywiście zawodowym oficerem Wojska Polskiego, który w randze kapitana młodo zginął w obozie sowieckim. Gdy się już było wrogiem ludu, lepiej — z czego

Schiller zdawał sobie sprawę — być księciem niż hrabią. Bluffując zdołał doprowadzić do zatrudnienia młodego R. w Instytucie Sztuki. Gdy R. spytał Schillera dlaczego *Pamiętnik* ma być drukowany *petitem* a nie *garmondem*, odpowiedź brzmiała: „Trzeba drukować, ile się da i jak się da”.

W czasach gdy miano się zajmować „analizowaniem dynamiki przełomu i wydobywaniem postępowych tradycji” młody naukowiec uchylił się od podejmowania aż tak ambitnych zadań, świadomie wybierając sobie miejsce na marginesie, rolę pracownika przyczynkarza. Jego pierwsza książka, „Z tradycji teatralnych Pomorza, Wielkopolski i Śląska” z roku 55-go, przyczyniła się do stworzenia legendy erudyty o skromnych ambicjach, zajmującego się historią sal teatralnych w miastach prowincjonalnych, składem zespołów tamże, teatrami letnimi, nawet teatrzykami podmiejskimi. Z.R. do końca zachował ciekawość takich spraw. Odnalazł w archiwum i ogłosił spis kostiumów teatralnych pozostałych po śmierci Bogusławskiego i sprzedanych następnie na licytacji. Zawsze szczególnie chętnie używał słów takich jak: *przyczynek*, *archiwalny*, *muzealny*.

Mimo względnego niepowodzenia „Staroświecczyny” ten sam wydawca, Państwowy Instytut Wydawniczy, wydał w r. 72-gim nową książkę Z.R., dwutomową monografię poświęconą Bogusławskiemu. PIW, to była przede wszystkim Zofia Bartoszewska, która doglądała tam książek tego autora i cieszyła się nimi. „Bogusławski” wydany w trzech tysiącach został nawet uznany za najpiękniej wydaną książkę roku, a po dziesięciu latach doczekał się wznowienia. Spokojna, powolna narracja wystawia czytelnika na próbę. Na stronie 54-tej Bogusławski ma dopiero lat osiemnaście. Rodzina wybrała dla niego karierę oficera, posyłając go na służbę do pułku gwardii pieszej litewskiej: „... całymi dniami musiał wystawać pod ścianą przytulając się do niej głową, plecami i łydkami, by nabrać żołnierskiej postawy, uczyć się różnych skomplikowanych zwrotów i kroków, tudzież nie mniej zawilego obchodzenia się z bronią. Samo tylko oddanie strzału z karabinu wymagało wówczas pięciu komend: *Mit der rechten Hand ans Gewehr! Das Gewehr hoch! Spannet den Hahn! Schlagt an! Feuer!*

Na stronie 60-tej znów wracamy do tej sprawy: „... w pułku, w którym służył, komenda została spolszczona za jego czasów. Nie bez trudu. Pierwsze próby, podejmowane w tym kierunku, polegały po prostu na tłumaczeniu komend niemieckich. Pozostawały zresztą na papierze nie stosowane w praktyce, niezgrabne, nawet niemożliwe do wymówienia przed frontem (Prawą za broń! Broń do góry! Odwiedźcie kurek! Przyłóżcie się! Palcie!). Po nich poszła druga wersja, znacznie lepsza. Wreszcie w regulaminie z 1777 znajdujemy trzecią, używaną w

szeregach, a tę z uwagi na czystość języka, jego dobitność i rytm wolno już uznać za małe arcydzieło: „Prawą za broń! Broń do góry! Odwiedz kurek! Cel! Pal!”.

Polonizacja, wciąż postępująca w sferze języka, ogarnęła wszystkie dziedziny życia nie wyłączając zabawy. W tym momencie nabierają pełnego znaczenia wszystkie wcześniejsze dygresje o kwestiach języka, czytelnik wprowadzony w centrum problemów polskiego Oświecenia przekonuje się, że nie ma w tej książce ani jednego drobiazgu, który zostałby wspomniany bez ważnych powodów i autor po raz pierwszy przechodzi do spraw teatru. W tej książce — co zauważył Bohdan Korzeniewski — „Historyk upodabnia się do powieściopisarza. Przejawia w znajomości człowieka, który istniał naprawdę, przenikliwość wcale nie mniejszą niż opowiadacz postaci zmyślonych. Przy wszystkich surowych rygorach pisania tylko o takich myślach i uczuciach swego bohatera, jakie znajdują potwierdzenie w czynach, umie pobudzić również żywo naszą wyobraźnię i uczucie. Raszewski posiada w dużej mierze taką tajemniczą zdolność opowiadania o losach ludzkich”. Uwagi na temat komendy wymagały jednak znajomości czterech różnych regulaminów wojskowych oraz „Historii piechoty polskiej” Konstantego Górskiego (1893). Mimo, iż ta książka może uchodzić za definitywną monografię, autor ogłosił w następnych latach jeszcze kilka prac szczegółowych na temat Bogusławskiego, rozwijających lub uzupełniających poszczególne wątki. To także dowodzi, jak bardzo go polubił. Zarazem poświęciwszy mu tyle lat swego życia nigdy go nie przeceniał i nie próbował się w nim doszukiwać źródła wszelkich możliwych wskazań.

W roku 77 ukazała się — znów w PIW-ie — „Krótka historia teatru polskiego”, tym razem w dwudziestu tysiącach. Tak zwany „Mały Raszewski” już po roku doczekał się drugiego wydania, a niedawno wyszło trzecie. Zwięzłość tego dzieła zaskoczyła nawet jego entuzjastów. Dyrektor z Krakowa ubolewał, że o teatrach krakowskich jest tam mniej niż o warszawskich. Znany aktor prosił, czy o czasach nam bliższych, które go bardziej interesują, nie mogłoby być więcej niż o teatrze dziewiętnastowiecznym. Powoli zaczęto chyba zdawać sobie sprawę, że doniosłość tego dzieła polega nie tylko na tym, co autor zdołał tym razem opowiedzieć, ale zarazem na wypracowaniu metody pozwalającej w szczególnie sensowny sposób uprawiać historię polskiego teatru. Ponieważ jej zakres wytyczają trzy grupy zjawisk: wpływ świata zewnętrznego na przedstawienie, samo przedstawienie, oddziaływanie przedstawienia na świat zewnętrzny, tak pojmowana historia teatru staje się zarazem opowiedzianą w szczególnie zajmujący sposób historią Polski. Trudno przy tym twierdzić, że teatr stał się dla Raszewskiego

tylko pretekstem do opowiedzenia tej historii, skoro nie było lepszych od niego znawców dziejów samych przedstawień. W roku 73 ukazał się pod jego naczelną redakcją opracowany przez duży zespół i możliwy dzięki kartotekom, jakie zaczęto sporządzać jeszcze w ubiegłym stuleciu, „Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1765-1965”, liczący 197,5 arkuszy wydawniczych i zawierający 6.298 haseł osobowych aktorów, śpiewaków, tancerzy, reżyserów, scenografów, dyrektorów i przedsiębiorców teatralnych.

W roku 78 była gotowa do druku książka następna, nosząca tytuł „Sto przedstawień”. Już w roku 70 ukazał się w *Dialogu* wstęp wyjaśniający zasady tworzenia książki. Składa się na nią sto opisów przedstawień teatralnych — najstarszy pochodzi z r. 1625 — będących relacjami naocznych świadków, napisanymi po polsku przez Polaków (zastrzeżenie konieczne, bo z XVI i XVII wieku pozostało wiele ciekawych tekstów napisanych przez Polaków ale po łacinie, w wieku XVIII i XIX Polacy nieraz pisali o teatrze po francusku, po trzecie wszystkie opisy dotyczyły konkretnych przedstawień, nigdy „teatru w ogóle”). Książka zawierająca obok klasycznych recenzji także fragmenty listów, dzienników i pamiętników, felietonów i reportaży, nie miała stać się antologią krytyki teatralnej ani wyborem źródeł do historii teatru. Autora, przekonanego, że cywilizację europejską wyróżnia wyjątkowe poczucie rzeczywistości, trzeźwe liczenie się z tym co jest, choćby i to co jest niezupełnie zadowalało, czy zgoła wydawało się bytem podrzędnego rodzaju, przy równoczesnym uświadomieniu sobie niszczącej funkcji czasu, interesowało pokazanie na przykładzie stu różnych opisów, jak język polski się do tego zadania nagiął, jak się stopniowo kształtowało słownictwo, a z nim różne typy i zasady opisu. Z.R. wyróżniał w tym procesie trzy wyraźne fazy. W pierwszej opisywano wygląd sceny i to, co się na niej działo. W końcu wieku XVIII umiano już dokładnie opowiedzieć nie tylko o tym, co się dzieje na scenie i na widowni, ale także utrwalić związek między przedstawieniem a swoim własnym uczuciem. Trzecią fazę otwierają — według Raszewskiego — pisarze romantyzmu, nie ograniczający się już do uchwycenia związków między przedstawieniem i własnym przeżyciem, lecz zdolni także do analizy samego przeżycia i opisanie tego. Powołuje się na opisy Krasieńskiego, na szczycie umieszczając tekst Norwida z „Białych kwiatów”, opisujący premierę Makbeta w Rzymie. Skrętny wyrobnik pióra i gorliwy nadzorca Wydawnictw Filmowych i Artystycznych nazwiskiem Jerzy Witlin zażądał w r. 78 usunięcia z książki tekstu Jana Kotta. Z.R. nie zgodził się na zastąpienie recenzji z „Historiji o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka u Dejmka z r. 62,

będącej rzeczywiście dobrym i pięknym opisem spektaklu, ani na wydanie „99 przedstawień”. Książka pozostała do dziś w maszynopisie.

Lektura wstępu do „Stu przedstawień” mogła nasunąć przypuszczenie, że autor traktował tę pracę jako przygotowanie do jeszcze innych zadań, jakie przed sobą stawia. Tak było w istocie.

Wydarzeniem teatralnym, które w szczególnie sposób przerosło sprawy samego teatru, było zakazane przez władze przedstawienie „Dziadów” Mickiewicza w Teatrze Narodowym z roku 1968. W roku 90-tym ukazała się, wolna od ograniczeń cenzury książka Jerzego Eislera „Marzec 68”. Eisler nie widział przedstawienia i nie umie o nim nic powiedzieć, co wynika z faktu, że ukazały się jedynie dwie recenzje. Pierwsza z nich, Jaszczka w *Trybunie Ludu*, jawnie stronnicza, w oczywisty sposób nie może być traktowana jako źródło jakichkolwiek wiadomości o spektaklu. Druga, pióra Augusta Grodzickiego w *Życiu Warszawy*, bardzo entuzjastyczna, nie spełniła warunków solidnego opisu tej inscenizacji. Istnieją jednak doskonałe opisy, i to kilku z czterestu w sumie przedstawień, poczynając od premiery w dniu 25 listopada 67, kończąc na dwunastym, 25 maja 68, pierwszym z trzech tajnych, zarządzonych przez władze na użytek swoich, noszących na afiszu tytuł: spektakl zarezerwowany. Wszystkie opisy zawarte są w RAPTULARZU Zbigniewa Raszewskiego. Pierwszy zapis w Raptularzu pochodzi z roku 65 i dotyczy rozmowy o Sołżenicynie z Wacławem Zawadzkiem, redaktorem Biblioteki Pamiętników Polskich i Obcych w PIW-ie, nazywanym zwykle przez przyjaciół Puchatkiem, późniejszym współzałożycielem KOR-u, rozmowy odbytej w mieszkaniu p. Zawadzkiego na Żoliborzu, Stołeczna 3. W r. 66 do Raptularza zostaje włączona rozprawka pt. „Wstęp do teorii kawału”.

„Badacze zgadzają się na ogół co do tego, że literatura mówiona znamionuje wczesne etapy rozwoju cywilizacji i wyprzedza literaturę pisaną, toteż ciekawy wydaje się fakt, że w Polsce, jak zresztą we wszystkich krajach socjalistycznych, zaszedł ostatnio odwrotny proces. Kraje te miały już bogatą literaturę pisaną, gdy nastąpił w nich ponowny rozkwit literatury mówionej, do której należy niewątpliwie kawał”. Dalej odrzuca się tam myśl, by zamiast o kawale, mówić o dowcipie: „osoby wyżej ceniące delikatność niż ścisłość wolą mówić o 'dowcipie', co jednak wydaje się niedopuszczalne w badaniach naukowych. Słowo 'kawał' rzeczywiście brzmi nieelegancko. Cóż z tego, skoro sam przedmiot nie jest pachnący”. Podczas lektury można odnieść wrażenie, że dla pełnej systematyki gatunku bywają przytaczane przykłady kawałów, nigdy plugawych, czasem jednak

nie zaspokajających w pełni osobistych upodobań badacza, takich, których nie chciałoby mu się opowiedzieć w zwykłej rozmowie. Dopiero dochodząc do konkluzji, rozpoznajemy ton właściwy autorowi: 1. Kawał, będąc w zasadzie nielegalną dziedziną twórczości, najlepiej, jak się zdaje, spełnił wszystkie postulaty, jakie na progu Polski Ludowej postawiono naszej literaturze: stał się — jako jedyny! — gatunkiem masowym, pasjonującym wszystkie warstwy społeczeństwa, a do tego na wskroś współczesnym, bo ściśle wynikającym z naszego życia i skrajnie zaangażowanym. Upodobanie, jakie budzi w sferach rządzących, zdaje się świadczyć, że spełnił swoje zadanie w sposób całkowicie zaspokajający oczekiwania i aspiracje obecnych mecenasów kultury. 2. Już z uwagi na to, kawał bezspornie powinien stać się przedmiotem badań naukowych. 3. Potrzeba badań wynika także stąd, że kawał stał się w Polsce Ludowej najżywotniejszym gatunkiem literackim pod względem artystycznym. Jest — to nie ulega najmniejszej wątpliwości — znacznie bardziej zajmujący od dzisiejszej noweli czy powieści polskiej, a wcale nie jest od nich bardziej ordynarny. Dlatego też badacze dobrze by uczynili poświęcając kawałowi choć część inwencji badawczej, którą poświęcają współczesnej prozie drukowanej. 4. Znaczenie, jakie kawał zyskał w dzisiejszej Polsce budzi również pewne obawy. Fakt, że tylu twórców zdaje się wyczerpywać energię w niepisanej, ulotnej miniaturze epickiej, a publiczność przyzwyczają się zaspokajać przy pomocy tego gatunku tyle potrzeb duchowych, każe się lękać, że mimo świetnego rozwoju kawał nie udźwignie jednak wszystkich zadań, jakie w nowoczesnych społeczeństwach spoczywają zwykle na barkach literatury”. W r. 90 rozprawa ta ukazała się w całości w nr 2 pisma *Polska Sztuka Ludowa*. W pierwszym okresie Raptularz składał się z większych fragmentów i samoistnych całości przeplatanych wiadomościami z miasta dotyczącymi życia codziennego. Nie odwiedzając zwykle kawiarni, Z.R. utrzymywał żywe kontakty towarzyskie. Spotykany po drodze do archiwum czy do biblioteki, wdawał się ochoczo w niedługą rozmowę, w której sam opowiadał rzeczy ciekawe i umiał wiele wydobyć z rozmówcy. Przyjmował też czasem w domu i w redakcji *Pamiętnika*. W jednym tylko wypadku spotkanie ograniczało się do samej tylko przyjaznej wymiany ukłonów: gdy w niedzielę przed południem udawał się z rodziną do kościoła. Był praktykującym i wierzącym katolikiem. Chętnie wspominał o swoich teologicznych lekturach. Nigdy nie skrywał swego katolicyzmu, ale też nie obnosił się z nim ostentacyjnie. Nie czuł się z racji wiary nigdy skrępowany w swych badaniach. Pierwszy odczytał masonskie przesłanie „Krakowiaków i górali” Bogusławskiego. Kilka ważnych postaci, którymi się zajmował, należało do łóż i napisał

kiedyś, że byle kogo tam nie przyjmowano. Nie popadał jednak w bezbrzeżne uniesienie wobec tajemnic kielni i młotka, zachowując w tej sprawie, jak we wszystkich, znaczny krytycyzm. Jeśli w ciągu wielu lat obcowania z panem Zbigniewem miałem poczucie, że jest to ktoś niezwykły, to akurat forma jego katolicyzmu wydawała mi się najzupełniej naturalna, normalna. Być może katolicyzm przyczynił się do pogłębiania jego wielkiej dobroci. Łączył przenikliwość widzenia ze znaczną wyrozumiałością wobec ludzi. Z tego, co zapamiętałem, z nieskrępowaną pogardą wyrażał się tylko o Fillerze (Witoldzie). Znacząco łagodniej traktował Macrottów, ojca i syna, szpicłów Wielkiego Księcia Konstantego, których szczegółowe raporty o życiu teatralnym w Warszawie uważał za bardziej cenne dla historyka teatru niż dla samego cara.

W numerze 5-tym *Tygodnika Powszechnego* z 2 lutego 92 ukazał się wywiad, w którym człowiek młodszy ode mnie twierdzi bardzo stanowczo, że „każdy kto żył w tym kraju przez ostatnie 50 lat w jakiś sposób jest ubrudzony komunizmem”. Już wiele lat temu zdałem sobie sprawę, jak — dla różnicy osobistych doświadczeń — musi się różnić moja wizja człowieka od wizji, jaką mógł mieć Władysław Gomułka, którego opuścili i zdradzili najbliżsi współpracownicy i towarzysze. Jeśli teraz pan prezydent mówi to, co powiedział, to najpewniej odwołuje się do rzeczywistych doświadczeń. Jednak przykład pana Zbigniewa Raszewskiego sprawa, że podobne uogólnienia są fałszywe. Przykład jednego człowieka wydaje się ważniejszy niż to, że dwa a może trzy miliony osób postępowały w sposób naganny. Znałem zresztą kilka osób łączących absolutną nieskazitelność moralną ze znaczną sprawnością umysłu i, mimo wszystko, skutecznością działania. Z całą pewnością tak myślę o Janie Józefie Lipskim i panu Józefie Rybickim. A i paru żyjących jestem pewien. Sądzę, że fałszywa filozofia co najmniej może prowadzić do fałszywej polityki.

Trzeci tom *Raptularza* obejmujący okres między 26 listopada 67 a 21 lipca 68 zmienia charakter. Tekst staje się głównie rejestrem wydarzeń związanych z „Dziadami”. Wiadomości z uniwersytetu, ze Związku Literatów, odnotowywanie kolejnych represji, częste wizyty w Teatrze Narodowym, liczne rozmowy z Dejmkiem, niemal wszystko zdaje się obracać wokół tej jednej sprawy. W następnych latach autor wraca do poprzedniej formy i eseje mieszają się z rzetelnym opisem rzeczywistości, wydającej się bytem podrzędnego rodzaju. Za nowego ustroju już miał się ukazać trzeci tom *Raptularza*, w końcu jednak do tego nie doszło, co Z.R. początkowo znośił z przykrością. 28 maja 92, gdy go widziałem po raz ostatni, uważał już, że rzecz może spokojnie czekać. Tymczasem ukazały się rozważania o naturze

teatru „Teatr w świecie widowisk”, wyd. Krag, przyjęte z zainteresowaniem, oraz ładnie wydrukowany we Wrocławiu tom szkiców „Trudny rebus” z nadrealistyczną notatką na odwrocie karty tytułowej: „Wydawnictwo Centralnego Programu Badań Podstawowych 08.05”, podobno niedostępny w handlu księgarskim, który dostałem od autora. Przez ostatnie trzy i pół roku Z.R. był ciężko chory, poddawany serii morderczych operacji i męczących zabiegów. Pracował jednak przez cały czas. Zostawił jeszcze niemal gotowy do druku tom listów Bogusławskiego i książkę o Teatrze Narodowym na placu Krasińskich. Słyszę, że *Raptularz* za rok 91 odpowiada objętością wszystkim poprzednim rocznikom. Myślę więc, że wiadomości o tytułach ukazujących się dziś książkach być może pozbawione są większego znaczenia.

Andrzej DOBOSZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKLADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W ŚĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Kronika kulturalna

Ten wariat, Wojciech Bąk

Uważano go za wariata. Zrobiono mu świadomie taką gębę. I być może nie byłoby w tym nic dziwnego, jako iż na wariackich papierach też można żyć niezgorzej, gdyby „gęba” wariata nie posłużyła do zamknięcia poety w domu dla obłąkanych. Podejrzane to bowiem wariactwo, które skłoniło władze do ubezwłasnowolnienia i zamknięcia twórcy w okresie nasilającej się presji ideologicznej na środowisko literatów (Wojciech Bąk został podstępem i siłą przewieziony do Dziekanki pod Gnieznem 18 lipca 1952 roku), natomiast ustąpiło nagle, wykazując przywrócenie zdolności „do samodzielnego pokierowania swym postępowaniem”, w okresie „odwilży” (lipiec 1956). Miało ono zatem wyraźnie charakter polityczny i dowodzi dosyć jasno sformułowanego tutaj nieomal wprost przekonania, że jeśli ktoś śmiał przeciwstawiać się demonstracyjnie nakazom odgórnym, dyrektywom partyjnym, głosząc własne, całkiem odmienne zdanie, czyniąc to w dodatku publicznie, musiał być oczywiście niepełna rozumu. A Bąk nie należał do osób pokornych, dających się wodzić za nos. Nie lubił ani tchórzliwie ustępować z drogi, ani nie uważał za stosowne kryć się ze swoimi poglądami. Toteż drażnił i niepokoił, może najbardziej z całej, niewielkiej zresztą gromadki literatów, skupionych w Poznaniu tuż po wojnie wokół Jarosława Iwaszkiewicza i wydawanego przezeń *Życia Literackiego*. Potwierdza to na przykład Jerzy Putrament w 4-tym tomie swoich wspomnień („Pół wieku”) pt. „Literaci”, opisując poetę po wizytacji członków ZG ZLP nad Wartą: „Były z nim kłopoty na zjeździe w 50 roku. W Poznaniu robił je stale: niby że był na 'wariackich papierach', przy lada okazji występował z antyreżymowymi i antyustrojowymi deklaracjami, serwując je w przepysznym, przedwojennym, endeckim sosie: żydokomuna. Zważywszy, że to był rok 1951, więc okres, w którym bito nawet za letniość pochwał, takie występy sprawiły

wiele kłopotu władzom. (...) Więc każda władza, byle właśnie nie głupia, machała nań ręką jak na przykrość sezonową, pchły, komary. Ale miała zawsze pietra, czy nie znajdzie się ktoś nadgorliwy, kto poskarży się wyżej, że się tu toleruje takie występy”. Jeszcze jaśniej, bez niedomówień, wyłożył taktykę władz wobec literackiego Poznania dyżurny krytyk partyjny Feliks Fornalczyk w wydanej broszurze („Oswajanie z teraźniejszością. O życiu literackim w powojennym Poznaniu”, Poznań 1978). Otóż obawy budziło wiele rzeczy. Po pierwsze: świadome nawiązanie i odtwarzanie „przedwojennych tradycji literackich w stolicy Wielkopolski”, co było tym bardziej groźne, że na miejscu brakowało „twórców o ugruntowanych przekonaniach laickich, lewicowych, którzy byliby w stanie przeciwstawić wielowiekowemu tradycjonalizmowi nowe wartości intelektualne i artystyczne z pozycji marksistowskich czy choćby tylko racjonalnych”. Po drugie, jak pisze Fornalczyk, „obaj główni ideolodowie estetyki idealistycznej: Aleksander Rogalski i Wojciech Bąk, byli zagorzałymi strażnikami dogmatów katolickich, tyle że Bąk bronił ich z nieprzejednanych pozycji zachowawczych”. Po trzecie wreszcie: „Wojciech Bąk bronił sztukę przed niebezpieczeństwem jej stechnicyzowania jak i podporządkowania celom doraźnym; był zwolennikiem estetyzmu, bezwzględnie odrzucającym wszelkie pokusy utylitarystycznej usługowości społecznej sztuki; w tego typu objawach widział groźbę sprzeniewierzenia się artysty swemu powołaniu, niebezpieczeństwo korupcji. W rozdziale zatytułowanym 'Myśli' (w zbiorze „Wyznania i wyzwania”) przestrzegwał przeto: 'Kto zwiąże się z swoim wiekiem na śmierć i życie, niech się nie dziwi, że z nim zginie’”.

W efekcie nieszkodliwy na pozór „wariat sezonowy”, podobny do kąśliwej pchły lub komara, jak lekceważąco zauważył Putrament, stanowił nielada problem na poznańskim bruku. Był kimś. Rzucił się w oczy. Nadawał ton środowisku. „A że w składzie społeczności literackiej Poznania — przestrzega Fornalczyk — była przeważająca część wyznawców światopoglądu katolickiego, skoncentrowali się oni w tym okresie na ukazywaniu roli Kościoła w przeszłości oraz na zagadnieniach konkurencyjnego wobec świeckiego realizmu socjalistycznego — realizmu chrześcijańskiego (...). Tym sposobem dominująca w miejscowym środowisku grupa zdeklarowanych pisarzy katolickich okazywała swoją aktywność nie tylko w samym Poznaniu, ale i w kraju”.

Nawet wrywkowo przytoczony wywód sytuuje sprawę Wojciecha Bąka we właściwym świetle i ukazuje mało uświadomiany sobie zazwyczaj kontekst zarówno jego „wariactwa”, jak i podjętych środków zaradczych. Fornalczyk oczywiście nie ujawnia wniosków, ustalonych po wizycie członków Zarządu Głównego ZLP w Poznaniu, a dotyczących niesfornego poety, któ-

rego trzeba było spostonować, ośmieszyć, a w końcu izolować. Przedstawia za to inne przedsięwzięcia: szczególne zainteresowanie się „pisarzami zaangażowanymi po stronie polityki partii” (Eugeniusz Morski, Edwin Herbert, w mniejszym stopniu Wanda Karczewska i Klemens Oleksik), zjednywanie pisarzy zajmujących pozycję „centryczną” (Arkady Fiedler, Tadeusz Kraszewski), przyciągnięcie do Związku Literatów młodego narybku literackiego (powstanie Koła Młodych) oraz „osadnictwo”, to jest przesiedlenie do grodu Przemysława z różnych stron kraju twórców, stanowiących oparcie dla nowej polityki władz. Naszej uwadze nie może też ująć jakże charakterystyczne wyznaczenie: „W systemie ogólnej strategii oddziaływania ideowego na organizacje twórcze przyjęto wówczas zasadę stopniowego ograniczania wpływów pisarzy o postawach negatywnych” (!). A do nich przecież należał przede wszystkim Wojciech Bąk.

Jak to wyglądało w praktyce? Dzięki zachowanym częściowo protokołom z posiedzeń zarządu poznańskiego oddziału ZLP jak również nielicznym wspomnieniom można zorientować się mniej więcej w przebiegu zdarzeń. Wojnę spędził Bąk w Warszawie, pracując jako kierownik magazynów Ubezpieczalni Społecznej i biorąc żywy udział w podziemnym życiu literackim. Z tych czasów Karol Irzykowski wspomina poetę w swoich „Dziennikach” jako człowieka, który „miał niesłychanie wiele zdrowego rozsądku i bardzo wyostrzony zmysł rzeczywistości. Raz w konspiracji zetknął się z przywódcą pewnego ruchu politycznego i odbył z nim długą rozmowę. Wspominając mi później o tym — pisał Irzykowski — powiedział z błyskiem drwiny w oczach: 'Wiesz, z nas obydwu nie ja byłem poetą'”. Po warszawskim powstaniu został wywieziony do obozu w Cottbus, gdzie mieściła się fabryka amunicji. Wtedy to rozeszły się pogłoski, że zginął podczas któregoś z nalotów alianckich.

W Poznaniu zjawił się na tyle niespodziewanie, że zdążył w sam raz na tzw. Czwartek Literacki zorganizowany ku czci zmarłych podczas wojny kolegów, w tym — Wojciecha Bąka. Wywołało to sporą konsternację, zwłaszcza, że niedoszły nieboszczyk zabrał się od razu bardzo energicznie do pracy. Po wojennej przerwie znów stał się czołową postacią w miejscowym środowisku. Współ z mieszkającym wtedy w Poznaniu Jarosławem Iwaszkiewiczem redaguje ukazujące się tutaj, jedyne w tym czasie tego rodzaju czasopismo wydawane przez oddział ZLP, pod nazwą *Życie Literackie* (1945-1949), zostaje kierownikiem literackim Teatru Nowego (1946-1947), kierownikiem literackim w łódzkim wydawnictwie swojego brata, Władysława Bąka, prezesem poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich (1945-1947). Ukazują się jego tomy poezji („Pięta ewangelia”, „Syn ziemi”, „Dłonie z wiatru”), tom opowiadań („Twarze”), dramat

(„Święty Franciszek”), zaś drugi dramat, „Sługa Don Kiszota”, trafia na deski Teatru Nowego. Dodajmy jeszcze do tego zestawu nagrodę m. Poznania za całokształt działalności artystycznej (1945 rok) oraz zamykającą ów „złoty okres” nagrodę Episkopatu Polski za twórczość poetycką (1949).

Ale i ta pozorna normalność, okres wytężonej pracy i widocznych sukcesów, miały prawie od razu swój podskórny, całkiem odmienny nurt. Najpierw pojawiły się konflikty wokół organizowanych przez Bąka spotkań autorskich, tzw. Czwartków Literackich, mających w Poznaniu ogromną tradycję. Po występach twórców, poetów, prozaików, także naukowców, zawsze przewidziana była na tych imprezach dyskusja i właśnie ta część autorskich spotkań zaczęła nagle budzić zastrzeżenia cenzury. W protokole z zebrania zarządu na przełomie 1945/1946 roku znajduje się taka adnotacja: „cenzor zgadza się na dyskusję, jeżeli któryś z członków zarządu, prowadzący Czwartek weźmie na siebie odpowiedzialność za dyskusję”. Wobec tego członkowie zarządu wypowiedzieli się „przeciwko dyskusji, ze względu na możliwość zadrażnień i dojścia do głosu czynników nieodpowiedzialnych”. Nie zgodzono się natomiast na uprzednie składanie tekstów, przygotowanych do odczytania, w Wydziale Bezpieczeństwa na dwa tygodnie naprzód i to w dwóch egzemplarzach, grożąc odstąpieniem od organizacji imprez. Widać w tym rękę Wojciecha Bąka, choć trzeba założyć, iż uznał za swoją osobistą porażkę rezygnację z dyskusji, jako iż sam bardzo lubił tego rodzaju publiczne występy. „Nie było imprezy w Poznaniu, nie było dyskusji publicznej o ważkim znaczeniu — wspomina przecież Aleksander Rogalski („W kręgu przyjaźni”, Poznań 1983) — na której by się nie zjawił i nie toczyłby sporu, bo żywotem jego była walka, prowokacja intelektualna”.

Występował więc wbrew poprzednim uzgodnieniom, nie poddawał cenzurze swoich poglądów na dokonujące się w Polsce i w życiu kulturalnym zmiany, toteż coraz częściej spotykał się z osobistymi, niewybrednymi atakami. Cytuję fragment protokołu z posiedzenia zarządu w dniu 7 maja 1946 roku: „Prezes Wojciech Bąk oświadcza, iż na skutek osobistych przykrości, jakie miał w związku ze swoimi wystąpieniami na różnych zebraniach, w felietonach dziennikarskich, postanowił wyjechać z Poznania i zamieszkać w Warszawie lub w Łodzi. W związku z tym istnieje możliwość rozwiązania poznańskiego ZZLP ponieważ przy małej ilości członków trudno będzie skompletować Zarząd”. W protokole o tydzień późniejszym czytamy: „Prezes Wojciech Bąk referuje ataki, jakie pojawiły się pod jego adresem w gazecie *Wola Ludu*, utrzymane w tonie napastliwym, nieprzyzwoitym. (...) Ostatnie ataki wzmocniły go tylko w, powziętym już dawniej postanowieniu o opuszczeniu Poznania”.

Warto zapamiętać ową chęć ucieczki, na razie z Poznania, do jakiegoś bezpieczniejszego miasta w typie Warszawy lub Łodzi, jak gdyby pisarz nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że nie są to bynajmniej jakieś lokalne animozje w stosunku do jego osoby. Ale tak właśnie na sprawy patrzył i dopiero przyszłe wypadki skłoniły go do starań o wyjazd z kraju, w którym nagle nie było dla niego wolnego miejsca, ani jako dla obywatela korzystającego z przynależnych mu formalnie, konstytucyjnie swobód, ani jako dla twórcy. Znaczące pod tym względem były krótkie i burzliwe dzieje periodyku pt. *Życie Literackie*, prowadzone zaledwie przez kilka miesięcy 1945 roku przez Jarosława Iwaszkiewicza (przy współpracy Wojciecha Bąka) i przejętego przez Bąka po wyjeździe Iwaszkiewicza do Warszawy. Wacław Kubacki w „Dzienniku 1944-1958” (Warszawa 1971) złośliwie nazywa to pismo „prywatnym organem” poety, wystarczy jednak przejrzeć poszczególne numery, aby podziwiać szeroką skalę prezentowanych na tych łamach postaw i poetyk. Roman Kołoniecki sąsiaduje z Ireną Krzywicką, Jarosław Iwaszkiewicz z Zofią Starowieyską-Morstinową, Wojciechem Natansonem, K.W. Zawodzińskim, Pawłem Hertzem, Alfredem Łaszowskim, Hanną Malewską, Mieczysławem Wallisem, przykładom z Gide’a towarzyszą teksty Valery’ego, Puszkina, Eluarda, Verhaerena... Do tego pismo miało czytelników i przynosiło zyski. Z zachowanych sprawozdań wynika, że nakład wzrósł w ciągu roku z 5 do 8 tysięcy, a saldo w dniu 1 listopada 1945 roku było dodatnie (ponad 20 tys. zł.). Mimo to, a prawdopodobnie właśnie dlatego, władze miejscowe, działając zapewne na polecenie „z góry”, poczęły „prywatny organ” Wojciecha Bąka bezpardonowo niszczyć i doprowadzać do ruiny. Wacław Kubacki pisze o tym (pod datą 12 X 46): „Pisma nie chciano zamknąć i nie pozwolono rozprowadzać. Cały nakład szedł prosto z drukarni do magazynów 'Prasy'. Nie było sprzedaży ani wpływów. Rosło zadłużenie. W ten sposób chciano doprowadzić dwutygodnik do zgonu naturalnego. Bąk wiedział o tym, a mimo to drukował dalej. — Oni mi robią na złość — powiedział kiedyś z uśmiechem. — Ja im także! Wreszcie drukarnia przestała kredytować. Pismo zostało zawieszona”.

Należy oczywiście założyć, iż skala nie udokumentowanych represji różnego rodzaju była o wiele szersza, toteż nie bez powodu po krótkiej euforii oraz gorączkowej działalności społecznej Wojciech Bąk wycofuje się bądź zostaje wycofany z zajmowanych dotychczas stanowisk. Przystaje wychodzić redagowane przez niego *Życie Literackie*, poeta zrzeka się prezesury w miejscowym oddziale ZLP, rezygnuje z kierownictwa literackiego w Teatrze Nowym, przestaje istnieć wydawnictwo Władysława Bąka w Łodzi i tym samym odpada kierowanie działem literatury. Co

gorsza, po 1948 roku Wojciech Bąk nie może wydać żadnej swojej książki. I to przez lat dziesięć. Zapis w cenzurze musiał być zatem jednoznaczny i rygorystycznie przestrzegany, skoro dopiero po zebraniu sprawozdawczo-wyborczym w 1957 roku (jak zanotowano w protokole z dnia 16 czerwca) — „wystąpiono o przydział papieru dla Pallotinum i Albertinum na wydanie utworów Bąka”. Aż trudno dzisiaj uwierzyć, że odbywało się to w ten właśnie sposób.

Jak można się tylko domyślać, Bąk wycofał się do swojej samotni z ciężkim sercem, z goryczą, zwłaszcza że był zawsze zarówno człowiekiem słowa, jak i czynu, ale nie miał innego wyjścia. Trudno zresztą było zrozumieć, a w dodatku odczuć na własnej skórze, w jakim kierunku idą zmiany. Już w 1947 roku Adam Schaff obwieszcza na łamach *Kuźnicy*, że „na placu boju pozostaje humanizm socjalistyczny”, Melania Kierczyńska dowodzi, iż „na propagandę czystego irracjonalizmu nie ma już u nas dzisiaj miejsca”, egzystencjalizm zostaje określony jako „żałosna filozofia tchórzostwa” (Putrament na łamach *Odrodzenia*), Stefan Żółkiewski odrzuca „inteligentką literaturę pesymizmu”... Rok 1948 przynosi znany postulat Gomułki wzmoczonej walki „ze zgniłym liberalizmem”, na czoło wysuwa się Żdanow z teorią realizmu socjalistycznego, Borejsza postuluje, że „nie ma dziś u nas miejsca dla pisarzy neurasteników”, a Berman w roku następnym oświadcza: „Zwalczamy przede wszystkim reakcyjne prądy katolickie”. W Związku Literatów powołane zostają sekcje twórcze, rozpoczyna się szkolenie ideologiczne pisarzy, akcja wyjazdów w teren, wprowadza się zasadę składania okresowych sprawozdań, nad czym kto pracuje, co posiada infiltracji środowiska twórczego bardzo daleko i pozwala nim sterować. Bąk coraz bardziej rozumiał swoją rolę i nowo przybyłego do Poznania członka ZLP, kandydata na prezesa, Wacława Kubackiego, przyjął takimi słowami: „Ja siedzę tutaj niczym obrośnięty głaz na miedzy. Tłoczę swoim ciężarem całe robactwo, jakie się pod nim mrowi i wije. Nie widać tego, dopóki ja leżę jak kamień. Ale kiedy się ruszę, to wszystko się rozlezie bezładnie”.

Nie miał więc najlepszego zdania o swoich kolegach po piórze, obserwując ich bacznie i widząc, co się dzieje w kraju. Nic tedy dziwnego, że popadł w depresję, a może nabawił się nerwicy, bo przecież wszystko „wskazywało na to — jak pisze o tym okresie Jan Józef Szczepański („Kadencja”, Kraków 1989) — że intelektualnej i duchowej 'anarchii' położony został ostateczny kres. Nieliczni buntownicy w rodzaju Aleksandra Wata, Wojciecha Bąka, Leopolda Tyrmanda czy Stefana Kisielewskiego uważani byli za dziwaków, funkcjonujących na wariackich papierach (...). W rzeczywistości były to groźne czasy. Czasy wewnętrznych dramatów, upokorzeń i strachu. Fizyczne represje w

stosunku do pisarzy zdarzały się wprawdzie bardzo rzadko, ale atmosfera osaczenia i przymusu bywała trudniejsza do zniesienia niż bezpośrednia przemoc". Kisiel w swoim „Abecadle” przytacza zabawną i zarazem charakterystyczną anegdotkę z tamtych lat, dotyczącą Adama Ważyka. Na pytanie Kisielewskiego, dlaczego nie poznawał go jakoś przez ten cały okres, Ważyk odparł: „Tak, wie pan, bo ja byłem w domu wariatów, ale już się wyleczyłem”. Bąk w swojej biedzie i odosobnieniu nie wytrzymał nerwowo po akcji wymiany pieniędzy. Klemens Oleksik, sąsiad poety z „Domu Literatów”, tak to przedstawił w liście do mnie: „Gdy ktoś (kto?) otworzył drzwi, zobaczyliśmy Wojciecha, leżącego bez czucia na kozetce, a obok niego krążył biedny piesek. To była podobno próba samobójstwa. Bąk miał 80 tys., które po tej urzędowej machinacji były warte tylko 800 zł. Tak mówiono”. Wierzyć, nie wierzyć, przytoczyć ten szczegół warto, ma bowiem interesujący ciąg dalszy. Kiedy poeta znalazł się w sanatorium dla nerwowo chorych, od razu na zebraniu zarządu oddziału „stanęła” sprawa dla kolegów najważniejsza: mieszkania Wojciecha Bąka. W protokole z zebrania zarządu (2XII 1950) czytamy: „Omawiano sprawę mieszkania kolegi Bąka, podkreślając dotychczasową społeczną postawę jego, wyrażoną zajmowaniem dwu pokoi z kuchnią przez osobę samotną. Po dyskusji zaproponowano przeniesienie kol. Bąka do jednego z pokoi na parterze, a w ten sposób opróżnione mieszkanie obsadzić należycie przez członka obarczonego rodziną”. Zwrócono się nawet o poradę do Zarządu Głównego, skąd otrzymano pismo podpisane przez Jerzego Putramenta i Leona Kruczkowskiego, stwierdzające autorytatywnie, że „ustawa przewiduje dla literata jeden pokój, kolega zaś (Bąk, przyp. J.R.) zajmuje dwa pokoje”.

Bąk nie wytrzymuje zatem. Już nie tyle w Poznaniu, co w PRL-u. Bez skutku stara się o paszport. Prosi i grozi. Wszystko na nic. Stefan Kisielewski w cytowanym już „Abecadle Kisielewskiego” pisze o poecie: „Bardzo antykomunistyczny i po wojnie były z nim niesamowite historie w Poznaniu, ponieważ odgrażał się, że przyjedzie na zjazd literatów — a nie chcieli go drukować — wygłosi przemówienie i otruje się na estradzie. Ale ksiądz, przeor dominikanów z Poznania, który to usłyszał, przyjechał do Warszawy i uprzedził Putramenta, że może być taka historia. Putrament zmobilizował jakichś facetów, tak, że jak Bąk chciał wejść na estradę, to go chapnęli...”. We wspomnieniach Aleksandra Wata („Mój wiek”, Londyn 1977) pojawia się natomiast informacja najważniejsza, decydująca dla dalszych losów poety: „Napisał list do Bieruta, gdzie żądał, żeby go wypuszczono za granicę i gdzie wyłożył, co myśli o komunizmie. Dzięki dobrym ludziom, Iwaszkiewiczowi między innymi, nie wsadzono go do więzienia, tylko do domu wariatów”.

O tych listach pisanych przez Wojciecha Bąka do najważniejszych władz głośno było w Poznaniu. Mieszkający po sąsiedzku z poetą poznańscy literaci opowiadali, że niekiedy wpadał do ich mieszkania rozgorączkowany z arkuszem papieru w rękę i na głos odczytywał przygotowane uprzednio pisma. Miały to być listy nie tylko do Bolesława Bieruta, również — wobec braku odpowiedzi — do Józefa Stalina! Tak mówiono, ale ponieważ nikt nigdy żadnego z tych listów nie ogłosił drukiem, można było rzecz całą równie dobrze między plotki włożyć. Ze swej strony w poszukiwaniu owych listów usiłowałem dotrzeć do „teczki” Wojciecha Bąka w Urzędzie Bezpieczeństwa, odpisano mi wszakże z Centralnego Archiwum MSW (pismem z dnia 23 XI 1990 roku) iż „w zasobie archiwalnym Biura Ewidencji i Archiwum UOP (b. Centralne Archiwum MSW) jak też w Wydziale Archiwalnym Delegatury UOP w Poznaniu nie natrafiliśmy na żadne dokumenty dot. Wojciecha Bąka s. Franciszka i Marii z d. Wesołowska ur. 23 04. 1907 roku”. Na szczęście Witold Banach z Ostrowa Wielkopolskiego, kustosz muzeum Wojciecha Bąka w rodzinnym mieście poety, jest w posiadaniu jednego listu do Bieruta, może jedynego, może jednego z wielu. Przytoczmy z niego obszerniejsze fragmenty:

„Przyczyną, która mnie skłania do pragnienia wyjazdu na Zachód, jest przede wszystkim system cenzury, która mimo, że konstytucyjnie jest zagwarantowana wolność myśli i słowa, uniemożliwia wszelką swobodną działalność pisarską. Starałem się zawsze być uczciwym pisarzem i w żadnym okresie nie godziłem się na uleganie dyktandu administracji, uważając taki sposób postępowania za wyraz deprecjacji pisarskiej, fatalny w skutkach dla samego pisarza, a całkowicie zgubny dla sztuki. (...) Tego stanowiska nie zmieniłem dotychczas, nie chcąc tracić szacunku dla siebie samego oraz dla odpowiedzialnej lecz pięknej sztuki pisarskiej. W takim stanie rzeczy uważam za najlepsze wyjście wyjazd na Zachód. Ani tutaj nie mogę rozwinąć normalnej działalności literackiej, ani też czuć się swobodnie. Szkoda z powodu mego wyjazdu nie stanie się dla Państwa żadna, gdyż nic prócz rękopisów nie zamierzam zabrać ze sobą (...)

Czy jest to naprawdę list wariata? Czy nie zdumiewa raczej powściągliwością i pójściem z władzami na swoisty kompromis? Wy mnie wypuście, skoro wam przeszkadzam. I dla obu stron będzie to najrozsądniejsze wyjście. Zaskakuje za to reakcja kolegów z miejscowego oddziału ZLP. Natychmiast rozpoczęto dzielić skórę na niedźwiedziu. List Bąka jest z kwietnia 1952, a już 10 maja do zarządu oddziału napłynęło pismo od Bogusława Koguta, poznańskiego „pryszczatego”: „Ponieważ zaistniała możliwość opuszczenia mieszkania przez kol. Bąka w związku z jego ewentualnym wyjazdem za granicę, proszę o zezwolenie na

zajęcie przeze mnie tegoż mieszkania, o ile zostanie ono zwolnione". Następnego dnia podobny wniosek złożył pisarz, który nigdy nie wydał żadnej książki, Jan Bykowski, sekretarz powstałej w 1951 roku Podstawowej Organizacji PZPR przy poznańskim oddziale. Zarząd oddziału, naciskany zapewne przez władze bezpieczeństwa, przechwytyjące bez trudu korespondencję Bąka, uznał także za stosowne powiadomić o wszystkim Zarząd Główny. „Na skutek wysłania przez kol. W. Bąka szeregu niepoczytalnych listów w związku z chęcią wyjazdu za granicę (a więc było tych listów więcej! — przyp. J.R.), jak również wobec jego gróźb i zapowiedzi popełnienia samobójstwa jako aktu protestu w razie nieotrzymania paszportu do Włoch, w dniu 1 VII 52 zadecydowano powiadomić Zarząd Główny ZLP oficjalnie o powyższych faktach pismem, którego redakcji podjął się kolega Herbert". Oto fragmenty z tego pisma datowanego na dzień 9 lipca 1952:

Zwracamy się do Zarządu Głównego w następującej sprawie. Jak wiadomo, kolega Wojciech Bąk nosi się z zamiarem wyjazdu za granicę, do Włoch. W sprawie tej napisał szereg listów, między innymi do Prezydenta Rzeczypospolitej, do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i do Komisji Intelktualistów Katolickich przy Komitecie Obrońców Pokoju. Treść tych listów zdradza anormalność psychiczną kolegi Bąka, zawierając szereg fantastycznych inwektyw przeciwko rzeczywistości Polski Ludowej. Równocześnie kol. Bąk zapowiedział na terenie Oddziału Poznańskiego, że zamierza w wypadku nie otrzymania paszportu popełnić nieodwołalnie samobójstwo w dniu 1.08.1952 jako akt protestu. Ponieważ kol. Bąk już raz targnął się na swoje życie w r.1950 i tylko przypadkowo został odratowany, po czym został na przeciąg 6 miesięcy umieszczony w sanatorium dla nerwowo i psychicznie chorych w Kościanie, należy się bardzo poważnie liczyć z możliwością ponownego zamachu samobójczego w oznaczonym przez niego terminie. Jest rzeczą jasną, jak przykrym i niekorzystnym na terenie poznańskim, a może i szerszym, byłby oddźwięk takiego faktu. Zarząd Oddziału podaje powyższe Zarządowi Głównemu do wiadomości z prośbą o zajęcie stanowiska. Ze swej strony uważamy, że może byłoby wskazane odgórne załatwienie umieszczenia kol. Bąka w zakładzie leczniczym, włącznie z umożliwieniem drogą ingerencji z zewnątrz dostarczenia kolegi Bąka do sanatorium (...)"

Czy były inne projekty rozwiązania sprawy Wojciecha Bąka? Czy wchodziło w grę więzienie i Jarosław Iwaszkiewicz przechylił szalę na rzecz „sanatorium”, jak chciał tego Wat? Trudno dociec. W każdym razie nie było zupełnie mowy o wysłaniu „zwarowanego” poety do Włoch. Sięgnięto raczej do wypróbowanych metod policyjnych. Wezwano Wojciecha Bąka

do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, a gdy znalazł się tam, licząc że może chodzi jednak o paszport, wzięto poetę na stronę i trzech panów poczęło go przepypywać na temat stosunku do panującego ustroju. Powiedział im zapewne naprawdę, co myśli o porządkach panujących w Polsce, wobec czego wprowadzono go na podwórze, gdzie stało przygotowane auto. Wepchnięty do środka dowiedział się, że zostanie w Dziekance pod Gnieznem poddany badaniom. I tak oto znalazł się w domu wariatów. Do załatwienia pozostały jeszcze drobne formalności: zawiadomiono o tym fakcie bliskiego krewnego Bąka, księdza proboszcza Romana Wesołowskiego w Krzywiniu, a od członka poznańskiego oddziału, pisarza a zarazem lekarza psychiatry Edwina Herberta, oczekiwano „stosownego” orzeczenia o stanie umysłowym dostarczonego do zakładu pacjenta. Ale tu natrafiono na opór, co dobrze świadczy zarówno o postawie lekarza, jak i o zdrowiu „wariata z musu”. „Kolega Herbert twierdzi — czytamy w sprawozdaniu z zebrania zarządu oddziału w dniu 11 VIII 1952 — że takiego wywiadu, biorąc rzecz z punktu widzenia etyki lekarskiej, udzielić nie może. Kolega Herbert wyjaśnia, że w podobnych przypadkach opinię o zachowaniu się pacjenta składają ludzie z jego najbliższego otoczenia. Postanowiono, że o ile zajdzie konieczność takiej opinii na piśmie, uczynią to mieszkańcy Domu Literatów”.

Znalazł się inny lekarz, który wydał stosowną opinię i można było nareszcie z westchnieniem ulgi zawiadomić Zarząd Główny (pismem z dnia 19 IX 1952), „że kolega Wojciech Bąk, członek naszego Oddziału, przebywa w Zakładzie Psychiatrycznym w Dziekance, od końca lipca br. na czas nieograniczony”. Pozostawało zatem do załatwienia kilka innych drobiazgów. Ktoś musiał się „zaopiekować” mieszkaniem poety, to jest po prostu zająć je, jako iż „w razie nie zabezpieczenia tego mieszkania przez nasz Oddział ZLP nastąpi zajęcie mieszkania przez władze administracyjne”. Dobrze byłoby jednak „zapobiec usunięciu inwentarza kolegi Bąka z jego mieszkania przez czynniki zewnętrzne, pozazwiązkowe”, jako że i tak „jak to zresztą wiadomo” umieszczeniu Bąka w zamkniętym zakładzie „towarzyszy trudna atmosfera sprawy niejako politycznej (ostatnie wystąpienia Bąka itd.)”. W związku z tym przedłożono Zarządowi Głównemu projekt ustanowienia na drodze sądowej kuratora dla Wojciecha Bąka (został nim Stanisław Hebanowski), a następnie przeniesienia do biblioteki związkowej książek poety, by do opróżnionego mieszkania mógł się wprowadzić inny literat. Do dyspozycji Bąka, na wypadek powrotu, miałby pozostać pokój gościnny, tam też można byłoby zgromadzić resztę jego rzeczy. Odpowiedź z Warszawy przyszła niebawem: ZG ZLP „akceptuje całkowicie waszą propozycję odnośnie zlikwidowania tego zagadnienia”.

Wobec uzyskania pełnej zgody na podjęte przedsięwzięcia postanowiono czym prędzej doprowadzić rzecz całą do końca. W październiku 1952 roku wszczęto postępowanie o ubezwłasnowolnienie Wojciecha Bąka, zaś w dniu 10 kwietnia 1953 roku podczas posiedzenia prezydium zarządu oddziału „zebrani scharakteryzowali działalność kolegi Bąka jako uciążliwą dla Związku postanowili zawiadomić KW PZPR o konieczności usunięcia go ze Związku oraz powiadomić o tej decyzji Zarząd Główny ZLP”. 29 maja 1953 roku Leon Kruczkowski potwierdził, że ZG ZLP skreślił Wojciecha Bąka z listy członków, „biorąc pod uwagę jego niepoczytalne wystąpienia publiczne, noszące cechy zaburzeń umysłowych”, jako iż organizacja „powinna skupiać pisarzy zdolnych do aktywnej twórczości literackiej i uczestniczenia w życiu naszego społeczeństwa”.

Zamiast komentarza przytoczę jeszcze fragment listu Wojciecha Bąka do Zarządu Oddziału Poznańskiego Związku Literatów Polskich z dnia 2 czerwca 1953 roku.

W dniu wczorajszym otrzymałem list Zarządu Głównego Zw. Lit. Pol. datowany 29 maja br., w którym doniesiono mi o skreśleniu mnie z listy członków Związku na wniosek Oddziału Poznańskiego. Pozostawiam w tej chwili na uboczu ocenę wniosku Oddziału Poznańskiego i decyzji Zarządu Głównego. Uświadamiam sobie zresztą, że przynależność do Związku lub jej brak, nie jest sam w sobie kwalifikacją pisarską. Wiem to skądinąd także z doświadczenia, gdyż już przecież raz przed wojną zostałem za prezesury Zenona Kosidowskiego skreślony z listy członków Zw. Lit. Polskich w Poznaniu, co oczywiście w niczym nie zmieniło kwalifikacji pisarskich tak ówczesnego prezesa i zarządu, jak i mojej — na korzyść, ani na niekorzyść. Brak członkostwa Związku nie zaszkodził mi, jak wiadomo, jako pisarzowi w opinii społecznej, ze względu zaś na podłoże tego faktu nie przyniósł mi hańby”.

Wraz z pierwszymi podmuchami „odwilży” nastąpiło również cudowne wyzdrowienie Wojciecha Bąka. W lipcu 1956 roku uznano nagle, iż stan psychiczny poety „nie ogranicza jego zdolności pokierowania swym postępowaniem” wobec czego zachodzi równocześnie „podstawa do cofnięcia wniosku o ubezwłasnowolnienie”. Bąk został zwolniony ze szpitala, zajął jeden pokój w swoim byłym dwupokojowym mieszkaniu i oto ku swojemu zdumieniu uchwałą Zarządu Głównego ZLP z dnia 5 XI 56 roku przywrócono go w prawach członka rzeczywistego, o czym donosił w liście Jan Maria Gisges. Poeta zareagował na to pismo natychmiast, rezygnując z członkostwa ZLP i tak to (w liście z 10 XI 56) uzasadniając:

„Przynależność organizacyjna oznacza zawsze współdziałanie w

mniejszym lub większym stopniu. Warunkiem takiego współdziałania jest oczywiście zaufanie. Panoszące się bezkarnie od kilku lat w Związku metody perfidii i gwałtu, których byłem ofiarą, które zaś mogły się dla mnie zakończyć tragedią — zaufanie moje zburzyły. Zaczęłem uważać Związek za instytucję w wysokim stopniu niebezpieczną i z ulgą przyjąłem wiadomość o skreśleniu mnie z listy członków, co zrywało moje kontakty ze Związkiem i uniemożliwiło mu ingerencję w moje życie, ingerencję fatalną, żadnej innej bowiem poza fatalną nie zaznałem. Wmyślenie się w moją sprawę, wniknięcie w jej wyraźnie kryminalny charakter, zrozumienie, że wystarczał krok niezręczny z mojej strony, by rzecz się dla mnie tragicznie zakończyła, pozwoli bez trudności pojąć moje stanowisko. Oczywiście nie obciążam wszystkich członków Związku, wielu z nich na pewno nie mniej ucierpiało ode mnie. Wiem jednak, że istnieje w nim bardzo wpływowa i pozbawiona skrupułów grupa, w odniesieniu do której zaufanie byłoby najwyższą lekkomyślnością. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby wyglądać moje współdziałanie z tą grupą. Mogłoby ono tylko przy bardzo specyficznej jej moralności doprowadzić do nowych, tym perfidniejszych prześladowań, których już dość zaznałem. W atmosferze perfidii i zbrodni żyć nie umiem. Zwykła roztropność każe mi się trzymać z dala od Związku, co nie znaczy oczywiście, bym wszystkich członków Związku podejrzewał o stosowanie metod właściwych dla wymienionej grupy.

Poza tym nie przypisuję przynależności do Związku zbyt wielkiej wagi. Dla pisarza istotniejszą o wiele rzeczą jest publikowanie. Pod tym względem sytuacja moja przedstawia się nad wyraz opłakanie. Podczas gdy czytam w pismach artykuły niezwykle silnie atakujące stosunki, dostrzegam równocześnie, że moje utwory nawet pozbawione akcentów politycznych i mieszczące się całkowicie w ramach obowiązującego prawa, napotyka na nieprzewidywane trudności, nie mówiąc już o tym, że świadomie i konsekwentnie przemilcza się moje nazwisko.

W tym stanie rzeczy jedynym dla mnie wyjściem byłby wyjazd na Zachód, gdzie spodziewam się większego bezpieczeństwa dla mojej osoby i większej swobody dla mej pracy, której nie przeceńm, ale nie uważam też za zupełnie zbędną. W tym kierunku zwracają się też obecnie, jak zresztą od kilku lat, moje najgorętsze marzenia i starania. Przy uzyskaniu takiej możliwości wyjazdu byłaby przynależność do Związku zupełnie nieaktualna dla mnie.

Sądzę, że każdy uczciwy członek Związku przyjmie dobrze moje marzenie, szczególnie gdy zechce uwzględnić, że to, co przeżyłem podczas okupacji niemieckiej i w obozie pracy w Niemczech było sielanką wobec moich doświadczeń w ostatnich latach. Niczego mi nie oszczędzono. Członkowie Związku brali namiętny udział w prześladowaniu mnie, namiętny i długotrwały i konsekwentny — wbrew wszelkim prawom moralnym, legalnym i zwykłej ludzkości”.

Któremu jeszcze z polskich pisarzy zgotowano podobny

los? I czyj los z równą bezwzględnością przemilczano, sprowadzając wszystko do dziwactwa lub zapędzenia się twórcy w ślepy zaułek? Jadwiga Bandrowska-Wróblewska w nocy biograficznej do „Poezji zebranych” w 1976 roku tak to ujęła: „W 1949 roku (...) poeta przyjął już postawę samotniczą i usunął się z życia publicznego. Skutkiem przejść obozowych w okresie okupacji i w wyniku bolesnych przeżyć osobistych Wojciech Bąk dziesięć ostatnich lat życia ciężko chorował. Odszedł w tym czasie w zapomnienie, ale nie przestał tworzyć”. Cytowany już przy innej okazji Feliks Fornalczyk dwa lata później (w 1978 roku) gorliwie podtrzymywał i umacniał tę tezę: „Świat realny stawał się zresztą dla Bąka światem, który oglądał z dobrowolnego odosobnienia z okien Domu Literatów, przy ul. Noskowskiego 24, gdzie mieszkał (...). Żył tam wspomnieniami dzieciństwa, rygorystycznie dobranymi lekturami oraz urojeniami prześladowczymi. Osaczony przez nasilającą się chorobę, wyalienowany z własnego wyboru i nieprzystosowania do świata istniejącego, notował samousprawiedliwiające przestania w rodzaju: 'Niezadowolony jest losem człowieka. Jest ono zresztą nie tylko jego losem, lecz także sprężyną najgłówniejszych jego wysiłków (...). W niezadowoleniu, w płaczu, w buncie nawet przeciwko rzeczywistości zastanej (...) nie tkwi zaprzeczenie Ładu, lecz dążenie do wyższego Porządku’”. Czyżby Fornalczyk przytaczał to piękne stwierdzenie poety z grymasem ironii na twarzy, jako wyraz psychicznych fiksacji? Co gorsza, nawet w 1984 roku, w przedmowie do „Wierszy wybranych” Stefan Jończyk pomija w gruncie rzeczy i zbywa lekceważąco, choć mógł już chyba nieco więcej powiedzieć, całą sprawę Bąka. Píše on: „Pod koniec 1948 roku Bąk usuwa się z życia publicznego. Od tego momentu aż do roku 1956 następuje przerwa w publikacji jego książek, zaczęły znikać jego wiersze ze szpalt czasopism, stopniowo wytworzyła się wokół niego cisza, aż do zupełnego milczenia na temat jego osoby i pisarstwa”.

I tak się to jakoś siłą bezwładną ustaliło i utrwaliło. Nie ustalono też w ustalonym „na wynos” wizerunku dokonać niezbędnych korekt. Co najwyżej w sporadycznie publikowanych wspomnieniach pojawiały się dodatkowe — nacechowane ujemnie — elementy, mówiące o wściekłym antysemityzmie poety, a to o alkoholu i całkowitej abnegacji, a to o homoseksualizmie. Nawet tak doświadczony wojażer jak Aleksander Janta, mogący spojrzeć na sytuację poety w pełniejszych barwach, odwiedzwszy Wojciecha Bąka nie starał się jakoś „dotrzeć do głębi”, by zrozumieć powody tak marginesowego i wyzbytego nadziei bytowania pisarza. W londyńskiej „Oficynie Poetów” (nr 4 z 1968 roku) pisze: „Kiedym go widział po raz ostatni, była już w jego oczach prześladowcza obsesja obłądu. Próbował mi tłumaczyć

naciski przysiężeń, z którymi się boryka. Pokój był biedny, zaniedbany. Bąk nieogolony leżał w łóżku, a właściwie na barłogu. Sięgnął pod siebie szukającym ruchem i wyciągnął do pół pełną butelkę wyborowej, proponując abym się z nim po starej znajomości napił. Powiedziałem, że nie piję. Sam wobec tego pociągnął, bulgocąc wystającą grdyką”.

Tymczasem rok 1956, pomimo zwolnienia z domu wariatów i wydania trzech pozycji („Modlitewnik” 1956, „Zastygłe chwile”, 1958 i „Szkice” 1960) wcale nie oznaczał pełnej rehabilitacji, stabilizacji bądź przerwania restrykcji i policyjnych represji. Najlepszym tego dowodem jest zaarrestowanie poety w marcu 1960 roku i trzymanie go przez ponad dwa miesiące w więzieniu. Nie był już w ZLP, więc w dokumentacji poznańskiego oddziału nie ma na ten temat ani słowa. Są jednak listy do serdecznego przyjaciela Józefa Mertki (znajdują się obecnie w Muzeum W. Bąka w Ostrowie Wlkp.), poświadczające jednoznacznie ten fakt. Znowu poszło o pisma, wysłane, jak można się domyślać, w związku z ciągłymi staraniami o wyjazd za granicę. W marcu 1960 roku poeta donosi przyjacielowi: „Prokurator polecił przysłać Dyrekcji Poczty od połowy przeszłego roku moją ściśle prywatną korespondencję i na jej podstawie kazał mnie — wbrew woli Milicji Wojewódzkiej, która z góry stwierdziła, że nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego — zaarrestować 18 III br. Od tego czasu trzyma mnie w więzieniu. Rodziny do mnie nie dopuszczają, tak samo adwokatów. Nie wiem nic o losie moich pism urzędowych”. W czerwcu tego roku zawiadania Józefa Mertkę: „Cała rzecz została wreszcie umorzona (...). Co jednak siedziałem ponad 2 msc. w więzieniu, tego mi nikt nie odbierze ani nie zapłaci. W każdym razie mnie nie hańbi ta sprawa, ale urzędników”. A trzy miesiące później tak podsumowuje swoją sytuację: „Siedzę cały czas w domu. Przyzwyczaiłem się do samotności, że ona mi nie ciąży (...). W ogóle unikam rozmów, idę tylko na obiad i równie szybko wracam do domu. Skoro mi uniemożliwiono życie normalne, trzeba uznać za normę życie więzienia, w jakim żyję. Bo przecież ja takim życiem żyję, o tyle lepszym, że nie w tzw. celi”.

Korzystam z okazji, aby przytoczyć tutaj przede wszystkim choćby fragmenty dokumentów, listów, sprawozdań, wspomnień, gdyż ich wymowa nie budzi chyba wątpliwości, jakie mogłby wywołać idący obok tych materiałów czy ponad nimi, a więc nieco swobodniejszy komentarz. W dodatku nikt do tej pory po tę dokumentację nie sięgał, mimo jej dostępności: archiwum poznańskiego oddziału ZLP trafiło do Muzeum J.I. Kraszewskiego w Poznaniu, a korespondencja Mertki oraz inne materiały znajdują się w Muzeum W. Bąka w Ostrowie Wielkopolskim. Tym samym nietrudno jest ukazać o wiele bliższe prawdy

zyciowe perypetie poety, zdejmując przy tym z niego gębę nie-poczytalnego wariata, maniaka i dewianta, który sam sobie zgotował taki właśnie los. I to niezależnie od tego, czy w jego psychice istotne były i narosły w wyniku prześladowań większe lub mniejsze odstępstwa od normy, czy też nie. W każdym razie w jego sytuacji na pewno stosunkowo łatwo było nabawić się nerwicy i popaść w depresję. Podziwiać raczej należy hart ducha i odwagę w głoszeniu „niebezpiecznych” poglądów, z których nie wycofał się mimo restrykcji, jakie go za to spotkały.

Na tym można by właściwie zakończyć przypomnienie życiowych perypetii Wojciecha Bąka, gdyby nie fakt, że w ostatnich miesiącach życia, a w gruncie rzeczy po śmierci poety, znowu sięgnięto po jego wariackie papiery, tym razem w zupełnie innym celu i z innego powodu. Bo oto w 1960 roku po długim okresie wahań i przygotowań ten bezwzględnie czolowy poeta katolicki zerwał z Kościołem i ku zdumieniu wszystkich wstąpił do zboru ewangelickiego. Śladów tej konwersji można doszukać się już w 1958 roku, kiedy w liście do Józefa Mertki Bąk wspomina o liście wysłanym do arcybiskupa Antoniego Baraniaka, w którym prosił jakoby o skreślenie go z listy członków tutejszej diecezji i w ogóle z organizacji kościelnej w kraju, choć nie miało to jeszcze oznaczać zerwania z Kościołem. Mówiło się też o coraz liczniejszych oskarżeniach poety pod adresem hierarchii kościelnej, o zatargach z kardynałem Wyszyńskim. W korespondencji z przyjacielem (Józefem Mertką) mowa raczej o przemianie duchowej, której sprzyjała najpierw lektura Greków (Herodota, Flawiusza... „Współczesna literatura przy niej to jakby młócenie słomy”) oraz prac z zakresu dogmatyki luteranńskiej. „Nie wchodząc zresztą w szczegóły dogmatyczne — pisze Bąk — nie mogę zaprzeczyć, że Luter był olbrzymią zupełnie postacią, bez której dalszy ciąg chrześcijaństwa nawet w katolicyzmie przedstawiałby się opłakanie”. Fascynacji Marcinem Lutrem towarzyszył narastający krytycyzm wobec duchowieństwa katolickiego. „To, co było w 16 wieku w kościele katolickim — stwierdza poeta — to jedna makabra i zupełnie — a jeśli chodzi o wyższe duchowieństwo kościelne — przedstawiało zgniliznę religijną i moralną. Są to zresztą rzeczy ogólnie znane, ale lektura uzmysłowiła mi tym silniej bohaterstwo i wielkość Lutra”. Po tej konstatacji podjęta zostaje znacząca decyzja, jakże ważna na pewno dla poety i jakże bolesna, a mimo to konieczna: „Właściwie dobre jest tylko, że formalnie zbliża się koniec — donosi w liście z 14 lutego 1961. — Podobnie było ze Związkiem Literatów, z którego wystąpienie uważam za ulgę. Chcieli mnie wykluczyć ze związku, ułatwiłem im to, korzystając z formalnych momentów. To samo jest z Kościołem (...). Wiem, że żyć tu nie mogę, ani nie będę mógł. (...) Zawsze lubiłem jas-

ność — i w tym wypadku ją lubię. Czas niejasności się skończył, trzeba stanąć z otwartym obliczem i uczciwie”. Po zerwaniu z Kościołem stał się zatem gorliwym wyznawcą luteranizmu, pilnie uczęszczał do zboru na modlitwy i wglębiał się w dzieła Lutra. Sąsiad poety z Domu Literatów, Aleksander Rogalski, wspomina, że niemal co wieczór wpadał do jego mieszkania z okrzykami na temat Lutra: „Co za wielkość! Co za duch! Co za umysł! I ze łzami w oczach zwierzał się, jak za każdym razem głęboko wzrusza go pobożność i autentyczność wiary tych obecnych jego współwyznawców”.

Co mogło wpłynąć na taki krok, prócz wymienionych powyżej przez samego poetę racji, świadczących o przełomie wewnętrznym? Na pewno rozczarowanie do Kościoła katolickiego, który, jak się zdaje, niewiele wykazał zainteresowania losem swojego jakże gorliwego wyznawcy i apologety, zwłaszcza w krytycznym okresie jego życia. W każdym razie brak dowodów na interwencje z tej właśnie strony, gdy poetę zamknięto w domu dla obłąkanych, a potem w więzieniu bądź gdy obłożono jego nazwisko ścisłym zakazem druku. Nie roztoczono też pewnie nad nim choćby dyskretnej opieki w tych latach, gdy skazał się na samotność. Na odwrót, przykre zajścia związane z dziedziczeniem spadku po śmierci stryja, księdza Wesołowskiego, proboszcza w Krzywiniu, upewniły Bąka w przekonaniu, że Kościół daleki jest od chęci działania na jego korzyść.

W efekcie zmienił świątynię katolicką na zbor ewangelicki i umarł, zdaniem Aleksandra Rogalskiego, akurat w momencie, w niedzielę 1 maja 1961 roku, gdy wybierał się do zboru na modlitwę. Pomińmy już osobny całkiem problem, czy istotnie zmarł na atak serca, czy popełnił samobójstwo bądź też został otruty. W każdym razie pogrzeb odbył się w dwóch obrządkach, najpierw na życzenie rodziny po katolicku, potem w gronie braci luteranów. „Jak zawsze, tak i tym razem zwyciężyła strona silniejsza (...) — kończy swoje wspomnienie o Bąku Aleksander Rogalski. — Młody pastor był tym wszystkim bardzo zgnębiony. Stał się ofiarą jednego z ostatnich podmuchów triumfalizmu w Kościele”.

Niezręczność stylistyczna autora wspomnień każe się domyślać, kto naprawdę był ofiarą owego triumfalizmu: pastor? a może zmarły poeta? Dla brata Wojciecha Bąka, Władysława, cała sprawa nie budziła najmniejszych wątpliwości. To przecież on starał się daremnie o przeniesienie ciała poety z parafialnego cmentarza na tzw. Skałkę Poznańską, do podziemi kościoła św. Wojciecha. To on bez skutku ubiegał się o uruchomienie Fundacji im. Wojciecha Bąka. To on wreszcie szukał gorliwie wydawców dla ogromnej, pozostawionej przez poetę spuścizny, obejmującej *de facto* większą część jego pisarskiego dorobku. Znikome odpryski tej bogatej korespondencji z władzami koś-

cielnymi i wydawnictwami katolickimi dotarły do mnie za pośrednictwem rodziny zaprzyjaźnionego z Wojciechem Bąkiem księdza kanonika Mariana Finke, niemniej i na ich podstawie łatwo odkryć manewr Władysława Bąka, mający odpuścić śp. Wojciechowi grzech odstępstwa od prawdziwej wiary, której był do końca życia wiernym wyznawcą: stał się niepoczytalny, nie odpowiadał za swoje czyny, zwichnięty psychicznie. I tutaj nagle działalność organów bezpieczeństwa okazała się dogodnym argumentem na rzecz takiej tezy. Toteż podjął ją arcybiskup poznański Antoni Baraniak. „Przy rozważaniu sprawy przeniesienia doczesnych szczątków Wojciecha Bąka na Skalkę Poznańską — czytamy w piśmie do ks. kanonika Hieronima Lewandowskiego z dnia 8 lipca 1977 roku — nie można brać pod uwagę faktu, że w ostatnich miesiącach swojego życia zbliżył się do gminy ewangelickiej. Uczynił to w okresie pełnego rozstroju nerwowego, wynikłego z konfliktów ze swoim otoczeniem, z władzami świeckimi, a także z niektórymi księżmi. Stan psychiczny pogarszał się na skutek niepowodzeń finansowych. Doprowadziło to do całkowitej depresji, umniejszającej lub zawieszającej poczytalność. Fakt pobytu w Dziekance mówi sam za siebie”. Jednak arcybiskup Baraniak zmarł niedługo potem (13 sierpnia 77) i jak żali się Władysław Bąk w liście do księdza Mariana Finke — „od tej pory nie mam żadnej wieści w powyższych sprawach” (tj. przeniesienia zwłok na Skalkę i uruchomienia Fundacji). Dwa lata później na zebraniu w Kurii Metropolitalnej (20 września 1979 roku) ksiądz kanonik Marian Finke raz jeszcze (czy już po raz ostatni?), być może na skutek uprzednich nacisków ze strony rodziny poety, poruszył problem konwersji Wojciecha Bąka. W tej spisanej po wygłoszeniu relacji zwraca uwagę na związek „zaburzeń psychicznych” z likwidacją wydawnictwa jego brata Władysława Bąka, przypomnienie pobytu w zakładzie psychiatrycznym jako dowodu choroby psychicznej oraz rozżalenie na skutek negatywnego dla poety rozstrzygnięcia spraw spadkowych po stryju, księdzu Wesołowskim. Pojawia się też ciekawy szczegół dotyczący pogrzebu: „Wiedząc, że Bąk został zatrzymany w UB z powodu lansowanych przez siebie nieodpowiedzialnych pogłosek, a potem zwolniony na podstawie orzeczenia lekarskiego o jego niepoczytalności, doradziłem rodzinie postarać się o to świadectwo. Ono też było podstawą dalszych zabiegów w katolickich urzędach kościelnych. W pogrzebie wziął udział pastor, jednak nie w oficjalnym orszaku księży katolickich”.

Więc mimo wszystko na coś przydały się owe wariackie papiery. Byłoby wszakże złośliwym paradoksem, gdyby tak naprawdę pomogły jedynie godnie i sprawiedliwie pogrzebać poetę na wieki wieków amen.

Józef RATAJCZAK

„Tydzień polonistów” w Lublinie

Od 9 do 14 listopada 1992 roku Koło Polonistów — studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — zorganizowało w Lublinie — już po raz trzeci — „Tydzień Polonistów”. Coroczne spotkania organizowane są z intencją poszerzenia wiedzy polonistycznej, nawiązania kontaktów z innymi ośrodkami naukowymi, a także spotkań z literatami: poetami, prozaikami, eseistami. Jak zorientowałem się z programu „Tygodnia”, referaty wygłoszone przez zaproszonych gości niekoniecznie dotyczyły głównego tematu: „Stare i nowe literaturoznawstwo”. Ksiądz Józef Tischner mówił w inauguracyjnym wykładzie o „Humanizmie i humanistyce”, Władysław Stróżewski „O konkretyzacjach dzieła sztuki”, Grażyna Królikiewicz o „Komparatystyce jako etyce”, a Andrzej Kowalczyk o esejach Ryszarda Przybylskiego.

Tematyka niektórych referatów — dla mnie, jako dla człowieka piszącego o problemach i życiu zwyczajnych ludzi — była nieco zbyt abstrakcyjna. Np. z omówienia dekonstruktywizmu, jako kierunku we współczesnej filozofii (ekspresyjne wystąpienie Tadeusza Sławka z Uniwersytetu Śląskiego) zrozumiałem tyle, że dekonstruktywizm — podając w wątpliwość rozumienie czegokolwiek i dostrzegając same błędy w ludzkim rozumowaniu i słowach — kwestionuje wszystko, łącznie z własnym istnieniem. Niestety, nie słyszałem wystąpienia polemicznego profesora Wojciecha Skalmowskiego z Brukseli, który ocenił „Miejsce dekonstrukcjonizmu we współczesnej humanistyce”.

W czasie „Tygodnia” odbywały się także spotkania z literatami, przy czym większość zaproszonych — poza niżej podpisanym prozaikiem — była poetami. Do Lublina przyjechali: Ryszard Krynicki, Alicja Rybałko (poetka polska mieszkająca w Wilnie), Bogusława Latawiec i Adam Zagajewski. Ze znanych krytyków i teoretyków literatury (poza wspomnianym profesorem Wojciechem Skalmowskim) wystąpili: Marta Wyka z Krakowa (mówiła o „Możliwościach eseju”), Zdzisław Łapiński z Warszawy („Orientacje i dezorientacje humanistyki”) i Edward Balcerzan z Poznania („Jak starzeje się wiedza o literaturze?”).

Jeśli chodzi o moje wystąpienie, pt. „Pisarz opozycjonista po upadku komunizmu”, to zapewne wydało się słuchaczom zbyt upolitycznione, zanadto konkretne i pozbawione wszelkich dekonstruktywnych znaków zapytania. Mówiłem o postawach „niezależnych” w literaturze (tych obecnych i tych z czasów komunistycznych) oraz o podziałach w środowisku literackim na tle różnej oceny przeszłości: komunizmu i PRL. Zapewne zmęczeni polityką słucha-

cze potraktowali to wystąpienie dość obojętnie, ograniczając się raczej do pytań o moje książki.

Wywiozłem z Lublina niezwykle miłe wrażenie. Organizacja „Tygodnia” wydała mi się doskonała — w czym niewątpliwie wielka zasługa głównej organizatorki, studentki KUL i redaktorki kwartalnika literackiego *Kresy* — Agaty Koss. Wspólny wyjazd uczestników „Tygodnia” do Kazimierza nad Wisłą — 11 listopada, w rocznicę odzyskania niepodległości — był dodatkową atrakcją.

Bardzo dobre wrażenie odniosłem także z wieczornego spotkania z redakcją *Kresów* — pisma, którego obecność w ubożającym życiu literackim współczesnej Polski uznać trzeba za niezwykle cenną i coraz częściej dostrzeganą. Młodzi redaktorzy *Kresów* są pełni planów na przyszłość. Teksty, jakie drukują, są ilustracją dobrej koncepcji pisma: przestrzegana jest różnorodność punktów widzenia, odrzuca się jednostronność i zamykanie się w „kapliczce”, czyli drukowanie stale jednych i tych samych autorów. Mam wrażenie, że *Kresy*, pod kierunkiem naczelnego redaktora Grzegorza Filipa, zrobią jeszcze dużo dobrego dla ożywienia zamierających, jak się zdaje, zainteresowań kulturą, sztuką i literaturą w naszym kraju. Podobnie jak młodzi ludzie — studenci KUL — swoim bezinteresownym zaangażowaniem i swoją inicjatywą corocznych spotkań z okazji „Tygodnia Polonistów”.

Warszawa, listopad 1992

Kazimierz ORŁOŚ

Przeciw zbowidrzeniu

Moje pokolenie stało się sentymentalne i ulega postępującemu zbowidrzeniu, coraz częściej zaczynając zdanie od „ja jako były”. *Student* wyjątkiem nie jest. Był wygodnym rezerwatem normalności w okresie, gdy czerwony zaprasował kulturę w kant, ale ludzie z jego kręgu poszli w różne strony i nie można na podstawie ich obecności w *Studentie* w latach siedemdziesiątych niczego przewidzieć co do ich obecnych czy przyszłych losów. Nie można przewidzieć, czy moi rówieśnicy ze *Studenta* są za aborcją czy przeciw, za zakładaniem prywatnych biznesów czy nie, za demokracją czy przeciw zabobonnemu traktowaniu *aides* itd. *Student* był bowiem organem pokoleniowym wzorowanym na *Po prostu*, ale pokolenie było przejściowe a i epoka schyłkowa, toteż nasza obecna obecność w kulturze nie nosi znamion drużynowych.

Sam nawiązałem współpracę tylko dlatego, że jako student nie

miałem pieniędzy na powrót z Zakopanego do Poznania i musiałem wsiąść w Krakowie, żeby uzyskać środki na bilet kolejowy. Przy krakowskim Starym Rynku spotkałem ludzi nieco ode mnie starszych: poetów jak Zagajewskiego czy Kornhausera (i poznaniaka — Krynickiego), plastyków jak Sawkę czy Mleczkę, krytyków jak Szybista i Nyczka. Interesowałem się kontrkulturą na święcie, bo byłem światowcem, to znaczy miałem wielu przyjaciół uzyskanych dzięki licealnemu statusowi *Wunderkind*'a ze stażem na obozie letnim w USA po wygranej krajowej konkurencji (jedno miejsce na kraj na rok). Bez trudu zatem dopatrzyłem się analogii między zachodnią kontrkulturą a krakowską młodą kulturą: skorzystałem z tej analogii dla skądinąd niecenzuralnych i niepocziwych rozważań, raz po raz ukrywając się za aroganckim parawanem „wyznań megalomana”.

Widziana z perspektywy rozpadu komunizmu i tryumfu gospodarki rynkowej formuła *Studenta* wydaje mi się podobna do „Pana Tadeusza”. Był to ostatni zajazd w Galicji, że tak powiem, to znaczy ostatnia pokoleniowa próba elitarnego zbawienia poprzez bohemę. Zajazd ten odbywał się już przy coraz głośniejszych dźwiękach muzyki rockowej wypierającej jazz jako szacowne hobby klas średnich i dzisiaj widać, że kontrkultura rodzi się raczej w zadymie w Jarocinie niż w klubach studenckich i teatrach amatorskich. „Pomarańczowej alternatywy” jeszcze nie wymyślono, a telewizja była traktowana jako jarmarczny i despotyczny organ upupienia i dobranocki. Pisywałem o śp. McLuhanie, ale były to salonowe popisy, a nie przepis na całą władzę wyobraźni. Najbardziej staroświecki wydaje mi się przesąd, któremu ulegaliśmy wówczas powszechnie, że możemy się porównywać do uciskanych mniejszości jak Murzyni albo kobiety albo studenci bici przez wszystkie policje świata. Nie byliśmy naturalnie żadną uciskaną mniejszością, tylko jedną z alternatywnych elit klasy średniej przygotowującej się do jak najlepszych pozycji w społecznym podziale kulturalnej pracy. Tak się złożyło, że czerwony wymagał tresury przed uzyskaniem patentu na status uprzywilejowanego producenta kulturalnego, a my wolelibyśmy mieć to samo ale bez tresury i wbrew czerwonemu. Starczy tego na dobre samopoczucie, ale nie na zbiorowy bilet do nieśmiertelności.

Dlatego szkoda mi *Studenta* raczej dlatego, że nie potrafiłszy nim zainteresować młodszego od nas pokolenia i czasopismo nie odkryło własnej formuły na przetrwanie (podobnie jak jej nie odkrył Giedroyc i chce paryską *Kulturę* zabrać do grobu). Może trzeba było dwutygodnik sprywatyzować i wypuścić akcje w nadziei, że je zakupią ambitni licealiści i studenci pierwszych lat. Tylko czy nas to obchodzi?

Sławomir MAGALA

Osiemdziesięciolecie

80-te urodziny Jerzego Turowicza

10 grudnia 1992 r. naczelny redaktor krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* ukończył 80 lat. Jest to okazja nie tylko do złożenia gratulacji i życzeń wielu dalszych lat aktywności, ale i do przypomnienia najważniejszych dat z życia tego niezwykle, niezwykle dla Polski zasłużonego człowieka.

Jerzy Turowicz urodził się w 1912 r. w Krakowie w rodzinie inteligenckiej (ojciec był sędzią, później adwokatem) i z miastem tym związany jest po dziś dzień. W 1930 r. ukończył gimnazjum im. Sobieskiego, a następnie — po kilkuletnich studiach na Politechnice Lwowskiej, które sam później określił jako „nieporozumienie” — od 1934 r. studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim uczestnicząc równocześnie w katolickim życiu intelektualnym i organizacyjnym. Działalność ta była naturalną kontynuacją tradycji domu rodzinnego, w którym religia zajmowała miejsce poczesne: ojciec Solenizanta był działaczem Akcji Katolickiej i bliskim świeckim współpracownikiem abp. Adama Sapiehy, a obaj starsi bracia (Jerzy Turowicz miał sześcioro rodzeństwa) zostali księżmi. Późniejszy współzałożyciel i naczelny redaktor *Tygodnika Powszechnego* w latach studenckich związany był z organizacją pod nazwą Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, które posiadało filie we wszystkich uniwersyteckich miastach ówczesnej Polski i wydawało własny miesięcznik. Turowicz publikował dużo zarówno w samym *Odrodzeniu* (tak też nazywało się pismo), jak i w innych czasopismach związanych z tym środowiskiem, m.in. w redagowanym przez A. Gołubiewa i St. Stommę wileńskim miesięczniku *Pax* (*bonny soit qui mal y pense*). Religijno-społeczna tematyka — i jej ujęcie — zapowiadały już to, co po wojnie miał reprezentować *Tygodnik*: postawę katolicyzmu

otwartego, czyli światopoglądu akcentującego raczej ogólnoludzką problematykę chrześcijaństwa, a nie konfesjonalne doktrynerstwo.

Już przed wojną ta działalność publicystyczno-dziennikarska przerodziła się w pracę zawodową: z początkiem 1939 r. Turowicz został członkiem redakcji krakowskiego pisma katolickiego *Głos Narodu*, kierowanego przez ks. Jana Piwowarczyka; po przejściu tegoż do pracy duszpasterskiej Jerzy Turowicz objął po nim — choć z wiadomych powodów na krótko — naczelne redaktorstwo *Głosu*. Wojnę spędził głównie w Goszycach, rodzinnym majątku żony (pobrali się w 1938 r.), które to miejsce też udzielało w czasie okupacji schronienia wielu innym pozbawionym domu i pracy inteligentom.

Nie był to czas zmarnowany: Turowicz pisywał dużo w prasie podziemnej (m.in. w warszawskim piśmie *Kultura Jutra*, redagowanym przez Jerzego Brauna), a ponadto już wtedy — wraz z grupą podobnie myślących działaczy katolickich — opracowywał projekt poważnego pisma kulturalno-społecznego, jakie miało powstać w wolnej Polsce; już wtedy też środowisko to desygnowało go na redaktora naczelnego. Choć w 1945 r. „wolna Polska” stała się pojęciem problematycznym, projekt nie upadł. Zaraz po „oswobodzeniu” (i przymusowej parcelacji Goszyc) rodzina Turowiczów przeniosiła się do Krakowa i tu — przy silnym poparciu abp. Sapiehy — powstał *Tygodnik Powszechny*, którego pierwszy numer ukazał się 24 marca 1945 r. Nieoficjalnym redaktorem naczelnym był początkowo ks. Jan Piwowarczyk (który zresztą przez cały czas swej pracy w piśmie kierował jego częścią religijną), ale po kilku miesiącach — gdy władze zażądały wyznaczenia osoby „podpisującej” całość — Jerzy Turowicz za jego namową objął rolę szefa redakcji. Spełnia tę funkcję do dziś, toteż 47-letnia historia *Tygodnika* stanowi swoistą część życiorysu Solenizanta i godzi się tu o niej wspomnieć. „Wspomnieć” tylko — bo rola tego pisma w powojennej Polsce jest zbyt ważna, by można się tu kusić o choćby pobieżne tylko naszkicowanie całej jego historii: „koń jaki jest każdy widzi” i na tym musimy poprzestać. Odnotujmy więc tylko charakterystyczne cechy *Tygodnika* i najdramatyczniejsze momenty jego dziejów, bo są one nie tyle tłem, co treścią portretu jego redaktora. Pismo od zarania kształtowane było jako bezpartyjne i apolityczne, ale też jako nigdy nie rezygnujące z postawy obywatelskiej i katolickiej. Ponieważ oba te przymiotniki mogą mieć — zwłaszcza dzisiaj — nader różne interpretacje, podkreślić należy, iż w obu wypadkach interpretacja *Tygodnika* miała charakter otwarty, czyli nienacjonalistyczny i niebigoteryjny; bywało nawet, że *Tygodnik* oskarżano o nadmierny liberalizm w sprawach zarówno „polskich” jak i „katolickich”

(cudzysłów symbolizuje tu zakres zniuansowania tych pojęć). Naturalnie te zarzuty nie padały ze strony komunistów: dla nich z kolei pismo stanowiło „ostoję reakcji” czyli — tłumacząc z ówczesnej nowomowy — opozycję reprezentującą stanowisko niepodległościowe i moralność chrześcijańską. Z natury rzeczy *Tygodnik* przez cały okres panowania komunizmu w Polsce musiał zmagać się z najrozmaitszymi szykanami: cenzurą, obcinaniem przydziału papieru, itp. W okresie stalinowskim nad pismem (i redakcją) stała wisiała groźba zamknięcia — zrealizowana zresztą w marcu 1953 r., gdy redakcja odmówiła zamieszczenia hołdowniczego nekrologu Stalina (oddano wówczas *Tygodnik* w pacht PAX-owi). Chociaż po 1956 r. autentyczny *Tygodnik* mógł znów się ukazywać, ale nie oznaczało to końca trudności i zagrożeń; szczególnie trudne chwile przeżywał w okresie Millenium, w niesławnym roku 1968 i — oczywiście — po wprowadzeniu „stanu wojny” w 1981 r. Utrzymanie zasadniczego kursu pisma bez haniebnych kompromisów wymagało odwagi, siły przekonań i konsekwencji działania. Czytająca — czy choćby przyglądająca się — publiczność zdawała sobie z tego świetnie sprawę, toteż *Tygodnik* był przez dziesięciolecia punktem odniesienia i wzorem dla wszystkich, którzy odrzucali kłamstwo i przemoc narzuconego przez obce imperium reżymu. Można by nawet rzec, iż prestiż *Tygodnika* płynął nie tyle z jego zaangażowania katolickiego, co z aury — by użyć ulubionego sformułowania Orwella — zwyczajnej ludzkiej przyzwoitości.

Każde czasopismo jest dziełem zbiorowym, ale też — podobnie jak w wypadku orkiestry symfonicznej — o charakterze całości w bardzo dużym stopniu decyduje charakter i ludzka „jakość” redaktora/dyrygenta. Prawie półwiecze *Tygodnika Powszechnego* to w dużym stopniu także widoma realizacja ideałów, przekonań i *last but not least* ogromnej pracy jego Naczelnego Redaktora. Obok serdecznych życzeń urodzinowych Solenizantowi należy się więc także serdeczna wdzięczność kilku polskich pokoleń.

W.S.

Książki

Poeci Apokalipsy

Moda na literaturę polską we Francji trwa i zatacza coraz szersze kręgi. Wiąże się to niewątpliwie z ogólnym wzrostem zainteresowania krajami Europy środkowej i wschodniej. Ale, co niezwykle, dotyczy to nie tylko prozy. Coraz więcej wydawców zwraca się ku poezji polskiej, pojawiają się także nowi (z prawdziwego zdarzenia!) jej tłumacze. Przełom w tej dziedzinie nastąpił już w 1990 roku, kiedy ukazały się aż trzy tomy polskich poetów: „Kroniki” Czesława Miłosza (przekład François Piel), „Pan Cogito i inne wiersze” Zbigniewa Herberta (przekład Alfreda Sproede) i „Antologia osobista” Tadeusza Różewicza (przekład Jerzego Lisowskiego i Allana Kosko). W roku następnym ukazał się nowy przekład „Wesela” Wyspiańskiego pióra Doroty Felman i Jacques Joueta oraz antologia polskiej poezji o drzewach w przekładzie Krzysztofa Jeżewskiego i François Xavier Jaujarda (w specjalnym numerze *Cahiers bleus* — „Drzewo nasz brat”). Rok 1992 zapisze się w dziejach recepcji poezji polskiej we Francji jako rok zaiste wyjątkowy. Poza antologią „Poètes de l'Apocalypse”*, o której będzie mowa poniżej, ukazał się nowy, rewelacyjny przekład wszystkich sonetów Mickiewicza pióra Rogera Legrasa (który dał się już poznać jako świetny tłumacz Norwida, Tetmajera, Micińskiego, Miłosza, Baczyńskiego, Iwaszkiewicza, Jastruna i Jeżewskiego), nowy, wysoce artystyczny przekład „Pana Tadeusza” pióra tegoż tłumacza (wyd. L'Age d'Homme), drugi przekład „Pana Tadeusza” pióra Roberta Bourgeois, z przedmową Czesława Miłosza (wyd. Noir sur Blanc), równie godzien uznania (dodajmy, iż ostatni

* *Poètes de l'Apocalypse*. Anthologie de poésie en polonais, hébreu et yiddish (1939-1945). Ouvrage collectif publié sous la direction de Daniel Beauvois, Stanisław Beres, Jean-Marie Delmaire, Maryla Laurent. Presses Universitaires de Lille 1992. Str. 277 i 6 nlb.

przekład tego arcydzieła, prozą, najslabsza z prac Paul Cazines, ukazał się w 1934 roku!), wybór poezji Jana Kochanowskiego w przekładzie Alice Catherine Carls oraz wybór wierszy Anny Kaplar, z przedmową Andrzeja Kuśniewicza (tłumacze różni). Ukoronowaniem tej serii będzie publikacja, w najbliższym czasie, „Dziadów” Mickiewicza w nowym przekładzie Michała Masłowskiego i Jacques Donguy (wyd. L'Age d'Homme). W przygotowaniu znajdują się nowe tomy Norwida i Miłosza i, po raz pierwszy, Tuwima, Koziół, Szymborskiej, Baczyńskiego, Jeżewskiego, oraz antologia współczesnej polskiej poezji kobiecej. Wygląda na to, iż Francuzi zabrali się na serio do odrabiania wielkich zaległości w tej dziedzinie, nierzadko przy pomocy Polaków...

Na szczególną uwagę zasługuje imponująca rozmiarami i oryginalnością koncepcji antologia poezji poetów polskich i żydowskich czasu wojny pt. „Poètes de l'Apocalypse” przygotowana przez zespół polonistów z uniwersytetu Charles de Gaulle'a w Lille pod kierunkiem profesorów Daniela Beauvois, Stanisława Beresia i Maryli Laurent. W tomie, który objął wiersze Wacława Bojarskiego, Andrzeja Trzebińskiego, Zdzisława L. Stroińskiego, Tadeusza Borowskiego, Tadeusza Gajcego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Różewicza, znalazły się przekłady znanych tłumaczy prozy polskiej, którzy wystąpili tu po raz pierwszy jako tłumacze poezji (Daniel Beauvois, Marie Bouvard, Laurence Dyèvre, Maryla Laurent) oraz przekłady zasłużonych tłumaczy poezji polskiej pracujących razem, Krzysztofa Jeżewskiego i Dominique Sila-Khan. Pozostałe przełożyli pracownicy naukowcy uniwersytetu: Janusz Barczyński, Claire Briand, Edmund Gogolewski, Agnieszka Grudzińska, Sławomir Krupa, Mylène Mihout i Marek Tomaszewski. Część poświęconą poetom żydowskim opracował i przełożył Jean Marie Delmaire. Znalazły się tu wiersze (w języku hebrajskim i jidisz) Icchaka Kacnelsona, Abrahama Sutzkevera, Hirsza Glicka, Mordechaja Gebirtiga, Uri Cwi Grinberga, Avigdora Hameiri, Jakova Fichmana, Abrahama Szlonskiego, Arona Cejtlina i Natana Altermana.

Należy pogratulować autorom antologii znakomitego pomysłu, a mianowicie połączenia po raz pierwszy w jednym tomie poetów polskich i żydowskich z tej samej epoki. Przecież tragedia dwóch narodów miała miejsce na tej samej ziemi, w obrębie tego samego państwa polskiego: wszakże oba te narody skazane były na zagładę przez barbarię i paranoję hitlerowską. Losy ich niejednokrotnie się zazybiały, a cele ich walki były pokrewne, rodziły często braterstwo broni. Niewysłowione cierpienia narodu żydowskiego nie mogą przesłaniać faktu, iż naród polski miał także, choć na dłuższą metę, ulec eksterminacji,

tylko w następnej kolejności. Dobrze się złożyło, iż mniej więcej w tym samym czasie ukazała się po francusku — nareszcie! — znakomita książka Władysława Bartoszewskiego na temat organizacji „Żegota” („Żegota. Żydzi i Polacy w Ruchu Oporu 1939-1944”, wyd. Critérion 1992). Książka ta powinna wyjaśnić Francuzom szereg złożonych kwestii dotyczących tego problemu, które właściwie były im dotąd nieznanne.

Nawiasem mówiąc, jest paradoksem i ironią historii, że wśród „poetów Apokalipsy”, obok Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Borowskiego i Tadeusza Różewicza, znaleźli się także twórcy związani z prawicą nacjonalistyczną, jak Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński, Tadeusz Gajcy i Zdzisław L. Stroiński, którzy teoretycznie mogli znaleźć się w obozie przeciwnym ich żydowskim kolegom. Nie zapominajmy jednak, iż rzeczywistość wojenna oczyściła umysły, a oryginalnością postawy polskiej prawicy wobec hitleryzmu, w przeciwieństwie do większości krajów okupowanych, mimo niezmiennego antysemityzmu przywódców „Konfederacji Narodu”, była absolutna odmowa kolaboracji. Opcje polityczne tych jakże jeszcze młodych twórców zaledwie się zarysowywały, a poza tym *Sztuka i Naród*, najlepsze *nota bene* pismo literackie okresu okupacji, które kolejno redagowali m.in. Bojarski, Trzebiński i Gajcy, stroniło raczej od polityki. W końcu, po latach, kiedy wygasły związane ze swoją epoką naiwne niekiedy i wynikłe z kontekstu politycznego pasje i tendencje polityczne, liczy się sama poezja. A ta nie ma nic wspólnego z totalistycznymi zapędami „Konfederacji Narodu” Bolesława Piaseckiego. Typ wrażliwości moralnej tych poetów, ich piękne i bohaterkie żywoty okupacyjne, ich szlachetne motywy postępowania leżą na antypodach tych tendencji. To wielka i szlachetna poezja, nowe wcielenie polskiego romantyzmu. Jakaż inna postawa, jeśli nie heroiczno-romantyczna, mogła sprostać poetycko rzeczywistości tak straszliwej jak okupacja? Czy mógł przypuszczać Stanisław Brzozowski, przypisując literaturze romantycznej funkcję kompensacyjno-ocallającą, że sytuacja ta się powtórzy sto lat później? A pomyśleć jak ta poezja była atakowana, deprecjonowana albo wręcz przemilczana przez znanych skądinąd krytyków polskich jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych! Zmora polityki w okresie komunizmu była wszechobecna, nie oszczędzała nawet poezji i sztuki. Co jednakże było najcenniejsze w twórczości „poetów Apokalipsy” i na co słusznie wskazuje w swojej doskonałej przedmowie Stanisław Beres, to to, że centralne miejsce w tej poezji zajmowała problematyka moralna i religijna: problem Boga i Szatana, czystości i grzechu, historii i transcendencji. Dzieło swoje poeci owi pojmowali „zarazem jako akt twórczy, akt miłosny i uczestnictwo w tajemnicy stworzenia: miało być

ono ostatnią sferą, w której powinno nastąpić odkupienie. Przez to właśnie przekroczyli granice literatury w klasycznej definicji tego słowa: uczynili ją nie tylko narzędziem rozważań moralno-religijnych, ale także czystym aktem bolesnej skruchy i modlitwy poetyckiej" (...) „Przeszli przez piekło, ale nie przestali szukać piękna odbłasku Boga na twarzy człowieka i to ich doprowadziło do poetyki niezwyklej, jedynej być może w literaturze światowej”...

Żyjemy w czasach wielkich przemian duchowych, u progu największej rewolucji w dziejach ludzkości, dzięki której człowiek ma szansę dotknięcia Tajemnicy Bożej i stania się, mówiąc słowami Norwida, „sąsiadem Boga”, o czym marzył także w ostatnich latach życia Albert Einstein. Nigdy jeszcze nauka nie była tak bliska mistyki. Czyż nie przepowiedział tego André Malraux, mówiąc, że „wiek XXI będzie religijny albo nie będzie go wcale”? W tym kontekście twórczość „poetów Apokalipsy” nabiera nowej aktualności i siły. Nie na darmo poezja największego z nich, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, odbierana jest przez Francuzów jako rewelacja na miarę Rainera Marii Rilkego.

Credo tych „mystyków barykad”, jak ich nazwał Krzysztof Jezewski w przedmowie do pierwszej francuskiej mikroantologii tych poetów (*France Catholique* nr 2119 z 28.8.1987), o czym niestety zapomniano w bibliografii zamieszczonej na końcu książki, jak zresztą i o drugiej jego publikacji przekładów Baczyńskiego w nr 2/1991 *Nouveaux Cahiers de l'Est*, pięknie wyraził Waclaw Bojarski w tekście „Co po nas zostanie” (*Sztuka i Naród* 1943 nr 6): „Choćby miał po nas przemaszerować chamski but kata, choćby wgniótł w ziemię nasze ciała, zniszczył, zgnoił, rozmazał, choćby zmienił naszą, jakże nędzną, broń w kupę złomu — to przecież dla przyszłych pokoleń będzie ten nasz krzyk nie zaspokojony, nie zdławiony, żarliwy — pragnieniem mocnego dobra. I choćby zawieść miało wszystko, to jedno po nas zostanie na pewno”.

Warto też przypomnieć jakże prorocze słowa Józefa Piłsudskiego, odnoszące się do tego właśnie pokolenia, wypowiedziane w listopadzie 1931 w rozmowie z historykiem Arturem Śliwińskim: „Pokolenie najmłodsze, obecnie w szkołach, stworzy nową treść życia Polski. Będzie solidne, ideowe, patriotyczne. Będzie miało poczucie honoru i obowiązku. Odznaczać się będzie szlachetnością. Polski tknąć nie da”.

Tragiczne piękno tego pokolenia, jego prometeizm. Odeszli piękni, młodzi, nieskalani jeszcze brudem egzystencji, w aureoli ideału, stali się symbolem, nieśmiertelną legendą. Czy można sobie wyobrazić piękniejszą śmierć dla poetów i równie piękne zmartwychwstanie?

A poezja żydowska? Czy można wyrazić niewyrażalne? Czy

można słowami wypowiedzieć tę niepojętą tragedię, bez precedensu w dziejach ludzkości? A jednak poeci żydowscy nie odkładali pióra. By zostawić świadectwo, by ocalić od zapomnienia to, co odeszło na zawsze, by dać upust swojej rozpacz, by wyrazić bunt, by wezwać do walki. To rozdzierająca, przesywająca serce poezja, tym bardziej im bezsilne było słowo w tej epoce „zaćmienia Boga” jak ją określił pewien ówczesny rabin. Mimo to poeci żydowscy nie przerywali dialogu z Bogiem, dialogu, który wahał się niekiedy między skargą a złorzeczeniem. W tradycji chasydzkiej nierzadkie były nawet procesy wytaczane Stwórcy. W okresie zagłady te porachunki z Bogiem stały się u poetów żydowskich rzeczą niemal nagminną...

Dlatego też poza całą wartością artystyczną, tom ten posiada ogromną wartość dokumentacyjną: to wstrząsające świadectwo poetyckie nie ludzkiej, najmroczniejszej epoki w dziejach ludzkości. Zwłaszcza we Francji, gdzie, rzecz nieprawdopodobna, do dzisiaj spotyka się ludzi, którzy nieomal nic nie wiedzą o polityce eksterminacyjnej hitlerowców wobec Polaków i ich kultury, kiedy tu i ówdzie na Zachodzie pojawiają się „historycy” rewizjoniści jak np. Anglik David Irving, który twierdzi, że komory gazowe nie istniały, albo ów historyk niemiecki mieszkający w Danii, który utrzymuje, iż obozy zagłady zostały wybudowane po wojnie przez Polaków celem kompromitacji Niemców, antologia tego rodzaju posiada szczególną wymowę. Są to teksty pisane na gorąco, pod wrażeniem zdarzeń bieżących, do głębi przeżyte, trudno o poezję bardziej autentyczną.

Jeśli chodzi o realizację tego ambitnego przedsięwzięcia, budzi ono pewne zastrzeżenia. Autorzy kierowali się chwalebą niewątpliwie ideą „mierzyć siły na zamiary”, co przy wyjątkowej trudności tej poezji wiązało się z ogromnym wysiłkiem ze strony tłumaczy. Wydaje się ona chwilami wręcz nieprzetłumaczalna, tak głęboko osadzona w polszczyźnie, posiadającej niesłychanie giętką fleksję obcą językowi francuskiemu, a pozwalającą na budowanie bardzo bogatych i zwięzłych obrazów. Z drugiej strony, wersyfikacją francuską rządzą pewne bardzo ścisłe i subtelne reguły. Dlatego wydaje się, iż niektórzy tłumacze przecenili swoje możliwości. Niektóre teksty były chyba ponad ich siły. Ileż to razy w przeszłości, pełni zresztą dobrych intencji Polacy niszczyli nieporadnymi przekładami swoich autorów w oczach francuskich czytelników! Wielka szkoda, iż nie zaproszono do współpracy poetów francuskich, tak jak to zrobił Konstanty Jeleński w swojej słynnej „Antologii poezji polskiej 1400-1980” (*L'Age d'Homme*, 1981). Nawet dobra znajomość francuskiego u Polaków nie wystarcza do tłumaczenia poezji polskiej na francuski. To zupełnie inna para kaloszy. W efekcie dało to przekłady o nierównym poziomie, choć sporo w tym tomie tekstów

bardzo udanych i dobrze brzmiących po francusku (zwłaszcza tłumaczenia Laurence Dyèvre, Marie Bouvard, Daniela Beauvois, Krzysztofa Jeżewskiego i Dominique Sila-Khan, niektóre przekłady Maryli Laurent).

A oto wylapano na chybił trafił ważniejsze błędy interpretacji tekstu:

str. 53 w. 2 („Śniły się szarże” Stroińskiego) — „chłopcy malowani” to nie *soldats décorés* a raczej *pimpants*, jak trafnie to przełożył w wierszu Bojarskiego „Ranny róża” Janusz Barczyński.

str. 69 w. 7 („Czasy pogardy” Borowskiego) — „piszczalka” to nie *crécelle* (grzechotka), a *fifre*.

str. 69 w. 15 (jak wyżej) — „miast ulice szczelnie kamieniem wybite” to nie *rues des villes aux étanches barricades de pierre*, a raczej *étanches pavés de pierre* (chodzi tu po prostu o bruk, a nie o barykady).

str. 77 w. 6 („Noc nad Birkenau” Borowskiego) — „niebieski Orion” to nie *Orion le bleu* tylko *le céleste Orion*.

str. 79 w. 4 („Do narzeczonej” Borowskiego) — „wilga” to nie *geai* (sójka) a *loriot*. Na str. 91 („Umarli poeci” Borowskiego) ta sama tłumaczka przekłada to słowo przez *merle* (kos). Coś niedobrze z ornitologią!

str. 133 w. 6 („Historia” Baczyńskiego) — „papierów śpiew” to raczej *le vibrato des rapières* niż *sifflement* (świst) *des rapières*.

str. 133 w. 23 (jak wyżej) — „płyty płaskie” to po prostu *dalles plates* a nie *impassibles* (obojętne) — nadinterpretacja! *Plat* znaczy zresztą także „bezbarwny”, „bez wyrazu”, a tu o to chodzi.

str. 139 w. 17 („Książka leżała na stole” Baczyńskiego) — „zakute w pomniki” to raczej *figés en monuments* albo *changés par le ciseau en monuments* niż *rivés aux monuments* (przykute do pomników).

str. 149 („Niebo złote ci otworzę” Baczyńskiego) — w w. 8 tekstu polskiego złośliwy chochlik drukarski przerobił „ptasi świt” na „ptasi świst”! Co zdumiewające, tłumaczka tego bardzo znanego wiersza (śpiewa go przecież Ewa Demarczyk!) dała się zwieść tej literówce, co dało po francusku *piaillement d'oiseau*! Krzysztof Jeżewski i François Xavier Jaujard przełożyli to („Corps écrit” nr 26/1988) jako *l'aube d'oiseaux*. Roger Legras w przepięknym, niedrukowanym jeszcze przekładzie tego wiersza proponuje *aube oiselle*. Przekład A. Grudzińskiej zawiera poza tym kilka mało udanych, mało poetyckich zwrotów i co gorsza fatalny błąd interpretacji (w. 25): „czaszki białe toczy” to *roule des crânes blanchis*, a nie *dévore* (pożera!!) *des crânes blanchis*.

str. 157 w. 3 („Pokolenie” Baczyńskiego) — „żagiel nozdry” to raczej *les voiles (ensflées) des narines* albo *les ailes du nez*

niż *filet des naseaux*.

str. 157 w. 10 (jak wyżej) — „Szukamy serca — bierzemy w rękę” to raczej *Nous cherchons le coeur — nous le prenons dans nos mains* albo *dans la main*, a nie *Nous cherchons la tendresse — nous prenons la main*.

str. 157 w. 14 (jak wyżej) — „rumowisko” to *décombres*, *ruines*, a nie *fournilière* (mrowisko!).

str. 157 w. 16 (jak wyżej) — „potop” to nie *ruisseau* (strumień), a *déluge*.

str. 159 w. 24 („Rodzicom” Baczyńskiego) — „złocenie rąk” to nie *poignées de chrysanthèmes* (pęki chryzantem) — typowy przykład zbanalizowania obrazu poetyckiego i zdrady tekstu (*traduttore — traditore!*), a raczej *achillées de ses mains* jak proponuje tandem Jeżewski — Sila-Khan.

str. 163 („Z głową na karabinie” Baczyńskiego) w. 2, 5, 17, 22 — słowo „krąg” przełożono zostało jako *étau* (imadło, kle-szcze), co jest poważnym błędem interpretacyjnym. Widać, że tłumacz mało był obeznany z poezją Baczyńskiego, gdzie obraz ten („krąg” albo „koło”) występuje niejednokrotnie jako słowo-klucz.

Koło (krąg) posiada, jak wiadomo, bogatą symbolikę: to symbol Boga, wieczystego prawa, absolutu, doskonałości, Nieba, pierwiastka duchowego, czasu. W buddyzmie — Koło Prawa, Dharmacakra, symbolizuje nieodwracalność ludzkiego losu. Zważywszy, iż Baczyński zafascynowany był myślą i mitologią indyjską (słynny wiersz adresowany do boga ognia Agni, „Pod nieba dłoniastą palmą...”) należało pozostać przy dosłownym przekładzie tego słowa (w poezji nierzadko dosłowność popłaca ze względu na „przystawianie” wielu obrazów poetyckich). A więc nie *étau* tylko *roue* albo *cercle*. W tym samym wierszu (w. 13) fatalne potknięcie tłumacza: „dymu laska” to nie *grâce de la fumée* (łaska dymu), a *canne de la fumée* albo *tige de la fumée*.

Jeśli chodzi o samą korektę, pomyłek drukarskich jest w książce niewiele, natomiast, co o wiele przykrzejsze, w szeregu miejsc wypadały fragmenty tekstu i to zarówno polskiego jak francuskiego (str. 23, 39, 47, 67, 134, 145, 154, 165, 189) — czasem jedno słowo, czasem po kilka wersów. Niechlujność, trzeba przyznać, rzadka! Poza tym wiersz Stroińskiego, „Polska”, znalazł się wśród wierszy Trzebińskiego, choć w spisie rzeczy figuruje jako wiersz swojego autora. Na str. 10 nastąpiło pomieszanie: wypadło nazwisko Bojarskiego, a Borowski otrzymał imię Wacława (zamiast Tadeusza). A Krzyżewski miał na imię Juliusz, nie Julian. Nawiasem mówiąc szkoda, że choć kilka wierszy tego poety nie znalazło się w antologii. Choć mało znana (obszerny wybór jego wierszy ukazał się dopiero w 1978 roku nakładem PIW-u, z przedmową Jarosława Iwaszkiewicza),

to piękna i bardzo charakterystyczna dla owej epoki poezja: niezwykła czystość łączy się w niej z żołnierskim romantyzmem i silnymi tendencjami mistycznymi. Podobnie w części żydowskiej chciałoby się znaleźć wiersze Władysława Szlengla (1914–1943) i Maurycego Szymła (1903–1942). Obaj, choć pisali także po polsku, są poetami żydowskimi: poezja Szlengla zwłaszcza stanowi cenne świadectwo zagłady warszawskiego getta. Zdumiewa także brak w antologii wierszy Abby Kovnera, Dory Tajtelbojm, Lejba Olickiego, Kalmana Lisa. Zważywszy na wielkie bogactwo poezji jidysz i hebrajskiej wybór wydaje się nader skromny.

I jeszcze jedno. Do not biograficznych o Baczyńskim i o Kacnelsonie wkradły się nieściśności: Baczyński był autorem pięciu, a nie dwóch wydanych tomików wierszy: „Zamknięty echem” (1940), „Dwie miłości” (1940), „Śpiew z pożogi” (1942, pod pseud. Piotr Smugosz), „Wiersze wybrane” (1942, pod pseud. Jan Bugaj) i „Arkusze poetycki nr 1” (1944, pod pseud. Jan Bugaj). Tragiczna biografia Icchaka Kacnelsona zamieszczona w antologii doprowadzona jest do jego osadzenia w obozie w Vittel we Francji, po aresztowaniu go jako posiadacza fałszywego paszportu honduraskiego. Zapomniano dorzucić, iż został później deportowany do Oświęcimia i stracony w 1944 roku.

Mimo tych usterek antologia „Poètes de l'Apocalypse” jest ważnym wydarzeniem na rynku poetyckim we Francji. Miejmy nadzieję, iż nowe jej poprawione wydanie ukaże się w przyszłości w większym nakładzie, w serii kieszonkowej.

Paweł MOLSKI

Kilka myśli o nowych wierszach Iwaniuka

1. W wierszach ze zbioru „Moje obłąkanie” (Lublin 1991) poety, którego dzień „ciemnym wnętrzem”, powracają dawne motywy, obsesje, obrazy; wojny, śmierci, samotności. W nowych wierszach, jak mi się wydaje, szczególnej jednak wagi nabiera metafizyczna refleksja nad ludzką egzystencją, stąd często powracający motyw czasu.

W wierszu „Wolność” czas jest swoistym opiekunem, ale z drugiej strony pokrywa twarz „pajęczyną”, znakiem przemijania, które jest przypisane naszej egzystencji. Cóż warte są więc nasze potyczki, zmagania z życiem, kiedy wszystko zmywa „piana

czasu”? Pozostaje więc dręczące, uwierające pytanie, będące metafizycznym wyzwaniem: „Czymże jest przeto wieczność...” („Pozostał mi łabędzi śpiew”). Nie ma oczywiście jednej odpowiedzi, jest wewnętrzny nakaz:

*Bądźmy ostateczni
Bądźmy ziemi naszej głośnym krzykiem
Gdy nas zmielą kamienie wieczności
Pozostanie Norwidowski liryk.*

(„Ostateczność”)

Norwid jest szczególnie bliskim poetą dla Iwaniuka, może przez wspólnotę losu, doświadczenie osamotnienia i samotności. To chyba również potrzeba dialogu z autorem „Vademecum”.

Czas widziany na płaszczyźnie historycznej, czyniony ludzkimi rękami, jest źródłem cierpienia, przemocy, wojny, stąd człowiek to tylko „strzęp przegranej historii”. Ale czas ma dla Iwaniuka też inne oblicze, eschatologiczne. W ostateczności jesteśmy jednak bezradni i oddani, być może, jednemu z większych paradoksów istnienia:

*/ czas /
Pasożytuje w nas jak liana
A jednak zmysłem się wymyka.*

(„Filozofia czasu przedstawionego metodą nieballadową”)

2. Sam tytuł nowego zbioru, moje obłąkanie, kieruje naszą uwagę na dwa aspekty poezji Iwaniuka. „Moje”, więc osobne, prywatne, wydarte z ciemnego wnętrza, „Obłąkanie” to szczególny stan umysłu, duszy, ale bynajmniej nie idzie tu o psychologiczną diagnozę. To pojęcie przywołuje bardzo ważną dla Iwaniuka tradycję romantyczną:

*ukryte w spichrzach nieba teksty
paryskich wykładów Mickiewicza,
myśli Krasieńskiego z listów do Norwida
i Słowackiego pisane do Matki,
oraz bliskie mi cytaty z Anhellego
obok gorzkich Norwida,
któremu Mickiewicz nie chciał podać ręki.*

(„Garden party”)

„Obłąkanie” Iwaniuka ma wiele wymiarów, „ciemnych wnętrza”, które wypełnia śmierć jak „sto ciemnych labiryntów” („Bilans”), bezsenność, czyli „tak zwany Baudelaire'owski spleen”, „głosy umarłych nagrane na kosmiczne taśmy” („Garden party”) i ziemia, która „wije się w zatratym powietrzu” („Nie ma, nie ma”).

„Obłąkanie” to droga, podróż (ja wciąż jestem w podróży, „Rok 1939”) w samo jądro rozpaczy.

3. Wacław Iwaniuk, ironiczny wobec siebie i bliźnich, „żyje jak śmierć zakochana w sobie”, schodzi na samo dno ciemnego bytu, lecz nie poddaje się nihilistycznej rezygnacji. Jest „ziemi naszej głośnym krzykiem”. Rozpacz dla Iwaniuka wydaje się być — podobnie jak dla Anny Kamińskiej — kategorią etyczną. Można chyba rzec, wartością. Choć myślenie o sobie i historii tak bardzo boli, słowo poetyckie świeci w ciemności („Ogród pamięci”)... Rozpacz otwiera poetę na „inną stronę” istnienia:

Grecy Polacy Żydzi —
a jednak ocaleli bo wiara ocala.

A jednak.

(„Bilans”)

Rzeszów, 21.10.92 r.

Stanisław DŁUSKI

P.S.

„A jednak”, to ważne słowo w wierszu „Bilans”.

Nowe pismo Krakowa

Kraków mimo swojej rangi kulturalno-artystycznej od lat nie może uzyskać stałego, nieprzerwanie wychodzącego pisma, które poświęcone byłoby tym wszystkim wartościom, które reprezentuje, a poza tym dawałoby możliwość wypowiedzania się na temat miasta tym, którzy z uwagi na swe zainteresowania kulturalne, artystyczne, literackie, społeczne potrzebują takiej trybuny. W latach siedemdziesiątych wydawano *Magazyn Kulturalny* z udaną szatą graficzną, ale niestety zaśmiecony zagadnieniami, które ani z Krakowem, ani z Polską nie miały nic wspólnego, ratowały za to ideologiczny wyraz pisma. Po nim, w okresie stosunkowo długim, bo w latach 1984-1991, udało się utrzymać kwartalnik *Kraków*, w którym ideologii było mało albo i nic, ale za to ukazywało ciekawie zarówno dawną historię miasta, jego kulturę, sztukę, jak i problemy współczesne, oczywiście zawsze hamowane cenzurą do momentu zmian politycznych. Obecnie, w listopadzie, przystąpiono do wydawania całkowicie odmiennego w charakterze typograficznym i treściowym „miesięcznika ogólnopolskiego stołecznego królewskiego miasta Krakowa” (to podtytuł) również noszącego tytuł *Kraków*. Wydawcą jest Fundacja „Odnowa Zabytków Krakowa” oraz Spółdzielnia Artystów „Plastyka-Art”. Pierwszy numer ukazał się w nakładzie 90 tys.

egzemplarzy (kwartalnik *Kraków* uzyskał maksimum 15 tys.), drukowany jest w Salzburgu. Czy rzeczywiście stanie się magazynem ogólnopolskim i europejskim, trudno powiedzieć, redakcja w każdym razie stara się wyjść naprzeciw zachodniej Europie, drukując *résumé* kilku artykułów w języku niemieckim i angielskim. Niestety zbyt małe czcionki lub druk na stronicach kolorowych niejednemu utrudnią lekturę. Numer otwiera rozmowa z wojewodą krakowskim Tadeuszem Piekarczykiem i nowo wybranym prezydentem (prezydenci zmieniają się dość często) Józefem Lassotą, zatytułowana „Kraków rządowy czy samorządowy?”, w czasie której prezydent stwierdził, że „miasto takie jak Kraków powinno mieć ambicję, by prowadzić i finansować placówki i instytucje kultury, jest to oczywiście decyzja Rady Miasta, która uchwała budżet Gminy i decyduje o jej najważniejszych wydatkach”. Niestety, jak wiadomo z dotychczasowych doświadczeń, Rada często znajduje się w impasie, a próby jej odwołania (np. poprzez referendum) napotykać na niemałe przeszkody. W każdym razie kultura nie ma łatwego życia i jedną np. ze smutniejszych okoliczności jest to, że biblioteki są bez pieniędzy nie tylko na zakup książek, ale i na kontynuowanie prenumerowanych przez kilkadziesiąt lat czasopism!

Z ciekawszych pozycji tego numeru na uwagę zasługuje reportaż Pawła Zechentera o Wieliczce („Kopalnia tonie”); zalewająca ją woda coraz bardziej zagraża nie tylko wyjątkowym, zabytkowym wnętrzem, ale i miastu i jego mieszkańcom. Maria Rzepińska opublikowała artykuł o Hannie Rudzkiej-Cybisowej, przypominając, że „była współzałożycielką grupy tzw. kapistów, których ostatnim żyjącym przedstawicielem jest Józef Czapski”, jak i smutny fakt, że jej ostatnia retrospektywna wystawa odbyła się w Muzeum poznańskim w 1971 r. „Z zamierzeń zorganizowania wielkiej, pośmiertnej wystawy dzieł Cybisowej nic jakoś nie wyszło. Również za życia tej przynoszącej chlubę naszemu miastu wystytki Muzeum krakowskie nie zdołało urządzić takiej wystawy, ani choćby przenieść jej z Poznania. Płótna i akwarele Cybisowej pokazują się czasem w „Desach” Warszawy i Krakowa i natychmiast znikają. Młodzi nie znają tego malarstwa prawie zupełnie, a i nazwisko niewiele im mówi”... Warto zatem, aby Kraków pomyślał o Cybisowej.

Największe dyskusje wzbudzą chyba niestereotypowe wypowiedzi Stanisława Lema (zanotowane przez Bronisława Maja). Pisarz obwieszcza, że zdecydowanie odchodzi od swojej literatury, gdyż przekwalifikował się, a właściwie przekwalifikowano go, gdy po sześćioletnim pobycie w Wiedniu powrócił do Krakowa w 1988 r.: „rozmaite pisma, instytucje i osoby zaczęły u mnie zamawiać futurologiczne prognozy. Pewnie dlatego, że niektóre z moich przepowiedni, zawartych w zamierzonych książkach, jakoś się spełniły. Więc to właśnie robię, ostatnia taka prognoza była dla Gorbaczow Foundation”. Te uwagi znalazły się w pierwszej części wypowiedzi „O statusie pisarskim”. W następnej „O polskiej literaturze końca epoki” mówi o dezorientacji w Polsce, o tym, że „za dużo wolność-

ci... Wyjąwszy nowego cenzora — kościelnego, to można właściwie wszystko, a jak można wszystko, to prawie nic nie można". W „Weiserze Dawidku” Pawła Huelle wcale nie widzi książki wybitnej, „książki dziesięciolecia”, a tworzący się w Polsce rynek literacki to według niego „płytkość, słabość” i „Wstyd powiedzieć, ale za komuny książki wartościowe miały nieporównanie większe nakłady. A teraz najwyższe nakłady mają wywiady i wspomnienia byłych i terażniejszych polityków. Ostatnio wszyscy się emocjonowali wspomnieniami Kuronia w *Polityce* — próbowałem to czytać: „... Jurek, Franio, Zosia i Boguś zrobili rząd, i potem przyszedł Lechu, a jeszcze potem Jarek powiedział, że go odda prokuratorowi...”. Jednym słowem: rozróbka jak w mordowni. Jest to dla mnie zawstydzające, że na takim poziomie toczy się gra polityczna. I nic mnie to nie obchodzi. To nie jest temat dla literatury...”. „O dzisiejszej Polsce” to uwagi o chaosie „jak przed stworzeniem świata”, o „szumie informacyjnym”, o niemożliwości prowadzenia rzeczowej polemiki; przestał pisać do *Tygodnika Powszechnego* „nie z jakichś powodów konfesyjnych, ale dlatego po prostu, że już nie mogę pisać o sprawach polskich, bo są strasznie głupie: te strajki, głódówki, styropiany... Dawniej tę głupotę jakby przynosiliśmy na konto Moskwy: „to oni zrobili, oni wymyślili”. A teraz? Sytuacja jest taka, że — jak to mówią: „ryba cuchnie od głowy” — mamy na samej górze tak daleko posunięty antyintelektualizm i tak straszliwie spłaszczony, spłycony katolicyzm jako wersję polskiego chrześcijaństwa, że strach bierze! To jest niesłychanie ubogie intelektualnie”. W zakończeniu „O zadaniach pisarza” zapytuje: „Ciekawe, jak by się Gombrowicz w dzisiejszej Polsce czuł — pewnie by mu ręce mdlały, tyle by miał do roboty, bo tyle jest potwornych balonów do nakłuwania... Poczucia humoru, luzu brakowało klasie ateistycznej, klasie konfesyjnej brakuje go tak samo”...

W listopadzie '92

Józef DUŻYK

Rada Regencyjna (1917-1918)

W 1991 roku, pod tytułem „Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917-1918)” ukazała się książka, której publikacja została sfinansowana przez Uniwersytet Jagielloński i Wydawnictwo „Wektory”. Wiadomą jest rzeczą, że rynek wydawniczy w

1. Zdzisław J. Winnicki, *Rada Regencyjna Królestwa Polskiego i jej organy (1917-1918)*. Wydawnictwo „Wektory”, Wrocław 1991, str. 352 i osobna numeracja przypisów str. 106 oraz bibliografi str. 20.

Polsce jest bardzo ubogi w publikacje naukowe, zwłaszcza o tematyce dość odległej od problemów dnia dzisiejszego. Tym większą przeto zasługą wydawnictwa, no i oczywiście Autora książki jest, że podjął się opracowania zaniedbanego dotychczas tematu. Książka jest skróconą wersją rozprawy doktorskiej obronionej w 1985 roku na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego.

Rada Regencyjna została powołana do życia 12 września 1917 roku i zakończyła swoją działalność 14 listopada 1918. W chronologicznym porządku — idąc za Autorem książki — trzeba przypomnieć, że po wycofaniu się w 1915 roku wojsk rosyjskich z Królestwa Polskiego (jakie powstało w 1815 roku decyzją Kongresu Wiedeńskiego), cesarze Niemiec i Austrii, okupując ziemie Królestwa, proklamowali aktem z 5 listopada 1916 utworzenie z tych ziem „samodzielnego państwa z dziedziczną monarchią i konstytucyjnym ustrojem”, przy zachowaniu „łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami”. Chodziło głównie, jak wiadomo, o wykorzystanie legionów Józefa Piłsudskiego w wojnie przeciwko Rosji.

W ślad za aktem z 5 listopada, zostało ogłoszone rozporządzenie o ustanowieniu Tymczasowej Rady Stanu (TRS), która miała być ciałem doradczym, oraz opracować projekt przedstawicielstwa kraju i administracji. Krytykowaną przez społeczeństwo, TRS nie przeżyła kryzysu przysięgowego (opowiedziała się za złożeniem przez legionistów przysięgi na posłuszeństwo cesarzowi niemieckiemu) i w sierpniu 1917 rozwiązała się sama. Przed rozwiązaniem się TRS wyłoniła ze swego grona Komisję Przejściową, zapewniając w ten sposób ciągłość podjętej działalności, przekazaną z kolei Radzie Regencyjnej, która miała być najwyższą władzą państwową Królestwa do czasu objęcia jej przez króla lub regenta.

Autor książki, o której mowa, w oparciu o bogaty materiał źródłowy, szczegółowo opracował aparat administracji i urzędów państwowych, jakie wyłoniła Rada Regencyjna w wyniku swojej działalności i które okazały się bardzo pożyteczne po zakończeniu wojny. Zwraca uwagę na uproszczoną dotychczas ocenę roli, jaką odegrała Rada Regencyjna. Różne były tego powody: w dwudziestolecie międzywojennym kult Marszałka Piłsudskiego przyćmił zasługi Rady Regencyjnej, a pogarszające się stosunki polsko-niemieckie też nie sprzyjały podkreślaniu osiągnięć instytucji o „rodowodzie skoliigaconym z zaborcą”. Po drugiej wojnie światowej, spaczona podchodzenie do historii i nadto zbyt żywa jeszcze pamięć o ostatniej okupacji były również powodem, że Radę Regencyjną utożsamiano niejednokrotnie z kolaboracją. Autor tej książki ma przeto nadzieję, że zebrane w jego pracy fakty „dowodzą jak bardzo krzywdzący jest taki osąd”. Trzeba od razu przyznać, że Autor cel swój osiągnął.

W krótkim omówieniu nie sposób jest przedstawić cały aparat, na jakim opierała się działalność Rady Regencyjnej i jaki został opracowany w tej książce. Ograniczam się przeto do kilku fragmentów i zasygnalizowania przewodniej myśli Autora. Rada Regencyjna

składała się z trzech osób: popularnego prezydenta Warszawy księcia Zdzisława Lubomirskiego, b. członka Rady Państwa w Petersburgu Józefa Ostrowskiego i arcybiskupa metropolity warszawskiego księdza Aleksandra Kakowskiego, nawiązując w tym ostatnim wypadku do tradycji *interrex*a z dawnej Rzeczypospolitej, kiedy w czasie bezkrólewia najwyższy dostojnik Kościoła sprawował w Polsce władzę.

Wprowadzenie na stanowisko Rady Regencyjnej nastąpiło uroczyste dnia 27 października 1917 w obecności przedstawicieli władz okupacyjnych i udziale prawie wszystkich sił politycznych i społecznych Królestwa, co miało również swoją wymowę. Na Zamku królewskim w Warszawie Rada Regencyjna złożyła przysięgę na „Boga... i Polskę” a w orędziu, jakie ogłosiła tego samego dnia stwierdziła, iż obejmuje władzę „za zgodą obu wielkich monarchów” podkreślając, iż chodzi o podwaliny pod niepodległe państwo „z mocnym rządem i własną siłą zbrojną”. Organami Rady Regencyjnej były: nowa Rada Stanu i rząd w postaci gabinetu i premiera, którym został, w pierwszym okresie, Jan Kucharzewski. Charakterystyczną rzeczą było to, że krytykowano niejednokrotnie gabinet a nie Radę Regencyjną, którą traktowano na ogół z szacunkiem, jako zwinstunkę powstającej państwowości polskiej.

Gabinet — któremu Autor poświęca najwięcej miejsca w swojej książce — składał się z następujących ministerstw: Sprawiedliwości, Wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Skarbu, Rolnictwa i dóbr koronnych, Spraw wewnętrznych, Przemysłu i handlu, Komunikacji, Spraw zewnętrznych, Spraw wojskowych (o zmiennych losach działania). Najbardziej samodzielne były dwa pierwsze ministerstwa, które stopniowo przejęły pełnię władzy w swoich resortach. Ministerstwo sprawiedliwości, wraz z całym aparatem urzędniczym, było później częścią składową instytucji sądownictwa po odzyskaniu niepodległości. Podobny wkład do życia odrodzonego państwa polskiego wniosło, w swojej dziedzinie, ministerstwo oświaty.

Warte zwrócenia uwagi są również stosunki Rady Regencyjnej z zagranicą. Nie doszło do bliższej współpracy Rady z Polskim Komitetem Narodowym w Paryżu. Rada Regencyjna żądała uznania przez komitet jej zwierzchnictwa, jako jedyne przedstawicielstwa Polski, a ze strony Komitetu oświadczono, że Rada może być uznana za organ zwierzchniczy jedynie Królestwa lecz nie całego kraju. Nawiązany natomiast został kontakt Rady z Watykanem, w wyniku którego do Warszawy przyjechał wysłannik papieski mgr. Achille Ratti, późniejszy nuncjusz w Polsce i papież Pius XI. Później Radę uznała Turcja i Bułgaria, a w Helsinkach był oficjalny przedstawiciel Rady uznany przez rząd fiński. Rada Regencyjna uznana była również przez Rosję i jej przedstawicielem był tam Aleksander Lednicki. Nadto posiadała w różnych miastach „placówki zagraniczne”, których zadaniem była obsługa informacyjno-prasowa i — zależnie od warunków — utrzymywanie kontaktu z

rządami poszczególnych krajów, spełniając również pomocniczą funkcję o charakterze konsularnym, polegającą głównie na interwencji w sprawach paszportowych. Placówki takie istniały w Bernie, w Sztokholmie, w Berlinie, w Sofii, w Wiedniu, w Hadze i w Konstantynopolu.

Dnia 7 października 1918 roku Rada Regencyjna wydała orędzie, w którym ogłosiła prawo narodu polskiego do własnej państwowości i suwerenności. Zrywając w ten sposób definitywnie z systemem ustrojowym, na jakim opierała się dotychczasowa jej działalność, przejęła całkowitą władzę, którą zamierzała przekazać demokratycznie wybranemu Sejmowi. Jednocześnie Rada Regencyjna czyniła starania o utworzenie rządu koalicyjnego, ale „stanęła wobec zadań, które przerastały jej możliwości”. W powikłanej wówczas sytuacji przybył z Magdeburga Józef Piłsudski. Dnia 11 listopada Rada Regencyjna mianowała Piłsudskiego naczelnym wodzem wojsk polskich i zaproponowała mu utworzenie rządu. Piłsudskiemu podporządkował się, bez większych oporów, tzw. „rząd lubelski”. Dnia 14 listopada Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu pełnię władzy cywilnej i tym aktem zakończyła przeszło rok istniejącą swoją działalność. Pod względem prawnym, przyjmując władzę z rąk Rady Regencyjnej, Piłsudski był jej spadkobiercą.

W omawianej książce Autor kładzie nacisk na wkład wniesiony przez Radę Regencyjną w budowę państwa polskiego, czemu też trudno zaprzeczyć po zapoznaniu się z jego pracą. Bezsprzeczna jest rzeczą, że na bazie centralnego aparatu, jaki zorganizowała Rada Regencyjna, zostały utworzone ministerstwa i inne urzędy administracji państwowej. Po odzyskaniu niepodległości, nowo mianowani ministrowie przejęli działające już resorty. Ciągłość w zakresie administracji, prawodawstwa i szkolnictwa odegrała dużą rolę w przejściowym zwłaszcza okresie po zakończeniu wojny, stanowiąc bazę wyjściową dla dalszego rozwoju państwa.

Autor podkreśla również trzeźwy realizm i bezinteresowność członków Rady Regencyjnej, której postawa była „aktem politycznej odwagi i „wyrazem poczucia odpowiedzialności za to, co na terenie Królestwa można było w danych warunkach uzyskać dla sprawy polskiej”, przypominając nado, że w praktyce Rada „nie samym tylko Królestwem była zainteresowana”. Negatywna ocena Rady Regencyjnej, jaką dość często spotyka się w opracowaniach historyków, jest zdaniem Autora błędna, gdyż nie oddaje stanu faktycznego. Książka, o której mowa, przyczyni się zapewne do bardziej obiektywnej oceny działalności Rady Regencyjnej. Szkoda jednak, że została wydana w małym nakładzie (400 egzemplarzy), bez indeksu nazwisk, no i że będąc reprodukcją maszynopisu jest mniej przejrzysta, co nie zmniejsza wartości jej treści.

Ciekawe byłoby studium porównawcze o warunkach odbudowy państwa polskiego w 1918 i w 1989 roku, napisane pod kątem widzenia skutków przeszło stuletniej niewoli z jednej strony i z drugiej — prawie półwiekowego panowania reżimu komunisty-

cznego, z przedstawieniem, w każdej z tych dwu odmiennych sytuacji, przygotowywanego podłoża na którym, po odzyskaniu niepodległości, organizowano naszą państwowość i życie naszego społeczeństwa.

Tadeusz WYRWA

Trzy Powstania Narodowe

Na rynku księgarskim ukazała się ostatnio wartościowa książka pod tytułem „Trzy Powstania Narodowe”. Autorami jej są znakomici specjaliści epoki: prof. Stefan Kieniewicz, prof. Andrzej Zahorski i prof. Władysław Zajewski (Książka i Wiedza, Warszawa 1992).

Nie ulega wątpliwości, że miłośnicy historii polskiej od dawna oczekiwali na takie syntetyczne dzieło. Faktem jest, że omawianie genezy przebiegu i znaczenia powstań kościuszkowskiego, listopadowego i styczniowego jest przedsięwzięciem udanym, celowym i pożytecznym. Książka zawiera piękne ilustracje, mapy i jest bardzo starannie wydana, co jest niewątpliwie zasługą redaktora tomu Władysława Zajewskiego. Dzieło to można porównać z całkowicie już wyczerpanymi pracami o podobnej tematyce, a zwłaszcza z pracami Kazimierza Bartoszewicza, Wacława Tokarza czy Augusta Sokołowskiego, oraz z syntetycznymi ujęciami Artura Śliwińskiego. Wprawdzie ukazały się ostatnio obszernie syntezы powstania listopadowego i styczniowego pod redakcją profesorów Zajewskiego i Kalembki, ale obecnie otrzymujemy syntezę zwięzłą. Należy przy tym podkreślić, że autorzy omawiają nie tylko samo powstanie ale dokonują szerokiego wprowadzenia w epokę na tle wydarzeń europejskich i przedstawienia całej epoki przedpowstaniowej. Pozostaje pytanie czy jest to już ostatnie słowo nauki polskiej w ocenie poszczególnych powstań czy też na pełną syntezę wypada jeszcze poczekać do chwili dokładnego przebadania archiwów polskich, rosyjskich i austriackich. Moim zdaniem jeżeli chodzi o ocenę stosunku mocarstw do powstania kościuszkowskiego należałoby wprowadzić pewne nowe uogólnienia na podstawie dotychczasowej analizy korespondencji dyplomatycznej z 1794 r.

Czytelnikowi współczesnemu po przeczytaniu książki ciśnie się na usta pytanie typu publicystycznego, dotyczące oceny polskich zrywów patriotycznych. Nasuwają się pewne analogie odnośnie postępowania przywódców Insurekcji, postawy Kościoła czy pewnej „nienawiści Polaków odnośnie ich rachub na pomoc Zachodu”. W związku z tym jakie wnioski winniśmy wyciągnąć z polskich powstań?

Autorzy omówili szereg kluczowych i zasadniczych zagadnień: genezę polskich powstań, przyczyny wybuchu, rolę społeczną i polityczną poszczególnych warstw społecznych w powstaniach, główne źródła klęski — wewnętrzne czy zewnętrzne. Nasuwa się oczywiście retoryczne pytanie czy lepszy był zdrowy rozsądek czy heroizm. Trzeba przyznać, że znakomity jest wstęp redaktora tomu podkreślający wspólną nić między tym co stało się w 1794 r., w 1830/31 i w 1863 a datą 11 listopada 1918 roku.

Za niezwykle cenne w powyższej pracy uważam porównania między trzema powstaniami w poszczególnych fazach ich rozwoju. Kiedyś Joachim Lelewel porównał powstanie Kościuszki z listopadowym. Później prof. Józef Dutkiewicz powstanie listopadowe ze styczniowym. Wprawdzie wiemy że powstanie styczniowe było najbardziej beznadziejnym i tragicznym, ale i listopadowe, które miało największe szanse, zupełnie inaczej wyglądało na początku działań kiedy był olbrzymi entuzjazm, a zupełnie inaczej pod koniec powstania, kiedy widmo klęski zbliżało się do Warszawy.

Warto przy omawianiu tego dzieła przytoczyć wypowiedź prof. Kieniewicza w czasie obchodów 100-nej rocznicy powstania styczniowego. Na pytanie o sens powstania znakomity uczoney powiedział: „Stworzyło ono społeczne i narodowe warunki, które określiły współczesny charakter narodu, zadecydowały o jego kształcie, umożliwiły przyszłe odzyskanie niepodległości”. Książd prof. Żywczyński powiedział, że „powstanie styczniowe przekreśliło mistycyzm Polaków”. Na pewno mistycyzm tak, ale nie naiwność. Faktem jest, że we wszystkich powstaniach naród bronił swej godności.

Przed laty jeden z najwybitniejszych znawców powstania styczniowego, prof. Henryk Wereszycki, powiedział, że „naród polski potrafi przetrwać każdą klęskę i uczynić z niej zaczyn późniejszego zwycięstwa”. Moim zdaniem autorzy powyższego tomu byli wierni tej jego głębokiej myśli.

W swoim czasie za najlepszego historyka trzech powstań uchodził Wacław Tokarz. Jego prace oparte na bardzo bogatej bazie archiwalnej stały się podstawą do dalszych wartościowych badań. Powstaje pytanie w jakim stopniu dwaj pierwsi autorzy uzupełnili monografię Tokarza dotyczące powstania kościuszkowskiego i listopadowego. Wydaje się, że prace Tokarza dotyczące nastrojów w Warszawie w przeddzień wybuchu Insurekcji pozostaną nadal niedoścignionym wzorem.

W niniejszej pracy są pewne drobne pomyłki, które powinno się usunąć w następnym wydaniu. Przykładowo na str. 36 jest mowa o pokoju turecko-rosyjskim zawartym w maju 1792 roku. Jak wiadomo powinno być w styczniu. To samo dotyczy błędnie podanej daty bitwy pod Neerwinden (18.III.1792 r., str. 26). Również opowiadałbym się by stosować terminologię jaką przyjął Wacław Tokarz. Przykładowo na str. 54 jest mowa o armii Chruszczowa. A powinno być raczej o oddziale a nie o armii. Wiele kontrowersji budzi fragment książki w którym prof. Zahorski

omawia nowe prace historyków poświęcone powstaniu. Uważam, że całkowite pominięcie prac Jana Pachonńskiego a powoływanie się na inne w wielu wypadkach drugorzędne nie jest w pełni uzasadnione. Jeżeli chodzi o syntezę dokonaną przez Władysława Zajewskiego to przyznać należy, że zarówno w sprawach wewnętrznych jak i zagranicznych dał pełniejszy obraz niż dokonał tego Wacław Tokarz. Może zagadnienia militarne wypadły stosunkowo bardziej blado od spraw wewnętrznych w których Autor porusza się po mistrzowsku. Drobne błędy jak np. ten na str. 167 o śmierci Aleksandra I 1826 nie są oczywiście winą Autora podobnie jak niedokładna data pod zdjęciem Cera Mikołaja I.

Pracę prof. Kieniewiczza trudno porównywać z dawnymi pracami innych historyków gdyż jego ponad pół wieku pracy nad tym tematem i przełamanie wszystkich dostępnych źródeł archiwalnych mówi samo za siebie. Prof. Kieniewicz włączył umiejętnie do swojej syntezy osiągnięcia badawcze prof. Wereszyckiego i Feldmana dotyczące „stosunku mocarstw do powstania styczniowego”.

Henryk KOCÓJ

Nadesłane nowości wydawnicze

- Posłaniec serca Jezusa. Jubileusz 75-lecia.* Str. 152. (Wyd. OO. Jezuici, Chicago, 1992).
- Ars Regia*, rok I, nr 1. Czasopismo poświęcone myśli i historii wolnomularstwa. Str. 184. (Wyd. „Klio”, Warszawa 1992).
- Polacy w Szwecji po II wojnie światowej.* Materiały z sympozjum. Str. 72. (Wyd. Kongres Polaków w Szwecji, Sztokholm 1992).
- Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności.* Tom LV, Kraków 1991, str. 48.
- BLOCH (Krzysztof). *Chińskie wakacje.* Wiersze. Str. 64. (Wyd. „Via”, Sztokholm 1991).
- RATAJCZAK (Józef). *Spisane z murów.* Wiersze. Str. 64. (Wyd. Anagram-Fundacja Sztuki, Warszawa 1991).
- NOWICKI (Marek). *Międzynarodowa ochrona praw mniejszości narodowych i etnicznych.* Str. 40. (Wyd. Komitet Helsiński w Polsce, Warszawa 1992).
- Odpowiedź miłości.* Część I: Jan Paweł II — *Litania do serca Jezusa. Jej głębia.* Część II: F.J. Power SI — *Serce Jezusa symbolem miłości Boga.* Str. 208. (Wyd. Posłaniec Serca Jezusa, Chicago 1991).
- Tropem zbrodni stalinowskich. Materiały ogólnopolskiego sympozjum „Zbrodnie stalinowskie wobec Polski”,* Chańcza 5-7 października 1990. Red. dr med. Maciej Andrzej Zarębski. Str. 184. (Wyd. Staszowskie Tow. Kulturalne, Staszów 1992).
- KULWICKI (Eugeniusz). *Ocalić od zapomnienia.* 47 i 5 nlb. (Wyd.

- Biblioteka Staszowska, Staszów 1992).
- WRÓBLEWSKI (Andrzej). *Być Żydem... Rozmowa z Dagiem Halvorsenem o Żydach i antysemityzmie Polaków.* Str. 260. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- KOWALCZYK (Roman). *Łódzki strajk.* (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- Proces o uprowadzenie i zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki. Część I: Wyjaśnienia oskarżonych. Akt oskarżenia przeciwko generałom W. Ciastoniowi i Z. Płatkowi.* Str. 472. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- KERSTEN (Krystyna). *Polacy — Żydzi — Komunizm. Anatomia półprawd 1939-68.* Str. 188. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- FINKIELKRAUT (Alain). *Porażka myślenia.* Przeł. Maryna Ochab. Str. 140. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- DOMENACH (Jean-Marie). *Europa: wyzwanie dla kultury.* Przeł. Hanna Sikorska. Str. 120. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- BERLAND (Marian). *Dni długie jak wieki.* Str. 460. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- SAPKOWSKI (Andrzej). *Miecz przeznaczenia.* Str. 368. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- UHNAC (Dorothy). *Falszywy świadek.* Przeł. Zofia Uhrynowska-Hanasz i Marian Hanasz. Str. 288. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- ARCHER (Jeffrey). *Kołczan pełen strzał.* Przeł. Danuta Sękalska i Anna Brzezińska. Str. 188. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- BOCHENSKI (Jacek). *Tabu.* Str. 104. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- BATKO (Zbigniew). *Okno.* Str. 240. (Wyd. NOWA, Warszawa 1992).
- ZAREMBA (Paweł). *Historia Stanów Zjednoczonych.* Str. 400. (Wyd. Bellona, Warszawa 1992).
- BERBERYUSZ (Ewa). *Andersz spieszony.* Str. 240. (Wyd. Aneks, Londyn-Warszawa 1992).
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Tamci.* Str. 188 i 4 nlb. (Wyd. Alfa, Warszawa 1992).
- Wspomnienia Sybiraków 6.* Str. 363 i 5 nlb. (Wyd. Związek Sybiraków, Warszawa 1992).
- KEANE (John). *Media a demokracja.* Przeł. Elżbieta Petrajtis-O'Neill. Str. 134. (Wyd. Aneks, Londyn-Warszawa 1992).
- Polonica zagraniczne — bibliografia 1979.* Opr. Wanda Rogozińska i Helena Olszewska. Str. 292. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1991).
- CZAJKOWSKI (Michał, ks.). *Lud Przymierza.* Str. 128. (Wyd. Biblioteka Wiezi, Warszawa 1992).
- SŁOMIANOWSKI (Andrzej). *Jak Misia umierała.* Str. 87 i 7 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn-Warszawa 1992).
- PRZEBINDA (Grzegorz). *Włodzimierz Sołowjow wobec historii.* Str. 250. (Wyd. Arka, Kraków 1992).
- Bibliografia polska 1901-1939.* Tom 2: *Bart-Bok.* Str. 688. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1992).
- MUSIAŁ (Grzegorz). *Smak popiołu.* Wiersze. Str. 64. (Wyd. Oddział Bydgosko-Toruński Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 1992).
- SMITH (Gordon). *Życie polityczne w Europie Zachodniej.* Przeł. Ludwik Dorn. Str. 459. (Wyd. Puls, Londyn-Warszawa 1992).
- ZIEMBIŃSKI (Zygmunt). *O poemacie sprawiedliwości.* Str. 200. (Wyd. Daimonion, Lublin 1992).
- OSSOWSKA (Maria). *Wzór demokracji.* Str. 56. (Wyd. Daimonion, Lublin 1992).
- SCHWEITZER (Albert). *Moje życie.* Str. 80. (Wyd. Daimonion, Lublin 1992).
- STEFANOWSKI (Roman). *PPS 1892-1992.* Str. 206. (Wyd. Książka i Prasa, Warszawa 1992).
- BAŁABAN (Majer). *Żydowskie miasto w Lublinie.* Str. 136. (Wyd. FIS/Marek Gacka, Lublin 1992).
- Bruno Schulz in *memoriam. 1892-1992.* Opr. Małgorzata Kitowska-

- Lysiak. Str. 242. (Wyd. FIS, Lublin 1992).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Upiory rewolucji*. Opr. Zdzisław Kudelski. Str. 344. (Wyd. FIS, Lublin 1992).
- Katyni — dokumenty ludobójstwa. Dokumenty i materiały archiwalne przekazane Polsce 14 października 1992 r.* Str. 184. (Wyd. PAN, Warszawa 1992).
- Polonica zagraniczne, bibliografia 1981.* Str. 244. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1992).
- PROROK (Jan). *Skazani na zagładę. Wspomnienia z lat 1939-1945*. Str. 284. (Wyd. Polskie Tow. Ludoznawcze, Wrocław 1992).
- Zeszyt pamięci o Stanisławie Wygodz-kim*. Red. Krystyny Bernard. Str. 128. (Wyd. staraniem przyjaciół, Tel-Aviv 1992).
- BRANDYS (Marian). *Moje przygody z wojskiem*. Str. 216 i 8 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1992).
- PARANDOWSKI (Jan). *Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian*. Str. 320 i ilustracje. (Wyd. Puls, Londyn 1992).
- ZORNY (Zygmunt). *Bajka o wolnym rynku*. Str. 72. (Wyd. ZO, Warszawa 1992).
- KLEMPERER (Victor). *Lingua Ter-tii Imperii. Notatnik filologa*. Przeł. Magda Stroińska. Str. 262. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1992).
- LIZAKOWSKI (Adam). *Współczesny prymitywizm. Wiersze i poematy 1986-1992*. Str. 96. (Wyd. Grupa Poetycka Niezapłacony Rent, Chicago 1992).
- BOCIAN (Marianna). *Gnoma*. Str. 98. (Wyd. Astrum, Wrocław 1992).
- ...opiewam nowoczesnego człowieka. Antologia poezji amerykańskiej*. Wybór i opracowanie Julia Hartwig i Artur Międzyrzeczki. Str. 446. (Wyd. RePrint i Res Publica, Warszawa 1992).
- KORDASIEWICZ (Bogudar). *Jednostka wobec środków masowego przekazu*. Str. 256. (Wyd. PAN, Ossolineum Wrocław-Warszawa-Kraków, 1991).
- Kronika miasta Poznania*. Kwartalnik wydawany na zlecenie Rady Miejskiej Poznania. Numer nie podany. Str. 210. (Poznań 1992).
- Dlaczego Herbert? Wiersze i komentarze*. Str. 112. (Wyd. Katedra Literatury Romantyzmu i Literatury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1992).
- PORAZIŃSKA-JANIK (Wanda). *Zamyślenie*. Str. nlb. (Wyd. ALWA, Kraków 1991).
- JANIK (Aleksander). *Kłopoty z kruszeniem betonu*. Str. 164. (Wyd. ALWA, Kraków 1991).
- STEMPOWSKI (Jerzy). *W dolinie Dniestru. Listy o Ukrainie*. Str. 350. (Wyd. LNB, Warszawa 1992).
- GOGOLEWSKI (Edmond, red.). *Les ouvriers polonais en France après la seconde guerre mondiale. Actes du colloque de Lille, 26-27 octobre 1989*. Str. 242 i 6 nlb. (Wyd. Revue du Nord, Lille 1992).
- MICKIEWICZ (Adam). *Sonnets de Crimée suivi de Sonnets d'amour et autres textes*. Przeł. Roger Legras. Str. 128. (Wyd. Orphée La Différence 1992).
- Les éditions clandestines en Pologne communiste, 1976-1990*. Textes réunis par Claudio Fedrigo et Jacek Sygnarski. Str. 233 i 3 nlb. (Wyd. Bibliothèque Cantonale et Universitaire Fribourg, Szwajcaria).
- CZAKAŃSKI-SPODEK (Piotr). *Pierrot i arlekin*. Str. 136. (Wyd. Kleks, Bielsko-Biała 1991).
- FREDRO (Aleksander). *Sans queue ni tête*. Z polskiego przeł. Elisabeth Destrée-Van Wilder. Str. 211 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).
- HAUPT (Zygmunt). *L'Anneau de papier*. Z polskiego przeł. Alain Van Crugten i Elisabeth Destrée-Van Wilder. Str. 347 i 5 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1992).
- GOZMAN (Leonid), ETKIND (Alexander). *The Psychology of Post-Totalitarianism in Russia*. Przeł. z

- rosyjskiego Roger Clarke. Str. 121 i 3 nlb. (Wyd. Centre for Research into Communist Ideologies, Londyn 1992).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. XV, nr 3/4, December 1991, Str. 463 i 7 nlb. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge MA, USA 1992).
- ZAMOYSKI (Adam). *The Last King of Poland*. Str. 554. (Wyd. Jonathan Cape, Londyn 1992).
- Deutsch-Polnische Ansichten zur Literatur und Kultur, Jahrbuch 1991*. Str. 336. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1992).
- Oberschlesisches Jahrbuch 1991*. Str. 352. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1991).
- Osiedle Gedenktage 1992*. Str. 296. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1991).
- LUDAWSKA (Janina). „Emellan oss”. *Om de svenska uppsätningarna av Witold Gombrowicz "Vigseln"*. Str. 268. (Wyd. Institutionen för Teater och filmvetenskap, Sztokholm 1991).
- Bollettino di studi italiani, numero speciale. Laudatio Bononiae. Atti del Convegno storico italo-polacco svoltosi a Bologna dal 26 al 31 maggio 1988 in occasione del Nono Centenario dell' Alma Mater Studiorum*. A cura di Riccardo Casimiro Lewanski. Str. 610 i ilustracje. (Wyd. Università degli Studi di Bologna in collaborazione con L'Instituto Italiano di Cultura in Varsavia, 1990).
- HERLING (Gustaw). *Diario scritto di notte*. Przeł. Donatella Tozzetti. Str. 270. (Wyd. Feltrinelli, Mediolan 1992).
- BISIGNANI (Luigi). *Nostra Signora del KGB*. Str. 266 i 8 nlb. (Wyd. Rusconi, Mediolan 1992).
- WOS (Jan Władysław). *Fonti per la storia della nunziatura polacca di Annibale di Capua (1586-1591)*. Str. 380. (Wyd. Università degli Studi di Trento Dipartimento di Scienze Filologiche e Storiche, Trento 1992).
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*, vol. XXIV - 1990. Str. 563. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Turyn 1991).

Wolna trybuna

O lustracji

Na wstępie tych kilku uwag na temat lustracji pragnę zaznaczyć, iż nie jestem specjalistą w dziedzinie pracy policji tajnej czy jawnej ani nawet administracji państwowej. Z wykształcenia jestem przyrodnikiem i historykiem nauki, a nie prawnikiem czy politykiem. Akta służby bezpieczeństwa, fragmentaryczne (choć zawierające kilka tysięcy dokumentów) widziałem w swoim życiu tylko raz. Miało to miejsce w 1981 roku, gdy poznańska Solidarność w dość tajemniczy sposób zdołała uzyskać oryginały policyjnych dokumentów archiwalnych dotyczących walk w czerwcu 1956 roku. Od kilku już lat mieszkam na Zachodzie, moja wiedza na dyskutowany temat oparta jest wyłącznie na publikacjach prasy polskiej (docierającej do mnie bardzo fragmentarycznie), rozmowach z przyjaciółmi z kraju, komentarzach (jakże rzadkich) prasy francuskiej. Zdaję sobie sprawę ze złożoności i bardzo delikatnej natury tego problemu. Zresztą najlepiej o tym świadczą kłopoty Niemców z aktami STASI, gdzie przecież w przeciwieństwie do Polski istnieje znakomicie zorganizowana, służąca już czterdzieści lat demokratycznemu państwu administracja i policja. Dzięki rozliczeniu się z „brunatną przeszłością” ma ona w dodatku duże doświadczenie w tego typu sprawach. Rozumiem także, iż pozostawione dokumenty są niekompletne, być może częściowo sfałszowane. Zgadzam się wreszcie z tymi, którzy uznają, że pochopne ogłoszenie zawartości tych akt może doprowadzić do krzywdy wielu niewinnych ludzi. Z drugiej strony rozumiem i w pewnej mierze podzielam uczucie rozgoryczenia tych wszystkich Polaków, którzy przez lata istnienia PRL byli wskutek działalności SB represjonowani czy choćby stanowili w swoim własnym kraju kategorię obywateli (czy raczej poddanych) pośredniej kategorii. Każdy kto miał życiowego pecha urodzić się w części świata kontrolowanej przez komunistów wie, że działanie policji politycznej to

nie tylko donosy czy krwawe represje, ale także codzienne, uporczywe nękanie wszystkich tych, którzy nie są przez ową policję traktowani jako „godni zaufania”. Nękanie polegające na niemożliwości uzyskania mieszkania (a w tym systemie wszystkie mieszkania są w praktyce państwowe), zakazie wyjazdu zagranicznego, niszczeniu kariery zawodowej czy dyskryminacji (także finansowej) w miejscu pracy.

Zdecydowałem się zabrać głos w dyskusji na temat archiwów służby bezpieczeństwa wyłącznie w celu zwrócenia uwagi na kilka aspektów lustracji, zazwyczaj pomijanych w docierających do mnie wypowiedziach członków *establishment*'u władzy. Pierwszy z nich to sytuacja obywatela w państwie prawa, a sytuacja obywatela w RP. Przedstawiciele pierwszego niekomunistycznego rządu Tadeusza Mazowieckiego, włącznie z odpowiedzialnym za resort spraw wewnętrznych ministrem Kozłowskim, zapewniali społeczeństwo o konieczności nieujawniania przejętych archiwów, a także o tym, że pozostaną one tajemnicą państwową, analizowaną co najwyżej przez powołanych przez państwo specjalistów i co za tym idzie, ich treść nie będzie używana w politycznej grze przez żadne z ugrupowań. Tymczasem już w trakcie kampanii prezydenckiej informacje pochodzące z archiwów tajnej policji zostały wykorzystane przeciwko Tymieńskiemu. Nie jestem i nie byłem zwolennikiem Tymieńskiego, gwoli uczciwości należy zauważyć, że to nie on, lecz jego przeciwnicy zabiegali o utajnienie policyjnych dokumentów. W chwili zagrożenia (realnego lub wymyślanego) swojej pozycji nie zawahali się przed użyciem „teczek” (wykorzystując w dodatku swoje powiązania służbowe!). W ten sposób złamany został precedens nieujawniania tych dokumentów, upadł także mit o ich doskonałym zabezpieczeniu i niestosowaniu przez żadną z grup w politycznej grze. W dodatku naruszona została jedna z najbardziej elementarnych zasad praworządności, tzn. zasada równości obywateli wobec prawa, skoro jedni kandydaci są weryfikowani, a inni nie, skoro jedni mają dostęp do „tajemnicy państwowej”, a inni nie. Związane jest to zapewne z jakże niepokojącym przekonaniem „nowych elit” o ich wyjątkowości, może nawet wyższości wobec maluczkich, a co za tym idzie pogardą dla reszty społeczeństwa i zupełnym nieliczeniem się z opinią publiczną. W praworządnym kraju polityk (a nawet zwykły, szary obywatel) oskarżony przez prasę o współpracę z wywiadem obcego kraju, policją państwa totalitarnego, udział w aferze łąpówkarskiej, roztrwonienie funduszy społecznych, wykorzystywanie stanowiska dla celów prywatnych, narażanie bezpieczeństwa państwa lub jego obywateli albo wytacza proces o zniesławienie „pomawiającym” albo podaje się do dymisji, a zazwyczaj staje się dodatkowo przedmiotem dochodzenia policyj-

nego. Banałem jest twierdzenie, że w Polsce nic takiego po prostu nie istnieje. Zapewne ta patologiczna sytuacja trwać będzie tak długo, aż nie zostaną stworzone mechanizmy kontroli władzy. Dla mnie punktem zwrotnym stanie się moment, w którym pierwszą obowiązującą wszystkich zasadą osób pragnących sprawować funkcje społeczne lub państwowe będzie obowiązek publicznego ogłoszenia deklaracji podatkowej, uwzględniającej wszystkie dochody zainteresowanego.

Jedną z gwarancji wolności obywatelskiej w Zachodniej Europie i Ameryce Północnej jest możliwość sprawdzenia przez obywatela zawartości danych dotyczących jego osoby w policyjnych kartotekach. We Francji dotyczy to także cudzoziemców. Gdy przed kilkanaście laty ubiegałem się o przyznanie mi azylu politycznego, na wypełnionym formularzu zapytywano mnie o zgodę na umieszczenie mnie w informatycznej ewidencji i informowanie o możliwości sprawdzenia jej zawartości. O ile rozumieniem wątpliwości wobec ujawnienia akt SB, o tyle zupełnie nieuzasadnione wydaje mi się negowanie możliwości zapoznania się z zawartością swojej teczki przez osobę zainteresowaną. Fakt, że treść archiwów znana jest byłym funkcjonariuszom SB, kolejnym funkcjonariuszom państwowym po 1989, części prasy (praktycznie w każdym numerze *Nie Urbana* znajdują się informacje pochodzące z tek policyjnych), wywiadowi sowieckiemu (czy jak on się teraz nazywa), policji niemieckiej (przez dostęp do archiwów *Stasi*), a nieznana zainteresowanej osobie, wydaje mi się dość dziwny. Sytuacja, w której dzielić się będzie obywatele na równych i równiejszych (także ze względu na dostęp do informacji) może doprowadzić do tego, że znaczna część społeczeństwa uzna RP za państwo niepraworządne, reprezentujące interes jedynie wąskiej grupy jego mieszkańców. Sytuację taką uważam za jedno z najważniejszych zagrożeń dla niepodległości naszego kraju.

Z problemem częściowego ujawnienia archiwów tajnej policji związane jest zagadnienie bezpieczeństwa państwa. Nie posiadam ani niezbędnych danych, ani przygotowania zawodowego, aby wypowiadać się w sposób kompetentny na ten temat. Uważam jednak za niezbędne przeprowadzenie analizy policyjnych dokumentów i podanie do publicznej wiadomości jej rezultatów. Z wielu względów konieczne jest przynajmniej udzielenie odpowiedzi na kilka jakże ważnych dla przyszłości Polski pytań. Czy w aktach SB znajdują się dokumenty na temat przygotowania przekształceń własnościowych w Polsce? Czy coś wiadomo na temat działalności byłej SB po 1989 roku i ewentualnym wpływie jej agentów na politykę państwa? Co wiadomo na temat powiązań SB z KGB? Czy i w jaki sposób SB przygotowywała się do oddania władzy i ewentualnego zabezpieczenia swojej

przyszłości? Co wiadomo na temat powiązań SB z sowiecką i polską mafią? Co dokładnie wiadomo na temat polskiego długu i transferów pieniędzy za granicę? Czy akta zawierają informacje na temat udziału PRL-owskiej policji w produkcji i przemyśle narkotyków? Czy w dokumentach znajdują się informacje na temat systematycznie kradzionych przez komunistów dzieł sztuki? Sprawiedliwość wobec ofiar i prawda historyczna wymagają także ujawnienia wszystkich dokumentów mających związek z represjami pomiędzy 1944 a 1989 rokiem.

Jednym z ważnych problemów nieodłącznie związanych z tajnymi dokumentami jest zagadnienie działalności PRL-owskich służb specjalnych poza granicami Polski. Problem ten także wymaga dokładnej analizy, tym niezbędniejszej, że część prasy próbuje dokonać swoistego rodzaju rehabilitacji PRL-owskiego wywiadu. Próba ta oparta jest na usiłowaniu wmówienia opinii publicznej, że wywiad PRL pomimo powiązań z KGB był faktycznie od niego niezależny, a także, że reprezentował on jakąś polską rację stanu. Obrońcy komunistycznych służb szpiegowskich usiłują także przekonywać, że jakkolwiek refleksja na temat działalności tych służb jest sprzeczna z interesem niepodległej Polski. Niektórzy posuwają bezczelność nawet do zestawiania pracy wywiadowców Drugiej Rzeczypospolitej i PRL. Nawet bez dostępu do supertajnych akt, wyłącznie poprzez analizę informacji ogólnie dostępnych, zawartych w popularnych pracach jak choćby „KGB we Francji” Thierry Woltona czy prasie codziennej w Polsce, możemy dowiedzieć się o celach niektórych operacji Jamesa Bonda *à la* PRL. Jakież to więc były owe „zgodne z polską racją stanu” sukcesy wywiadu PRL? Kradzież części elementów elektronicznych do amerykańskich rakiet przez Zacharskiego (rekompensata: medal z rąk samego Andropowa, przyjaciela Polski i Węgier, znanego demokraci), udział w uprowadzaniu (mordowaniu?) emigrantów z Europy Wschodniej (wymienić wystarczy rosyjskiego pisarza i działacza emigracyjnego Aleksandra Trusznowicza, uprowadzonego i wywiezionego w samochodach będących własnością Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie), wieloletnia inwigilacja ośrodków polskiej emigracji, zorganizowanie szeregu włamań i mordów rabunkowych w Zachodniej Europie („operacja żelazo”). Przytoczone przykłady, będące zresztą zaledwie czubkiem góry lodowej działalności szpiegów PRL, wystarczą w zupełności aby zrozumieć, że oba twierdzenia, tzn. rzekoma autonomia i reprezentowanie polskiego interesu przez wywiad PRL, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Oświadczenia generała Kiszczaka o ochronie przez wywiad polskiej myśli technicznej (zapewne Fiata 126) czy o zdobywaniu technologii dla przemysłu farmaceutycznego (zapewne wzoru chemicznego aspiryny) świadczą wyłącznie o

dużym poczuciu humoru generała. Rozumiem, iż administracja RP w imię jakiejś nieznannej mi racji stanu zdecydowała się „przejść” zagraniczne służby specjalne PRL. Polityka, a w szczególności ta związana z działaniami niejawnymi, zazwyczaj ma niewiele wspólnego z uczciwością czy moralnością. Chciałbym jednak wiedzieć, czy istnieje jakkolwiek system kontroli tych służb. Pragnąłbym mieć także pewność, że byli agenci wywiadu PRL (a obecnie RP) nie biorą już udziału w „cichej wojnie” przeciwko demokracjom zachodnim (jest to zresztą jeden z podstawowych warunków powrotu Polski do wolnego świata). Absurdalna sytuacja, o której dowiedziałem się z polskiej prasy, że ówczesny rząd premiera Olszewskiego nie miał możliwości nie tylko kontrolowania tej służby, ale nawet dostępu do informacji na jej temat, napawa mnie przerażeniem. Jeżeli rząd polski nie ma możliwości zapoznania się z pracą swojego własnego wywiadu, to należy postawić pytanie, dla kogo służby te pracują. Na swoje własne konto? Dla centrali w Moskwie? Dla jakiejś bliżej nieokreślonej grupy w Polsce?

Tych kilka uwag proszę potraktować jako głos w dyskusji nad przyszłością policyjnych archiwów. Chciałbym podzielić się z *Kulturą* wątpliwościami i niepokojem o przyszłość jakże ciągle kruchej i niepewnej polskiej niepodległości.

Piotr DASZKIEWICZ

Fundacje, pożyteczne grzesznice

Fundacje, czyli magma

Odkąd Polska weszła na drogę pożytecznych reform, nie tylko kulturze zabrakło pieniędzy, lecz ona właśnie ulega szczególnej degrengoladzie. Przecież do państwowej kasy pchają się też służba zdrowia, oświata z nauką, opieka socjalna itd., a ich potrzeby są społecznie pilniejsze. Kultura pokornie czeka na dalekim miejscu w kolejce do coraz szczuplejszych dotacji; jej żalotne kwilenie nie wyprowadzi ludzi na ulicę. Ministerstwo Kultury i Sztuki straciło rację bytu, o ile ją miało kiedykolwiek. Jako instytucja realizująca „politykę kulturalną” wedle dyrektyw

partii — zgłosi na szczęście definitywnie; jako dobry wujaszek dla pisarzy, artystów i działaczy „na niwie” schodzi do statusu pośredniego między Hiobem a Harpagonem. Jest tak dalece zbędne, że wszyscy zapomnieli, iż brakuje w nim ministra, zaś nazwisko zastępującego go wiceministra nikomu się z niczym nie kojarzy.

Jałmużnikiem kultury — i innych ubożających segmentów życia społecznego — stały się fundacje. Mnożą się jak grzyby po deszczu. Nikt nie wie, ile ich właściwie jest — oprócz Sądu Rejestrowego, którego rola kończy się na wpisie do rejestru. W końcu 1991 roku figurowały w nim 1.954 fundacje, ale jedynie 538 miało REGON, czyli istniało w świadomości Głównego Urzędu Statystycznego. Jeszcze gorzej w urzędach wojewódzkich. W lubelskim usadowiło się 59 fundacji, a wojewoda wiedział o ośmiu. Rekord ustanowił Kraków; działały tam 133 fundacje, zaś Urząd Wojewódzki miał dokumentację... jednej.

Obecnie fundacji jest ponad dwa i pół tysiąca, w tym co dziesiąta zalicza się do „kulturalnych”. Ile z nich naprawdę coś robi, aby nie upadały biblioteki, nie gasły czasopisma, nie rozsypywały się zespoły teatralne i muzyczne, nie zdychały ośrodki kultury na prowincji? Na to pytanie nikt, nawet NIK, nie zna odpowiedzi. Pewną orientację NIK jednak posiadał, dzięki wyrывkowej kontroli prowadzonej przez sześć miesięcy na przełomie 1991-92 roku. Objęła ona 117 fundacji różnego rodzaju, tj. próbkę sześcioprocentową.

Z lektury pokontrolnej Informacji NIK wynika, że większość fundacji jest nimi tylko z nazwy. Korzystając ze środków państwowych bogacą się w nich osoby całkiem prywatne. Kontrola gospodarowania fundacji w praktyce nie istnieje, choć często są one ukrytymi przedsiębiorstwami zarobkowymi, unikającymi podatków — bo chronionymi przez rzekome „cele statutowe” — a nawet nie troszczącymi się o rachunkowość. A do tego — cytat — „W wielu fundacjach większą część posiadanych środków przeznaczano na utrzymanie samych fundacji, a w minimalnej części na cele statutowe”.

Pierwsze uderzenie

Trudno się dziwić prasie, że gdy dostała do rąk taki kasek — z pieczęcią Najwyższej Izby Kontroli — żurnaliści ze szwungiem rzucili się do natarcia; zwłaszcza zaś żurnalistki, szczególnie na krzywdy kultury wyczulone i zadzierzyste.

Jeszcze wcześniej zresztą, przed kontrolą NIK, jako Pierwsza Harcownicza wystąpiła p. Alina Grabowska, i to na łamach *Kultury* (nr 9/1991) w dramatycznym artykule „Nomenklatury mutant”. Zasłużona demaskatorka nie zostawiła suchej nitki na Funduszu Kultury Polskiej, wszelako w jej werdykcie za-

brakło faktograficznej precyzji. Np. sugerowała, że niemieccy sponsorzy ze „Spielmotor München” nie byli świadomi, z kim właściwie wchodzi w parantele, organizując (bardzo udany) „Dialog z Polską”, wielowątkową imprezę międzynarodową w lipcu 1991 roku; myśleli nieboraczkowie, że ich partnerem jest czysta ideologicznie Fundacja Kultury pani Izabelli Cywińskiej, a popadli w sidła zbliżonej nazwą Fundacji Kultury Polskiej, pochodzącej z nieprawego łoża komunistycznego!

Sęk w tym, że FKP związała się ze „Spielmotor” dwa lata wcześniej, niż pani Cywińska powołała swoją fundację...

To drobiazg, powiedzmy. Pomińmy też zarzut p. Grabowskiej, iż mianowicie FKP powołuje się na swą opiekę nad Biblioteką Polską w Paryżu, a ta ostatnia nic o takiej opiece nawet nie wiedziała. Tutaj Grabowska ma o tyle rację, że Biblioteka Polska z przyczyn bodajże ideowych nie przyjęła oferty pomocy, w postaci prac remontowych, złożonej przez FKP.

Jądro zarzutów p. Grabowskiej dotyczy jednak kwestii personalnych: że wśród członków-założycieli Fundacji Kultury Polskiej, utworzonej w 1987 roku, figurowało 15 osób, które wymieniła z nazwiska („i inni...”), związanych z reżimem komunistycznym; niektóre z nich zapisały się szczególnie w pamięci. To fakt. Tyle, że ów pryncypialny argument traci na ostrości, jeśli się weźmie pod uwagę, że członków-założycieli było pierwotnie 134, a obecnie na liście (wraz ze zmarłymi) jest ich 219. Są wśród nich m.in. Magdalena Abakanowicz, Ewa Demarczyk, Stefan Gierowski, Aleksander Gieysztor, Tadeusz Kantor, O. Mieczysław Krąpiec, Gerard Labuda, Daniel Olbrychski, ks. Janusz Pasierb, Beata Tyszkiewicz, Mira Zimińska, Teresa Żylis-Gara i mnóstwo innych ludzi kultury, nie należących na ogół do czołówki opozycjonistów, ale też nie podejrzewanych o to, że są sługusami reżimu. Co więcej, samo powstanie FKP, choć niewątpliwie miało podtekst „manipulacyjny” — żeby rozmiękczyć front odmowy i odciągnąć znanych artystów od kół dysydencjki — było oczywistym efektem naporu opozycji na władzę totalitarną, która już czuła, że musi pójść na koncesje wobec kręgów niezależnych. Podobnych inicjatyw w owym czasie było więcej, a wszystkie stanowiły kropelki drażące głaz marksistowski. W rok później doszło do Okrągłego Stołu, przy którym także zasiadali członkowie PZPR. Procesy historyczne mają tę cechę, dojrzejwią etapami. Tylko młodociani hurrarewolucjoniści oraz Prawdziwi Polacy sądzą, że Okrągły Stół był li-tylko perfidną manipulacją komuchów i niczym więcej; to samo, na małą skalę, dotyczy inicjatorów powołania FKP, czyli oddania przeciwnikowi czegoś, żeby coś zachować dla siebie. Taka taktyka kończy się zazwyczaj utratą prawie wszystkiego. Co też nastąpiło, i świetnie.

Drugi nurt pretensji p. Grabowskiej dotyczy źródeł finansowania FKP; domniemuje też, że z jej środków korzystały osoby prywatne, a w działalności fundacji zaangażowane. Ten rozbudowany wątek wystarczy skwitować faktem, że kontrola NIK, zakończona 3 lipca 1992 r. dokumentem na 30 gęstych stronach, nie zawiera ani jednej uwagi krytycznej pod adresem badanej fundacji, przyjmuje jej sprawozdania, nie kwestionuje żadnej z asygnowanych przez FKP donacji. A także stwierdza, że członkowie Rady i Zarządu Fundacji „nigdy nie pobierali żadnych świadczeń pieniężnych i czynności statutowe Fundacji wykonywali wyłącznie społecznie”.

Alina Grabowska napisała stanowczo: „Nikt nie wie na co poszły pieniądze z uprzywilejowanej działalności gospodarczej i ze źródeł państwowych”. Otóż FKP co pół roku ogłasza Kalendarium, w którym zawarte jest rozliczenie finansowe; czemu Pierwsza Harcownicza doń nie sięgnęła? Przychody zaś FKP w przytłaczającej większości czerpane są z działalności gospodarczej i od sponsorów. I tu inspekcja NIK nie wykryła uchybień.

Wypada dodać, iż kądziwość p. Grabowskiej pod adresem prezesa FKP, prof. Tadeusza Polaka — jako nomenklaturszczyka — są o tyle niestosowne, że był on żołnierzem AK i do roku 1956 więźniem systemu stalinowskiego. W tamtych zamierzonych czasach jego surowa krytyczka, jako młodociana, nie podlegała żadnym represjom, a ponoć nawet wręcz przeciwnie.

Walny bój

O ile Fundusz Kultury Polskiej szarpała jedna Grabowska, to na Fundusz Kultury (notorycznie z tym pierwszym mylony, nawet przez prezesa NIK Lecha Kaczyńskiego, nawet w oficjalnym raporcie tej instytucji!) rzuciły się z pazurami aż trzy Harpie: Mirosława Dołęgowska-Wysocka (*Nie*), Teresa Kuczyńska (*Tygodnik Solidarność*) i Izabela Śliwonik (*Nowy Świat*). I nie dziwota, bo zasoby oraz dotacje FK są z grubsza biorąc 20 razy większe niż FKP! Znamiennie są tytuły gazet; atak na p. Cywińską, w identycznej tonacji skandalistycznej, nastąpił ze skrajnych skrzydeł: postkomunistycznego i radykalnie prawicowego. To mogłoby sugerować pozamerytoryczne, antyrządowe podłoże owej kampanii — i wielu wtajemniczonych taki pogląd głosi *expressis verbis*, nawet NIK-owi przypisując intencje polityczne.

Bądźmy mniej podejrzliwi — zwłaszcza, że zasadę domniemania czystych intencji zastosujemy także w drugą stronę.

Nie przyjmuję do wiadomości posądzenia, że Izabella Cywińska dlatego oraz dopiero wtedy zaczęła asygnować pieniądze na cele statutowe swej fundacji, kiedy już na odcisk na-

depnęli jej inspektorzy NIK. Nie podzielam też ich zdziwienia, że tak bogata fundacja jest aż tak skąpa, iż przez 19 miesięcy od swego ustanowienia — i przez pół roku od otrzymania gigantycznych środków państwowych — nie wydała na rzecz usychającej kultury ani grosza. Z dobrą wiarą przyjmuję wyjaśnienie p. Cywińskiej, że obrała ona strategię następującą: najpierw zagospodarować otrzymane środki tak, aby przynosiły stałe zyski i nie zostały roztrwonione przez pochopną szczodroliwość — a dopiero po ustabilizowaniu zysków przystąpić do zasilania kultury, nie naruszając scedowanego przez państwo kapitału wyjściowego.

Posel Zbigniew Janas, kierujący jako wiceprezes Fundacją im. Stefana Batorego (bogata, najbardziej doświadczona, zakorzeniona w systemie światowym) całkowicie przyznaje rację Cywińskiej: postąpiła jak rozsądny kapitalista, bo przede wszystkim inwestowała — choć nie zawsze szczęśliwie, jak to w biznesie. Tak właśnie czynią wielkie fundacje zachodnie, np. Nobla czy Gulbekiana. Fundacje, które zbierają po troszeczkę od ludzi dobrego serca i zaraz to przekazują biednym, noszą przydomek „żebraczyh”...

Ale nie można przecież całkiem zignorować zarzutów, podniesionych przeciw FK i pani Cywińskiej osobiście:

1) że wchłonęła ona całość środków z Funduszu Kultury MKiS, czyli 498 milionów, a następnie o wiele większą całość Funduszu Rozwoju Kultury (w gestii Ministra Finansów) — aż 116,7 miliardów — nie dzieląc się z nikim, choć sześć fundacji starało się o zasilenie z tegoż źródła;

2) że wkłady własne 12 osób fizycznych-fundatorów wyniosły ledwie 51 milionów, czyli... 0,04% środków fundacji; ergo, FK to fikcja, to jakby usamodzielniona emanacja Skarbu Państwa;

3) że współpracujące z fundacją spółki, niekiedy personalnie z nią powiązane, otrzymywały do dyspozycji kolosalne środki na wyjątkowo dogodnych warunkach — przekazując fundacji o wiele mniejsze zyski, niż gdyby posiadane pieniądze włożyła po prostu do banku.

Tych zarzutów nie można odepchnąć lekką ręką i z uśmiechem, ku czemu ma skłonność p. Izabella Cywińska. One nie są całkiem bezpodstawne; zresztą nawet p. Cywińska przyznaje, że z braku doświadczenia biznesowego popełniała błędy. Ale ona całkiem inaczej interpretuje sytuację:

primo, gdyby Fundusz Rozwoju Kultury rozdać wielu fundacjom, to w rozproszeniu i faktycznie bez kontroli środki te zostałyby przeważnie zmarnowane; są liczne przesłanki, by tak sądzić:

secundo, nie ma nic zdrożnego w istnieniu fundacji, opartych

tylko na zasilaniu państwowym, w świecie znane są takie praktyki; zresztą, skoro co najmniej przez 10 lat (twierdzi Cywińska) państwo nie weźmie kultury na garnuszek, to niech ją choćby nieco podpira fundacja stworzona za rządowe pieniądze;

tertio, ci co korzystali dla swych operacji zarobkowych ze środków FK, wszystko zwrócili z należytymi odsetkami, wyższymi niż by wpłynęły z procentów bankowych.

Rozpłatanie, po czyjej stronie racja (bądź większa porcja racji) wymagałoby uruchomienia na nowo całego aparatu kontrolnego. Dziennikarz nie jest w stanie przebadać tysięcy dokumentów, przeważnie zresztą zastrzeżonych przez NIK. Prawdopodobnie racja jest gdzieś pośrodku. Z pewnością natomiast można powiedzieć coś innego i ważniejszego: na liście 129 dotacji przyznanych przez Fundację Kultury w roku 1992 — na łączną kwotę 13.117.450.000 złotych — nie ma pozycji, które by budziły wątpliwości (choć zawsze ktoś może powiedzieć: czemu dostał ten, a tamten nie dostał?). Trudno też kwestionować odważne przekazanie 16 miliardów na realizację filmów fabularnych, przynajmniej tak długo, póki się tych filmów nie obejrzy. Ryzyko w promowaniu produkcji artystycznej jest nieuchronne; ale też jest wielce prawdopodobne, że bez sponsorowania przez FK polska kinematografia w ogóle uległaby zanikowi.

Okiełznać byki

Interwencja NIK w sektorze fundacji wzbudziła nie tylko okazjonalne, ale też proporcjonalne spory. Czy NIK ma w ogóle prawo badać działalność stowarzyszeń społecznych, skoro jego rolą jest wyłącznie stróżowanie przy budżecie? Czy aby NIK nie hula zbyt swobodnie, uzurpując sobie nienależne kompetencje? Wyraźnie (przy innej okazji) przeciw aspiracjom NIK do poszerzania swych uprawnień wystąpił niedawno szef URM, min. Jan Maria Rokita.

Posel Zbigniew Janas jest innego zdania.

— Póki nie istnieje ciało rządowo-fundacyjne do nadzorowania tego sektora — a ciała takie np. w USA są znane — ktoś musi czuwać i ograniczać patologię. Ustała faktycznie kontrola resortowa, choć niektóre fundacje grzesznościowo ślą jakieś sprawozdania do urzędów. NIK jest chwilowo potrzebny; ma aparat kontrolny, doświadczenie, no i podstawę prawną do swoich interwencji. Wynika ona z faktu, że fundacje albo wprost uzyskują ze Skarbu ogromne środki — jak „fundacja Cywińskiej”, albo też korzystają z darowizn, które odpisuje się od podstawy wymiaru podatku.

No tak. Skoro fundacje „odejmują” budżetowi część wpływów, to niech państwo ma szansę sprawdzenia, czy te odję-

te pieniądze pójdą na kulturę bądź inne godziwe cele, czy też trafią do kieszeni cwaniaczków. Owa patologia stała się tak dolegliwa, że elita fundacji — te znane, dbałe o reputację — stworzyły Forum Fundacji Polskich. Przyjmuje ono do swego grona tylko takich kandydatów (około 60 do tej pory), którzy odpowiadają zasadom i kryteriom Europejskiego Centrum Fundacji.

Czy jednak owe zasady dadzą się już skodyfikować w odniesieniu do chaotycznego, młodego światka polskich fundacji? Czy np. można włączyć do przyzwoitego towarzystwa takie fundacje, które zbyt wiele zużywają na „samoobsługę”? Do jakiego limitu można ją tolerować? Czy nie mija się z powołaniem fundacji prowadzenie rozległej działalności gospodarczej, przy której zaczyna się myśleć wyłącznie o gromadzeniu zysków, a nie o ich wydatkowaniu na cele statutowe?

Zbigniew Janas uważa, że nie fundacje są winne, nawet gdy grzeszą, ale fatalne wręcz prawo, które grzechem nie zapobiega. Dlatego on — wraz z Forum i wybitnymi prawnikami — pracuje właśnie nad nową ustawą, która już w lutym 1993 powinna trafić pod obrady sejmu; gotowe są jej podstawy teoretyczne oraz liczne raporty szczegółowe, kierowane do sejmowych komisji.

Kampanię „antyfundacyjną” w prasie Janas uważa za przejaw szerszej ofensywy antydemokratycznej, choć dyplomatycznie wymiguje się od odpowiedzi: kto tej ofensywie przewodzi i po co? Kategoriecznie stwierdza natomiast: „w krajach totalitarnych fundacji nie ma”.

Właściwie to jedno można uznać za pewnik. Resztę dylematów, dyskusji, swarów, pyskówek wokół fundacji trzeba uznać za żywioł, w którym nie sposób wytyczyć ściśle: tu i tam jest DOBRZE, a stamtąd dotąd — ŻŁE. Jest rozmaicie, a zwłaszcza — mgławicowo. To wszystko musi się ułożyć, ucukrować... by z czasem fundacje stały się czymś w rodzaju czyniących dobro Wokulskich, szlachetnych Judymów, poświęcających się Siłaczek...

O ile, oczywiście, będą jeszcze miały jakieś pieniądze.

Wojciech GIELŻYŃSKI

KRAJ — BLOK WSCHODNI

29.10.93

Zmarł w Bydgoszczy w wieku 97 lat Wiesław Domaniewski. Przed wojną dyrektor Departamentu Obrotu Pieniężnego w Ministerstwie Skarbu a następnie wicedyrektor Banku Gospodarstwa Krajowego. W czasie wojny był radcą finansowym ambasady polskiej w Waszyngtonie. Po wojnie współtwórca Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. ■ Za redakcją *Nowego Świata* podajemy aktualną liczebność poszczególnych ugrupowań parlamentarnych. Kursywą zaznaczono kluby i koła tworzące obecną koalicję rządzącą.

SENAT

Unia Demokratyczna — 22 senatorów
Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe — 12 senatorów
 Polskie Stronnictwo Ludowe — 10 senatorów
 NSZZ „Solidarność” — 10 senatorów
Porozumienie Ludowe — 9 senatorów
Kongres Liberalno-Demokratyczny — 7 senatorów
Konwencja Polska — 7 senatorów
 Senatorzy Niezależni — 7 senatorów
 Porozumienie Centrum — 6 senatorów
 Sojusz Lewicy Demokratycznej — 4 senatorów
 Ruch dla Rzeczypospolitej — 4 senatorów
 Niezrzeszeni — 2 senatorów

SEJM

Sojusz Lewicy Demokratycznej — 58 posłów
Unia Demokratyczna — 56 posłów
 Polskie Stronnictwo Ludowe — 50 posłów
 Konfederacja Polski Niepodległej — 46 posłów
Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe — 46 posłów
Kongres Liberalno-Demokratyczny — 36 posłów
 Porozumienie Centrum — 31 posłów
 NSZZ „Solidarność” — 26 posłów
Konwencja Polska — 26 posłów
Porozumienie Ludowe — 19 posłów
 Ruch dla Rzeczypospolitej — 16 posłów
Polski Program Gospodarczy — 12 posłów
 Mniejszość Niemiecka — 7 posłów
 Unia Pracy — 6 posłów
 Chrześcijańska Demokracja — 5 posłów
 Unia Polityki Realnej — 3 posłów
 „Spolegliwość” — 3 posłów
 Niezrzeszeni — 14 posłów

1.11.92

Katolickie duszpasterstwo polowe posiada obecnie 107 kapelanów, istnieje 31 kościołów garnizonowych plus ośrodki duszpasterskie (także w koszarach wojskowych, łącznie 87). Polskim żołnierzom, uczestniczącym w misjach ONZ, towarzyszy trzech kapelanów.

1. 12. 92

W przerażającym tempie powstają w Polsce rozmaite Rady powoływane przez Prezydenta. Jeżeli uwzględnić, że ostatnio powołano do życia Gwardię Narodową, która jest wojskiem bezpośrednio podporządkowanym Prezydentowi RP, to Prezydent stworzył wokół siebie miniaturę wszystkich instytucji państwowych. Te Rady są tylko parawanem i zasłoną dymną, bo nie są w stanie funkcjonować. Jak może np. funkcjonować Rada do Spraw Kultury, która liczy 73 członków? Trudno sobie wyobrazić, aby taka Rada była zdolna do opracowania już nie tylko reformy szkolnictwa, ale chociażby tylko lektur szkolnych — a na tym odcinku dzieją się rzeczy dosyć dziwne. Dla przykładu wyliczamy niektóre z Rad: jest Rada do Spraw Stosunków Polsko-Zydowskich, Rada do Spraw Rolnictwa, Rada do Spraw Nauki. Ponadto istnieją takie dziwne instytucje jak np. Biuro Obsługi Politycznej i ogromna ilość doradców Prezydenta w różnych dziedzinach z ekologią włącznie. Na to wszystko nie wystarczy przebudowywany obecnie dla Prezydenta Pałac Namiestnikowski. Koszt tej przebudowy na wynosić 160 mld złotych — sumę porównywalną — jak pisał tygodnik *Polityka* — z rocznymi wydatkami na turystykę i wypoczynek dla ogółu Polaków.

5. 12. 92

Minister Skubiszewski zapowiedział, że w najbliższym czasie planuje utworzenie ambasad w Ałma-Acie, w Taszkencie, w Tbilisi i w Kiszyniowie z tym, że w początkowym okresie będą one miały charakter przedstawicielstw regionalnych: Ałma-Ata dla Kazachstanu i Kirgizji, Taszkient dla Azji Środkowej, a Tbilisi dla Zakaukazia. Planuje się także utworzenie nowych placówek konsularnych: w Brześciu, Grodnie, Ałma-Acie, Celinogrodzie, w Kiszyniowie, Irkucku oraz podniesienie agencji konsularnej we Lwowie do rangi Konsulatu Generalnego.

15. 1. 93

Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Gdańsku oraz Young Men's Christian Association z siedzibą w Gdyni organizuje ogólnopolski festiwal mniejszości narodowych. Impreza ma na celu przedstawienie dorobku kulturalnego Białorusinów, Greków, Litwinów, Niemców, Romów, Słowaków, Ukraińców i Żydów.

ZACHÓD — EMIGRACJA

7. 11. 92

W Centre d'Animation Le Rond Point Baudricourt w Paryżu została otwarta wystawa fotografii Wojtki Korsaka pt. *Quatrième Dimension*.

11. 11. 92

Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku przyznał doroczne nagrody, ufundowane przez Alojzego i Elizabeth Kondrackich z Florydy, Niezależnemu Komitetowi Historycznemu Badania Zbrodni Katyńskiej w Warszawie, „Bibliotece Zesłańca” we Wrocławiu oraz prof. Gabrielowi Brzęk „Dewajtis” z Lublina za książkę pt. „Wierny przysiędze: o Łukaszu Cieplińskim”.

14. 11. 92

Jury Fundacji Kościelskich w Genewie przyznało doroczną nagrodę Krzysztofowi Myszkowskiemu za powieść „Pasja według Św. Jana”, wydaną nakła-

dem Oddziału Bydgoskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku. Ponadto jury przyznało jednorazową nadzwyczajną nagrodę im. Kajetana Morawskiego p. Aleksandrze Olędzkiej-Frybesowej za całokształt jej dorobku translatorskiego, a także za eseje o sztuce francuskiej i zasługi w rozpowszechnianiu literatury francuskojęzycznej.

15. 11. 92

Dzień 15 listopada jest w Niemczech uroczystością obchodzonym Dniem Pamięci Ofiar Wojen Przemocy i Terroryzmu. W roku 1992 miało miejsce niezwykle wyróżnienie Władysława Bartoszewskiego, ambasadora RP w Wiedniu. Był on — poza prezydentem Niemiec R. von Weizsäckerem — jedynym mówcą na uroczystości w Berlinie.

3. 12. 92

Zmarł w Londynie w wieku 82 lat Mikołaj Szumski, wieloletni redaktor *Dziennika Polskiego* i *Tygodnia* oraz redaktor Polskiej Sekcji RWE w Monachium.

4. 12. 92

Na Walnym Zebraniu Towarzystwa Opieki nad polskimi zabytkami i grobami historycznymi we Francji wybrano na miejsce ustępującego zarządu, którego prezesem był Stanisław Łucki, nowy zarząd, którego prezesem został Jan Skarbek, prawnik powstańca z 1830 roku. ■ School of Slavonic and East European Studies zorganizowało w dniach 4-6 grudnia 92r., w Londynie konferencję o przemianach literatury wschodnio-europejskiej — „od aparatczyków do dysydentów”. Udział wzięli m.in. Stanisław Barańczak, Piotr Cholewa i Adam Czerniawski. ■ Brytyjski Ośrodek Tłumaczeń Literackich University of East Anglia w W. Brytanii zorganizował w dniach 4-5 grudnia 92r. forum pisarzy europejskich. Polskę reprezentowali Adam Czerniawski i Ryszard Kapuściński.

10. 12. 92

W Instytucie Polskim w Paryżu był wyświetlony film Emanuela D. Kowalskiego „Józef Czapski”.

13. 12. 92

W Centre du Dialogue w Paryżu w dniu 11 grudnia odbył się wieczór autorski Adama Zagajewskiego, a 12 grudnia br. — spektakl bożonarodzeniowy (teksty w języku czeskim, a częściowo po polsku) amatorskiego teatru „Klika” z Pragi.

15. 12. 92

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbyły się w grudniu następujące imprezy: 1. 12. odczyt François Rosseta z Uniwersytetu w Lozannie pt. „De Venceslas à Ubu: figures du roi de Pologne dans les lettres françaises” pod przewodnictwem dr Simone Balaye; 4 grudnia odczyt Elżbiety Kaczyńskiej, profesora w Instytucie Historii PAN, na temat „Les crises sociales en Pologne aux XIXe et XXe siècles” — pod przewodnictwem profesora Uniwersytetu Paris VII, p. Michèle Perrot. 12. 12. odbył się recital fortepianowy Marka Tomaszewskiego i Michel Prezmana, a 15 grudnia br. odczyt profesora Instytutu Historii Powszechnej Rosyjskiej Akademii Nauk, Michaiła Narinskiego, pod przewodnictwem prof. Roberta Franka, dyrektora Instytutu Historii Współczesnej w Paryżu na temat: Le Komintern et le Parti Communiste Français pendant la Seconde Guerre Mondiale (1939-1941) — Documentation nouvelle.

Zachwiana Federacja

Kanada jest federacją w skład której wchodzi wszystkie prowincje posiadające szerokie konstytucyjne uprawnienia, aż do granic autonomii. Teoretycznie — w założeniu — wszystkie one są równe, więc mają te same prawa. Praktycznie jednak jest inaczej. Prowincje zazdrośnie strzegą swoich uprawnień ale i często starają się je rozszerzyć przez uszczuplanie federalnych. Wśród 10-ciu równych prowincji jedna — Québec — jest „szczególnie równa”, ściślej inna, odmienna. Nie od roku czy od kilku lat, ale od ustanowienia w 1867 r. obecnego ustroju państwowego. Dla ścisłości może należałoby przypomnieć, że i ten akt ustanowienia prowincji był tylko dziełem elity Québecu, a nie całej ludności.

Statut prowincjonalny jest oczywiście lepszy aniżeli kolonialny, ale w miarę upływu lat nasiliły się tendencje odśrodkowe: zakamufłowane, ostrożne, złożone. Wzmacniała się świadomość odrębności narodowej w łonie państwa. Oczywiście Québec jest prowincją francuskojęzyczną a przytłaczająca większość, około 85 % ludności, jest katolicka. Kolejni przywódcy polityczni wszystkich stronnictw, naukowcy i pisarze głosili, pisali, propagowali wartość i odmiennosć własnej, francuskiej, quebeckiej kultury, której trzonem jest język i wiara.

Je me souviens — dewiza na godle prowincji znajduje się również na wszystkich tablicach rejestracyjnych samochodów. Wszyscy stale mają pamiętać... Niekoniecznie wojnę siedmioletnią, po której Québec stał się kolonią angielską, wystarczy bieżący wiek. Kolejne rządy prowincji Québec nie uznają np. obecných granic, ustanowionych w 1927 r. i podtrzymują pretensje terytorialne do Nowej Fundlandii. Ale tym najmniej przejmują się ludność. Za to utrwalone jest w pamięci stanowisko wobec ostatniej wojny światowej. Polityczni rzecznicy Québecu utrzymują, że wojna nie dotyczy ich prowincji, przeciwstawiali się poborowi, wysyłaniu sił zbrojnych poza Kanadę. Rząd federalny przeprowadził w tej sprawie w 1942 r. plebiscyt w całym kraju, wzywając do poparcia wysiłku zbrojnego i udziału w wojnie, a więc za poborem powszechnym. Prowincja Québec głosowała w większości przeciw, ale nie miało to praktycznego znaczenia.

Od 1960 r. wzrastały tendencje *quasi* separatystyczne. Przywódcy stronnictw i organy prasowe domagały się specjalnych praw we wszystkich działach administracji publicznej i w sprawach gospodarczych. Powołana przez rząd federalny Komisja Dwukulturowości i Dwujęzyczności miała na celu sformułowanie i przedstawienie kompromisowych rozwiązań, uwzględniających pewne postulaty zarówno ludności frankojęzycznej jak i innych. Niewiele to wpłynęło na Québec.

Przywódcy prowincjonalnej Partii Liberalnej, którzy oficjalnie deklarowali federalizm, domagali się zmiany statusu i wzajemnych stosunków. Québec ma być partnerem anglojęzycznej Kanady, pozostanie w sojuszu gospodarczym, zachowane będą różne inne powiązania, lecz będzie *niezależną jednostką państwową* z przedstawicielami w różnych państwach. Jednak ani naciski na Ottawę i w ich następstwie drobne ustępstwa, czy niedostrzeganie pomniejszych antykonstytucyjnych zarządzeń nie zadowolili nowej generacji przywódców.

Wybił się w niej René Lévesque, minister w rządzie liberalnym Lasage'a, który dokonał rozłamu w partii, zakładając Partię Québécois. W 1976 r. zwyciężył w wyborach i stanął na czele rządu głosząc program separacji i niezależności państwowej. Było to najradykałniejsze wyzwanie rzucone Ottawie. W referendum zarządzonym przez Lévesque'a w maju 1980 r. większość wypowiedziała się przeciwko oderwaniu i separacji. Była to — jak się okazało — porażka a nie klęska, bo liberałowie po powrocie do rządów obniżyli jedynie poziom postulatów i żądań zachowując zasadnicze: uznanie specyficznego charakteru, odmienności od pozostałych członków federacji.

Aktem formalnym, w pełni ustalającym niezawisłość i niezależność, jest konstytucja podpisana przez królową Elżbietę na uroczystości w 1982 r. w Ottawie. Odtąd wszelkie zmiany konstytucyjne należą wyłącznie do Izb Kanadyjskich i nie wymagają — jak do tego czasu — zgody Londynu. Konstytucją tą premier Trudeau niejako odpowiedział na prądy separatystyczne i zapewne zakładał, iż je zlikwiduje. Być może doprowadziłby do tego, gdyby nie zwycięstwo konserwatystów pod przywództwem Brian Mulroneya w 1984 r.

Konserwatyści zdobyli większość mandatów w prowincji Québec i w nowym rządzie znaleźli się rzecznicy „odmienności”. Obie strony działały ostrożnie, szykując się do rozprawy po umocnieniu.

Premier Bourassa przypomniał, iż konstytucja z 1982 r. nie zadowala ludności, nie uwzględnia ani nie zabezpiecza jej specyficznych właściwości zarówno kulturowych jak i innych. Mulronej niejako czekał na ten zew, powitany z radością przez quebeckich członków jego rządu. Podjęto więc rokowania nad zmianą konstytucji z rządami wszystkich prowincji. Ciągnęły się dwa lata. W sumie zabrakło wymaganej jednomyślności, koniecznej do uznania „szczególności” Québecu. Była to więc klęska polityczna rządu Mulroneya przede wszystkim, ale także umiarkowanych nacjonalistów.

Po niepowodzeniach końcowych lat osiemdziesiątych zamiast odżegnać się od nich premier Mulronej mianował specjalnego ministra spraw konstytucyjnych. Stanowisko to objął dotychczasowy minister spraw zagranicznych, najbardziej doświadczony polityk tego rządu. Utworzono szereg komitetów i komisji, powołano ekspertów, odbywały się publiczne konferencje w różnych miastach, przyjmowano memoriały, petycje itp. Akcja propagandowa prowadzo-

na była na szeroką skalę: prasa, radio, telewizja: każdy mógł w jakiejś formie się wypowiedzieć. Wynegocjowane po dwóch latach porozumienie przedłożono do akceptacji w referendum z 26 października. I znowu klęska. Tym razem dla wszystkich, bo za porozumieniem były zgodne prowincje, rząd federalny oraz rzecznicy tubylców. Przywódcy polityczni zapowiadali katastrofę w wypadku odrzucenia układu, ale pozostało to bez wpływu.

Kanada przeżywa kryzys gospodarczy. Nie tylko opozycja ale niez zaangażowani w polityce wskazywali na konieczność zajęcia się sprawami ekonomicznymi: sytuacją finansową, w tym monetarną, rynkiem pracy itp. Ten kryzys odczuwają wszyscy i on przesłania, a nawet w pewnym stopniu unieważnia, wiele innych spraw, z konstytucyjnymi na czele. Wyjście z impasu nie wydaje się bliskie, gdyż społeczeństwo straciło zaufanie do polityków, obarcza ich odpowiedzialnością za obecny stan. Społeczeństwo w Quèbecu mniej boleśnie odczuwa kryzys gospodarczy a wobec tego i wizja państwowej suwerenności prezentowana przez Jacques Parizeau, przywódcę Partii Quèbécois ani nie porusza ani przeraża. I znowu nic się nie zmieniło po tylu wysiłkach. Nie po raz ostatni. Czekają się do następnych wyborów.

Benedykt HEYDENKORN

Listy do Redakcji

PAN PREZYDENT

W dniu 14 grudnia prezydent RP udzielił wywiadu dziennikarzom Programu I Polskiego Radia. Kończąc już rozmowę zaznaczył, że spotkałby się chętnie z całą rodziną Kaczyńskich, „to znaczy Lech Kaczyński z żoną i Jarosław Kaczyński z mężem”. Na antenie zapadło milczenie, więc pan prezydent, snać zdziwiony brakiem reakcji (CZEGO się spodziewał?) powtórzył dobitnie: „żeby wszystko było jasne: mam na myśli całą rodzinę Kaczyńskich, to znaczy Lech Kaczyński z żoną i Jarosław Kaczyński z mężem”. Redaktorzy — ANDRZEJ JELEŃSKI i MAREK KASSA — wciąż milczeli. Żadnej reakcji. Jeśli pan czyli głowa państwa publicznie posługuje się grubiaństwem i depcze ludzką godność, a obecni przy tym dziennikarze NIE REAGUJĄ, to ja się pytam, gdzie my wszyscy żyjemy? Panie redaktorze JELEŃSKI! Panie redaktorze KASSA? Czy was to naprawdę nie obchodzi?

Barbara SULEK
(Tygodnik Solidarność)

Rzeszów 21.10.92.

Szanowny Panie Redaktorze,

dziękuję za przysłanie 10-go numeru *Kultury*, w której znalazłem swój wiersz „Wsluchany”. To oczywiście przyjemne zaskoczenie.

Całość bardzo ciekawa, poczynając od niezwykłych wspomnień Renaty Gorczyńskiej, poprzez cykl „listów” Leopolda Ungera, aż po uwagi o książce Jana Walca. Swoją drogą, Moskwa jest jedynym zagranicznym miastem, które do tej pory widziałem. Byłem w stolicy ZSSR jeszcze w 87-mym i niektóre miejsca pozostały żywe w pamięci, m.in. grób Wysockiego, Jesienina, no i oczywiście Arbat. Do dziś zresztą mam w Moskwie przyjaciół i szczerze im współczuję.

Jeśli można, wróć do tekstu Adama Nasielskiego „Nowe oblicze *Kultury*”. Sam należę do pokolenia trzydziestolatków i przynajmniej się Panu, że pierwsze numery *Kultury* przeczytałem dość późno, pod koniec lat osiemdziesiątych. Dość długo mieszkałem w małej wiosce na kresach Galicji i nie miałem pojęcia o czymś takim, jak „drugi obieg”. Pierwsze utwory, jakie

przeczytałem, to był „Traktat poetycki i moralny” Miłosza, wyd. przez oficynę Nowa. Dzięki wychowawczyni w internacie, ale nie dotarły do mnie wówczas żadne pisma emigracyjne.

Kiedy dziś czytam *Kulturę*, wydaje mi się bardzo interesująca nie tylko ze względu na wiarygodność, choć zaufanie dla Zespołu jest szalenie ważne. *Kultura* zachowuje ostrość sądów, ale równocześnie zachowując mądry dystans do politycznego, krajowego zgiełku, proponuje, krytykuje, ale tworzy. To istotne, bo wielu ludzi młodych (nie tylko) jest zagubionych, a krajowe pisma (w tym miesięczniki) dość często proponują cynizm i „krytykanctwo” dla własnego zadowolenia, jako remedium na rzeczywistość. Może wolność okazała się być zbyt wielkim ciężarem, jak i pokutą za grzechy, których — zdaniem szlachetnych cyników — naród nie popełnił.

Choć należę do młodszego pokolenia, przyznaję, że sam unurzałem się nieco w tym „blotku” PRL-owskim...

Wracam jednak do *Kultury*... Wierzę, że Państwo będą trwać i patrzeć ostro na krajową rzeczywistość, która — jak mawiał Wyspiański — „skrzeczy”, aż uszy puchną. Proszę tych uwag nie traktować jako swoistej laurki, bo Państwo — sądzę — sami swoją wartość znają i wielu Czytelników to potwierdza. Nie zawsze się też zgadzam z komentarzami Redakcji i może będzie okazja do polemiki. Nie chcę już podkreślać, że dla tzw. dobra wspólnego, bo to dzisiaj dziwnie brzmi... (?)

Łączę wyrazy poważania

St. DEUSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

List profesora Adama Pogóreckiego (*Kultura* nr 12/543), dla którego zachowałem niezmienny szacunek, każe mi się zastanowić czy nie powinienem jeszcze wyraźniej, niż to uczyniłem, wspomnieć o wczesnych tekstach Bronisława Baczki. Jest jednak bezspornym faktem, że w latach 66-68, o których pisałem z podaniem dat, nic nie pozwalało nazwać go zawziętym, bezwzględny marksistą, którym był w roku 1952. Czterdzieści lat później można się zastanawiać czy kilka poważnych książek, poczynając od dzieła o Rousseau, „Samotność i wspólnota” z roku 1964, których, być może, nikt poza samym Baczką nie mógłby napisać, nie równoważy na szali dwo brzoźszy młodego autora, rzeczywiście tak okropnych, że od wielu lat nikt prócz piszących w *Trybunie Ludu* w r. 68 nie był już w stanie ich czytać. O mojej osobistej sympatii dla Bronisława Baczki zdecydował fakt, że jego ewolucja następowała wyraźnie nie według kalendarza politycznego, lecz w następstwie rozległych lektur, co stanowiło zachęcający przykład, jak najlepiej świadczący o możliwościach ludzkiego umysłu.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej DOBOSZ

Warszawa, 24 października 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Zrozumiałe są bolesny zawód i złość autora nie wymienionego w książce o charakterze syntetycznym, omawiającej całość emigracyjnej literatury. Postanowiłem więc nie reagować na ubiegłoroczne ataki Józefa Garlińskiego na łamach *Kultury*, nie chcąc sprawiać dodatkowych przykrości zasłużonemu pisarzowi i zajmować miejsca w piśmie poświęconym ważnym sprawom. Jednakże moje milczenie powoduje obsyjne powracanie przez p. Garlińskiego do „Panoramy literatury na obczyźnie” i przynosi skutek odwrotny — zajmuje się moją książeczką nawet w korespondencjach z Anglii, gdzie dzieje się tyle ważnych rzeczy, a ponadto dezinformuje czytelników.

1. Proszę p. Garlińskiego, aby się nie przejmował tym, że pominięto go w podręczniku szkolnym obowiązującym w niepodległej Rzeczypospolitej. „Panorama...” nie jest tego typu publikacją, ponieważ aby jakaś książka stała się pomocą szkolną, musi być zaopatrzona w specjalną notę informującą o decyzji Ministerstwa Edukacji Narodowej wraz z datą i numerem decyzji. Otóż „Panorama...” nie ma takiej adnotacji i nigdy mi nie przyszło do głowy występować do Ministerstwa o coś podobnego. Natomiast mój wydawca, skądinąd sympatyczny człowiek, wykreślił mi niezły numer, jak się teraz okazuje. Bez uzgodnienia ze mną na stronie tytułowej napisał, iż publikacja przeznaczona jest dla uczniów szkół średnich. Za to mogę mieć do niego pretensje ja, bowiem zmieniając gatunkową kwalifikację, zmylił większość recenzentów i sporo czytelników. Poza tym utrudnił dostęp „Panoramy...” do rąk... uczniów właśnie, gdyż każdy kto czytał „Ferdynurka” wie, że im bardziej podkreśla się dydaktyczne przeznaczenie jakiegoś tekstu, tym niechętniej czyta go młodzież.

Natomiast nie może mieć o ten dopisek pretensji p. Józef Garliński, ponieważ w demokratycznym świecie nikt nie może zabronić autorowi lub wydawcy adresować książki do wybranej grupy odbiorców. Mogą nimi być uczniowie rozmaitych rodzajów szkół, mogą być blondyni, łysi, grubasy albo górnicy, a żeby o tym poinformować czytelników, nie trzeba starać się o pozwolenie ministerstw zdrowia czy przemysłu wydobywczego. Pisanie listów do MEN-u i to w imieniu Związku Pisarzy na Obczyźnie stało się w niezamierzony sposób wydarzeniem groteskowym. Urzędnicy ministerialni pewnie nie słyszeli o p. Garlińskim i o mnie, a na pewno nie słyszeli o wspomnianym podręczniku, bo takiej pomocy szkolnej nie ma.

2. Teraz sprawa ogólniejszej natury. Czy skrzywdzony w swoim mniemaniu pisarz ma moralne prawo wywierać naciski na czynniki administracyjne w celu utrudnienia pełnego oddziaływania danej wypowiedzi krytycznej? P. Józef Garliński posuwa się jeszcze dalej — chce zabronić ukazywania się niewygodnych dla niego książek; jak napisał w oświadczeniu drukowanym w londyńskim *Tygodniu Polskim* w październiku ub.r.: „w wolnym obecnie kraju praca Dybciaka nie powinna się była ukazać”. Stop Panie Prezesie, to właśnie Pan, żyjący kilkadziesiąt lat w Anglii, powinien wiedzieć, że w wolnych krajach obywatele mają prawo pisać i publikować co chcą, a czytelnicy i krytycy decydują, czy warto to czytać i co jest wybitne, a co słabe. A taka kwestia techniczna — jak uniemożliwić publikowanie niesłusznych tekstów w obecnym stanie techniki? Trzeba by postawić policjantów we wszystkich drukarniach, punktach kserograficznych itd. W ten sposób zawód policjanta stałby się w Polsce najpopularniejszy.

Pomysł z zabranianiem wprowadza nas mimo patetycznej stylistyki w hu-

morystyczny świat utworów Mrożka. Mniej zabawne, iż owo kuriozalne oświadczenie zostało wydane w imieniu Zarządu ZPPO. Na szczęście podpisał je tylko p. Garliński i sekretarka.

3. Józef Garliński zarzuca mi stale jaskrawo niesprawiedliwy wybór omawianych zjawisk literackich. Otóż każdy, kto ma elementarną wiedzę z dziedziny krytyki oraz wiedzy o literaturze wie, iż selekcjonowanie jest koniecznym zabiegiem metodologicznym. Wykazałbym „zupelną dowolność”, gdybym pominął Gombrowicza, Grudzińskiego, Wierzyńskiego, gdybym nie pisał o Instytucie Literackim i *Wiadomościach*, PFK lub Bibliotece Polskiej. O tym wszystkim oczywiście napisałem, natomiast nie pisałem o p. Garlińskim. „Panorama...” ma jedynie 140 stron małego formatu i musiałem dokonywać ostrej selekcji w książeczce, która nie ma charakteru encyklopedycznego. Z konieczności pominąłem nawet wybitniejszych od Garlińskiego pisarzy, jak Piotr Guzy, Tymoteusz Karpowicz, czy Jerzy Pietrkiewicz, ale żaden z nich nie pisał skarg do urzędów w Warszawie.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku —

Krzysztof DYBCIAK

Kraków 24.11.92

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Smecz w 4/535 numerze *Kultury* mówi, jak to Jan Kott przypomniał swoje autorstwo pewnego określenia używanego w czasie stanu wojennego. Rozumiem dumę autora i jego troskę o utrwalenie wszystkich śladów swojej twórczości. Przytaczam więc jeszcze jeden cytat by uchronić go od zapomnienia. Gustaw Herling-Grudziński w „Dzienniku pisanym nocą 1971-1972”, wydanym przez wydawnictwo Res Publica w 1990 r., na stronie 140-141 w notatce z 17 lipca wspomina rozmowę w Rzymie z Janem Kotttem, cytując: „i zgadało się o Katyniu, nie obrał oficjalnej linii zaprzeczenia. Wydał tylko wargi i syknął z uśmiechem: 'Cóż znaczy kilka tysięcy oficerów wobec Historii w marszu?'”.

Myślę, że warto to utrwalić.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Adam GŁODZIŃSKI

Lublin, 28 października 1992 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

We wrześniowym tegorocznym numerze *Kultury* zamieszczono bardzo ciekawy przegląd prasy ukraińskiej autorstwa p. Bogusława Bakuły. Wkradła się tam niestety pewna niecisłość — wśród tytułów prasy ukraińskiej wydawanej w Polsce wymieniono m.in. gazetę *Hotos Berestejszczyny* („Głos Ziemi Brzeskiej”). W rzeczywistości gazeta ta ukazuje się w Brześciu nad

Bugiem (ukraińska nazwa tego miasta brzmi „Berestia”, stąd nazwa regionu „Berestejszczyna”), który obecnie znajduje się w granicach Białorusi. *Hotos Berestejszczyny* wydawany jest od kwietnia 1991 r. (dotychczas ukazało się 5 numerów) przez Ukraińskie Zjednoczenie Społeczno-Kulturalne Obwodu Brzeskiego, pierwszą od 45 lat organizację ukraińską oficjalnie działającą na Polesiu Zachodnim.

Jak wiadomo Polesie Zachodnie, zwane inaczej Ziemią Brzeską, zamieszkałe w większości przez ludność ukraińskojęzyczną (w okresie międzywojennym działały tam liczne organizacje i instytucje ukraińskie), w 1939 r. włączone zostało przez Stalina w skład Białoruskiej SSR, a wszystkich jego rdzennych mieszkańców uznano „z urzędu” za Białorusinów. W krótkim czasie zlikwidowano oczywiście wszystkie organizacje i szkoły ukraińskie, zaś wszelkie wzmianki o ukraińskim charakterze miejscowej ludności zdecydowanie tępieno.

Dopiero w 1990 r. powstało w Brześciu wspomniane już przeze mnie Ukraińskie Zjednoczenie Społeczno-Kulturalne Obwodu Brzeskiego, które stawia za swój cel odrodzenie miejscowej kultury i języka ukraińskiego oraz uzyskanie dla ludności tego regionu praw mniejszości narodowej w ramach państwa białoruskiego. Od 1991 r. działa również druga organizacja ukraińska na Polesiu Zachodnim — Towarzystwo Języka Ukraińskiego „Proswita” w Kobryniu. Jego staraniem w kilku szkołach Polesia rozpoczęto naukę języka ukraińskiego. Poza tym od połowy br. w Brześciu i Kobryniu ukazuje się kolejna gazeta ukraińska *Potyszukowe słowo*.

Trzecią gazetą ukraińską wydawaną na terenie Republiki Białoruś jest gazeta *Ukrajinec w Białarusi*, wydawana w Mińsku przez Asocjacje Ukraińców w Białorusi „Watra”.

Z wyrazami szacunku

Grzegorz KUPRIANOWICZ

Kraków

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem w n-rze 7-8 *Kultury* polemikę p. Andrzeja Biernackiego z *Gazetą Wyborczą*, a przy okazji z Wistawą Szymborską, zatytułowaną „Niegodziwość”, i zdumiałem się niewesoło. Autor gorąco optuje za prawdomównością, przyzwoitością i innymi godnymi szacunku przymiotami, ale ja słyszę w jego wypowiedzi wątpliwe tony.

Wydaje mi się, że p. Biernacki jest człowiekiem skłonnym interpretować to, co mu nie odpowiada, w kategoriach podejrzliwości zaprawionej szczyptą demagogii. Jego opinia o podobnie b. premiera Jana Olszewskiego na fotografii, zamieszczonej w *Gazecie Wyborczej*, iż mianowicie została „zohydzona przeczernieniem drukarskim”, jak i pytanie, co miała na myśli redakcja *GW* drukując „Nienawiść” Wisławy Szymborskiej — umieszczonej poniżej inkryminowanego portreciku — nie są poważne.

Pan Biernacki pisze: „Można, jeśli ktoś ma ochotę, nie być zwolennikiem premiera Olszewskiego; nie można, gdyż byłoby to zwykłym łajdactwem, podważać najlepszej wiary i odwagi, z jakimi adwokat Olszewski przez kilkadziesiąt lat występował w imię sprawiedliwości”. Otóż jestem zwolennikiem adwokata Olszewskiego sprzed lat — i nie odpowiadał mi premier

Olszewski, szczególnie z końcówki swoich rządów. Są to dwie prawdy, razem łączne i rozdzielne; tak też rozumiałem stanowisko *Gazety Wyborczej* wyrażone w numerze, w którym ukazał się wiersz Szymborskiej. Jego usytuowanie wzbudziło również moje wątpliwości, ponieważ utwór o wymowie uniwersalnej został jakby uwikłany w konkretny kontekst polityczny. W każdym razie nie wydaje się, żeby czyjekolwiek dawne zasługi mogły zasłonić aktualne błędy, bo to pachnie jakimś etycznym manipulatorstwem.

Podobnie oceniam dywagacje p. Biernackiego o przeszłości poetyckiej Szymborskiej. Autor zdaje się „odgrywać” na poetce za „złą wolę” redakcji *GW*, jakby „Nienawiść” została napisana na specjalne zamówienie lub pisarka miała wpływ na sposób włamania wiersza i czas jego opublikowania. Z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że kiedy rozmawiałem z nią tuż po wydrukowaniu „Nienawiści”, była zaskoczona takim obrotem rzeczy.

Pan Biernacki atakuje poetkę: „Motyw nienawiści nurtuje poezję Szymborskiej od dość dawna...” — sięgając do jej tomiku z 1952 r., gdzie wyszperał utwór, w którym pisała o wojnie koreańskiej powiadając, iż wydarzenie owo budzi jej nienawiść pogrzebaną już w 1945 r., po zakończeniu II wojny. Wojna koreańska nie podobała się — podobnie jak wiele innych wojen — licznym pisarzom i artystom na świecie, nie tylko komunistom, którzy oczywiście mieli tu specjalne powody. Tymczasem p. Biernacki pyta pryncypialnie, dlaczego poetka nie potępiła w swoim utworze pułkownika UB Józefa Różańskiego, jeno innego pułkownika — „jakiegoś okrutnego Amerykanina”? O ile mi wiadomo, Różański w Korei nie walczył... Cóż z tego, że p. Biernacki łaskawie sugeruje, iż wiersz jest „zamaskowaną, bardzo cząstkową, ale jednak — próbą ekspiacji” za dawne „grzechy”: oto Szymborska odwraca się dziś od nienawiści, „od uczucia, którym sama syciła kiedyś swoje nie tak znów młodzieńcze utwory; kiedy to jej rówieśnicy z Armii Krajowej byli prześladowani, ona zaś nawoływała, by 'wzmocnić warty' pod sztandarem rewolucji...”

Mieszkamy w kraju, w którym wystarczyło dłużej żyć, by mieć szanse na dorobienie się takiego czy owakiego „haczyka”. Nie, nie sądzę, że trzeba zapominać o czyjekolwiek przeszłości, co obecnie znów praktykuje się w Polsce, fabrykując „białe plamy” w niektórych „jedynie słusznych” życiorysach. Chyba nie tylko ja mam dość tego namiętnego babrania się w namule minionego, przy każdej okazji; tego mściwego i nienawistnego tropienia poszlak, plotek, szperania po takich czy owakich teczkach.

A na zakończenie mała przypowiadka dla nadgorliwych tropicieli. Czytelnicy *Po Prostu* pamiętają zapewne artykuły spółki autorskiej: Jerzy Ambroziewicz, Walery Namiotkiewicz i Jan Olszewski (przyszły premier), a wśród nich publikacje tak głośne i godne szacunku — dla wszystkich trzech autorów — jak „Na spotkanie ludziom AK” (1956), z postulatem zrehabilitowania zniesławionej przez komunistów formacji, czy „Gdy budzą się demony” (1957) — ostrzeżenie przed antysemityzmem. Potem drogi trójki autorskiej się rozeszły. J. Ambroziewicz zaangażował się w 1968 r. w kampanię antysemitką. W. Namiotkiewicz poszedł w górne regiony nomenklatury, a jako publicysta gromił m.in. rewizjonizm i marcowy „syjonizm”, Schaffa i S. Żółkiewskiego. Pytanie: czy taka współpraca sprzed lat może rzucać cień na J. Olszewskiego, późniejszego działacza opozycji i dzisiejszego polityka? Oczywiście — nonsens, a jednak czytałem już kiedyś w prasie krajowej złośliwe aluzje na ten temat.

Łączę, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku dla Pana i jak zawsze starając się o obiektywizm *Kultury*

Jan PIESZCZACHOWICZ

Kielce, 5 listopada 1992

CO SIĘ DZIEJE NA GÓRNYM ŚLĄSKU

Urodziłem się pod Mysłowicami (niegdyś Mieroszewskich), dlatego jest to dla mnie ciekawe. Na Śląsku bieda jak w całej Polsce, tylko powietrze, ziemia i woda jeszcze gorsze, a do Zachodu całkiem nieporównywalne. W bibliotekach najnowsza *Kultura* z połowy 1991 r., gdyż później z braku pieniędzy zaprzestano jej kupowania. Tak jak wszędzie postępuje uzależnienie gospodarce od Niemiec, bo po prostu każdy z nas pracuje i zarabia w kraju na niby, faktycznie zaś za granicą. Tylko w centralnej Polsce nie ma to bezpośrednich następstw narodowych, na Śląsku zaś ma, gdyż połowa mniej więcej tamtejszych mieszkańców nie bardzo wie, jakiej jest narodowości, a „byt kształtuje świadomość”.

Rząd stara się tego wszystkiego nie widzieć. Mniejszość niemiecka niedawno oblegała wojewodę opolskiego, a znów proniemiecki wojewoda katowicki rozprzestano ostoję polskości — Śląski Instytut Naukowy, za co nie został nawet zganiony. Usunięto za to — jakoby za opuszczenie dwóch dni pracy — wojewodę radomskiego.

Wpadł mi w Lubińcu w rękę numer 11/92 miesięcznika *Schlesien Report* wydawanego w miejscowości Kadłub (pewno to gdzieś koło Hindenburg — dawniej Zabrze). Zaczyna się od poety Eichendorffa, potem następują mapy krwawiących niemieckich granic, z których wynika, że jednak do miejscowości Kalisz i Łódź ma Polska prawa. Z artykułu „Heisses Eisen” na str. 3 wynika znów, że należy wykuwać gorące granice, jak to robiła zaborcza Polska np. koło Wilna. Następne artykuły mówią, że Niemcy byli zawsze niewinni, Polacy zaś odwrotnie. Tylko kanclerz Bismarck pomylił się ze swoim *Kulturkampfem*, który wpędził część katolików śląskich we wraże ręce Polaków. A przeciw przed Bismarckiem o Polakach na Śląsku nikt nie słyszał! Mapa na str. 11 szczególnie mnie ucieszyła. Wynika z niej, że *urdeutsch* były nie tylko Kalisz i Łódź, ale też miasto Warschau, a jeśli zostaną one przyłączone do Reichu, czego wymagała sprawiedliwość historyczna, to moje Kielce mogą zostać stolicą państwa. Ucieszył mnie także opis wycieczki Berlin-Kijów (stolice dwóch bratnich narodów!), w którym brali udział Oberschlonsacken. Jechała ona przez Hindenburg (Oberschlesien) i przez jedyne godne widzenia (bo zbudowane przez Niemców) w Polsce miasto Krakau.

Takie czasopismo, które chyba nie mogłoby ukazywać się w Niemczech, ukazuje się w najlepszej w Polsce w ramach tzw. europeizacji, a właściwie hołdowniczości wobec Niemiec. Brak tylko jeszcze ni byto w *Schlesien Report* należytego podkreślenia roli *Genosse* Adolfa Hitlera, najbardziej zasłużonego dla niemieczyzny na Wschodzie, niewinnej (jak wszyscy Niemcy) ofiary stalinizmu.

Z wysokim poważaniem

Wacław URBAN

Kielce-Kraków

PS. Jest natomiast u nas faktycznie zakazana piękna patriotyczna pieśń z czasów walki z komunizmem, „Żeby Polska była Polską”.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M. S., Niemcy — Pana wiersze wydają nam się słabe, przynajmniej po polsku; może lepiej brzmią po niemiecku. Nie prowadzimy poradnika literackiego. W obecnej sytuacji rozsądniej jest szukać wydawcy w Kraju.

C. Ż., Polska — „Informuję, że przestaję czytać *Kulturę*”. Przyjmujemy do wiadomości Pana informację. Może kiedyś uświadomi Pan sobie, jak śmieszne są powody tej decyzji.

J. A. T., Polska — Jesteśmy zdania, że sowietyzm wpoił swoim podwładnym pewne zachowania, pewne reakcje, i że ich przewyciężenie potrwa długo, może całe pokolenie. Natomiast szybciej odbyło się i odbywa pokonanie języka komunistycznego, „nowomowy”.

M. Z., Polska — Tzw. opowiadania najkrótsze są gatunkiem niezmiernie trudnym. Udawały się czasem Czechowowi, Babelowi i Pana ulubionemu Borgesowi. Zaczyna się zawsze od opowiadań dłuższych.

R. S. — Więcej w Pana recenzji cytatów z tomu Czaykowskiego, niż własnych uwag recenzenta.

S. M., Holandia — Polski ruch hippisów robi dziś wrażenie — może przesadne — dalekiej przeszłości. W książce Michałewskiego jedno zdanie jest trafne: „Stan wojenny przeraził wszystkich, ale na krótko; dla hippisów stan wojenny, nie licząc tych dwóch lat (Solidarności), był zawsze”.

J. S., Polska — Pana sumienne opracowanie *Opozycja i socjalizm — z dziejów myśli niezależnej 1970-1980* jest interesujące, ma jedną tylko wadę: prohibicyjne rozmiary. Rozmiary raczej samodzielnej broszury, niż tekstu dla czasopisma. Ale rozważymy możliwość druku w *Zeszytach Historycznych*.

P. S., Polska — Dość powierzchowna i niezborna wydaje się nam Pana recenzja z książki Zawadzkiej *Łagierniczki*. Co do szkicu *Niežnośna lekkość nicości*, to przy pozorach tzw. filozoficznej głębi powtarza on rzeczy znane na ogół, nie wnosi nic nowego. Naprawdę nie bardzo wiadomo, o co Panu chodzi w artykule *Zimna wojna domowa?* i dlaczego nazywa Pan poznański tygodnik *Wprost* pismem „nihilistycznym”.

D. K., Polska — Omówienie lubelskiej wystawy Jahody zamieścimy z nieznanymi skrótami.

E. F., Izrael; B. H., Szwecja; W. L. W., Kanada — Z wierszy nie skorzystamy.

T. Ch., USA — Wybraliśmy do druku wiersz *Do księdza Jana poety*.

M. M., Polska — Felietony nie nadają się do druku.

M. G., Gdańsk — Pana listu do Parlamentarnej Grupy Kobiet nie zamieścimy. Tematyka listu nas nie interesuje, specjalnie w Pana dość uproszczonym ujęciu. Bardzo nas ubawiło, że rezygnując z honorarium (honorarium za memorandum, które Pan rozsyła b. szeroko?) zadowoliliby się Pan zaproszeniem Pana żony na trzydniowy pobyt w Paryżu.

J. J., Gdańsk — Artykułu „Rewolucja czy teatr” nie zamieścimy. Oparty jest głównie na plotkach i pomówieniach, które w wielu wypadkach są zwykłymi oszczerstwami.

Bezimiennie z Genewy dla uczczenia pamięci zmarłej w Kopenhadze Emilii Drukierowej	F.	500,00
Bezimiennie z Mediolanu — po raz 30-ty	F.	150,00
Bezimiennie z Paryża — dla uczczenia pamięci nieodżałowanej Idy Jurysiowej-Spira, w 4-tą rocznicę Jej śmierci	F.	200,00
Bezimiennie z Vancouver, BC (Kanada) — po raz 26-ty — dol. 34.00	F.	179,00

DZIĘKUJEMY

C. Waluk, Kitchener, ON (Kanada) — na pomoc Polakom w Rosji	F.	200,00
---	----	--------

Z okazji 4-ej rocznicy zgonu dr. Marii Françoise Nawrockiej Majchrowicz, The Maria Françoise Nawrocka Majchrowicz M.D. Educational Fund (USA) — na cele oświatowe w Polsce — dol. 300,00	F.	1.575,00
--	----	----------

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze *Kultury* z wiersza Garcii Lorci w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza (str. 56) wypadł niestety jeden wiersz. Przepraszamy Tłumacza i Czytelników i przedrukowujemy wiersz w całości:

Blue sky
Yellow field

Blue mountain
Yellow field

Through a deserted plain
Walks an olive tree

A solitary olive tree
Walking

KSIĄŻKI

Paweł Molski:	<i>Poeci Apokalipsy</i>	177
Stanisław Dłuski:	<i>Kilka myśli o nowych wierszach Iwa- niuka</i>	184
Józef Dużyk:	<i>Nowe pismo Krakowa</i>	186
Tadeusz Wyrwa:	<i>Rada Regencyjna (1917-1918)</i>	188
Henryk Kocój:	<i>Trzy powstania narodowe</i>	191
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	194
WOLNA TRYBUNA		
Piotr Daszkiewicz:	<i>O lustracji</i>	198
Wojciech Giełżyński:	<i>Fundacje — pozytywne grzesznice</i> ...	202
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	209
Benedykt Heydenkorn:	<i>Zachwiana Federacja</i>	212
•		
B. Sułek, St. Dłuski, A. Dobosz, K. Dybiak, A. Głodziński, G. Kupriano- wicz, J. Pieszczachowicz, W. Urban:	<i>Listy do Redakcji</i>	215
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	222
Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Sprostowanie</i>	223

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 1073-1993

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1993

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel- Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crs., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermil- lod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stock- holm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonton Nr 48 82 34 6	K.S. 60,00	K.S. 330,00	K.S. 650,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Mil- waukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertzta...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertzta, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

TOM 478 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DRUGI

zawiera opracowania: Aldona Chojnowska: *Operacja „Wisła” (przesiedlenie ludności ukraińskiej na ziemię zachodnie i północne w 1947 r.)*; Roman Dzwonkowski SAC: *Kościół katolicki w b. ZSSR*; Jerzy R. Krzyżanowski (opr.): *Juliana Krzyżanowskiego listy z Syberii*; *Studia generała Orlicz-Dreszera z 1926-1927 r. na temat wojny z Niemcami* (opr. Andrzej Grzywacz); Tadeusz Wyrwa: *Rokowania francusko-sowieckie w Moskwie w sierpniu 1939 r.*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Jerzy Lerski: *Vademecum polonijne*; *Wykaz książek o tematyce historycznej wydanych przez Instytut Literacki*; Józef Lewandowski: *Białe plamy w historii Czech*; Tadeusz Wyrwa: *Układ Sikorski-Majski*; Eryk M. Budzyński: *Poczta japońska*; Tomasz Mianowicz: *Zamiast dyskusji (na marginesie ostatnich publikacji na temat dziejów najnowszych Kościoła)*; Władysław Michniewicz: *Moje spotkania z Ksawerym Pruszyńskim* oraz bogaty dział LISTÓW.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 100F